

FABRYCZNA ZONA . PL

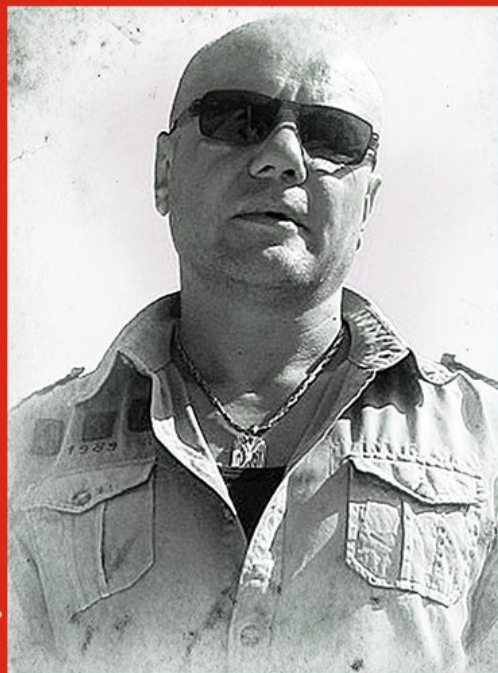
WSTĘGA



fabryka słów®



ANDRIEJ LEWICKI



ANDRIEJ LEWICKI

Swoje dzieciństwo spędził w Czarnobylu. Zdarzało mu się wielokrotnie odwiedzać teren Zony, nocował w porzuconych wsiach i miasteczkach, ukrywał się przed patrolującą Strefę ukraińską milicją. Właśnie to doświadczenie zaowocowało w trakcie pracy nad tworzeniem scenariuszy do gry „S.T.A.L.K.E.R. – Zew Prypeci” i jego obecnej działalności w projekcie Survarium.

Pisarz chętnie sięga po książki Lema i Sienkiewicza, w przerwach między oglądaniem filmów noir z lat 40–50 oraz słuchaniem czarnego bluesa i starego dobrego rocka.

Najlepiej czuje się w górach z laptopem i termosem kawy, pisząc kolejny rozdział następnej książki.

ANDRIEJ LEWICKI

WSTĘGA



**TŁUMACZYŁ
MICHAŁ GOŁKOWSKI**

fabryka słów[®]
LUBLIN - WARSZAWA

Seria Fabryczna Zona:

STALKER

Michał Gotkowski – **Ołowiany świt**
Michał Gotkowski – **Drugi Brzeg**
Michał Gotkowski – **Droga donikąd**
Michał Gotkowski – **Sztywny**
Wiktor Noczkin – **Ślepa plama**
Wiktor Noczkin – **Czerep mutanta**
Wiktor Noczkin – **Łańcuch pokarmowy**
Krzysztof Haladyn – **Na skraju Strefy**
Sławomir Nieściur – **Wedle zasług**

SURVARIUM

Andrzej Lewicki – **Łowca z Lasu**
Wiktor Noczkin – **Wektor zagrożenia**

KOMPLEKS 7215

Bartek Biedrzycki – **Kompleks 7215**
Bartek Biedrzycki – **Stacja Nowy Świat**
Dominika Węclawek – **Upadła świątynia**

ANTYMIER

Paweł Kornew – **Lodowa Cytadela**
Paweł Kornew – **Tam gdzie ciepło**
Jan Waletow – **Ziemia Niczyja**

ANTYMIER

Andrzej Lewicki – **Wstęga**
Andrzej Lewicki – **Wojna** (w przygotowaniu)



Wołali na niego Garsteczka, był ochroniarzem i potrafił dać sobie radę w życiu; teraz jednak leżał bezwładnie jak szmaciana lalka, rozciągnięty na podłodze długiego korytarza. Jego serce waliło i rzucało się dziko, w głowie słyszał obce głosy, wsącżające mu w mózg dziwne, mroczne myśli. Z nosa leciała krew.

Uniósł się z karbowanych, stalowych płyt i zgrzytnął zębami, gdy w potylicy odezwał się ból. Wytarł krew z czoła rękawem kurtki mundurowej, potem podniósł się na kolana.

Lampa oświetlenia zapasowego migiała i gasła, w jej świetle korytarz o niskim sklepieniu przypominał raczej pulsującą rozbłyskami, długą rurę prowadzącą prosto do piekła. Nieopodal leżał człowiek w identycznym jak Garsteczka mundurze. Witia, niech to diabli! Witia... Co się z nim stało? Przekrwione oczy patrzyły nieruchomo w sufit, pod głową rozlewała się kałuża krwi.

Garsteczka spróbował wstać, ale nie dał rady, znów upadł na kolana.

– Wićka! – zawołał ochrypłym głosem.

Co się stało? Atak? Ale kto napadł, na kogo? Drżącą ręką wyciągnął z kabury pistolet, usiadł pod ścianą. Przesunął lufą z prawa na lewo.

Gdyby doszło do ataku, to coś by się działo. Hałas,

zamieszanie! A tutaj nic, tylko martwa cisza.

Odkaslnął, splunął. Niedowierzająco popatrzył na czerwoną plwocinę na podłodze, potem znów spojrział na leżącego nieruchomo Witię. Znów zawołał:

– Ej! Odezwij się...!

Strasznie kręciło mu się w głowie, ale pamięć powoli wracała, nadpływając leniwymi falami. Był... był w jakimś obiekcie wojskowym, w... KZ-1. Tak, Kompleks Zamknięty nr 1. Był tutaj członkiem ochrony... ale dlaczego? Przecież służył w piechocie morskiej. Miał na koncie dwie... nie, trzy operacje bojowe! I medal za odwagę. Więc dlaczego...?

Ach... No tak. Było też *tamto*. Wysłali go, w zasadzie zesłali tutaj, do tej nory. Już od czterech miesięcy gnął na służbie wartowniczej, łażąc w tę i we w tę po korytarzach. Teraz natomiast był – tak, na piętrze we wschodnim skrzydle budowli. Właśnie tym, które przylegało bezpośrednio do Sektora.

Służba jak co dzień. Rutyna. Nic szczególnego. I... I CO TU SIĘ, DO CHOLERY, DZIEJE?!

– Hej! – zawołał. – Ludzie! Jest tu kto?!

Garsteczka wsunął pistolet do kabury, po czym podczołgał się na czworakach do przyjaciela. Zajrzał mu w twarz, naczynia krwionośne w oczach Witii popękały tak potwornie, że strach było patrzeć. Krew sączyła się z nosa, z uszu... To jest, nie sączyła się już – zastygła w czerwonych skrzepach.

– Witia... – wymamrotał Garsteczka, przeciągając ręką po twarzy. – Ale jak... co...?

Odsunął się od trupa i znów popatrzył w obie strony korytarza, oddzielającego od siebie wschodnie i zachodnie skrzydło kompleksu. Po jednej stronie błyszcząły stalowe drzwi prowadzące do pomieszczeń skrzydła wschodniego i na klatkę schodową. Na drugim końcu tkwiła ślepa betonowa ściana, poza małym przejściem do przedsionka. Tamtędy można było dostać się do części zachodniej i na zewnątrz.

Ale gdzie byli wszyscy inni ludzie? Cała załoga Kompleksu?

Garsteczka oblizwał popękane usta, wyprostował się. Lampa oświetlenia awaryjnego paliła się nadal matowym, przygaszonym światłem, pogrążając dalekie kąty korytarza w cieniach.

– Jak w kostnicy – zachrypiał, opierając się o ścianę, żeby nie upaść.

Na wszelki wypadek zabrał jeszcze pistolet Witii. Tamtemu już się nie przyda... Chciał szczęknać bezpiecznikiem, ale o mało nie upuścił broni na ziemię.

– Eheeeej! Niech się ktoś odezwie! Ej, no! – wrzasnął raz jeszcze, próbując nie poddać się panice. Przecież to niemożliwe, to się nie może dziać! Raptem minutę wcześniej szedł sobie korytarzem, a tu nagle – bach! Leży, krwawi z nosa jak świnia, Witia nie żyje, migają lampy awaryjne... Przecież to jakaś pieprzona apokalipsa!

Kiedy Garsteczka ruszył ku bliższym drzwiom, świat wokół niego zawirował jak na karuzeli. Odczekał, kilka razy przełknął ślinę i popchnął drzwi, wchodząc do stołówki.

Nieduża sala ze stołami i ławkami była pusta, kolacja już się skończyła. Która w ogóle była godzina...? Zerknął na zegarek, ale elektronika wyświetlała tylko cztery ósemki. Nawet on wysiadł? Przecież to wojskowy zegarek, zabezpieczony, wodoodporny, z „wiecznym” akumulatorkiem! Powinien chodzić minimum dziesięć lat – tak przynajmniej mu tłumaczył magazynier wydający sprzęt i sort mundurowy, gdy Garsteczkę przyjmowano do KZ.

Potrząsnął głową, w potylicy znów odezwał się tępy ból. Przeszedł przez pustą stołówkę, kierując się do kuchni.

Martwy kucharz leżał na posadzce, cuchnęło przypalonym żarciem, na patelni powoli zwęglały się kawałki kurczaka. Garsteczka odruchowo odsunął naczynie z rozgrzanej płyty i nachylił się nad kucharzem. Krew z nosa, krew z uszu,

czerwone oczy... Niemalże czarne w półmroku.

Zatoczył się, dopadł do kranu. Odkręcił kurek i zaczął chciwie chleptać ciepłą wodę.

Potem odważył się jeszcze raz popatrzeć na ciało.

– No nie rozumiem – wyszeptał. – Ni cholery nie rozumiem! Muszę... wyjaśnić...

Złapał się rękoma za głowę, ścisnął. Chryste, jak to było? Wieczorna zmiana zaczęła się o szóstej: Witia stał przy schodach, on na korytarzu. Co pół godziny zamieniali się miejscami, co jakiś czas zaglądali do stołówki i sprawdzali kwatery mieszkalne.

Kompletny debilizm, pilnowanie obiektu wojskowego od środka. Kompletny i potwornie nudny, ale regulamin służby wartowniczej był niewzruszony jak skała... Jak beton, który musiał go pisać.

Dwie godziny warty już przeleciały, a potem... potem wszystko naraz: huk, drżenie ścian, taki jakby delikatny dreszcz. Aż zaboląły zęby, uszy zatkało, ktoś coś krzyknął... i tyle. Chociaż nie, było jeszcze jedno uderzenie od góry, po którym wszystko podskoczyło. Ostatnim, co zapamiętał, był głuchy, niski łomot, a potem wszystko rozmazało się i popłynęło. Zapadł w ciemność.

Czyli teraz musiało być około ósmej wieczorem, może wpół do dziewiątej. Dokładnie nie był w stanie określić, ile czasu leżał nieprzytomny, ale raczej niezbyt długo. Witia jeszcze ciepły, kurczak nie do końca się spalił...

We wschodnim skrzydle Kompleksu nie było okien, ale Garsteczka wiedział, że wzdłuż ściany, za którą zaczynał się Sektor, ciągnęła się otwarta galeryjka, gdzie stały trzy automatyczne wukaemy. „Świry”, jak je nazywali z kolegami... Ten brak okien doprowadzał go przez ostatnie cztery miesiące do szału. Jak w wariatkowie, tylko uciec i nie wracać.

Ręce jeszcze mu się trzęsły, ale słabość mijała. Garsteczka czym prędzej wrócił na korytarz. Popchnął kolejne drzwi, wystawił przed sobą pistolet i wszedł do podłużnego

pomieszczenia mieszkalnego.

Pod ścianami kwatery stało sześć łóżek – na trzech leżały teraz nieruchome ciała. Kolejne, czwarte spoczywało na podłodze. Pyskaty technik z bazy remontowej na dole.

Garsteczka szybko obejrzał zwłoki: krew z nosa i uszu, wszyscy martwi... Jednemu aż oczy popękały, jak jajka w mikrofali. Popękały! Niemało w życiu widział, ale tutaj autentycznie mało się nie porzygał. Przełknął jednak cofkę, wytoczył z powrotem na korytarz. Potrzęsnał głową, splunął na ziemię i wziął się do sprawdzania pozostałych pokoi.

Budynek miał stosunkowo prosty plan: prostokąt podzielony na dwie nierówne części poprzecznym korytarzem. Dokładnie ponad nim, na dachu stał szereg ekranów ochronnych, a od dwóch dłuższych ścian Kompleksu ciągnął się w obie strony nierówną linią mur Kordonu, również z ekranami na szczycie.

Garsteczka zastanawiał się kiedyś, ile srylionów pierdyliardów dolarów musiało kosztować coś równie ogromnego? Szczególnie jeśli doliczyć jeszcze wartość dodatkowego sprzętu i wyposażenia.

Krótsze, wschodnie skrzydło Kompleksu wychodziło na terytorium Sektora, a oddzielone korytarzem zachodnie znajdowało się na wciąż jeszcze normalnej, nieskażonej ziemi. Sam korytarz był poniekąd przedłużeniem Kordonu, przebiegającego wprost przez budynek: stąd właśnie przedsiónek, oddzielający go od całej reszty.

Tam, gdzie teraz znajdował się Garsteczka, było kilkanaście pomieszczeń: kwatery personelu szeregowego i oficerów, część gospodarcza, zbrojownia, stołówka, pomieszczenie socjalne... Drzwi zaopatrzone były w systemowe zamki magnetyczne, ale teraz wszystko się wyłączyło, więc za wyjątkiem zbrojowni, dodatkowo wyposażonej w specjalne zabezpieczenia mechaniczne, oraz biura szefostwa wszystko było otwarte na oścież.

W pomieszczeniu socjalnym, pomiędzy stołem bilardowym a wiecznie zepsutą bieżnią, Garsteczka znalazł jeszcze dwa trupy. Następne trzy w kwaterach oficerskich.

Doszedł do końca korytarza, przystanął i zamyślił się.

Ścięło ich wszystkich w tej samej chwili. Jednakowe objawy, więc ten sam czynnik... I nagle dotarło do niego, co się stało. Aż jęknął cicho, gdy zrozumiał, jaka była przyczyna i że zapewne poza nim w całym ogromnym Kompleksie nie pozostał nikt żywy.

Ale jak to? Przecież Fala rzadko kiedy dochodziła do Kordonu, a jeśli nawet, to jako ledwo wyczuwalne, nieduże zakłócenia, wychwytywane bez problemu przez system ekranujący! Czyli co, tym razem przyszła jakaś wyjątkowo silna? A jeśli tak, to jakim cudem przeżył?

Garsteczka podrapał się po ciemieniu. Bo głowę miał mocną, ot co. Łeb jak żeliwny sagan, jeszcze matka mu powtarzała: „Taką głową to orzechy łupać, a nie myśleć”.

Z drugiej strony, przecież zostawało jeszcze zachodnie skrzydło, dwukrotnie większe od wschodniego i odizolowane. Ludzi tam było więcej, laboratoria, magazyn wojskowy, nawet podziemna strzelnica i klatki dla wyłapanych w Sektorze istot, które próbowali badać naukowcy.

Było tam wszystko, z wyjątkiem drogi. O tym przekonał się Garsteczka szybko, gdy wszedł do przedsionka i natknął się na lekko opalizującą płytę, przegradzającą pomieszczenie na pół. Kurtyna musiała opaść automatycznie po tym, jak Fala wyłączyła zasilanie w całym obiekcie.

Upewniwszy się, że tędy się do zachodniego skrzydła nie dostanie, spróbował przejść schodami. Klatka schodowa prowadziła do hangaru na dole, górą wychodziła na dach. Garsteczka stanął pośrodku betonowego kwadratu, zadarł głowę i popatrzył na popękane, osiadłe betonowe płyty sklepienia. Z pęknięć wystawały pręty zbrojenia i rury, cała klatka na górze

przekrzywiła się na bok, schody pogięły.

Przez pęknięcie do klatki schodowej wsunęło się czarne, gumowe koło na wysięgniku, wystającym z brzucha maszyny latającej, która musiała spaść na dach. Kawał transportera był aż za duży jak na zwykły śmigłowiec.

Behemot, pomyślał Garsteczka. Na takim bydlaku latał generał Cywik z Rady Bezpieczeństwa ONZ, a przecież kilka godzin wcześniej Cywik zajrzał do KZ, wracając z planowej wizytacji Sektora. Garsteczka mógł sobie wyobrazić, co się wydarzyło: konwertoplan musiał już wznieść się w powietrze, kiedy dosięgła go Fala, a całą elektronikę usmażyło od razu, nawet pomimo zabezpieczeń. Wnosząc z wielkości dziury i ułożenia korpusu, maszyna już nabrała wysokości i zdążyła obrócić się na północny wschód, kiedy jak kamień runęła z powrotem. Wątpliwe, żeby ktokolwiek z załogi przeżył.

Wszedł na kilka stopni, ale potem wycofał się, gdy schody zaczęły jęczeć i trzeszczeć. A nuż całość się zawali? No tak, na dach też się nie da; nawet jeśli wejdzie na górę, to nie przebije pancernego dna behemota.

Paskudnie. Jeszcze tliła się w nim iskierka nadziei, ale nawet ona zgasła, gdy zbiegł na sam dół. Prowadzące do hangaru drzwi były zamknięte na głucho potężnym mechanicznym kołowrotem. Garsteczka poszarpał się z nim chwilę, a potem z wściekłością walnął w pancerną płytę pięścią. Splunął, potem posłał bolące kostki dłoni.

Ilu ludzi zostało na dole? Wedle regulaminu w warsztacie powinno być dwóch wartowników. Dodatkowa para mechaników od rana grzebała w agregacie napędowym drezyny, bo główny skład pociągu elektrycznego wyruszył w głąb Sektora po specjalnie dla tego celu ułożonych szynach, wioząc ekspedycję profesora Kaufmanna i ochraniających ją ludzi majora Titomira.

O tak. Garsteczka nagle uświadomił sobie, że sytuacja była jeszcze poważniejsza, niż to mu się początkowo zdawało.

Rysowały się przed nim nie tylko dodatkowe utrudnienia, ale też pewne, hm... perspektywy. Kuszące perspektywy natury mocno materialnej.

Ukucnął i schował twarz w dłoniach, usiłując zebrać myśli, które rozbiegały się na wszystkie strony. On sam miał ochotę poderwać się i gdzieś pobiec, robić coś, cokolwiek, działać... Spokojnie, szeregowy! Weźcie się w garść.

Wiedział doskonale, że sam dowodzący ochroną Kompleksu, major Titomir, pojechał do Sektora. I to bynajmniej nie dlatego, że tak bardzo ciekawiła go dzisiejsza ekspedycja naukowa. Uczeni byli dla majora doskonałym pretekstem.

Titomir zawiózł tam pieniądze.

Żelazną walizkę wypchaną pieniędzmi. Dużymi pieniędzmi. Małymi pan major nie obracał, o nie.

Na peronie Stacji, do której dojeżdżał pociąg pancerny z Kompleksu, mieli pojawić się włóczędzy z Sektora, żeby przekazać Titomirowi towar. Oddać artefakty, dostać gotówkę i po cichutku się zmyć. Po tym, jak ekspedycja wróci, Garsteczka i Witia mieli – również po cichu – wywieźć towar z KZ, przerzucić do Lublina i tam opylić kontrahentowi.

Bez mała trzy miesiące już się tym zajmowali. Na każdej przepustce, a dostawali ich podejrzenie dużo... Rzecz jasna, papiery podpisywał osobiście zawiadujący ochroną, czyli sam Titomir. Titomir, dla którego Witia i Garsteczka pracowali jako nielegalni kurierzy.

A co teraz? Jeżeli major wraz z żołnierzami i naukowcami zginęli, nakryci przez Falę, a razem z nimi pośrednicy z Sektora... No bo niby jak inaczej, skoro wszyscy w Kompleksie też nie żyją?! Jeżeli tak, to...

Garsteczka aż się spocił, kiedy zrozumiał: walizka kasy! Nie miał nawet pojęcia ile, ale artefakty tanie nie były. I teraz ta kasa leżała sobie w wymarłym pociągu i czekała, aż ktoś tam przyjdzie i ją po prostu zabierze. A nie przyjdzie nikt, bo poza

nim nikt żywy o niej nie ma pojęcia. Musiał dostać się do Sektora! I to już, teraz, zaraz, zanim ktokolwiek się tu zjawi! Na skrzydłach chciwości polecieć! Dopędzić do Stacji, złapać walizę, wrócić do Kordonu, przeskoczyć przez mur i zniknąć.

Niby że on? Zwykły szeregowy, który nawet po tamtej stronie nogi nie postawił? Garsteczka znów podrapał się po głowie, próbując pobudzić neurony do działania. Tak po prostu, na rympał? Tam i z powrotem? Na skrzydłach polecieć... Prosto do grobu, aha. Przecież o Sektorze nie miał pojęcia.

No nie miał. I co z tego?! Nie w takich pierepałkach przecież bywał, swoje widział i niemało umie. Tym bardziej że głęboko wchodzić nie będzie trzeba. Stacja była niedaleko od Kordonu, w stosunkowo niegroźnej okolicy.

Podobno.

No dobra, ale jak wyjść z Kompleksu?

Tylko przez zewnętrzną galerię strzelecką. Inaczej nijak. Z klatki schodowej, potem przejściem technicznym... Nic innego nie wymyśli. Jedyna droga na zewnątrz.



Pod wieczór Czerwonego Kruka znów złapały dreszcze, więc był zmuszony zażyć kilka gramów płomieniówki. Po jego ciele przetoczyła się fala palącego ciepła, drżenie od razu ustało. Mięśnie nabiegły nową siłą.

Kruk umościł się na dachu składu kolejowego, rozścieliwszy swój ciemnoszkarłatny płaszcz. Plamy wyblakłego kamuflażu mieszały się na nim z nowszymi bryzgami, które na zawsze już wgryzły się w grube płótno. Obok niego stał na rozłożonym dwójnogu galil galatz z przystrzelanym celownikiem, załadowany dwudziestoma kulami dum-dum.

Odcinek prowadzących do porzuconej stacji towarowej torów

zachował się wyłącznie dlatego, że od czasu do czasu używali go ci durnie z Kompleksu. W okolicy nie było nic ciekawego. Nic wartościowego. Ani anomalii, ani artefaktów. Rzadko w ogóle ktoś tu zaglądał. „Puste Miejsce”, jak mawiali o stacji lokalni włóczędzy. Dokładnie dlatego naukowcy z Kompleksu urządzili tu sobie bazę wypadową, ale nawet oni nieczęsto się tu pojawiali.

Dziś wieczorem miał przybyć pociąg, który przywiezie tego, dla kogo przeznaczony był pierwszy, podpisany imieniem, nabój w magazynku.

Kruk podniósł się, patrząc na długi peron pokryty kałużami, w których odbijało się wiszące nisko niebo i zardzewiały, przekrzywiony dźwig suwnicowy z resztkami lin. Może lepiej tam się przenieść...?

Poryw wiatru wpadł, uderzył go w twarz, wycisnął kilka łez. Czerwony Kruk zsunął rękawiczkę i bardzo ostrożnie przetarł lewe oko, wyraźnie ciemniejsze od drugiego.

Ubrany był w ciepłe, myśliwskie spodnie, wsunięte w cholewy wysokich butów, oraz gruby sweter, ale wiatr i tak przenikał aż do szpiku kości. Narzucił na plecy połę płaszcza. Wielu uważało, że swoje drugie imię dostał właśnie dzięki niemu, ale mylili się. Sektor zamieszkiwał szczególny podgatunek kruków z lekko czerwonawymi piórami – rudoszyje. Mniejsze i szybsze niż ich czarni pobratymcy, odznaczały się krwiożerczością, wredotą i mściwością.

Dokładnie tak myślał o sobie Kruk: był małym, wrednym zabójcą. Ponadto sam był niewysoki, metr sześćdziesiąt siedem w butach, więc przezwisko pasowało jak ulał.

Pociąg... Pociąg powinien stanąć zaraz pod dźwigiem, więc na pierwszy rzut oka stanowisko tam byłoby wygodne. Robiło się ciemnawo, a magazyny stały daleko od peronu; w półmroku może być ciężko prowadzić celny ogień. Jeszcze trzy godziny temu, gdy Czerwony Kruk badał teren, wybierając miejsce, był i na wysięgniku.

Jeśli przyczai się tam, będzie dokładnie nad wychodzącymi z wagonu. Mógłby strzelać, jak do kaczek... Ale w kogo? Jak rozpoznać człowieka, patrząc z góry? Jeśli jeszcze będą mieli czapki albo hełmy... A jego kontakt z Kompleksu coś wspominał, że właśnie na tę ekspedycję mają zabrać jakieś specjalnie robione kaski.

Z góry może majora nie rozpoznać. Albo spudłuje. I co wtedy, jeśli wszystko się sypnie? Kruk musiał mieć przecież wyjście awaryjne, żeby móc uciec i kontynuować polowanie na człowieka, którego śmierć stała się dla niego sensem i celem życia. Z dachu da radę ześliznąć się bez trudu. Z dźwigu – tylko martwy.

A więc zostanie tu i będzie czekać.

Wsparłszy się na łokciach, Kruk przyłożył oko do lunety.

Cztery strzały: dwa w majora i dwa kolejne w żołnierzy, żeby spowodować zamieszanie. Tylko że robiło się coraz ciemniej, więc szansa spudłowania rosła.

Usłyszał cichy, niski szum. Uniósł się na kolana, wyszarpnął lornetkę z pokrowca i uniósł do różnokolorowych oczu.

Tak, pociąg nadjeżdżał. Powoli, spokojnie; nieduża lokomotywa z jednym jedynym wagonem, nietypowo długim, jak gdyby szerszym u tyłu. Kruk wyregulował ostrość, popatrzył na zasłonięte pancernymi płytami otwory strzelnicze w burtach pojazdu.

Hałas narastał, można było odróżnić w nim poszczególne dźwięki: stukot kół, świst wiatru, dzwonienie szyn. Trzy minuty, pomyślał Kruk, i będą tutaj. Ale te minuty mogą się okazać krytyczne, bo ciemno robiło się dosłownie w oczach.

Uniósł się i wyciągnął spod siebie płaszcz, naciągnął na ramiona i zapiął pod samą szyję. Może jeszcze by zażyć płomieniówki? Tylko patrzeć, jak powrócą dreszcze... Chociaż nie, za duże ryzyko: jak przesadzi, to ciężko będzie strzelać.

Pociąg nadciągał, a wraz z nim wieczór. Trzeba będzie liczyć

na światło lamp burtowych, które powinny włączyć się po zapadnięciu zmroku.

Lewa ręka zadrżała, Kruk zacisnął zęby. Uspokój się! Nadchodził czas jego łabędziego... nie, kruczego śpiewu. Ujął w rękę snajperkę, oparł się o eternit i ułożył kolbę przy prawym ramieniu, podkładając wykręcony lewy nadgarstek pod drewniane łożo.

Strzały wyborowe nie były jego konikiem. Wolał wejść w zwarcie i dobyć swego długiego, zębatego kosiora; radził sobie z dowolnym nożem, nie gardził pistoletem. Zdarzało mu się zabijać ludzi w pomieszczeniach i wąskich korytarzach, na strychach i dachach, w podziemiach i tunelach, w niezliczonych porzuconych budynkach w całym Sektorze. Jednak tak, z daleka... Dobrze, że odległość nie była duża, a pozycja w miarę wygodna.

Elektrowóz zapalił reflektor, podjeżdżając do peronu, jednocześnie rozbłysły światła boczne na wagonie, zamieniając pociąg w serię jasnych punktów. Kruk uśmiechnął się krzywo: sami mu pomagali. Stacja wokół składu przepadła, zniknęła w czarnej otchłani, a jej wąski wycinek aż zaśnił światłem. Kałuże pobłyskiwały chłodno, matowo lśniły uciekające w nicość tory.

Skład podjechał pod dźwig i zatrzymał się. Silnik chodził jeszcze kilka sekund, ale potem zamarł i ucichł. Nad Stacją zawisła głucha cisza. Nie działało się nic. Nic się nie poruszało. Czerwony Kruk zamarł w bezruchu, słysząc tylko równe, pewne uderzenia własnego serca.

Nagle jego głowa szarpnęła się niekontrolowanie, źrenice rozszerzyły. Dreszcz przebiegł nie tylko po lewej ręce, ale objął całe ciało, jakby tysiące rozżarzonych igieł naraz wbiły mu się w kręgosłup. Uniósł głowę, popatrzył w niebo... i poderwał się.

Czarne niebo na wschodzie nabiegało przelewającym się, purpurowym ogniem. Kruk westchnął urywanie, popatrzył na

pociąg stojący nieruchomo przy peronie. Na gotowy do strzału, pragnący jego dotyku karabin. Znów na niebo. Tęczówka jego lewego oka pociemniała, nabrała koloru dojrzałej, niemalże czarnej wiśni.

Nie miał wątpliwości: od strony Wstęgi, skrytej za zasłoną mgieł, zagubionej gdzieś pośród mokradeł i lasów, martwych dróg i pustych miast, z dalekiego centrum Sektora toczyła się ku nim Fala. A to oznaczało, że jego życie należało liczyć teraz w minutach, o ile...



– Kto to? – Chudy, żyłasty mężczyzna o zimnych oczach i wąskich, zaciśniętych ustach popatrzył na monitor, wiszący pod sufitem wagonu.

W przeciągu ostatnich kilku miesięcy jego wzrok zaczynał powoli się psuć, a w czarnych, gęstych włosach przebłyskiwały już nitki siwizny. Major Robert Titomir czuł w kościach, że zaczyna się starzeć. Był nadal jeszcze silny i sprawny, poruszał się żwawo, bił mocno i celnie, strzelał bez pudła. Ale leciał mu już czterdziesty siódmy rok.

Czterdzieści siedem lat!

Zawsze była to dla niego granica, po przekroczeniu której ciało nieodmiennie już tylko dziadzieje. Być może umysł miał jeszcze szansę; umysł, będący w jego wypadku skarbnicą bezcennego doświadczenia bojowego. Ale po co komu mózg, jeśli rozkazywać można tylko słabowitemu ciału? Co komu po wiedzy o cudownej, uwodzicielskiej grze zwanej wojną, jeśli nie ma sił trzymać broni?

– Ktoś się tam chowa – rzekł major.

Wagon podzielony był na cztery przedziały. W pierwszym podróżowali naukowcy: profesor Artur Kaufmann, jego córka

Nika i młody laborant, trzeci zajęli szeregowcy, w czwartym stała amfibia. Major Titomir wraz z adiutantem rozłożyli się w drugim. Wokół nich migotały monitory, błyszcząły zieloną emalią szafki z racjami żywnościowymi, zapasowymi maskami filtrującymi i amunicją. Na półkach stały dwa okazałe hełmy z ciemnymi, matowymi zasłonami.

Na rozkładanym fotelu rozwalił się tyczkowaty kapitan Kovacs, jego zaufany i prawa ręka. Swój skrócony karabinek szturmowy z podlufnikiem zostawił w przedziale dla żołnierzy, a teraz bawił się pistoletem na smyczy taktycznej.

– Człowiek – rzucił adiutant obojętnie.

Stukot kół cichł w miarę, jak pociąg zwalniał, podjeżdżając do Stacji. Monitor, który obserwowali teraz Titomir i Kovacs, pokazywał obraz z nowego czujnika kamery. Całą drogę ten czujnik, zamontowany przez techników z Kompleksu przed samym wyjazdem, zawieszał się i śnieżył; dopiero teraz obraz trochę się poprawił. Nieco w oddali po prawej stronie, pośród ledwo widocznych szarych prostokątów i kwadratów budynków Stacji, majaczyła podłużna, żółtopomarańczowa plamka ciepła.

– W którym to miejscu? – zainteresował się Titomir.

– Narożny magazyn. Leży na dachu.

– Kimkolwiek jest, kiedy wyjdziemy na peron, będzie nas miał jak na dłoni.

Szczęknięty hamulce, pociąg szarpnął i stanął. Kovacs podniósł się, uchylił zasłonę strzelnicy i wyrżał na zewnątrz, odruchowo kładąc rękę na pistolecie. Robert Titomir wciąż patrzył na monitor. Żołnierze w trzecim przedziale milczeli, czekając na rozkaz wyładunku. Gdy umilkł silnik, z pierwszego przedziału dało się słyszeć głosy naukowców. Kaufmann o coś zapytał, odpowiedział mu niepewny głos laboranta, potem córka profesora poprosiła, żeby „w końcu dostroić to nieszczęsne urządzenie”.

Kovacs popatrzył na majora pytająco. Ten kiwnął głową.

– Działaj.

Oczy Serba błysnęły zadowoleniem. Kapitan przeszedł na środek przedziału, pochylił się nad klapą wjazdu awaryjnego.

– Wiesz dokładnie, gdzie tamten się czai? – upewnił się Titomir.

Kovacs uchylił wąż, zerknął na monitor raz jeszcze. Przytaknął.

Titomir patrzył na swego podopiecznego. Wiedział, że niezależnie od tego, kim był obserwator, kapitan wyśliźnie się spod wagonu niczym duch, obejdzie magazyn szerokim łukiem, bezszelestnie podkradnie do intruza i w takiej samej idealnej ciszy poderżnie mu gardło od ucha do ucha.

Naukowcy nagle odezwali się wszyscy naraz, dało się słyszeć poruszone mamrotanie laboranta, potem okrzyk: „Tato, szybciej! Hełmy!”.

Drzwi do pierwszego przedziału odsunęły się, stanęła w nich Nika Kaufmann z kaskiem w ręku.

– Majorze, w naszym kierunku idzie potężna Fala!

Kovacs zamarł z jedną nogą spuszczoną we wąż.

– Potężna? – powtórzył Titomir. Nawet teraz jego głos był zimny, zupełnie niewzruszony.

– Mamy przenośny analizator EM, odczyty... – Nika pokazała za siebie palcem. – Odczyty nie mieszczą się w skali!

– To niebywałe, niespotykane! – rozległ się głos profesora. – Odczyty znamionują Falę kilkukrotnie przekraczającą dotychczas notowane poziomy energetyczne! O ile, naturalnie, nie mamy tu czysto mechanicznej awarii sprzętu... chociaż to mało prawdopodobne. Fala będzie największa od czasów...

Lata służenia w bodajże najbardziej nieprzewidywalnym i najgroźniejszym miejscu na całej planecie nauczyły majora Roberta Titomira, że należy myśleć i działać szybko i zdecydowanie. Podeszedł do burty, ściągnął z półki swój hełm i szczeknął:

– Kovacs, zamykaj właz! Rozkaz: wszyscy padnij, jak przy atomówce. Za ile nas nakryje?

– Dziewięćdziesiąt... sześćdziesiąt sekund maksimum – szepnęła Nika i cofnęła się, próbując nałożyć hełm.

– Pociąg ma systemy bezpieczeństwa. Razem z hełmami wystarczy?

– Wątpię – odezwał się Kaufmann głosem stłumionym zza zasłony hełmu.

Nagle majorowi zabrakło tchu. Spróbował przełknąć ślinę, ale gardło ścisnęły mu niewidoczne ręce – pierwszy objaw nadciągającej Fali. Serce zatrzepotało mocno, nierównym rytmem... Titomir osunął się po burcie, wyciągnął nogi i wsparł dłońmi o podłogę.

Na sekundę przed tym, nim rycząca Fala dotarła do nich i pochłonęła pociąg, zdążył jeszcze zauważyć, że na monitorze nie było już widać pomarańczowej sylwetki.



Pistolet tkwił w kaburze, w rękę świeciła jasno latarka. Garsteczka przekręcił kołowrót na zamku włazu technicznego i ostrożnie wyszedł na wąski, długi balkonik galerii strzeleckiej.

Było przejmująco chłodno i ciemno – bądź co bądź koniec września, wilgotno, wiał wiatr. Garsteczka zadrżał i zapiął bluzę pod samą szyję. Z żelbetowego balkoniku rozciągała się panorama Sektora: niebo zaciągnięte chmurami, na górze ciemność, na dole ciemność. Chociaż, jeśli się przyjrzeć, widać było kilka drżących ogników, bliżej i dalej... i jakieś migotanie po lewej.

Co to mogło być? Nie miał pojęcia. Jego uczucia wobec Sektora były ambiwalentne – Ziemia Utracona zarazem fascynowała go i przerażała. Nie mówiąc już o jej mieszkańcach... Lepiej omijać nieznane z daleka.

Zatrzymał się za wieżyczką z gniazdem potężnego karabinu maszynowego. Długaśna, gruba lufa wukaemu patrzyła w dal. System Wielkokalibrowych Interceptorów Ruchu – tak brzmiała oficjalna nazwa broni, zaprojektowanej specjalnie na zamówienie dowództwa Kompleksu. No cóż, przynajmniej nazwę ładną ktoś wymyślił. Za takie pieniądze można się było spodziewać.

Potwory były trzy, mieszkały na dwóch końcach galerii i w jej

centrum, siedząc w swoich stalowych budach. Wieżyczki na pełnej hydraulice, kilkanaście czujników ruchu i kamery na podczerwień, wszystko sprzężone z komputerem w centrum dowodzenia i zasilane z kilkusetnabojowych bębnow.

Załoga KZ pieszczotliwie nazywała automatyczne wukaemy „świrami”.

Istniała szansa, że z galeryjki będzie na dach Kompleksu drabina. Pożarowa, zapasowa, awaryjna, jakakolwiek. Na dół raczej nie, bo na dole był już tylko Sektor, więc pomysł lekko idiotyczny; ale w przeciwnym kierunku – czemu nie? Dach był płaski, na górze helipad i czasy anten, do tego szereg ekranów ochronnych.

Hm, ekrany mogły być problemem, bo jakoś trzeba będzie przez nie przeleźć. Garsteczka jednak wiedział, że tak czy inaczej da sobie przecież radę. Przelezie, przeskoczy, przeleci, byle tylko dotrzeć na dach! Stamtąd do drugiego skrzydła, gdzie stoją warsztaty, laboratorium, gdzie będzie wszystkiego pod dostatkiem. Tam znajdzie się sposób i środek transportu, żeby wejść do Sektora. Na pewno.

Tylko że drabiny nie było. Dwa razy przeszedł po galeryjce, świecąc latarką po uciekającej w górę ścianie. Sufity w pomieszczeniach na piętrze nie były szczególnie wysoko, ale gdy dodać do tego grubość betonowego stropu, to okazało się, że od dachu dzieliło go parę metrów gładkiego muru. Niedobrze, niedobrze! Czyli co, był tu uwięziony? Z trupami? Przecież ani na górę, ani na dół, więc co ma robić?

Nieładnie. Głupio. Idiotycznie! Jak Robinson na bezludnej wyspie, który patrzy na sąsiednią wysepkę, gdzie leży skrzynia pełna pieniędzy. I leży, czeka!

Zły na cały świat, Garsteczka stuknął aluminiową obudową latarki o ścianę – i jakby w odpowiedzi zabuczały i zaszumiły „świry”. Czy to niedawna Fala przysmażyła im elektronikę, czy właśnie obsługujący karabiny system zachował sprawność

i zareagował na coś... Tak czy inaczej środkowy kaem nagle ożył w swej wieżyczce, ze zgrzytem automatyki opuścił lufę nieco w dół i zahuczał ogniem.

Mimo że Garsteczka zdążył otworzyć usta i zasłonić uszy, od razu ogłuchł, a przepona aż zaboląła od zmian ciśnienia. Galeria wypełniła się przeraźliwym łomotem, odbijającym od ściany i rozchodzącym echem po całym chyba Sektorze. Co kilka nabojuw musiał być wstawiony smugowy, więc w ciemności zarysowały się długie, jaskrawe linie; wieżyczka zaczęła się obracać, kreśląc wachlarz błysków.

Garsteczka rzucił się z powrotem w kierunku wjazdu. Kule leciały łukiem daleko od KZ, rwały zarośla i szarpały pnie drzew, ale nawet trzask drewna tonął w obłąkanym łomocie rozkręcającego się „świra”. Na całe szczęście przebudził się tylko jeden z potworów, bo w przeciwnym razie fala dźwiękowa potrójnej kanonady wbiłaby żołnierzowi bębenki prosto w mózg.

„Świr” umilkł, kiedy Garsteczka zdążył już się schować. W uszach dzwoniła i ryczała cisza, w głowie jakby ktoś włączył mu młot pneumatyczny. Wypadł na półpiętro, zatrzasnął wjazd, dotarł do drzwi i wytoczył się na korytarz. Dopiero tam przystanął.

Nadal paliła się lampa awaryjna, jego martwy towarzysz leżał w tej samej pozie. Garsteczka oparł się ciężko o drzwi, patrząc w pustkę. Przeciągnął dłonią po twarzy.

– Zamknięty – szepnął do siebie. – Kurwa jego mać, zamknięty z trupami!

Kilka chwil stał tak bez ruchu, potem otrząsnął się, uniósł głowę.

Po pierwsze, trzeba było poszukać liny. Powinna być w sekcji gospodarczej. Po drugie, były tu jeszcze telefony. Sierżant się kiedyś chwalił, że miał na komórce wojskowy pokrowiec, chroniący od pola elektromagnetycznego.

Szeregowcy w Kompleksie telefonów nie mieli, zabraniał tego

debilny regulamin. Dawna komórka Garsteczki leżała w kasie pancerniej u naczelnika. Ale oficerowie, czyli kapitan i sierżant, którzy leżeli teraz martwi w socjalce...

W kieszeni spodni sierżanta, leżącego nieopodal bieźni, leżał telefon w pancernym etui. Garsteczka słyszał, że promieniowanie niesione przez Falę rozregulowuje lub niszczy delikatną elektronikę, ale co prostsze obwody mogły wytrzymać. Szczególnie jeśli miały dodatkową ochronę, jak chociażby czujniki „świrów”.

Komórka działała. Ekran zamigotał, ale nie zgasł, klawiatura pozwoliła się odblokować. Garsteczka wszedł w menu książki adresowej, potem niedawne połączenia. Oddzwonił na najświeższy numer. Nieważne, z kim rozmawiał sierżant, byleby się z kimś połączyć! On już wszystko wyjaśni, opowie, wytłumaczy...!

Ale sieć milczała głucho. A właściwie nie milczała – głośnik szumiał przedziwnymi dźwiękami i trzaskami, jakich Garsteczka nigdy wcześniej nie słyszał. W eterze dudniło ciężkie echo, jak gdyby setki głosów szeptały naraz nieznane mu słowa. Nie był w stanie dodzwonić się do nikogo.

Jego serce drgnęło. Paweł Nowickij zwany też Garsteczką zrozumiał, że problemy nie ograniczyły się do Kompleksu Zamkniętego nr 1. Coś bardzo, ale to bardzo niedobrego wydarzyło się w całej okolicy.



Kiedy minął pierwszy szok, Garsteczka planowo, już na spokojnie przeszukał wszystkie pomieszczenia, do których tylko mógł się dostać. Zwłoki przeciągnął do kuchennej chłodni, która, o dziwo, działała – nie wszystkie systemy Kompleksu padły. Witę ułożył oddzielnie od innych, raz jeszcze pożegnał się z przyjacielem.

Potem pozbierał od martwych broń i przeniósł do pomieszczenia socjalnego.

Nie był w stanie dostać się tylko do dwóch pomieszczeń: zbrojowni i gabinetu Schulza. Ciało Schulza też nigdzie nie było, więc ten zapewne leżał u siebie w pokoju.

Nie było też liny, więc Garsteczka nadal nie miał szans zejść na dół. W magazynie było pełno wszystkiego, ale liny ani kawałka.

Zbliżała się zapewne północ. Lampy rezerwowe nieustannie paliły się tym samym smętnym, ponurym światłem na korytarzu i schodach, tworząc atmosferę idealną, żeby się wziąć i powiesić... To znaczy, gdyby znaleźć linę.

A przecież świat był na wyciągnięcie ręki, po drugiej stronie ściany. W okolicy Kordonu nikt nie mieszkał, wokoło był tylko pas strefy wysiedlonej, gdzie kręciły się jedynie patrole i śmigłowce. Wojsko i policja wspólnie ochraniały drogi dojazdowe, na których stały posterunki, a za tymi posterunkami było zwyczajne życie.

I tylko Garsteczka tkwił w tej żelbetowej trumnie, nie mogąc się wydostać.

Powoli przymykały mu się oczy. Och, przespać się teraz i dopiero rano pomyśleć... Wpaść na genialny pomysł, wyrwać się z KZ. Garsteczka nie wątpił, że mu się uda. Bo tam były pieniądze, duże pieniądze... Złapać je, uciec, schować się i raz na zawsze ustawić w życiu. Miał swoje głęboko ukryte marzenie w odcieniach lazuru morza, bieli wapiennych skał i złotego piasku. Niewykluczone, że sumy w żelaznej walizie wystarczy, aby ten obrazek wymalować zupełnie realnymi farbami.

Lampa w korytarzu buczała i potrzaskiwała – to był jedyny dźwięk w całym wschodnim skrzydle. Garsteczka wyciągnął się na stole bilardowym, przykrył kocem i wlepił wzrok w ciemny sufit. Miał takie wrażenie, że cały świat umarł, a on był ostatnim człowiekiem na planecie. Sektor też na pewno umarł, Fala pochłonęła wszystko.

Garsteczka leżał tak i myślał, wszystko coraz bardziej plątało mu się w głowie, aż wreszcie zasnął.

Obudziło go rozlegające się niedaleko mamrotanie.



Zeskoczył ze stołu i sięgnął po broń, dopiero potem włączyła się świadomość. Zero jakichkolwiek wątpliwości, niepewności czy myśli w stylu „o-jejciu-co-to-gdzie-ja-jestem”. Odbezpieczył pistolet, przyklęknął za stołem na jedno kolano, biorąc na cel uchylone drzwi. Głos niósł się z korytarza, odbijał echem. Przygłuszony, zniekształcony przez odległość. Męski.

Garsteczka złapał latarkę i nie zakładając nawet butów, bezszelestnie wysunął się na korytarz. Ciekawe, ile też spał? Okien nie było, zegary stały...

Słowa dobiegały z gabinetu Schulza. Garsteczce aż włosy stanęły dęba, gdy pomyślał sobie, że może to sam Schulz siedzi za stołem... Siedzi, a z uszu i nosa cieknie mu krew, oczy zieją krwawymi jamami, a on tak siedzi i bełkocze coś bez ładu i składu. Bełkocze, bydlak, i patrzy prosto na drzwi, za którymi on stoi!

Nagle mamrotanie urwało się. Garsteczka minął już pierwszą granicę strachu, a teraz zaczynał się po prostu złościć. Kij wam wszystkim w ryj, pora wziąć fabułę we własne ręce! Gdy głos znów się odezwał, Garsteczka odszedł pod przeciwległą ścianę, odetchnął głęboko i z rozbiegu walnął w drzwi barkiem.

Drzwi jęknęły. Garsteczka też jęknął, ale nie poddał się, odszedł i uderzył jeszcze raz. Potem wrócił do socjalki, naciągnął buty, wrócił i przyłożył w zamek z glana. Nogę miał Garsteczka, że daj Boziu taką każdemu, górne czterdzieści pięć, a i walnął od serca, bo dość miał sterczenia na korytarzu, jak wyrzucony z klasy uczeń. Zamek chrupnął i puścił, drzwi otworzyły się

z jękiem.

Mamrotanie ucichło, jak urwane nożem.

W niedużym gabinecie stały dwie szafy pancerne, stół, fotel i kilka krzeseł. Schulz pólleżał na powycieranej kanapie, cały zalany zakrzepłą krwią. Nie było sensu do niego nawet podchodzić, widać było, że jest martwy od dobrych kilku godzin.

Na stole walały się porozrzucane papiery, pośród nich stała otwarta butelka whisky. Szklanka leżała pod kanapą, na podłodze wysychała mokra plama. No tak – Schulz źle się poczuł, więc nalał sobie co nieco, żeby wyluzować pod koniec dnia pracy. Zdążył usiąść, może wziąć łyka, i wtedy Fala mu usmażyła mózg.

A butelkę wziął z sejfu, ukrytego w jednej z szaf. Drzwiczki były uchylone, więc Garsteczka ochoczo otworzył je szerzej.

W środku była paczka... nie, kostka banknotów. Lekką ręką pięć tysięcy dolarów. Poza tym pistolet i pudełeczko nabojów. I jeszcze coś, na samym końcu – żelazna skrzyneczka, lekko opalizująca, jak kurtyna w przedsionku. Skrzyneczka nie zainteresowała go szczególnie, w odróżnieniu od gotówki, którą z lubością powąchał i schował do kieszeni. No bo po co martwemu Schulzowi oszczędności?

No dobra, ale kto mamrotał? Garsteczka zerknął na leżące nieruchomo ciało, bo przez chwilę wydawało mu się, że sztywniak poruszył ustami. Ale nie. Odsunął fotel i nachylił nad biurkiem. Zaczął przeglądać papiery, a w tym czasie ręka, jak gdyby powodowana jakimś wyższym rozumem, przesunęła się bliżej ku butelce. Zupełnie bez udziału jego woli ujęła szyjkę, uniosła usłużnie ku wargom.

Wziął łyka, potem drugiego. Trzeciego. Oderwał się, oblizał, odetchnął i znów przyssał do szyjki, wlewając trunek w gardło. O rany, ależ mu tego brakowało! Nigdy nie miał problemów z alkoholem. Podobnie zresztą jak z kobietami i paleniem – przychodziły mu szybko i bez trudu, zatraczał się w nich bez

reszty. Pił chciwie, jak gdyby od tygodnia nie widział nie tylko whisky, ale nawet piwa. Gardło i żołądek paliły, a Garsteczka nie przestawał, nie mogąc się oderwać... Aż nagle zupełnie obok niego rozległ się głos:

– Coś słyszę. Albo kogoś. Halo, jest tam kto?

Garsteczka wzdrygnął się, zakrztusił i rozkasłał. Postukał się po zalanej alkoholem piersi, odstawił butelkę na biurko... Zrzucił z niego papiery, pod którymi ukrywała się kratka głośnika. Jak się coś takiego nazywa, interkom, tak? Obok widniało kilka przełączników i pokręteł.

– Na pewno coś słyszałem – powtórzył głos z głośnika.

– Fakt. Mnie słyszałeś – odezwał się Garsteczka.

W interkomie coś stuknęło – jak gdyby ktoś z zaskoczenia wypuścił trzymany w ręku długopis. Potem jakby głośnie westchnięcie i coś skrzypnęło. Garsteczka gotów byłby przysiąc, że jego tajemniczy interlokutor ciężko siadł na krzesło.

– O kuuurrrr...! – rozległo się z głośnika. – Ale to było...! Prawie się ze strachu... Ojej, chyba nie prawie, ale... nieważne... Ale nie mam przyjemności rozmawiać z naczelnikiem skrzydła wschodniego Schulzem? Wydawało mi się, że to kanał z jego gabinetem, ale pan Schulz ma pod pięćdziesiątkę, a pan... ty... coś młody jesteś.

– Nie, to faktycznie nie on – odpowiedział Garsteczka, uśmiechając się mimowolnie. Ktoś jeszcze przeżył! Niewidoczny rozmówca miał ledwo wyczuwalny akcent, ale po rosyjsku mówił doskonale.

Rozsiadł się w fotelu, znów wziął butelkę. Zmienił jednak zdanie, odstawił.

– Pasza mam na imię, jestem tu ochroniarzem. W sensie we wschodnim skrzydle. A ty kto?

– Andrzej – odpowiedział nieznajomy. – Polak, pracuję z Kaufmannem w laboratorium. Paszka, bracie, czemu się wcześniej nie odzywałeś? Jak tylko odkryłem, że wewnętrzny

komunikator jeszcze działa, to już godzinę tu sam do siebie gadam. I nic, cisza...

– Nie mogłem się tu dostać. Ten twój komunikator jest w gabinecie, a drzwi były zamknięte. Schulz miał chwilę słabości, nie chciał, żeby mu przeszkadzali. Regulamin pic zabrania.

– Ano, prawda – zgodził się ten cały Andrzej. – My to sobie w laboratorium spirytus dorabiamy po cichutku, a dobry jest, medycznej próby. A co z Schulzem?

– Nie ma Schulza. – Garsteczka zerknął na trupa i mimo wszystko wypił jeszcze łyka whisky. – Nikogo nie ma, wszyscy martwi, Andriuszka ty mój. Co do jednego. A nie, ja jeszcze żyję. Krwotoki jakieś z nosa, uszu... jednemu oczy wysadziło. Czujesz?! – Zachciało mu się walnąć pięścią o stół. – U ciebie też wszyscy martwi?

– Tak – odparł niewidoczny rozmówca. – Tylko ja zostałem, sam jak palec.

– To jak sądzisz, dlaczego żyjemy?

– Dlaczego ja, to wiem na pewno. Kiedy nadeszła Fala, byłem akurat w magazynie artefaktów. No tych, co z Sektora przywożą. A tam nie tylko ołowiane ściany, ale całe pomieszczenie jest wyłożone tym materiałem, co ekrany z niego są zrobione. Gdyby nie to, to byśmy nie gadali. A tak straciłem przytomność, ale żyję.

– No i u mnie podobnie. Rzygać się zachciało, krew z nosa poszła... Tylko że ja w żadnym magazynie nie siedziałem, bo miałem wartę na korytarzu. Korytarz dzielący, wiesz?

– Wiem. Hm, dziwne... – Andrzej zamilkł na chwilę. – No dobra, widzę tylko jedno wytłumaczenie: jesteś niesensytywny.

– Że co? Słuchaj, za krótko się znamy, żebyś mi tutaj...

– Niewrażliwy, w znaczeniu naukowym. My to tak nazywamy roboczo, chociaż termin jest dyskusyjny. Rozumiesz, na jakieś osiem–dziesięć tysięcy ludzi trafia się statystycznie jeden, który jest odporny albo mało podatny na Fale. No i ty musisz tak mieć.

– Czyli co, mam jakiś defekt?

– Raczej farta.

– Aha, czyli dobrze. Tylko mało tego farta, skoro siedzę tu jak chomik w klatce i nie mogę wyjść.

– Jak to?

– Ano, tak to. Przedśionek między twoją a moją częścią odcięło kurtyną.

– Ach, widziałem. Ze swojej strony drzwi odblokowałem, a dalej faktycznie ściana. A dołem?

– Drzwi do hangaru też zamknięte. A dach zablokowany, śmigło leży.

– Śmigło? – zdziwił się Andrzej.

Garsteczka dopiero teraz zorientował się, że poza obcym akcentem jego rozmówca ma chyba jakieś problemy z mówieniem. Jakby język mu się plątał. Może nie doszedł jeszcze do siebie po przejściu Fali?

– Śmigłowiec, no... konwertoplan – wyjaśnił. – Behemot generalski, może i sam generał w środku leży, zgnieciony jak naleśnik. Spadł prosto na schody, klatkę od góry zmiażdżył. Zamiast wyjścia na górę dziura, a w tej dziurze śmigłowiec. Nie da się przejść.

– Czyli generał Cywik nie żyje... A to wiadomość! – Rozmówca zamilkł na dłuższą chwilę. – Dobra, przyjąłem do wiadomości. Słuchaj, ale od waszej strony jeszcze się da na galerię strzelecką wyjść.

– No, super, co nie? I co, na główkę potem skoczyć? Prosto pod „świry”?

– Jakie... ach, karabiny. No tak, to faktycznie nie masz jak wyjść. Nawet jeśli zejdziesz do hangaru, to do mnie i tak przejścia nie ma, bo jedyna droga to przedśionek. Niedobrze, niedobrze... Bardzo niedobrze.

– Jakoś nie będę się kłócił – burknął Garsteczka. – Ale chociaż na duszy lżej, jak jest do kogo gębę otworzyć. Te, laborant! Ale ty możesz wyjść?

– Nie jestem laborantem – poprawił go Andrzej z godnością. – Jestem inżynierem, doktorem mechatroniki i pomocnikiem profesora Artura Kaufmanna. Owszem, wyjść mogę. Ale nie o tym mowa, a poza tym nie przerywaj. Nakreślę ci sytuację tak, jak ja ją widzę. Gotów jesteś posłuchać?

– Tak.

– No więc, nasza radiostacja nie działa, ale znalazłem w jednym pomieszczeniu odbiornik. Starość, prymitywny, ale chodzi. Wytrzymał przeciążenie i coś niecoś łapie. No i okazuje się, że ta Fala była naprawdę potężna. Jutro spróbuję odpalić część sprzętu w laboratorium, może wykopię ostatnie odczyty, ale już teraz z komunikatów jest jasne, że ostatnia Fala była kilkukrotnie mocniejsza od jakiegokolwiek poprzedniej. Jeśli do czegoś ją można porównać, to tylko do pierwszej Superfali, po której pojawił się Sektor. Dlatego wszyscy poza nami w Kompleksie zginęli. Rozumiesz?

– No a co w Sektorze? Wszyscy, którzy byli bliżej epicentrum...

– Tam to inaczej działa, Fala uderza mocniej bliżej Kordonu. Poza tym część ludzi i zwierząt mogła przeżyć, bo ci, co siedzą tam dłużej, poniekąd się do Fal przyzwyczajają, adaptują. Ale reszta... Krótko mówiąc, Paszka, przez ekrany ochronne Kordonu przeszła ta Fala jak nóż przez masło.

– Chcesz powiedzieć, że poszła...

– Że poszła dalej. Dużo dalej. W promieniu kilkunastu albo i kilkudziesięciu kilometrów od Kordonu mamy piekło na Ziemi. Wyobraź to sobie: padła cała sieć elektryczna, zdechł Internet, popaliły się podstacje, w samochodach zwęgliło układy zapłonu. Setki, tysiące ludzi z atakami serca, zawałami, krwotokami i zaburzeniami psychicznymi...

– O kurde. To co słyszałeś w radio? – spytał cicho Garsteczka.

– Kakofonię. Pełny obłęd. Wołania o pomoc, chaos rozmów, krzyki, śmiechy, modlitwę, szum... I to dziwny taki szum, na niektórych częstotliwościach jakby ktoś coś szeptał. Paszka,

a morał z tego taki... Niefajny morał, ostrzegam. Jestem więcej niż pewien, że nie mamy co czekać na pomoc w najbliższym czasie.

– To znaczy... jak bardzo najbliższym?

– Kilka dni. Kilkanaście. Może parę tygodni. Tam jest teraz kompletny burdel, o nas nikt nawet nie pamięta, są ważniejsze sprawy. Potem się stopniowo wszystko utrzęsie, jakoś nad tym zapanują, ktoś sobie przypomni o Kompleksie, wyślą najpierw zwiad, dopiero potem ratowników. Ale teraz... Teraz jesteśmy zdani tylko na siebie. Dlatego też...

– Czekaj, chwila!

Rozmówca Garsteczki umilkł, a on sam wstał, ze zgrzytem odsunął fotel.

Odszedł na bok, położył się na podłodze i zaczął robić pompki. Szybko, mocno, z głębokimi wdechami i wydechami, nie zwracając uwagi na łomoczące w piersi serce. Musiał coś zrobić, żeby zrzucić napięcie, jakie nagle ścisnęło mu gardło w trakcie rozmowy. Zrobił pół setki głębokich w jednej serii, potem wyprostował się, dysząc ciężko. Rozpiął bluzę munduru, ściągnął pasek.

– Garsteczka – rzucił w przestrzeń.

– Słucham? – zapytał ostrożnie jego rozmówca. – Wybacz, ale czego garsteczka? Pasza... Ja nie chcę być wścibski, ale co ty tam robiłeś?

– Pompowałem. Mięśnie ćwiczyłem.

– ...

– Pompki robiłem, ty... Europejczyku ty! Garsteczka, taką mam ksywkę. No, pseudonim. Mało kto mi po imieniu mówi. A ty do mnie „Pasza to, Pasza tamto...”. Pasza to dla mnie jest Mustafa Kemal, albo dla tuczników. Garsteczka jestem.

– Hm, hm... No dobrze. To ja w takim razie jestem Chemik.

– Chemik? A dlaczego?

– Ano, jeszcze na studiach się tak utarło. Lubiłem sobie pokombinować z próbkami i retortami, w wolnym czasie

gotowało się takie rzeczy, że... No, nieważne. Zawsze chemię lubiłem, mimo że w końcu poszedłem w technikę. I jakoś tak wyszło, że zamiast odczynników bawię się elektroniką.

– Chemik – powtórzył Garsteczka. – No i huk ci w zbuk, panie doktorze, będziesz Chemik. Słuchaj, ale ty możesz wyleźć na dach i zrzucić mi linę. Linę, drabinkę, cokolwiek, żeby do galeryjki sięgnęło. Tam jest kilka metrów, coś znajdziesz.

Garsteczka zatarł ręce, już zadowolony z własnego pomysłu.

– Na górze dowiążesz do anteny, byle nisko, przy betonie! I ja raz-dwa będę na górze, nawet na samych rękach! I dalej już razem pokombinujemy, panie Polak, co i jak ma być. Dawaj, poszukaj, byle tylko nie była rozciągliwa, bo wtedy...

– Poczekaj. Nie znasz całości okoliczności. Nie do końca.

– A co jeszcze niby? No mów!

– Nogę mam złamaną.

– Że kurwa co?! – Garsteczka jęknął i złapał się za głowę. – Jakim cudem? Kiedy?!

– Jak przyszła Fala, akurat na drabince. Niewysokiej takiej, na kółkach, jak mają w bibliotekach...

– U mnie w podstawówce nie było biblioteki.

– Nieważne. Na filmie mogłeś widzieć. No i jak pierdzielnęło, to spadłem. Noga wpadła mi między szczeble i... witaj smutku, żegnaj goleniu. Jak się ocknąłem, to bolało tak, że... Nie wiem sam, jak do ambulatorium się dowlokłem. Wstrzyknąłem sobie środek przeciwbólowy, kość jakimś cudem ustawiłem, założyłem łubki, chociaż doktor ze mnie lepszy niż lekarz. Znalazłem sobie laskę i tak kuśtykam.

– O kurde.

– Ano. Już mi przeciwbólowy przestaje działać, z tobą gadam, a przed oczami świat płynie. I dlatego... Ty mnie dobrze zrozum, ja nie chcę, żebyś się nade mną użalał, ani się nie próbuję usprawiedliwić. Tylko że teraz to ja siedzę z trudem, a najchętniej bym się położył, oczy zamknął i pił rosółek przez

rukę. Na dach dam radę wyjść, owszem...

– No, no!

– ... ale najwcześniej za kilka dni. Ponadto tam są ekrany. Górą można, ale po drabince, a ja ledwo daję radę stanąć w pionie.

– Och, cholera jasna... – jęknął znów Garsteczka. – A ja się zastanawiam, co ty taki słaby z głosu jesteś... Chemik, to ty faktycznie się połóż. Serio mówię, oszczędzaj siły. Nałykaj się prochów, przykryj kocem i przekimaj, żeby dojść do siebie. Ja się tutaj, w gabinecie, też przyłożę, tylko sztywniaka wyciągnę. A jutro i tak będę w zasięgu głosu, daleko nie odejdę. Jak się poczujesz lepiej, albo gorzej, to od razu mów.

Z głośnika rozległo się ciche westchnienie. Potem długa pauza, w końcu Chemik powiedział:

– No pewnie, sen się przyda. Tobie też. Byle nie za długo, bo... słuchaj, boję się, że mamy ograniczony czas. Może nie być kiedy odpocząć.

– A to czemu?

– Ekspedycja profesora Kaufmanna.

Garsteczka poczuł ucisk w dołku. Co Chemik mógł wiedzieć o ekspedycji? Na ile był świadom sprawek majora Titomira, czy wiedział o nielegalnym handlu artefaktami? Nie, nie mógł nic wiedzieć! Chyba... Ale przecież major nie dopuściłby do podziału zysków jakiegoś jajogłowego... A może?

Nie można było przecież zapytać wprost: „Chemik, ziom, a tobie też szefostwo odpalało działkę z handlu lewym towarem? Bo rozumiesz, tam w tej ciuchci, w której teraz leżą twoi martwi kumple, leży też walizka z kasą. I ja ją chętnie przygarnę, żeby się dobro nie zmarnowało”.

Garsteczka milczał, bojąc się nawet oddychać. Chemik zmienił temat:

– No dobra, ale rzeczywiście warto się przespać. Teraz ledwo kojarzę... Jutro się zgadamy i będziemy myśleć, co dalej robić.



Rozdział 3

Otworzył oczy i usiadł na kanapie. Rozejrzał się po gabinecie, nie do końca kojarząc, gdzie jest i co się stało. Ze zdziwieniem popatrzył na butelkę whisky, z którą spał jak z ulubioną przytulanką... Oho, ho, czyżby zasnął w trakcie? Dobrze, że chociaż zakręcił wczoraj.

Wczoraj? Jakie niby wczoraj? A może dziś? Godzinę, albo kwadrans temu?

Dobra, pora działać.

– Ej, Chemik! – zawołał Garsteczka.

Wstał z kanapy, odstawiając flaszkę na podłogę. Wokół ta sama martwa, dzwoniąca w uszach cisza, to samo przygaszone światło lamp... Popatrzył na odebrany martwemu Schulzowi mechaniczny, szwajcarski zegarek: siódma rano.

Podkręcił głośność interkomu, naciągnął wczorajsze skarpety i zaczął wiązać buty. Zawołał jeszcze raz:

– Ejże, panie doktorze! Pobudka! Chemik, do roboty!

Tamten znów nie odpowiedział. Spał jeszcze czy coś się stało?

Ale do czego on w ogóle Garsteczce potrzebny? Przecież ze złamaną nogą nie na wiele się przyda, w niczym nie pomoże. On chce przedrzeć się do Sektora po pieniądze, po co mu ten naukowiec inwalida? Ba, mało tego! On się wygada, a tamten potem gotów podkablować...

Dobra, nieważne. Skoro we łbie się nieco przejaśniło, to trzeba

znaleźć sposób, żeby zejść z piętra na dół.

Po raz kolejny przekopał magazynek gospodarczy – i zrugął się w niewybrednych słowach. No dobrze, niech będzie: wczoraj był przymulony po Fali, myśli potykały się o własne nogi, on ledwo na oczy patrzył, a zamiast normalnego światła wszędzie była ta cholerna czerwona poświata... Ale mógł, no mógł przecież zauważyć linę!

Kulturalnie zrefowana, wisiała sobie na haku za drzwiami i czekała. Garsteczka złapał ją, nie dowierzając swemu szczęściu. No! Problem prawie że już rozwiązany! Wystarczy się tylko przespać, a od razu wszystko się lepiej układa.

Rozwinął linę, ułożył na korytarzu i co metr zawiązał solidny supeł. Zwinął. Wziął z magazynku motek drutu i cążki, ponownie zapiął kurtkę i poszedł na galeryjkę.

Ledwo wstało słońce, pod nim wciąż wisiała szarosiwa mgiełka, rozmywająca kontury pagórków i zarośli. Widać było dwie równoległe nitki szyn, unoszących nanizane podkłady kolejowe w siną dal.

Garsteczka przechylił się przez barierkę, oceniając odległość do ziemi, po czym fachowo przywiązał linę do zaczepu siatki maskującej na wieżycze centralnego wukaemu. Węzeł dodatkowo okręcił drutem, po czym zrzucił zwój na dół. Popatrzył wyczekująco na „świra”, usiadł tyłem na barierce. Pomachał na próbę ręką, czy aby nie trafia w pole działania czujnika, i zaczął powoli schodzić.

Do ziemi zabrakło mu półtora metra linki. Zeskoczył prawie przy samych schodach, zachwiał się, ale utrzymał równowagę. Ostrożnie, żeby nie zobaczyły go „oczy” karabinów, popatrzył na potężną ścianę budowli, z której nareszcie dał radę uciec. Dobra, był wolny. Pierwszy etap z głowy, teraz najważniejsze: dotrzeć do pieniędzy w pociągu. I potem zniknąć.

Po lewej i prawej ciągnęła się szara, ślepa ściana Kordonu, ustawiona z gigantycznych monolitów betonu. Mur zaginał się

minimalnie do wewnątrz, a potem nikt nie w oddali, a pośrodku ściany frontowej Kompleksu lśniły stalowe wrota, spod których wybiegały tory kolejowe. Pomiędzy podkładami rosła sobie niewysoka trawka, drzew w okolicy nie było – roślinność przed Kompleksem regularnie wypalano chemicznie, żeby nikt ani nic nie podeszło niezauważone do wrót. Poza tym wcześniej czujniki „świrów”, z uporem godnym lepszej sprawy, zmuszały karabiny do strzelania w kierunku kołyszących się na wietrze gałęzi.

Raz jeszcze rzuciwszy okiem na galeryjkę z wukaemami, Garsteczka podszedł do wrót. Przesunął dłonią po gładkim, zimnym metalu, potem skierował się w bok, gdzie w niedużej niszy widniały drzwi.

Posiłował się chwilę z okrągłą klamką, w końcu zrezygnował i oparł o drzwi plecami. No i co dalej? No co?

Pójść już teraz po torach, błysnęła mu w głowie pierwsza myśl. Do hangaru inaczej się nie dostanie, żadnych drzwi, wejść, otworów, żadnych, jego mać, furteczek dla kotów ani psów! Tylko głucha, ślepa ściana z żelbetu.

A przecież w warsztacie stoi drezyna. Prymitywna, zwykła, benzynowa. Mogła przeżyć Falę? Mogła, jak radio Chemika. I pewnie przeżyła, więc działa.

Garsteczka był właśnie w Sektorze pierwszy raz w życiu. Nawet nie brali go do ochrony naukowców, kiedy ci wsiadali do pociągu. O mieszkających po Tamtej Stronie włóczęgach tylko słyszał. Nawet artefaktu nigdy nie miał w rękach – woził je tylko w pojemnikach do Lublina. Bez prowiantu, bez sprzętu, bez wiedzy do Stacji o własnych siłach nie dojdzie.

Czyli wychodziło, że to tylko próba generalna. Teraz musiał wrócić na górę, przygotować się, zebrać wyposażenie i dopiero potem ruszać w Sektor.

Cisza aż świdrowała w uszach. Pod nogami grząska ziemia i żółta, zgniła trawa. Nad głową – szare niebo. Za plecami ogromna, aż po samo niebo ściana. Przed nim – ogromna, aż po

samo niebo pustka. Garsteczka czuł się pośród tego wszystkiego jak mrówka stojąca przy szafie.

Nagle zauważył, że mgła zgęstniała. Światło słońca przygasło, zrobiło się chłodniej, ponuro. I było jeszcze coś; albo mu się wydawało, albo faktycznie po torach, na granicy widoczności, przemknął cień? Tylko mignął i zniknął, a teraz znów się pojawił, nieco bardziej z boku...

Garsteczka sięgnął do kabury. Tak, tam ktoś był. Człowiek.

Idący we mgle nieznajomy miał na sobie coś w rodzaju płaszcza z wysokim kołnierzem, wsunięte w wysokie buty szarawary i kapelusz o szerokim rondzie. Garsteczka nie widział zbyt wyraźnie, ale miał wrażenie, że spod kapelusza zwisają długie włosy, a w ręku obcego dostrzega broń. Dolną połowę twarzy zasłaniała jakaś szmata, czy może chusta...

Obcy szedł dużymi krokami, od których jego szarawary aż falowały. Nie zwalniając, odwrócił się do Garsteczki, błysnęły przygaszonym brązem oczy.

Garsteczka nagle poczuł, że nie jest w swojej głowie sam. Dziesiątki głosów zaszepotały w nieznanych językach, coś ścisnęło go za gardło. Spojrzenie obcego było... takie spojrzenie potrafiło zabić, i to zupełnie dosłownie. W sercu nagle zaświszczał zimny, martwy wiatr.

Tak mógł patrzeć trup. I to nie byle jaki trup, a jakiś dawno umarły władca, zombi-nekromanta albo inny licznik z gry komputerowej. Garsteczka wstrzymał oddech i boczkiem, boczkiem, drobnym krokiem odsunął się pod ścianę, macając ręką w poszukiwaniu liny. Bogu dzięki, że nie ruszył wzdłuż torów. Wlaziłby we mgłę, przypadkiem natknął się na tamtego i... w najlepszym razie mocno się wystraszył.

Szepty przybrały na sile, jak gdyby jego głowa zamieniła się we wzmacniacz na antenie łapiącej jakieś losowe sygnały. Obce komunikaty, komunikaty od obcych... Tfu!

Garsteczka poczuł, że chyba leci mu ślina z ust, wytarł je

odruchowo ręką – krew. Nie z ust, a z nosa. Sylwetka we mgle stanęła i popatrzyła wprost na niego. A może po prostu w jego stronę? Czy ten nekro-obcy go w ogóle widział?

Potknął się o szynę, po czym, nie mogąc już dłużej utrzymać na wodzy nerwów, rzucił się biegiem. Złapał za koniec liny, bujnął na niej jak mała i zaczął pracować rękami, wspinając się w górę. Obejrzał się...

Obcy patrzył na niego.

Garsteczka w końcu sięgnął pierwszego węzła nogami, zaczął rytmicznie się podciągać i odpychać: raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa...! Już widać galerię, zaraz nad głową długa lufa „świra”, zdająca mu się niemalże bliską i tak dobrze znaną. Witaj, brachu, cieszę się, że jesteś, ty stary pojebańcu!

Garsteczka podciągnął się ostatni raz na rękach i przetoczył przez barierkę, chowając na galerii. Musiał jednak za daleko machnąć nogami i wejść w pole widzenia czujnika, bo nagle środkowy wukaem zabuczał, drgnął i poruszył lufą. Garsteczka leżał już na posadzce, nakrywając głowę rękami. Serce biło jak szalone, płuca walczyły o większy haust powietrza. Przed oczami pływały jasne i ciemne plamy, w uszach powoli cichły szepty i śmiechy. Podniósł się w końcu na kolana.

W życiu się tak nie bał. Nawet wtedy, gdy ich kuter wyleciał w powietrze na pływającej minie, a oni musieli płynąć w kierunku trzciny, zasypywani ogniem z brzegu. Woda aż się gotowała od kul, a on płynął pod powierzchnią i widział, jak na wyciągnięcie ręki od niego w ciemnej, kłębiącej się chmurze krwi tonie ciało kapitana...

Wtedy się bał; oczywiście, że się bał! Nie boją się tylko ci, co już zginęli, ale nie było mowy o tak obłąkanej panice, jak ta wywołana przez postać z mgły. Pies by to trącał, ten cały Sektor i jego halucynacje! Garsteczka wyjął pistolet i wychynął zza barierki, żeby posłać przybłędzie kilka kulek.

Tylko że przybłędy już nie było. Mgły też nie było. To znaczy,

wisiała sobie mgiełka jak i wcześniej, ale daleko, het, od ściany. W pobliżu samego Kompleksu zupełnie nic, wszystko widać jak na dłoni.

Garsteczce zachciało się nie tylko splunąć z nienawiścią z galerii. Gdyby mógł, to wlaźby na barierkę, rozsunał rozporek i posłał w dół strugę junaczej pogardy, zaznaczając swą dominację i oznaczając terytorium. Garsteczka – to brzmi dumnie! Człowiek, facet, samiec! Nie ma się czego bać!

Tak by z pewnością zrobił. Gdyby się za bardzo nie bał.

Poza tym miał do roboty co innego. Schował broń do kabury i ruszył do wyjścia. W pół drogi zawrócił, podciągnął i zrefował linkę, przywiesił na drucie. Niby nic, głupota, jak ta paniczna ucieczka. Ale po co ryzykować? Sektor wie, co za cholerstwo może po takiej lince wpełznąć na górę.

Garsteczka doszedł do wniosku, że jego nowy znajomy by taką zapobiegliwość pochwalił.

No właśnie. Co u Chemika?



– Wróciłeś? No wreszcie!

Głos doktora brzmiał cokolwiek nerwowo. Garsteczka, prawdę powiedziawszy, sam był lekko roztrzęsiony. W takiej sytuacji zawsze chciało mu się żreć – przy jedzeniu łatwiej było się pogodzić z brutalną rzeczywistością – więc zanim odpowiedział, postawił na stole tacę z wyniesionym z kuchni jedzeniem. Rozsiadł się w fotelu, posmarował pajdę chleba smalcem, nałożył ogórka i dopiero wtedy się odezwał:

– Aha, już jestem. Na dole byłem, rozumiesz. Po linie zszedłem.

– Doskonale! Co na dole?

– Zamknięte. Brama, drzwi... No nie ma mowy, nie da się. Albo klucz, albo nie wiem co by trzeba mieć. Sama stal, niczym nie

podważysz, a zamek też chyba nie pod klucz, a na kartę. Gabinet Schulza już do góry nogami wywróciłem, szafy przejrzałem. Tu nie ma nic kluczopodobnego.

Rozprawiwszy się z kanapką, popił kwasem chlebowym. Urwał jeszcze kawałek chleba, umoczył w otwartej konserwie rybnej, kilka sardynek ułożył na górze i zaczął żuć. Ech, żeby było czym takie rybki zapić...

– Jakież problemy? – nie odpuszczał Chemik.

– Na zejściu żadnych. Ale tam, na dole...

– Mógłbyś z łaski swojej nie ciamkać?

Ożeż ty! Garsteczka jeszcze nocą zrozumiał, że na partnera trafił mu się wykształciuch. Z założenia wszelkich takich inteligencików nie cierpiał i aktywnie nimi pogardzał. Jeśli facetowi z rozdzielnika nie dostało się wrodzonej siły i jajec, no to trudno, niech chociaż siedzi i myśli.

– Dobrze, nie ciamkam. – Dojadł kanapkę, wytarł ręce o spód stołu i odchylił się w fotelu.

– Więc co wydarzyło się na dole?

– Ano, ten... Jak zląłem na dół, to raptem parę minut się pokręciłem, jak nagle mgła z Sektora pod samą ścianę podłazła. O tak, o! Jak na filmie. I jakiś typ się w niej pojawił. Nie wiem kto, nie było widać. Dziwny jakiś taki, wysoki, w płaszczu i kapeluszu. Chyba strzelbę miał, albo coś podobnego. Staął, rozumiesz, i patrzy się tylko. A ja słyszę w głowie, jakby mi ktoś do uszu szeptał. Już raz tak miałem, jak się obudziłem. I strach taki mnie zdjął... Jak to się nazywa, czekaj, doktor mi mówił, jak w lazarecie po postrzale leżałem... Irracjonalny?

– No, nawet jest takie słowo. Co potem?

– Z powrotem wyrwałem, a co! Wyglądam potem, już z góry, a tu ani mgły, ani tego gościa. Albo sobie poszedł, albo takiego haluna miałem. Podobno Sektor potrafi tak...

– Owszem – zgodził się Chemik. – Bywa, że się tak w Sektorze przydarzy: ludzie znikają i pojawiają się gdzie indziej, domy albo

i całe fragmenty mapy się przemieszczają. Gubią... albo i znajdują. A w nich ciała.

– Co ciała?

– Ciała w tych domach. Nie wiadomo skąd, nie wiadomo czyje. Ludzie, ale dziwnie ubrani. Nierzadko mocno, hm, rozczłonkowani. Pamiętasz, jak mówiłem o radiodbiorniku? No więc mam go teraz ze sobą, przykleiłem na taśmę do laski. Od czasu do czasu włączę i pokręcę, przecież to jedyny łącznik ze światem. No i wczoraj słyszałem takie dziwne zakłócenia, mówiłem ci, a dziś już nic, czysto. I teraz, całkiem niedawno, znów się pojawiły. Kilka minut, a potem cisza.

– Chcesz powiedzieć...

– Tak.

– Nie. Nie! Że niby te twoje zakłócenia w głowie słyszałem?

– Zakłócenia to tak naprawdę echo anomalnego promieniowania z Polesia – oświadczył Chemik twardo. – Więc to, że słyszałeś je w głowie, jest... dziwne. Ja o niczym takim... Nieważne. Czyli do hangaru nie możesz wejść?

– Na razie nie, nie wiem jak. Pomyśleć trzeba.

Garsteczka szybko wciągnął jeszcze podwójną kanapkę ze smalcem, ogórkami i sardynkami, popił resztką kwasu, dobił mineralną. Gdy dosuszał butelkę, Chemik zapytał:

– A sprawdziłeś wszystkie pomieszczenia, do których możesz się dostać?

– Hę?

– Musisz poszukać czegoś, co pomoże ci wejść do waszej zbrojowni i warsztatu. Która to... oho, ósma już. Garsteczka, bracie, musimy się pospieszyć!

– Ej, ej. Dlaczego, jak to? – zapytał Garsteczka. – A dokąd niby, bracie Chemiku? Czekaj, ty mi czegoś nie mówisz...

– Ano, jest taka jedna rzecz. – Jego rozmówca westchnął ciężko, a potem jęknął.

– Hejże, zaraz! Co tam u ciebie się dzieje? – zaniepokoił się

Garsteczka. – Te, licencjat, odpowiadaj! Co jest?

– Złapało mnie... – odezwał się Chemik słabym głosem. – Noga, w sensie, jakoś nagle tak... Czeka, wezmę przeciwbólowy.

– Leżeć powinieneś.

– Przecież leżę. Górę materaców sobie przy stole ułożyłem.

– W szpitalu leżeć. I żeby cycata pielęgniarka cię rosółkiem karmiła po łyżeczce.

Dało się słyszeć szuranie i niegłośne podzwanianie ampulek. Podczas gdy Chemik zajmował się sobą, Garsteczka odniósł tacę do kuchni i odruchowo wstawił do zmywarki. Wracając, zastanawiał się, jak by tu otworzyć drzwi do zbrojowni? Chemik czegoś tam chciał, ale on miał swój własny cel: walizkę pełną pieniędzy i malowane lazurem marzenie, które dzięki nim mogło stać się rzeczywistością.

Ba, nawet chaos wokół Kordonu był mu na rękę! Dobierze się do skrytki w pociągu i po cichutku myknie przez nieobsadzone umocnienia. Zanim się wszystko uspokoi, zanim to ogarną... już daleko będzie. A potem tylko słońce i czysta woda.

Tylko o czym tam Chemik wczoraj mówił, zanim się położyli spać? Coś o ekspedycji Kaufmanna, o jakimś problemie. Lepiej nie pytać otwarcie, żeby nie wywołać podejrzeń. Niech naukowiec sam się wygada.

– Okej, u mnie już... – odezwał się Chemik – w porządku... Jeśli można tak powiedzieć.

Garsteczka znów przysiadł na fotelu, odpowiedział:

– Słuchaj, myślałem tak, co by mogło nam pomóc. I nic nie widzę tutaj, we wschodnim skrzydle... No chyba że... – Urwał.

– Co?

– A nic, to przecież na zamki i drzwi nie pomoże.

– No mówże.

– Szkatułka – wyjaśnił Garsteczka. – Pudełko takie, nie? Skrzynka metalowa. Nie wiem, jak inaczej opisać. Leży tutaj, w sejfie u Schulza.

– Skrzynka... – powtórzył Chemik, słyszalnie zawiedziony.

– Przecież mówię, no, nie pomoże. Chociaż dziwna ta skrzynka, w sensie z dziwnego metalu. Perłowa jakby, jak lakier na samochodzie, z takimi... żyłkami zielonkawymi. Skojarzyło mi się, bo ta kurtyna w przedsionku też taka jest. No i tak...

– To przecież tytanit.

– Że co?

– Tytanit! Oj, wiesz co, Garsteczka, żeby takich rzeczy... Materiał, którym powleczone są ekrany ochronne na Kordonie, płyta w bunkrze, ściany w naszym magazynie artefaktów.

– No i co?

– I to, że weź tę szkatułkę tu przynieś. Okaze się.

Garsteczka posłusznie poszedł po pudełko, postawił na biurku pomiędzy sobą a głośnikiem interkomu. Zsunął płaskie wieczko.

– Zamknięta pewnie? – zapytał Chemik.

– E tam, już otworzyłem.

Pudełeczko było wyłożone gęstą gąbką, uformowaną w dwa zagłębienia. W jednym z nich leżała przezroczysta strzykawka z plastikowym stożkiem zamiast igły. W drugim – coś dziwnego, jakby kropla żywicy wielkości pół paznokcia, z której sterczały krótkie, cienkie igiełki.

– Opisz mi, co tam jest.

– Zaraz, czekaj. Dziwne to jest... Cholera, o rany!

Kropla drgnęła ledwo zauważalnie, jak gdyby coś przelewało się w jej wnętrzu. Taka ameba z dwoma żądlami skierowanymi w jedną stronę. Nie były może długie, raptem centymetr, pomiędzy nimi ze trzy milimetry odstępu... Powodowany niezdrową ciekawością Garsteczka wyciągnął palec, ale nie zaryzykował dotknięcia dziwnego przedmiotu.

Zauważył, że wokół ameby rozlewała się ciemna plama, niczym kleks atramentu rozplływający się w wodzie... a może nie? Była, a zarazem jej nie było. W głowie nienawykłej do myślenia z trudem kręciły się trybiki: to promieniowanie. Anomalne

promieniowanie, które on tak po prostu widzi. Ba, nie tylko widzi. On je czuje i do tego...

Nagle Garsteczka uświadomił sobie, że naprawdę *czuje*. Jak kawałek samego siebie. I może nim poruszyć. Nie, nie poruszyć – wpłynąć na nie. Myśl była dziwna: jak wpłynąć, czym, po co? Sam nie wiedział, ale czuł, że może. I nie tak, że dźgnąć paluchem, a jakoś inaczej...

Co za bzdury mu do łba przychodzą? Potarł czoło i powiedział:

– No więc, plastikowa strzykawka tu leży. I jeszcze takie małe czarne pomarszczone coś z dwiema igiełkami. Krótkimi. Ja osobiście pojęcia nie mam, co to jest. Ty na pewno wiesz.

Chemik milczał. Garsteczka odczekał chwilę i odezwał się znowu:

– To jak będzie? Oświeć mnie, cóż to za złowieszcze cholerstwo przypadkiem znalazłem.

Głośnik odezwał się cicho:

– Poczekaj.

– Co jest? – zaniepokoił się.

– Milcz.

– No co, co się dzieje? – wyszeptał Garsteczka. W głosie Chemika dało się wyczuć strach.

– Ktoś tu idzie. Korytarzem.

– Ale jak to? Tam przecież nikogo...

– Pistolet, gdzie pistolet? Przecież brałem... Cholera! – wyrzucił z siebie Chemik jednym tchem. Głośnik zatrzeszczał, potem coś puknęło. – Jest! Co za... O, niech to! Skąd oni się tu...

Dał się słyszeć niski, głuchy dźwięk. Nie warczenie, bo na pewno nie pochodził z gardła zwierzęcia, ale i nie krzyk człowieka. Coś zupełnie innego. Potem padły strzały, trzy pod rząd, potem chwila przerwy i jeszcze jeden. Okrzyk, szelest, kroki... stukanie kostura o podłogę? Uderzenie, znów dwa strzały, ale już cichsze, jak gdyby ktoś dawał ognia za uchylonymi drzwiami.

Głośno trzasnęły drzwi i zapadła cisza. Garsteczka zastygł w swoim fotelu, wczepiony palcami w podłokietniki, gapiąc się w zdumieniu na czarną kratkę głośnika.

– Chemik! – zawołał półgłosem. – Chemik, ej no! Chemik!
Odezwij się!

Cisza.



Garsteczka powyciągał magazynki ze wszystkich pistoletów i upchnął po kieszeniach. Wydzielił sobie dwie jednostki broni, które wyczyścił i umieścił w kaburach. Przytroczył do pasa jeszcze nóż i pojemną torbę uniwersalną.

Sprawdził prowadzące na galerię strzelecką drzwiczki, zamknął je od środka. Poszarpał profilaktycznie za prowadzące do warsztatów zamknięte drzwi, upewnił, że nie da się przez nie przejść.

Wszedł do gabinetu, posłuchał szumiącej w interkomie ciszy. Raz jeszcze zawołał Chemika, ale odpowiedzi nie było. Miał już wyjść z powrotem na korytarz, ale wtedy z głośnika rozległ się jakiś odgłos. Zupełnie cichy, niewyraźny, ale wystarczający, żeby zamarł w pół kroku.

Nastawił uszu. Po pomieszczeniu, z którego rozmawiał z nim Chemik, ktoś chodził. Ktoś albo coś. Niby słychać było oddech, ale ani ludzie, ani zwierzęta tak nie sapią: wibrujące, gardłowe chrypienie z ledwo słyszalnym poświstem. Krótkim, urywanym, na wdechu i wydechu.

Kiedy to coś zbliżyło się do mikrofonu, Garsteczka usłyszał też szuranie, jakby powłóczenie nogami, następnie ciche puknięcie, skrzyp... Jakby ktoś przesuwiał meble albo opierał się o nie, idąc. Znów skrzypnięcie i stuk, a potem cisza.

Garsteczka wyprostował się, tyłem odszedł od biurka. Co miał

robić? Logiczne: wstrzymać oddech i zachowywać się jak najciszej, żeby nieznanemu wróg – a „nieznany” i „wróg” były dla Garsteczki niemalże synonimami – nie dowiedział się, że ktoś jest we wschodnim skrzydle. Czy może brać nogi za pas i uciekać w Sektor? No tak, pora się zbierać! Tylko co zabrać? Plecak, zapasy, sprzęt, broń, amunicja... Dużo amunicji. A najlepiej karabin.

Pora dostać się do zbrojowni.

Narzędzia w większości trzymano w warsztacie przy hangarze, ale szczęśliwie znalazł kuwetę, w której na samym dnie leżał zardzewiały przecinak i spory młotek. Do drzwi na dole nie było co z nimi podchodzić, to jak ze szczoteczką do zębów na czołg, ale na zacięty zamek magnetyczny w zbrojowni powinny być jak znalazł.

Przyklęknął, wsunął przecinak w szczelinę zamka pod stalową klamką i zaczął z całej siły uderzać młotem: miarowo, z zamachu, jak jego dziadek kował w swojej kuźni. Potem coraz szybciej, ze złością, to zwalniając, to znów nabierając właściwego rytmu. Bach! Bach! Echo niosło się po korytarzu, rezonując w całym budynku.

Ramię zaczęło boleć, więc Garsteczka wstał i przespacerował się w tę i we w tę, zrobił kilka wymachów, odczekał. Wrócił do drzwi i zaczął znów pracować.

Po niecałym kwadransie zamek trzasnął i jęknął. Jeszcze raz, drugi! Szarpnął na siebie drzwi. Tak! Udało się! To teraz jeszcze...

Wedle wszelkich zasad sztuki drzwi w pomieszczeniach ze sprzętem ścisłego zachowania były zawsze podwójne: zewnętrzne, dostępne, oraz wewnętrzne, w formie kraty, zasuwanej na czas poboru sprzętu i inspekcji. Garsteczka już przygotował się duchowo na kolejną batalię z młotkiem i mesłem, a tu okazało się, że krata była odsunięta na bok.

Dlaczego? Losowa awaria automatyki po przejściu Fali? Część drzwi się otworzyła, w przedsionku spadła pancerna kurtyna,

a tu się otworzyło?

Może i tak. Nie miał zamiaru narzekać.

Latarkę miał już przygotowaną przy pasie, więc teraz zapalił ją i poświecił po ciemnym pomieszczeniu...

W rogu stała piramida z dobrego tuzina skrzyń i walizek. Oznaczenia na pięciu wskazywały na kompaktowe karabinki systemu „Wicher”. Garsteczka odruchowo oblizał usta i uśmiechnął się od ucha do ucha, myśląc o składanych kolbach i trzydziestonabojowych magazynkach. Podszedł bliżej, uchylił wieko stojącej na podłodze skrzynki. Ooo, tak! Magazynki, pudełeczka z nabojami, nawet tłumiki! I dodatkowo cztery paczuszki amunicji przeciwpancernej SP-8.

No, no, robiło się niezłe!

Garsteczka otworzył walizkę ze szczytu sterty, przez chwilę patrzył na wciąż pachnący fabryczną nowością karabinek. Potem wyciągnął go z pianki, wsunął magazynek w gniazdo i niemalże pieśczośliwym ruchem odciągnął rączkę zamka. Taak... Szczęknął bezpiecznikiem, ale się rozmyślił: zabezpieczył broń i zarzucił na ramię.

„Gun porn” – tak się z niego śmiał Witia. Coś w tym było, może więcej prawdy, niż sam był gotów się przyznać. Kiedy widział stojącą w regałach broń, to aż zasychało mu w gardle, ręka świerzbiła, żeby złapać za dumnie prężący się, tak bardzo znajomy, obły kształt... W sensie za okładzinę lufy.

Garsteczka do broni, jedzenia i kobiet miał taki sam stosunek: dużo, ostro i szybko, ale bez szczególnych udziwnień.

Na półce stało w drewnianej obejmie dziesięć pistoletów, takich samych jak jego przydziałowy; ponadto pełno osiemnastonabojowych magazynków, kartoników z amunicją... Aż żałował, że ma tylko dwie ręce.

Przejrzał jedną z szaf, wykopał jeszcze parę bojowych noży, kilkanaście par taktycznych rękawiczek, systemy nośne, szelki, ładownice... Wyjrzał na korytarz, niemalże mając nadzieję, że

pojawi się tam jakiś potwór straszliwy, przeżuwający ostatnie kosteczki Chemika, którego nie dane mu było poznać. Ku jego rozczarowaniu, nadal był sam. Westchnął, pokręcił głową i wrócił do przeszukiwania pokoju.

Zaintrygowała go jedna z szaf pancernych o nietypowym kształcie walca. Drzwiczki nie miały ani klamki, ani otworu... Aha, po prostu odsuwały się na bok. Jego oczom ukazała się pojedyncza nisza, w której wisiała na dwóch hakach niezbyt efektowna, matowoczarna strzelba.

Uniósł z powątpiewaniem brwi, patrząc na nieznaną zabawkę. Co to za materiał w ogóle? Ni to plastik, ni kompozyt jakiś marmurkowy. Wszystko gładkie, opływowe, ani jednej linii prostej. Korpus jak odlany, a nie złożony z części. Niby jest pas nośny, a wszystko to jakieś takie... dziwne. Półokrągła kolba płynnie przechodziła w lufę, zresztą owalną w przekroju.

Wyciągnął rękę i zdjął broń z mocowania. Zaskakująco lekka jak na swój rozmiar, nawet przyjemnie się układała w ręku. Pas nietypowy, z bladiorudej miękkiej skórki. I czym to niby strzela? Nie wiadomo nawet, jak to załadować... Wszystko jak odlane z monolitycznego, ciemnego szkła. Czort wie!

Garsteczka wyszedł na korytarz, obracając w rękach przedziwne znalezisko. Wszedł do gabinetu... No tak, tutaj pewnie będzie bezpiecznik, takie małe, wygięte coś, jedyna wystająca część. Przesunął dźwigienkę, a broń zabuczała, zatrzęsała się wyczuwalnie. W niedużych otworkach wzdłuż przewodu lufy zamigotały blade iskiery.

Skierował strzelbę na pancerną szafkę z sejfem, uśmiechnął się szelmowsko i ściągnął ciężki, niewygodny język spustu.

Ogienki nagle zgasły, buczenie umilkło, a z lufy uderzyła struga drżącego powietrza – takiego jak latem unosi się nad rozgrzanym asfaltem. Nie było odrzutu, więc szykujący się już na jego skompensowanie Garsteczka zachwiał się, zrobił niezgrabny krok naprzód.

Szafa, w którą trafiła struga, zaskrzypiała, drzwiczki wgięły się i wpadły do środka, a boczne ścianki wydeły na zewnątrz. Przerażony Garsteczka niemalże upuścił dziwaczną broń.

– Uch ty, dzika mać... – wyszeptał.

– Co się tam stało? – rozległo się z interkomu. Garsteczka aż podskoczył, po raz drugi prawie upuszczając strzelbę.

– Chemik! Żeby cię rozdeło! Żeby cię wgięło jak tę szafę! Żyjesz? Trzeba było mnie ostrzec!

– Że co, że żyję? – zdziwił się Chemik.

– Co tam się u ciebie stało?!

– Nie drzyj się. Zaatakowali mnie.

Ogniki znów zamigotały w lufie, broń zabuczała; Garsteczka przesunął dźwigienkę, ustrojstwo umilkło i zgasło. Podszedł na miękkich nogach do fotela, osunął się na siedzenie, odstawiając strzelbę. Zapytał słabym głosem:

– No więc?

– Gdzieś tu jeszcze są. Zamknąłem się, nie chcę, żeby mnie usłyszeli.

– Jacy znów „oni”? Ja już myślałem, że po tobie! Że znów zostanę sam jak palec! Opowiadaj, mów, co się działo?!

Chemik chyba przysunął się do mikrofonu i szepnął:

– Przemienieni. Sześciu ich jest... było. Wiesz, kim są przemienieni?

– Że niby zombi tak nazywają, tak?

– Żadne zombi. Przemienieni to żywi ludzie. W określonej konfiguracji promieniowanie Sektora prowadzi do wygaszenia aktywności neokorteksu...

Garsteczka uniósł dłoń, przerywając rozmówcy w pół zdania.

– Ty wiesz, co ci teraz powiem?

Chemik umilkł, potem odezwał się ostrożnie:

– Coś bardzo niemilego. Po pierwsze, nie wiesz, co to neokorteks. Po drugie, masz dość.

– Och, pan domyślny. Mów po ludzku, mądrało!

– Garsteczka, intelekt to nie zawada, a podpora w życiu – syknął Chemik. – Słuchaj, robolu jeden. Masz w mózgu trzy obszary. Gadzi mózdzek, najstarszy; nieco nowszy mózg ssaka i najnowsza, cieniutką warstewkę kory mózgowej, czyli neokorteksu. Ta cieniutka warstewka to właśnie ty, rozumiesz? Ty jako osobowość, jako człowiek. Cała reszta, tam, pod spodem, to instynkty i dzicz. Promieniowanie z Sektora wypala ci neokorteks i redukuje do poziomu zwierzęcego. Nie stajesz się zombi, bo żyjesz; żadnych wyjedzonych przez robale oczu i porwanych ubrań.

– Aha, czyli...

– Ja teraz mówię, nie przerywaj. Przemieniony żyje, ale nie jest świadom swojego istnienia, więc się nie myje, wali w gacie i ogólnie śmierdzi. Do tego jeszcze nadnercze wchodzi w stan hiperaktywności, więc są na ciągłej adrenalinie. Silni, szybcy, agresywni, łeb potrafią gołymi rękami ukłócić. Rozumiesz? Życie na ciągłym haju, nonstop stres i walka. Dlatego też szybko się męczą, wycieńczają i zdychają. Ale dopóki żyją, niebezpieczni są jak diabli. I głodni, zeżreć potrafią żywcem. Kanibale, łapiesz? Chociaż, jeśli przemieniony nie jest już człowiekiem, to nie jestem pewien, czy definicja kanibalizmu...

– Dość – przerwał mu Garsteczka ponownie. – Wszystko rozumiem. Prawie wszystko. Tylko co te twoje podmienione zombasy robią w Kompleksie?

– W klatkach siedzieli, w laboratorium. Tamci, z działu biologicznego, ich badali.

– Aha, jasne. Zamki pewnie magnetyczne?

– Jakbyś zgadł. Jak tam zajrzałem wcześniej, to wszyscy przemienieni leżeli w klatkach, jak martwi. Gdyby nie noga, tobym sprawdził dokładniej, a tak popatrzyłem, leżą, to pewnie martwi. Fala musiała ich ogłuszyć, potem doszli do siebie i się rozleźli.

– I co, wszystkich sześciu położyłeś? – spytał Garsteczka

z nieskrywanym szacunkiem.

– Trzech. Pierwszy do mnie wparował, drugiego rąbnąłem na korytarzu, a trzeciego potem dopadłem w wolierze. Jeszcze trzech się gdzieś chowa, łążą pewnie, żarcia szukają. A ja tu się zabarykadowałem z bronią i siedzę jak w bunkrze.

– A ja sobie fajną pukawkę znalazłem – pochwalił się Garsteczka, dotykając palcem dziwnej broni. – Wyobraź sobie, że się dostałem do zbrojowni. Tam i tak porządna broń była, ale znalazłem... cholera wie, co znalazłem. I strzela też nie wiadomo czym. Jakby ciepłym powietrzem. Jak w szafę dałem, to ją zgięło, jak po ketonalu!

– Garsteczka! – jęknął Chemik. – Do nowej broni trzeba się przymierzyć.

– No to się przymierzyłem, o szafę właśnie. Nie ucz ojca dzieci robić, panie uczony. Już na broni się lepiej od ciebie znam.

– Na tej się nie znasz. To jest eemka.

– Wcale nie, natowską emkę bym poznał.

– Eemka, broń elektromagnetyczna. Strzelba pulsacyjna, jeśli wolisz. Działa na artefakcie, tam w środku jest „pustak” załadowany, a wokół niego...

– O ja cię! – Garsteczka aż się odsunął od swojej nowej zabawki. – Ty mi chcesz powiedzieć, że tam w środku jest artefakt? Prawdziwy? Przyniesiony z Sektora?!

– W zasadzie to dwie połówki. Nie potrafimy tego wyjaśnić, ale w środku jest „pustak”, tyle że przepołowiony. I jego dwie części generują określone promieniowanie, które następnie pobudza strumień wysokoenergetycznych cząsteczek, które rezonując... A, nieważne. Szczerze mówiąc, to ani razu z pulsara nie strzelałem. Nawet w rękach go nie miałem.

– Ty, ale to przecież ja już cały napromieniowany jestem! Ręce na pewno!

– „Pustak” nie jest radioaktywny, nawet załadowany.

– Uff...

– I strzelałeś, mówisz? Podobno to działa tak, że jak przesuniesz dźwignię włącznika, to zaczyna się pierwotne zbieranie potencjału rezonansu. Im dłuższa pauza przed rozładowaniem, tym większa wartość energetyczna pulsacyjnej wiązki zeskokowej i głębszy deficyt wyjściowy przed następną aktywacją. Coś jakby kierunkowe zasymulowanie efektu Fali, która...

– Czekaj, czekaj! Co masz na myśli, mówiąc „podobno”? Chcesz mi powiedzieć, że to nie w twoim laboratorium zrobili?

– No coś ty. To technologia obcych.

– Jakich obcych? Chemik, bo powiało grozą...

– Nie mamy pojęcia jakich. Cała ta broń to jeden wielki artefakt, bo znaleziono ją w Sektorze. Mówią, że istnieją jeszcze trzy podobne egzemplarze. Nie wiadomo, kto to zrobił; nie wiadomo, na jakiej zasadzie działa. U nas były dwa, tę twoją dopiero co przynieśli, dlatego leżała jeszcze w zbrojowni. Miała do nas trafić, dokumenty wypełnione, tylko podpisać trzeba było. To nie jest tak, że cokolwiek patrol znajdzie, to nam podrzucają na wycieraczkę w kartonowym pudełku. Są procedury, instrukcje, bo bez tego...

– Dobra, już dobra. A jeśli tę twoją emkę włączyć i pięć minut przetrzymać, to co? Ścianę przebije? Albo tę płytę, co nas oddziela?

– Możliwe. Tak samo jak to, że eksploduje – odparł Chemik. – Albo i nie. Co do ściany, też nie jestem pewien... Chociaż zamek w drzwiach powinno wyrwać, warto spróbować. No, co powiesz, Garsteczka? Spróbujesz?

– Czemu nie, spróbować warto. Tylko trzeba uważać, żeby na mnie jakiś zombas nie wyskoczył...

– Mówiłem ci, że to nie zombi.

– Stop! – Garsteczka zerwał się, złapał emkę i zaczął nasłuchiwać.

– Co?

– Coś słyszałem... Czekaj.

– Skąd, jak?

– Z korytarza, a skąd niby. Ale to nie mogą być twoje podmienione zombi, co nie? Przecież do mojego skrzydła nie mogły wleźć, prawda? Muszę sprawdzić!

Podszedł do drzwi, trzymając broń przy ramieniu. Uchylił skrzydło lufą, wyjrzał na zewnątrz.

– Garsteczka, a ta skrzyneczka z sejfu? Masz ją na oku? – zainteresował się nagle Chemik. – Tytanitowa szkatułka? Słuchaj, ja wiem, co to jest, tam w środku. Możemy to wykorzystać...

– Potem! Na razie cicho! – szepnął Garsteczka i wyskoczył na korytarz, obrócił w jedną i drugą stronę. Cicho, pusto. Tylko dźwięk znów się rozległ, tym razem bardziej wyraźnie: ni to skrobanie, ni to brzęk... I niósł się, zupełnie wyraźnie, od strony zbrojowni.

Jedynego pomieszczenia, do którego nie zamknął drzwi.

Nie mając pojęcia, co się dzieje – a do tego stanu już się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zdążył przyzwyczaić, co nie napawało optymizmem – Garsteczka ruszył korytarzem. Ki czort, co miałyby tam hałasować? Skrzaty domowe... to jest bunkrowe, się obudziły?

Zatrzymał się przed czarnym prostokątem drzwi. Zajrzał. Latarkę, co prawda, zostawił w gabinecie, ale w cylindrycznej szafie paliły się lampki. Światło marne, ale zawsze... No i faktycznie, coś skrobało i stukało. Powoli, rytmicznie i jakby mechanicznie.

Przełączył bezpiecznik i wszedł do pomieszczenia, wodząc lufą z boku na bok. Nie zobaczył nic podejrzanego, zrobił jeszcze krok. Dźwięki rozlegały się zupełnie blisko, zaraz przed nim. Jak gdyby powstawały w pustym powietrzu pośrodku zbrojowni... Garsteczka zrobił trzeci krok i zrozumiał, że źródło dźwięku jest nie tyle przed nim, co raczej trochę wyżej, po lewej... Ponad poziomem jego głowy...

Coś poruszyło się w półmroku, ochroniarz drgnął i zaczął odwracać, unosząc lufę strzelby pulsacyjnej.

Z zakratowanego otworu wentylacyjnego patrzyła na niego twarz. Młoda, blada, o wielkich, dzikich, zupełnie pustych oczach.

Chuda ręka z połamanymi paznokciami wysunęła się pomiędzy prętami, zaskrobała o betonową ścianę. Zombi stracił równowagę, zachwiał się i stuknął czołem o kratę, po czym odsunął w głąb przewodu wentylacyjnego. Po chwili znów pojawiła się ręka, przemieniony sapnął, ciężko wciągnął powietrze i uderzył głową o żelazo. Zniknął, po chwili znów wyłonił z mroku. Stuk. Oczy pozbawione chociażby cienia przytomnej myśli patrzyły wprost na Garsteczkę.

Ten popatrzył na skaczące w lufie ogniki, mocniej ścisnął zauważalnie już drżącą strzelbę i z całej siły wcisnął spust.

Tym razem przerwa pomiędzy włączeniem broni a strzałem była znacznie dłuższa, niż gdy Garsteczka strzelił w pancerną szafę. Wiązka cząsteczek rozerwała i wgięła pręty do środka przewodu, metal z dojmującym jękiem i zgrzytem poddał się niewidocznej sile. Głowę młodego zombiaka zgmiotło niczym gigantycznym kafarem, czaszka spłaszczyła się, jak jajko na twardo uderzone kijem bejsbolowym. Garsteczka odskoczył w obawie, że z wentylacji bryźnie na niego krew, ale niepotrzebnie. Gęsta, ciemna maź spłynęła jedynie kilkoma kroplami po ścianie.

Przełączył bezpiecznik, zarzucił strzelbę na ramię. Zadziałał instynktownie, tak, i z tego był dumny. Nierozważnie, owszem, i za to pewnie Chemik by go skarcił.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że właśnie otworzył sobie drogę do zachodniego skrzydła.



– Że co, proszę? Do ucha mam sobie to wsadzić? – Garsteczka popatrzył z przerażeniem na plastikową strzykawkę, w której przezroczystej końcówce przelewał się obłoczek gęstej ciemności. Dwie igły sterczały złowieszczo z otworka. – Panie doktor, czy panu się coś nie pomierdało? Może ty lubisz, jak ci ktoś w ucho wsadza, ale ja...

– Nie w ucho, a przy podstawie małżowiny. Z tyłu, za płatkim – cierpliwie tłumaczył głos z interkomu.

– No dobra, za ucho. Za ucho mam sobie to cholerne coś wbić? Chemik westchnął.

– Garsteczka... Ty pewnie jesteś żołnierzem. W ogniu bywałeś? – Piechota.

– Dobra piechota czy marna?

– Najlepsza! Dwa okrągłaczki pod sercem.

– Co... Ach, medale pewnie. Ranny?

– Dwukrotnie. Raz poważnie, dwa miesiące hospitalizacji.

– I co, teraz się boisz? Wstydzicie się, żołnierzu.

– Oho, patrzcie go! Pod włos mnie będzie... żeby to kula, albo bagnet! Nie jakieś paskudztwo radioaktywne z Sektora.

– Dobra, inaczej cię podejść. Takie paskudztwo, czyli drugiego „partnera”, wkłułem sobie dziesięć minut temu.

– Jaja sobie robisz.

– Nie.

– Zboczeniec... Wsadzasz sobie jakieś paskudztwa gdzie popadnie i się cieszysz. No dobra, wyjaśnij mi jeszcze raz, co to jest z tymi „partnerami”.

Chemik chwilę pomilczał, najwyraźniej zbierając myśli.

– To coś, co masz w strzykawce, to połówka „kleksa”. Takiego artefaktu. Przepołowiony daje nam dwa „partnerzy”.

– Cudownie opowiadasz, jak dentystka u mnie w szkole bajki, że nie będzie bolało. Dawaj dalej.

– „Kleks” to artefakt z Sektora, ale diabelnie rzadki, tworzy się tylko w „hałdzie”, a ta jest śmiertelnie niebezpieczna. Od

pewnego czasu już wiadomo było, że „kleksy” są nietypowe, dopiero uczymy się je wykorzystywać. Otóż pomiędzy dwiema połówkami „kleksa” pozostaje więź...

– Macierzyńska?

– Brawo ty, dostajesz darmowy talon na krematorium. Nie wiadomo jaka, bo nic się nie daje zarejestrować. Ani promieniowania, ani fal, nic. Doszli do tego, że w kontinuum czasoprzestrzennym są nadal jedną całością, ale... nieważne. Najkrócej mówiąc: jeśli wprawiasz jedną połówkę w wibrację, to druga też wibruje. W tym samym czasie, na identycznej częstotliwości. Rozumiesz?

– Tak... Znaczy nie. Ale ciekawe to – zgodził się Garsteczka, patrząc na czarny glutek w strzykawce. – Tylko że straszne. Mocno straszne. Diabli wiedzą, co ten wasz Sektor tak naprawdę wyrabia.

Chemik nie zaprzeczył.

– Zgadza się, tego nie wie nikt. O tym, że ten akurat „partner” istnieje, wiem dlatego, że kiedy tylko jako tako opanowaliśmy technologię, major Titomir zażądał wydzielenia mu jednego zestawu. Chciał spać się na linii komunikacji ze swoim zastępcą, jakimś kapitanem czy innym admirałem...

– Aha, szefem ochrony. Pewnie leży w warsztacie, martwy aż miło.

– No właśnie. Ale nagle się okazało, że robimy tę całą ekspedycję. Generał Cywik delegował majora do ochrony i tamten nie zdążył. No i ten twój „partner” leżał w gabinecie Schulza, bo dalej go nie zdążyli przesłać, a ja mojego znalazłem w pokoju Titomira.

– Znalazłeś, powiadasz – powtórzył Garsteczka z przekąsem.

– Powtarzam: ja sobie moją połówkę już implantowałem. Jak widzisz, żyję. No już, panie żołnierzu, nie pękaj jak panienka przed pierwszym razem. Sam widzisz, że przez ten interkom jest niewygodnie, a tak raz-dwa i po problemie.

Garsteczka pomacał się palcami za lewym uchem, dotknął zagłębienia. Skrzywił się. No nie miał, nie miał ochoty robić tego, co rzekomo sobie zrobił Chemik! Z drugiej strony, głęboko ten „kleks” nie wejdzie, jakby co, to się go płaskimi szczypcami wyciągnie...

– Słuchaj, jeszcze jedno. Na pewno się nie zmieścisz w wentylacji? – upewnił się Chemik.

– Nie ma szans. – Garsteczka na próbę przyłożył strzykawkę do ucha. – Truposz był chudy jak glista, musiał się na brzuchu czołgać, a ja niemały jestem. Metr osiemdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt kilo wagi. Sprawdziłem, nigdzie nie ma szerszych przewodów.

– Normy budowlane... – westchnął Chemik. – Słuchaj, to może być...

– Nie popędzaj. Szykuję się psychicznie.

Garsteczka przyłożył końcówkę tam, gdzie wcześniej dotykał palcem, wziął oddech, zacisnął powieki i wcisnął zawór pneumatyki.

Ukłuło, ale nawet nieszczególnie mocno. Już myślał, że będzie gorzej. Cicho syknęło, potem nic. Może nie zadziałało? Opuścił urządzenie: końcówka była pusta.

– Usiądź lepiej – poradził Chemik. – Jeśli stoisz, usiądź. Albo się połóż.

Garsteczka usiadł.

– A co niby? Dobrze się czuję.

– Ale zaraz może ci się pogorszyć. Te szpikulce są organiczne, poza tym jest ich o dobry centymetr więcej, niż się wydaje. Dlatego ci mówiłem, żebyś nie ruszał i nie dotykał, bo tam na czubkach są pojedyncze atomy, nanorozmiarówka. Po wszczepieniu kolce się aktywują i zaczynają wrastać w ciało, żeby...

– Heee, e, e! Jak to, wrastać? – zaniepokoił się Garsteczka. – W głowę tak? A dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś?

– Bobyś się wystraszył i nie wszczepił.

– Pewnie, że tak! Cholera, już to wyciągam, to przecież...

Wydało mu się nagle, że głos Chemika dźwięczy odbitym echem, wibrującym gdzieś na granicy postrzegania dźwięku. I to dobiegającym nie z zewnątrz, a spod czaszki.

– Co się... – zaczął, ale urwał, słysząc z lewej szelest. Nawet nie z lewej strony, a w lewej części głowy. Szelest, szum, potem poskrzypywanie i ciche bulgotanie.

– *I co, udało się?*

Głos nie dobiegał z interkomu, ale Garsteczka słyszał go w lewym uchu.

– Chemik! – zawołał lekko przestraszony Garsteczka.

– *Tu jestem.*

– Zaraz, czekaj... – Sięgnął do interkomu, wyłączył aparaturę. – A teraz? Słyszysz mnie?

– *No pewnie. W ogóle to nie krzycz tak, możesz w zasadzie szeptać. Dotrzemy się z czasem, ale na pewno mów ciszej.*

– Czyli co, przez kość czaszki dźwięk trafia na mojego „partnera”, a od niego do ciebie?

– *Tak, dlatego słyszę też dźwięki z wnętrza czaszki. Szum krwi, bicie serca... Z czasem powinieneś móc tylko poruszać ustami, niemalże bezgłośnie. Podobno można dojść do takiej wprawy, że nawet jak ktoś stoi obok, to się nie zorientuje. W głowie ci się nie kręci?*

– Nie, nie... – odpowiedział Garsteczka, wstając. – Tylko w uchu trochę ciągnie. No i w ogóle jakoś tak dziwnie. Kurczę, siedzisz mi teraz w głowie... Jakby mnie ktoś podglądał.

– *Minie z czasem. No dobrze, to mamy łączność, ty pewnie już się uzbroiłeś. Gotów jesteś drugi raz zejść do bramy hangaru i tam trochę posłuchać?*

– Gotów. Zawsze, wszędzie i na wszystko.

– *Nie chojracz, bo na to, co ci powiem, możesz nie być. Ruszaj znowu na dół, a skoro jesteśmy teraz spięci na sztywno, to ci po*

drodze poopowiadam o Kaufmannie i jego ekspedycji.

– Znów te naukowe smęty...

– Nie. Widzisz, ja nie tylko w laboratorium pracuję. Mam też...

Jakby to ująć? Drugi etat.

– Apteka?

– Nie, wywiad.



Wu-es-wu... – Garsteczka przeliterował nazwę i popchnął lufą drzwi na klatkę schodową. W rękę trzymał włączoną latarkę, na ramieniu zawiesił sobie dodatkowy karabinek.

Głos miał zupełnie spokojny. Nawet śmiertelnie spokojny, bo niemalże wszystkie siły umysłowe angażował w to, żeby nie krzyżeć na Chemika. A Chemik opowiadał rzeczy zupełnie niedorzeczne, od których aż pot występował na czoło.

– *Wydział Spraw Wewnętrznych* – powtórzył Chemik. Miejsce, z którego donosił się jego głos, nieco się przesunęło, znajdując się teraz w okolicy lewej skroni Garsteczki. – *Można powiedzieć, że jestem agentem pod przykrywką.*

– Cholerny te wu...

– *Nie przerywaj. Mówię ci to wyłącznie dlatego, że nie mam wyjścia, a mój pomocnik został w Sektorze razem z ekspedycją Kaufmanna. Nikomu poza tym nie mogę ufać. Tobie też nie ufam, ale okoliczności mnie zmusiły. W zasadzie nie powinieneś tego wiedzieć, ale...*

– Ale ja nie chcę! – Garsteczka zamachał ręką. – Po co mi to? Paszoł won, wynoś się z mojej głowy! Zaraz naprawdę wezmę szczypcę, wyrwę tego twojego „partnera” i...

– *Nie rusz, bo uszkodzisz płat skroniowy. Chcesz pod siebie robić do końca życia? Teraz ekstrakcji można dokonać tylko z użyciem specjalistycznej aparatury.*

– Patrzcie go, teraz mi to mówi! A wcześniej nie mogłeś powiedzieć, doktoru? Ba, jaki tam z ciebie doktor! Zwykły szpicel jesteś!

– *Wypraszam sobie, faktycznie jestem doktorem nauk. Z armii wyszedłem w stopniu sierżanta, potem długi okres cywilny, uczyłem się. A kiedy pojawił się Sektor, to znów mnie... wezwali.*

– Aha, wezwali. Sam pewnie pobiegłeś, jak tylko ci podłóścią i zdradą zapachniało. – Garsteczka złapał za kołowrót zamykający właz techniczny.

– *Owszem, wezwali. Legalnie, w majestacie prawa. Wezwali, bo dowództwo naczelne potrzebowało kogoś zaufanego w Kompleksie. Jest dochodzenie w sprawie nielegalnego przetrzutu artefaktów przez Kordon. Słyszałeś o tym, że jest siatka przemytników?*

Garsteczka dostał krótkiego, ale mocnego ataku kaszlu, po czym powiedział:

– No tak, pewnie. Wszyscy słyszeli. To włóczędzy handlują.

– *Nie. Istnieje „oficjalny wywóz anomalnych wytworów Sektora”, jak to określa dokumentacja, a jest też nielegalny. Gra idzie o grube dziesiątki milionów dolarów. Czy ty masz pojęcie, ile za artefakty płacą korporacje albo rządy państw trzecich? W tym nie do końca nam wszystkim przyjaznych?*

Garsteczka przełknął ślinę, chciał coś powiedzieć, ale uderzył się w palec i syknął. Spokojnie, tylko spokojnie! Ten agent od siedmiu boleści nie może się przecież domyślać, że zupełnie przypadkiem trafił na człowieka, który o tym nielegalnym handlu wie więcej, niż mógłby chcieć. Nie ma też pojęcia, po co naprawdę Garsteczka chce wejść do Sektora... No przecież inaczej nie mówiłby mu tego wszystkiego! Z normalnym światem nie ma kontaktu, noga złamana – teraz Chemik był o wiele bardziej zależny od Garsteczki niż Garsteczka od niego.

Najważniejsze to głupio się nie zdradzić. Agent słyszy tylko jego głos, nie myśli. Więc myśl, Garsteczka, myśl, co i jak mówić!

Waż każde słówko, kontroluj intonację. Mów spokojnie, bez wahania i tylko to, co trzeba.

Głos w lewym uchu nie ustawał w tłumaczeniach:

– *Podejrzewaliśmy majora Roberta Titomira, szefa ochrony KZ. Jak się okazało, słusznie. W Kompleksie miał swoich wspólników, pewnie jednego opłaconego mechanika na warsztacie i na pewno ludzi z posterunku na wyjściu. Artefakty przywożą mu z ekspedycji, potem przerzucają je dalej i wywożą do Polski. Kanał już dawno przetarty.*

– No tak, ale Titomir chyba nie jeździ sam na Stację? – Idąc po galeryjce, Garsteczka radośnie udawał naiwnego prostaczka.

– *Nie, bo nie ma po co. Ochroną ekspedycji dowodzi jego pierwszy zastępca, kapitan Kovacs. Który, rzecz jasna, ma z tego działkę.*

– Więc po co tym razem sam pojechał?

– *Tutaj dochodzimy do najważniejszej części. Gdzie jesteś teraz?*

– A na zewnątrz. Stoję sobie i czekam, aż się wygadasz.

Garsteczka zatrzymał się pośrodku galeryjki, wystawił twarz na chłodny wietrzyk, niosący zapachy z Sektora. Musiał trochę ochłonać, bo aż się w nim gotowało.

– *Więc słuchaj. Jakiś czas temu dotarła do nas informacja, że w Sektorze wypłynęło „oko zła”.*

– To jak w tym filmie, nie? Babka otwiera wazę, a tam z pomidorówki...

– *Nie przerywaj. Nie jesteśmy w stanie ustalić, czy „oko” jest bardziej artefaktem, czy urządzeniem. Powiedzmy, że to... no... no właśnie artefakt, w znaczeniu „legendarny przedmiot”. Po raz pierwszy natknęli się na nią podróżnicy, jedyny klan zdolny wejść nieco głębiej we Wstęgę. „Oko” kilkakrotnie przepadało, pojawiała się i znów zniknęło... I stosunkowo niedawno pojawiło się u poważnego handlarza w Sektorze, niejakiego Wiedźmaka. Potem spłynęła informacja, że Wiedźmak szykuje się je komuś sprzedać za niemałą sumę – i jak grom z jasnego nieba okazuje się, że ten*

ktoś to major Titomir!

Pod Garsteczką lekko ugięły się nogi. No dobra, to było niespodziewane... Oparł się ręką o ścianę, bo uczucie było takie, jakby go ktoś obuchem zdzielił. Prosto w skroń. Lewą – tę, z której dobiegał szept agenta.

To ci dopiero! Zatem z tego, co mówił Chemik, jasno wynikało, że pieniądze w walizce to zapłata za „oko”! Za to mega-super-cenne coś, wyciągnięte z jakiejś wstęgi przez podróżników, czy innych przybłądów.

– To co... dalej? – zapytał słabym głosem i ogarnął go nagły strach, że zaraz się zdradzi. Przecież ta informacja nie powinna go w ogóle obchodzić, jeśli miał udawać, że nie ma z tym nic wspólnego!

Ulżyło mu, gdy Chemik znów się odezwał; z jego intonacji wynikało, że nie powziął żadnych podejrzeń.

– *Szykowaliśmy operację przechwycenia kurierów, którzy mieli wieść „oko” z Kompleksu do Lublina w Polsce, po drodze do kupca...*

Kurierów, powiadasz. Czyli jego i Witię. Zdziwienie i przerażenie powoli już opuszczały Garsteczkę, zaczynał myśleć bardziej składnie. Jasne było, że o jego uczestnictwie w sprawie Chemik nie wiedział i wiedzieć nie mógł. W przeciwnym razie nic by nie mówił... Trzeba więc pana agenta pociągnąć za język.

– Po aresztowaniu kurierów mielibyśmy w ręku Titomira, Kovacsa i całą ich szajkę. Co więcej, była jeszcze szansa, żeby przez nich dojść do grubszej ryby, czyli człowieka, który krył majora w ONZ...

– Cywik! – sapnął Garsteczka, po czym aż zakrył usta dłonią, przerażony.

– *Skąd wiesz?*

– Ja? Ja nic nie wiem. Tak sobie tylko pomyślałem, że akurat dziś generał do nas zawitał. I to jeszcze własnym konwertoplanem, a nie samochodami jak wcześniej. A poza tym

to chyba on nadzoruje cały KZ, co nie?

– *Dokładnie tak.*

– No i masz. A słuchaj, ile major wziął pieniędzy na Stację?

– *To informacja tajna.*

– Chcesz, żebym ci pomógł, czy nie? – zdenerwował się Garsteczka. – To gadaj!

Chemik pomilczał chwilę, po czym odpowiedział:

– *Słuchaj, jeśli odmówisz, to potem mogę ci narobić niemałych nieprzyjemności.*

Garsteczka przestąpił z nogi na nogę, oblizwał usta.

– Wal się na ryj, konfidencie! Swojej starej możesz nieprzyjemnie robić! Kaciebeszniku jeden, deenerowcu banderowski! Ja wam na wierność nie przysięgałem, lojalek nie podpisywałem! Nic wam winien nie jestem. I skąd ja mam wiedzieć, kto ty naprawdę jesteś i że mi prawdę mówisz? Może to wszystko prowokacja? Może ciebie tam nie ma, tylko ja mam haluny, głos w głowie słyszę. Schizopreję mam, jak w tym, no... jak ten od Enigmy... Sherlock Holmes!

– *Tobie chodzi o „Piękny umysł”. I tam grał Crowe, a nie...*

– Wal się, mądralo! Wiesz, o co mi chodzi.

– *No już, już, nie złość się. Major wziął do Sektora pięć milionów dolarów. W jego oddziale był mój pomocnik, zakamuflowany jako zwykły szeregowiec, niedawno przeniesiony do Kompleksu.*

Garsteczka przymknął oczy i zacisnął pięści. W głowie już słyszał pierwsze takty radosnej muzyki, świat zaczynał gwałtownie nabierać przyjemnych barw. Aż miał ochotę zapytać: ile, ile? Żeby jeszcze raz usłyszeć sumę, upewnić się, podelektować brzmieniem słów.

Tytanicznym wysiłkiem woli zmusił się, żeby powiedzieć spokojnie:

– Pięć milionów, powiadasz. Niemało. Myślisz, że major trzymał je u siebie w sejfie?

– *Myślisz, że dziś je Cywik przywiózł?*

– Zgadzałoby się, nie? Przyleciał bez zapowiedzi...

– *Elementarnie proste, Sherlocku?*

Garsteczce wydało się, że Chemik się uśmiechnął.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– *Bynajmniej. Właśnie wykonałeś kawał dobrej analityki. Nieszczególnie skomplikowanej, ale bardzo trafnej. Nie wszystkie talenty od razu pokazujesz, co?*

Garsteczka milczał przez krótką chwilę, po czym zapytał:

– Wiedziałeś o Cywiku, prawda?

– *Tak, ale byłem ciekaw, jakie wyciągniesz wnioski. Generał rozmawiał z majorem tylko w składzie artefaktów, żeby nie dało się ich podsłuchać... Chyba że zamontuje się dyktafon w pojemniku, jak ja to zrobiłem. Mamy ich ostatnią rozmowę w całości, pomówili sobie od serca. Major planował zlikwidować kurierów, którzy będą wieźli „oko” do Polski. Cywik najpierw się nie zgadzał, ale potem odpuścił. Titomir nie zostawia świadków.*

– Zlikwidować... – powtórzył Garsteczka, zamiast zefirku czując na twarzy zimne mogilne tchnienie.

– *Dokładnie. Major miał następnego dnia wysłać ich do Sektora na patrol, a tam już był umówiony z bandytami, którzy mieli sprzątnąć cały oddział.*

Garsteczka skrzywił się, splunął za barierkę i warknął:

– Czyli co, ten major swoich sprzedaje, żeby więcej dla niego kasy zostało?

Pomyśleć tylko, że za ten kurs Titomir obiecał im większą stawkę – ale po kilku dniach, kiedy rzekomo miał dostać pieniądze od kupującego! A wychodziło na to, że zamiast złotem, chciał się rozliczyć ołowiem. To bydlę!

– I mówisz, że Titomir przekonał Cywika? – warknął.

– *Tak. Tylko że chyba nie o pieniądze chodziło, kurierów to on miał za nic, płacił im drobnymi. Major chciał po prostu zlikwidować świadków, żeby potem mieć wszystko na czysto. Zbyt ważna operacja, zbyt cenny towar to „oko zła”.*

– No dobra, ale po co im to?

Chemik zawahał się.

– *Nie wiem.*

Kłamie, pomyślał Garsteczka. W żywe oczy kłamie, agencik-naukowiec jeden. Że też mu nie wstyd...

– *A co się tak zdenerwowałeś tym majorem? Aż słyszę, jaki zły jesteś.*

– To przecież mój przełożony! – Garsteczka rozluźnił pięści, starając się mówić, jakby faktycznie był bardziej zdenerwowany niż wściekły. – Rozumiesz, dowódca, poza tym żołnierz... A ty mi tu nagle, że bach! Titomir jest przemytnikiem, a w dodatku własnych ludzi chciał rękami jakichś bandytów wymordować. Nieważne już, kim tam są... czy byli ci jego kurierzy. W moich oczach on sam teraz od bandyty nie lepszy. No złoczyńca, bandzior! A generał taki sam!

– *Rozumiem. Porządny z ciebie gościu, Garsteczka.*

Pochwalony uśmiechnął się nieszczerze. Na całe szczęście Chemik go nie widział... Ale i tak w gardle osadził mu się jakiś nieprzyjemny, gorzki posmak zgwałconej moralności. Takie uczucie, jakby oszukał sześciolatek albo zabrał szczeniakowi i wyrzucił do śmietnika kość. Niby nic, a jednak... No bo kim był dla niego taki Chemik? Ani brat, ani swat. Tym bardziej że chyba dążyli do dwóch zupełnie różnych celów. Garsteczka chciał zgarnąć pięć baniek i dać nogę, a Chemik wolałby oddać to co do grosza państwu... którym Garsteczka głęboko i aktywnie gardził.

Głos w jego głowie nie milkł:

– *Przestępców należy powstrzymać, uratować Kaufmanna z córką. Dlatego muszę nalegać, żebyś jak najszybciej wyruszył po nich na Stację. Jesteś już na dole?*

– Przecież stoję tu i z tobą gadam! – Garsteczka przewrócił oczami. – Teraz dopiero zaczynam schodzić.

Po raz drugi przerzucił przez barierkę linę, splunął w dłonie i popatrzył na dół. Sektor było widać jak na dłoni, tylko w oddali

wisiała delikatna mgiełka.

– No to złażę – mruknął Garsteczka, ale nagle zauważył kątem oka ruch nad sobą i zadarł głowę.

Prosto na niego spadała jakaś postać. Wyciągnęła przed siebie ręce, w jednej dłoni ścisnęła kawał żelastwa... Garsteczka odskoczył w tył, uderzył plecami o barierkę; nie miał nawet czasu, żeby sięgnąć po broń. Przemieniona plasnęła o beton galeryjki tuż obok, po drodze jeszcze zaczepiwszy Garsteczkę żelazem.

Piekielny ból przeszył jego ciało, gdy zakrzywiony koniec wielkiego haka wbił mu się między żebra niczym uządlenie gigantycznej osy! Garsteczka wrzasnął, chwilę potem chrupnęło paskudnie – na szczęście nie jego żebra, a noga potwory. No pewno, z takiej wysokości skoczyć! Naprawdę trzeba być debilem albo... no, zombi...

Kobieta z wygoloną głową. Zawyla nieludzkim głosem, wypuściła hak i rzuciła się na Garsteczkę, próbując rozszarpać mu paznokciami gardło lub wydrapać oczy. Miała zaskakująco dużo siły, potęgowanej jeszcze przez czysto zwierzęcą wściekłość. Złapała go za ramię jak żelaznymi kleszczami, drugą ręką wczepiła we włosy, chcąc ugryźć prosto w twarz żółtymi, poszczerbionymi zębami.

Garsteczka wyszarpnął z kieszeni szczypce, którymi skręcał wcześniej drut, i dźgnął na oślep. Trafił prosto w oko, ale przemieniona nie puściła chwytu, więc ryknął pół na pół ze strachu i wściekłości, dźgnął jeszcze raz, złapał potworę za szyję i z całej siły uderzył jej ciałem o ścianę. Żebra zatrzeszczały, odezwały się bólem.

Kobieta znów wrzasnęła i złapała go jeszcze mocniej. Wybite oko straszło czarną dziurą, krew lała się strumieniem... Garsteczka uderzył kolanem, a gdy napastniczka zgięła się wpół, szarpnął ją na drugą stronę, przechylił przez żelazną barierkę, odsuwając jak najdalej od siebie kłapiącą wściekle szczękę.

Coś kliknęło, wieżyczka najbliższego karabinu zabuczała i przekreśliła się w jego stronę. Szarpnął jeszcze raz, wysuwając przemienioną dalej, w strefę działania czujników.

Huknęło, a głowa zombi zamieniła się w krwawy strzęp, rozciągany coraz dalej i dalej przez strugę płynnego ołowiu, rozchlapującego na boki ciało, krew, kawałki kości i wszystko to, z czego składa się człowiek. Seria pocisków niemalże wyszarpnęła Garsteczce martwe ciało z rąk, więc po prostu puścił je, pozwolił, żeby przewaliło się na drugą stronę barierki.

Karabin nie odpuścił, śledząc trajektorię spadającego trupa, szarpiąc go kulami i odrzucając coraz dalej od ściany. Odezwał się drugi „świr”, trzeci aktywował się, gdy krwawy strzęp spadł na ziemię, niepodobny już w najmniejszym stopniu do człowieka.

Garsteczka skrzywił się, czując, że przygłuchł od tej kanonady. Ostrożnie dotknął tkwiącego w boku haka, zacisnął zęby i powoli, ostrożnie wyciągnął zaostrome żelastwo spomiędzy żeber. Dolna warga mu zadrżała, po policzkach pociekły łzy. Rana nie była zbyt głęboka, ale ból aż zapierał dech! Kurtka zaczęła nasiąkać krwią, strużka pociekła po boku, rozlewając się wokół paska. Garsteczka zrzucił karabiny, rozpiął guziki i zaczął się rozbierać.

Karabiny umilkły dopiero wtedy, gdy skończył prowizorycznie opatrywać tors. Wychylił się, zerknął: zwłoki przemienionej zostały w zasadzie przemielone kulami na farsz.

– *Garsteczka!* – rozległ się głos w jego głowie. – *Garsteczka, odezwij się! Co tam się stało?!*

– Spokojnie, panie doktor, żyję. – Garsteczka stęknął, zarzucając na ramię obydwie karabiny. Odetchnął powoli, ostrożnie, płytko. Rana w boku przypominała o sobie, więc wydech zrobił jeszcze wolniejszy. – Zombaczka na mnie skoczyła z dachu.

– *Co?!*

– No kobieta, przemieniona. Nie wiem, jak to odmienić. Nie

mówiłeś, że w klatkach trzymaliście kobiety.

– *Jedna była.*

– Była, dobrze powiedziane. Już nie jest.

– *Co?*

– Ano to. Stygnie właśnie, trochę ją rozebrało.

– *To ty strzelałeś? Ja tu prawie ogłuchłem.*

– Aha, prawie. Pozazdrościć. – Garsteczka powiercił palcem w ucho, potem złapał obiema rękami za barierkę. – Zrzuciłem ją z galeryjki, na dole wukaemy dokończyły. Czyli co, ta z głowy, jeszcze jeden został?

– *Tak, samiec alfa.*

– Co znowu... Jaki samiec, jaka alfa? – Garsteczka próbował mówić spokojnie, bo nie mógł oprzeć się wrażeniu, że cały czas krzyczy. Poza tym, jak tylko podnosił głos, żebra od razu zaczynały protestować.

– *Przemienieni są umysłowo na poziomie wczesnych naczelnych, więc zbijają się w stada, które muszą mieć przewodnika. Przeważnie alfa zostaje ten, w którego neokorteksie jeszcze coś tam się tli, bo Fala nie do końca go wypaliła.*

– Czyli co, jest mądrzejszy? Ta tutaj też nie do końca była głupia, nawet broń sobie znalazła...

– *Małpy też używają kijów i kamieni. Ale tak, alfa jest sprytniejszy od innych i bardziej wredny.*

– Oho. Już ta suka zwariowana mnie jakimś hakiem dźgnęła pod żebro. Ale ja spokojny jestem. Spokojny jak doberman.

– *Co? Hakiem? No tego jeszcze brakowało! Mocno?*

– Ano, tak... – Garsteczka zerknął na ranę. – Skutecznie dość.

– *No, naprawdę no!* – zdenerwował się Chemik. – *Wszystko przeciw nam! Kontinuum się dupą na nas wypina!*

– No przecież mówię, że...

– *Dobra! Posłuchaj mnie, tylko uważnie!*

– Słucham przecież, nie mam wyboru. Coś się tak podniecił?

– *Jestem w laboratorium, udało mi się uruchomić jedno*

urządzenie i... mam odczyty, bardzo dziwne odczyty. Nie sądzę, żeby to była zwykła fluktuacja albo żeby Fala coś popsuka. Więc... zrób coś dla mnie, możesz?

– No?

– *Zerknij na wschód, co tam widzisz?*

Garsteczka spojrział.

– Sektor widzę. No i co? Sektor jak Sektor, tylko...

Zaklął.

– *Tylko co?*

– Niebo po tamtej stronie ciemnieje. Nad samym horyzontem taki ciemnoczerwony pasek się zbiera. Ale jak to, znowu Fala? – Garsteczka stuknął pięścią o barierkę. – Znowu?! Aua, kurwa, jak krzyczę, to boli! Znowu, kurwa? Aua, kurwa... Ale przecież to się miało zdarzać rzadko, ja... Aua, kurwaa!

– *Zgadza się, to bardzo nietypowe. Coś dziwnego się dzieje w Sektorze, jakaś anomalia.*

– Tutaj są same anomalie! Aua, kurrr...

– *Musisz schodzić, i to teraz, zaraz! Garsteczka, już!*

– Kontinuum, twoja mać! – Garsteczka skrzywił się znów z bólu. – A co będzie, jak mnie drugi raz nakryje Fala?

– *Nie sprawdzaj. Raczej nie wytrzymasz, organizm na pewno masz osłabiony. Gdyby kilka dni przerwy, to jeszcze, a tak to wylew gwarantowany. W najlepszym razie paraliż, w najgorszym śmierć.*

Garsteczka bez słowa zaczął przełazić na drugą stronę.

– *Opatrzyłeś jakoś ranę?*

– Tak, no przecież, że tak. Kurtka mi tylko przesiąkła na wylot. Słuchaj, weź się na chwilę zamknij, panie agent. Nie przeszkadzaj, bo mnie boli jak cholera.

Dał radę zejść na dół, ale omal nie spadł z ostatniego odcinka liny, zatoczył się i aż przysiadł, oparty o zimną, betonową ścianę. W końcu w jego głowie rozległ się głos:

– *Żyjesz tam?*

– Żyję! Tylko co to za życie... – zachrypiał Garsteczka i zataczając się, ruszył ku drzwiom warsztatu. – Ile mam czasu, zanim dotrze tu Fala?

– *Nie wiem dokładnie.*

Garsteczka stanął przed żelaznymi drzwiami, ściągnął z ramienia pulsar. Rozejrzał się. Za nim była tylko zarośnięta żółtoburą trawą pustka, dalej za nią wzgórze i drzewa, pomiędzy którymi niknęły wybiegające z Kompleksu tory. Niby cisza, spokój, bezruch. Tylko ponad tym wszystkim nabiegające czerwienią niebo, a od horyzontu nadpełzająca mgła.

Cofnął się, jednocześnie zerkając w górę, żeby nie podstawić się pod czujniki karabinów. Uniósł emkę i przesunął bezpiecznik, a broń zabuczała, po lufie przebiegły blade ogniki.

– Dobra, liczymy... Słuchaj, jak długo poczekać, żeby się naładowało? Drzwi solidne, stalowe.

– *To zależy, ile czekałeś przed poprzednim strzałem, kiedy rozmaśliło przemienionego.*

Garsteczka skierował broń na zamek, wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Siedem sekund może? Przecież nie sprawdzałem.

– *No to poczekaj dwa razy tyle. Nie, za dużo. Połowę dłużej. Nie ma co ryzykować, bo...*

Chemik nie zdążył dokończyć, a Garsteczka już ściągnął spust.

Miał wrażenie, że tym razem wiązka cząsteczek była jak gdyby gęstsza, bardziej nasyciona. Powietrze zawibrowało, a broń drgnęła, żebra zaboląły. Drzwi zajęczały i zadrżały, okrągła klamka i zamek rozmyły się, straciły kształt, zamieniając się w płaski, szarawy okrąg...

A potem wiązka zniknęła, ładunek się wyczerpał. Drzwi stały jak i wcześniej, chociaż pomarszczyły się wokół zamka i pofalowały. Garsteczka obejrzał się – pasmo nad horyzontem jeszcze bardziej ściemniało.

– Drugie podejście – zakomunikował Chemikowi. W głowie lekko mu się kręciło, to pewnie utrata krwi dawała o sobie znać.

Kliknął dźwignią, znów ładując broń, która ledwo zauważalnie zadrżała. – Tym razem odczekam dłużej, do czternastu.

– *Dwanaście maksimum. Nie wygłupiaj się.*

– Pożyjemy, zobaczymy.

Zaczął liczyć. Minęło pięć sekund, osiem, dziesięć, a on czekał. W potylicę dmuchnął mu dziwnie ciepły, wilgotny wiatr, jak gdyby Fala gnała przed sobą masę powietrza.

Dwanaście sekund.

– *Garsteczka, już.*

A może to po prostu ciepły, jesienny wiatr?

Czternaście sekund.

– *No strzelasz, czy nie?!*

Garsteczka milczał, tylko po czole spływała mu kropla potu. Strzelba wibrowała w rękach, zaczynała trząść się niekontrolowanie, ogniki zamieniły się w pędzącą strugę. Zobaczmy, co stworzyła przodująca nauka Sektora! Ściągnął spust.

Tym razem aż go popchnęło w tył, jak gdyby część energii przeszła na korpus broni. Żebra zawyły, palec sam popchnął bezpiecznik w pozycję wyłączenia.

Na drzwiach pojawił się drżący pęcherz. Metal chyba nie nagrzał się, ale mimo wszystko wydał, drzwi z metalicznym zgrzytem przekrzywiły się w futrynie, potem jeden róg wyskoczył na zewnątrz, drugi wpadł do środka, zawias strzelił z hukiem i zrykoszetował od ściany.

– *Co tam? Co się stało?*

– Zaraz sprawdzę. – Garsteczka podszedł do zdezelowanych drzwi.

– *Uważaj tylko. Poddany oddziaływaniu cząsteczkowemu materiał potrafi wytworzyć ogromne naprężenia punktowe, które potem wyzwalają się zupełnie nieoczekiwanie. To znaczy, że jeśli...*

– Dobra, już przestań mi tam sapać do ucha. – Garsteczka kopnął w zamek i aż się zatoczył. Drzwi powoli przekręciły się na

jedynym zawiasie, a potem majestatycznie zwały na podłogę warsztatu. – O rany... Dobra, drzwi z głowy. Co dalej, jak mam się ukryć przed Falą? Gdzie?

Warsztat był nieduży, ciemny, zastawiony maszynami i sprzętem. Na podłodze leżał martwy technik w niebieskim kitlu. Jedyną jaśniejszą plamą w półmroku była biała apteczka na ścianie. Garsteczka odłożył broń na stół i zaczął rozpinać kurtkę. W głowie już zaczynało mu się kręcić, w uszach dzwoniło – klasyczne objawy nadchodzącego omdlenia. Tylko tego brakowało, żeby go ścięło na podłodze!

– Apteczkę znalazłem... – sapnął.

– *To dobrze. Jeśli wojskowa, to powinien tam być promedol...*

– Jest. I to nie zwykły, a z plusem.

Garsteczka zerwał zębami folię ze strzykawki i wkłuł sobie narkotyk, po czym zalał ranę pomiędzy żebrami klejem medycznym. W końcu wytarł zaschniętą krew nawilżonymi chusteczkami, naciągnął na tors elastyczny rękaw antyseptyczny i założył koszulę. Rozłożył kurtkę na stole, wyrzucił na nią zawartość apteczki.

Środek zaczynał właśnie działać, ból ustępował, zamiast niego w piersiach rozkwitała nieuzasadniona euforia. Jak wtedy, kiedy boli głowa, a potem nagle przestaje i człowiek czuje się, jakby latał nad podłogą, a do okna stuka uśmiechnięte słońeczko.

Znów zarzucił na ramiona karabinek i strzelbę, związał kurtkę w węzełek i ruszył do głównej hali. Znalazł tam kolejne dwa trupy: mechanika i kapitana. Pierwszy upadł na tory, drugi zwinął się w kłębek przy dreźnie. Nieduży wagonik z kabiną dla maszynisty i otwartą skrzynią na narzędzia stał sobie w ciemnym kącie hangaru na bocznym torze, wokół niego z bloczków zwisały łańcuchy z hakami i zaczepami.

– Co teraz? – zapytał Garsteczka.

– *Spróbuj odpalić dreżynę.*

– Po co? Przecież wrota są zamknięte, nigdzie stąd...

– *Garsteczka, wiesz co? Zamknij się. Byłem w warsztacie setki razy, wiem, co mówię. Uruchamiam drezynę!*

Wewnątrz drezyny były dwie żelazne ławeczki, prymitywna deska rozdzielcza i dwie dźwignie. Nic więcej. Technologia przedpotopowa, jak z dziewiętnastego wieku. Elektryki jak na lekarstwo, elektroniki żadnej – nawet Fala nie miała co przepalić. Garsteczka wrzucił zawiniątko na krypę i zapytał:

– Niby jak? Na pych?

– *To elektryk, akumulatory powinny być naładowane. Przerzucasz wajchę na desce rozdzielczej, potem wduś czerwony przycisk.*

Garsteczka usadowił się na zbyt małym siedzeniu, popatrzył. Przełożył wajchę, wcisnął guzik. Drezyna drgnęła, pod podłogą zaterkotało.

– Jest! Działa!

– *Przynajmniej jedna rzecz jak należy. Zaraz ci wszystko wyjaśnię, na razie podejdź do wrót. Po lewej masz żelazną skrzyneczkę rozdzielni. Otwórz. A tak w ogóle, jak tam? Wszyscy nie żyją?*

– Co do jednego.

Skrzynka była zamknięta na kłódkę, więc Garsteczka popędził do warsztatu po jakieś narzędzie. O ranie już w ogóle zapomniał. Na szczęście nie miał nudności, a to się po promedolu zdarzało.

Od zatwardzenia jednak się pewnie nie wymiga.

Głos w uchu dalej trajkotał:

– *Drzwi mają obwód zasilania awaryjnego, też elektryczny. W skrzyneczce masz przełącznik z napisem...*

– „Zasilanie awaryjne”, tak?

– *Skąd wiedziałeś?*

– Nieważne. Co z nim?

– *Przełącz. Potem przesunij na dół dźwignię w czerwone pasy. Wrota powinny się otworzyć.*

– Hola, zaraz. Ale po co mi to? – Garsteczka wygrzebał ze

skrzynki z narzędziami łom, pobiegł z powrotem. – Ty, co chcesz, żebym pojechał pod Falę? Chyba na łeb upadłeś, co ja wojownik szyn jestem? To ja myślałem, że tu będzie piwnica, schron, cokolwiek, żebym...

– *W hangarze nie ma nic! Jedyne jest na Stacji, musisz tam dojechać!*

– Zgłupiałeś chyba! Przecież pociąg tam trzy godziny jedzie!

– *Wlecz się na minimalnej prędkości, regulaminowo! Jak rozpędzisz się drezyną, to doleczysz w try miga! Szeregowy, chcecie żyć, czy nie? To róbcie, co wam każe!*

Garsteczka wsunął łom pod kłódkę i szarpnął, wyrywając ją razem ze skoblem. Otworzył, desperacko popatrzył. Przełącznik! Wajcha! I tylko jakaś myśl kołatała mu się w głowie, niepokoiła, rzucała się niczym oszalały ze strachu ptak. Coś było bardzo, potwornie nie w porządku! Za szybko wszystko się działo, coś mu nie pasowało, ale nie miał czasu ogarnąć, co konkretnie.

Coś szcęknęło, zabuczało, a potem wrota powoli popęzły na boki, niczym wielka, ciężka kurtyna, za którą otwierała się scena nieznanego, bajkowego świata Sektora w jego pełnej krasie.

Potężne terytorium pod ołowianoszarym niebem. A w oddali nadchodząca Fala.



Kiedy drezyzna już toczyła się w kierunku otwartych wrót, Garsteczka w końcu zrozumiał, co mu nie pasowało, i wrzasnął:

– „Świry”!

– *Że co?*

– Karabiny na galerii! Przecież nikt ich nie odłączył, dwa na pewno działają! Zareagują na ruch!

Chemik chyba spanikował. Garsteczka niemalże zobaczył oczyma wyobraźni, jak leżący na materacach agent nagle zamarł

i wytrzeszczył oczy, nie wiedząc, co powiedzieć.

Na szczęście sam Garsteczka nie stracił głowy, chociaż miałyby po temu wszelkie powody. Nawet nie próbował hamować drezyny, która ledwo, ledwo zaczęła ruszać, tylko cisnął na podłogę swoje bagaże, wyskoczył z kabiny i rzucił się w kierunku kanału remontowego.

– *Garsteczka... ja... nie mam pojęcia, jak cię uratować.*

– Zamknij się! Sam wiem!

– *Ale, co chcesz...*

– Milcz! Nie przeszkadzaj!

Chemik musiał wyczuć, że jego rady są niemile widziane, i na szczęście się zamknął, pozwalając Garsteczce samodzielnie radzić sobie z problemem. Ten natomiast właśnie sobie radził. Podbiegł do wiszącego na podnośniku chwytaka i złapał za kawał solidnej blachy. Dał radę zdjąć ją z haka, lecz mało się nie przewrócił pod ciężarem.

Odwrócił się wolno, potem zrobił parę kroków w odpowiednim kierunku... Naprzód, żołnierzu, przestawiaj nogi! Potruchtął za niemrawo sunącą po torach drezyną.

Co tam Chemik mówił o adrenalinie? Że w sytuacji podbramkowej ma działać, tak? Siła, sprawność, szybkość! Garsteczka nabierał rozpędu, przyciskając do piersi kawał grubego, zimnego i nieludzko ciężkiego żelastwa. Co to w ogóle było? Płyta pancerna, fragment pociągu?

Nieważne, metal był solidny, to najważniejsze. Pytanie tylko, jaką amunicją były załadowane „świry”? Jeśli przeciwpancerną, to będzie słabo... i jaki jest zakres działania czujników? Główny, centralny wukaem na pewno odpali od razu, przed nim jeszcze można się osłonić, ale jeśli zareagują też dwa boczne, to... No to koniec, pozamiatane.

Paradoksalnie, ta myśl dodała Garsteczce sił. Dogonił drezynę trzema wielkimi susami na chwilę przed tym, jak przejechała pomiędzy skrzydłami wrót. Wpadł na nią, zarzucił płytę na

przestrzeń ładunkową, uderzył kolanem o stalową burtę, ale nie zważając na to, podciągnął się na rękach, wtoczył do środka. Echo bólu żeber przebiło się przez otulającą mózg zasłonę narkotyków, ale Garsteczka nie miał zamiaru o tym myśleć. Nie teraz. Cierpieć będzie z chęcią potem, teraz musiał przeżyć.

Drezyna wytoczyła się z hangaru, pojaśniało. Garsteczka przerzucił płytę do kabiny, wsunął się za nią do środka; przez chwilę nie mógł się zdecydować, co zrobić najpierw, ale potem zadziałał instynkt: przede wszystkim bezpieczeństwo!

Ustawił płytę na oparciu żelaznej ławeczki, potem usiadł na podłodze i kopnął do maksimum dźwignię obrotów silnika. Złapał jeszcze zawiniątko z lekarstwami, ściągnął ku sobie karabin i strzelbę, skulił się, zakrywając głowę rękami. Drezyna dudniła i stuknęła kołami na łączeniach szyn, nabierając prędkości. Jeszcze chwilę, już zaraz, zaraz...

– *Garsteczka?* – odezwał się w jego uchu Chemik. – *Pasza, co...*

– Płytą się przysłoniłem – rzucił Garsteczka. – Leżę za nią, czekam na śmierć. Za płytą ławka, za ławką dach, a potem już tylko powietrze. Myślisz, że pomoże?

Odpowiedzieć Chemik nie zdążył. A może i zdążył, ale Garsteczka go nie usłyszał, bo zahuczał ogniem pierwszy karabin.



Rozdział 6

Kiedy resztki drezyny wytoczyły się poza strefę ostrzału, a „świr” nareszcie zamilkły, Garsteczka poruszył się i wygrzebał spod resztek ławki. Kompleks był już daleko, jego pojazd rozpędzał się coraz bardziej. Trawa nabrała normalnego koloru, pojawiły się krzaki i drzewa.

– Chemik... żyję – zameldował Garsteczka, nie słysząc własnego głosu.

– *Masz około pół godziny drogi. Mam nadzieję, że zdążysz – odezwał się Chemik. – Oczywiście Fala może nadejść w dowolnej chwili. Tak jak mówiłem, nie przewidzisz.*

Garsteczka potrząsnął głową, w której powoli cichły dudniące dzwony. Rozkaszał się, splunął, potarł czoło... Wyciągnął broń spod zrytej kulami ławki. Ustawił karabin i strzelbę na resztkach pulpitu, bardziej przypominającego teraz jakąś nowoczesną, abstrakcyjną rzeźbę, popełnioną o północy przez miłośnika substancji psychoaktywnych.

– Jak sądzisz? Ktoś z ekspedycji mógł przeżyć?

– *Nie wiem. Mieli hełmy ochronne najnowszej generacji, w takich pewnie i przez Wstęgę można by przejść.*

– Ty mi powiedz lepiej, gdzie jest ten schron? Jak go szukać?

– *Powoli, będziemy działać metodycznie. Najpierw odnajdziesz walizkę z pieniędzmi.*

Garsteczka aż się zachłysnął z wrażenia: Chemik sam daje mu

do ręki jego marzenie! Ale żeby nie było, postanowił trochę zablefować:

– Kicham na pieniądze! Gdzie schron? Ja chcę żyć!

– *Spokojnie, zdązysz. Walizka powinna być w pociągu, tylko gdzie...? Miał ją znaleźć mój pomocnik, ten, który pojechał z oddziałem majora. Jeśli nie żyje, a tak należy zakładać, to musisz szukać sam.*

– Aha, szukaj skrytki. A po to skrytka jest skrytką, żeby skryta była – przycwaniakował Garsteczka. Miał wrażenie, że zaczyna cierpieć na rozdwojenie jaźni, udając niewiedzę przed głosem we własnej głowie. Przecież doskonale wiedział, jak wygląda i gdzie jest skrytka, w której przywożono do Sektora pieniądze, a wywożono do bazy zaopatrzeniowej artefakty.

– *Będziesz miał jeden wagon i lokomotywę, nie naszukasz się za bardzo. Problem jest inny: ludzie Wiedźmaka, którzy mieli przynieść „oko” na Stację. Jeśli się schowali, to mogli przeżyć. Jeśli nie, to zginęli. Tak czy inaczej, znajdź ich... oraz „oko”. Zabierz im, niezależnie od tego, co będziesz musiał zrobić.*

Garsteczka potrząsnął głową. Pięć milionów za towar i sam towar! Że też sam o tym nie pomyślał!

– *I po trzecie... – kontynuował Chemik. – Sprawdź, co z Kaufmannem i jego córką, czy jeszcze żyją. Jeśli tak, to bierzesz ich, „oko” oraz pieniądze i wracasz tutaj, do Sektora.*

– Co do dziadka i jego kobietki, to spoko. Ale to co, mam rozumieć, że jeśli tamci włóczędzy jeszcze żyją, to mam ich wszystkich tegeś? Bo wiesz, za buziaka to mi twojego „oka” nie oddadzą.

– *To wtedy kup za pieniądze ze skrytki. Słuchaj, działajmy po kolei, co? Najpierw dotrzyj w ogóle do Stacji, jeśli trzeba, przeczekaj Falę. Potem znajdź pieniądze.*

O tak, pieniądze. Garsteczka aż poruszył palcami, wyobrażając sobie, jak będą szeleścić mu w rękach nowiuśkie banknoty. Albo i stare, bez różnicy! Byle dużo. I superartefaktem też nie

pogardzi. Jeśli ten pajac Wiedźmak chce za niego piątkę, to w szerokim świecie dadzą ósemkę. Albo i dyszkę. Przypomniał sobie sumy, które wpływały na jego konto po każdorazowym wyjeździe do Lublina. Co to było! Żałosne drobniaki w porównaniu do tego, co musiał zarabiać Titomir. A przecież to też był tylko procent od prawdziwych pieniędzy, którymi kręcił Cywik i inni mądrale z ONZ.

Garsteczka wysunął głowę z drezyny, wystawiając twarz do wiatru. Pachniało trawą, mokrą ziemią, trochę bagnem i ledwo zauważalnie ozonem, jak po letniej burzy. Wiejący z Sektora ciepły wiatr wzmagął się cały czas, nabierał siły i – paradoksalnie – temperatury. Jeszcze nie był gorący, na razie nieporywisty, ale jeśli tak pójdzie dalej, to tylko czekać Fali.

Drezyna zgrzytała kołami i pojękiwała, ale toczyła się naprzód, lecąc pomiędzy pagórkami i pojedynczymi drzewami. Wszystko w Sektorze było szarozółtawe, jakby wyblakłe.

– Słuchaj, a ten Kaufmann, to dla niego ta cała ekspedycja była, tak? Że niby ten sławny? Profesor Artur Kaufmann... Nawet ja słyszałem. On jakoś jest powiązany z pojawieniem się Sektora, prawda? Że to podobno on go stworzył?

– *Kaufmann nie stworzył Sektora, to bzdury. Ale faktycznie bywał w Polesiu, które teraz nazywają Zagubionym Miastem. W samym centrum Sektora. To w ogóle nietuzinkowy człowiek o nietuzinkowym życiorysie. Otóż nie wiem, czy wiesz, że Artura odnaleziono...*

Garsteczka chciał coś powiedzieć, ale machnął tylko ręką. Niech Chemik gada. Rozsiadł się na resztkach ławeczki, przymknął oczy.

– *...odnaleziono wkrótce po pierwszej Superfali, z częściową amnezją. Musiał od początku się uczyć pisać, na nowo wyrabiać nawyki społeczne. Przy czym szło mu to niesamowicie szybko, kilka prac naukowych o tym napisano. I teraz zakończył fazę testów nowego hełmu ochronnego, więc ta ekspedycja miała być*

dla nich próbą polową. Oprócz niego jest tam jego asystent oraz córka, Nika, która też pracowała wcześniej w Sektorze, zajmując się...

– Czyli major Titomir wykorzystał ekspedycję jako przykrywkę – przerwał ten monolog Garsteczka. – Niech sobie jajogłowi grzebią w elektronice, a on się po cichutku spotka z dostawcą. Cwaniura!

– *Garsteczka, nie doceniasz przeciwnika. Major Titomir jest zimnym, cynicznym, niezmiernie skutecznym i zdecydowanym człowiekiem. Wiesz, jak na niego mówią w Sektorze? Żelazny Major. To on wydał rozkaz czystki rok temu, kiedy wytłuczono prawie pół setki włóczęgów.*

Garsteczka słyszał o „akcji specjalnej”, jak ją nazywano w Kompleksie, ale szczegółów nie znał. Więc to była robota majora? No, no... Poważny typek, prawdziwy esesman.

Mgła niemalże już się rozviała, chociaż drzewa w oddali nadal tonęły w błękitnawym oparze. Było cicho i nawet dość ciepło, chociaż słońca nie było widać zza chmur. Tory minimalnie uciekały na bok, chowając się za pasmem pagórków. Cisza... i tylko drezyna niczym pływająca wyspa pośród tego oceanu milczenia.

Garsteczka ziewnął, popatrzył na zegarek i powiedział:

– Coś mocno zaczyna dmuchać, prosto w ryj, od wschodu. I ten pasek nad horyzontem już jest ciemnoczerwony, paskudny. Poza tym niebo czyste.

– *A to dziwne. Przeważnie przed nadejściem Fali całe niebo powinno ściemnieć.*

Garsteczka wzruszył ramionami i obejrzał się. Tył drezyny praktycznie przestał istnieć, rama budki wyglądała, jakby zaatakował ją ogromny kornik. Wciąż trzymająca się na resztkach ławki stalowa płyta dostała gwałtownego ataku ospy, jeden pocisk nawet utkwiał w niej, do połowy przechodząc na drugą stronę. Gdyby nie żelazna ławka, to z Garsteczki zostałyby

miazga... Uśmiechnął się, wspominając dawno temu oglądany western, w którym główny bohater wsadził sobie pod koszulę drzwiczki od piecyka, żeby ochronić się od kul bandytów. On teraz też był samotnym kowbojem, jadącym dylizanssem w nieznane.

Kapelusz by się tylko przydał. Ech, a przecież taki fajny kiedyś miał! Ponad rok go ze sobą wszędzie nosił, choć sierżant dostawał piany na pysku, że nieregulaminowe nakrycie głowy. A potem zaczęła się akcja, wokół zaświstały kule i zgubił, nawet nie wiadomo gdzie.

Żelbetowy mur Kordonu był już tylko ledwo widocznym, szarym paseczkiem... I nagle po prostu zniknął. Kompleks też powoli rozpływał się w mgiełce, widoczny jako nieduże pudełeczko ponad widnokretem.

Gdy Garsteczka usiadł na pokrzywionej ławce, odezwał się Chemik:

– Słuchaj, tak cię zapytać chciałem... Wspomniałeś jakoś mimochodem, że do Kompleksu cię wysłali jakby za karę. O co chodziło?

– Ześlanie. Byle dalej, żebym z oczu zszedł.

– No dobrą, ale za co?

Garsteczka umilkł, zastanawiając się. Agent nie znał jego przeszłości. Pytanie, czy mógł ją poznać? Czy miał dostęp do jakiegoś archiwum, nie mogąc skontaktować się ze światem? Trzeba będzie zagrać va banque, zakładając, że Chemik nic o nim nie wie. Najważniejsze to umiejętnie wymieszać kłamstwa z prawdą.

– Byłem w Tadżykistanie, kiedy tam się... No, słyszałeś na pewno... Rewolucja, albo bunt, jak zwał, tak zwał. Rządowi kontra powstańcy. Albo separatyści, znów kwestia punktu widzenia. Nasi oczywiście musieli wkroczyć, że niby pomoc humanitarna. Konwój z żywnością, znasz ten numer, nie?

– Znam. Mów dalej.

– No i... No i byłem tam. I trochę wyszedłem poza regulamin sił zbrojnych.

– *Wyszedłeś, ale rozumiem, że w dobrą stronę? Oddałeś głodującym cywilom ostatnią rację żywnościową? Wyprowadziłeś kobiety i dzieci spod ostrzału, zamiast zostawić na pastwę losu? I za to trafiłeś do karnego raportu?*

Garsteczka poprawił się na ławeczce, pomacał zabandażowany bok.

– Słuchaj, nie chcę o tym mówić. Okej? Nie chcę, i tyle. Sprawa mocno osobista, a ja cię w życiu na oczy nie widziałem.

– *Co, nie chcesz się chwalić? Niech ci będzie, bohaterze. No to w zamian kilka słów o mnie może: średni wiek, waga i budowa ciała przeciętne. W miarę sympatyczny, nie taki do końca głupi. Snob.*

– Jaki snop?

– *Snob. W zasadzie to mizantrop, bo ludzi nie lubię. Nie to, że nikogo, ale jako zbiorowości. No dobra, dość tego speed datingu. Jak tam niebo, powiedz?*

– Na wschodzie bez zmian. Coraz bardziej czerwone.

– *A ty jak się trzymasz? Promedol powinien jeszcze godzinę–dwie podziałać.*

– Nieprawda, zależy od rany i masy ciała. Ja tu...

Garsteczka nagle zerwał się z ławeczki, patrząc w potrzaskane okienko. Niedaleko od torów, pod rozłożystym drzewem, stał niedźwiedź. Nie taki znów duży, ale z dziurą w boku. To jest z raną – ogromną, rozległą i głęboką – przez którą widać było żebra i coś różowoczerwonego pomiędzy nimi. Powoli obracając kosmaty łeb, zwierz obserwował przejeżdżającą drezynę czarnymi, lśniącymi ślepiami.

– No ja cię pierdykam w zęby! – sapnął Garsteczka. – Ale sztuka...

– *Hę? Co?*

– Zwierz, niedźwiedź. Ranny.

– *Atakuje cię?*

– Nie, stoi sobie. Gapi się.

Niedźwiedź nagle stanął na tylnych łapach, uniósł przednie nad głowę i zaryczał. Ochryple, przeciągle. Ponuro. Drezyna toczyła się dalej, drzewo i zwierz zostawały z tyłu, tylko ten ryk odbijał się słabnącym echem, cichnąc stopniowo. Garsteczka znów przysiadł, potrząsnął głową.

– O czym to ja... Aha, no tak. Promedolu sobie dałem niedużo, żebym czasem nie rzygał. Poza tym od tego się we łbie pier... no, maści. Chemik, a ty byłeś tam, gdzie jedzie drezyna? Na tej Stacji?

– *Kilka razy. To zwykła stacja towarowa, jak każda inna. Te tory to część dawnego systemu kolejowego.*

– No dobra, tyle wiem. I po co właśnie tam jeżdżą z Kompleksu?

– *Sektor dzieli się na trzy części. Oczywiście umowne, bo granic nie ma. Wzdłuż Kordonu ciągnie się Rubież, najmniej niebezpieczna; właśnie tam teraz jesteś. Dalej masz Koło, albo Szare Koło. Od naszej strony Stacja jest punktem granicznym pomiędzy jednym a drugim. A najgłębiej jest już Wstęga, gdzieś w niej trzy jeziora i Polesie, gdzie nikt nie chodzi. Promieniowanie prowadzi do nieodwracalnych zmian neurologicznych, a sama Wstęga to już czystej wody zakrzywienie kontinuum czasoprzestrzennego. Wstęga Möbiusa, jeśli wiesz, o czym mówię.*

– Wiem, wiem – mruknął Garsteczka. – Sroce spod ogona nie wypadłem.

– *Więc Polesie, czyli Zagubione Miasto, trafiło w sam środek wstęgi, która pojawiła się po pierwszej Fali. Albo też na odwrót, bo Fala mogła powstać właśnie przez pojawienie się wstęgi. To bardzo zastanawiające, że...*

– Chemik... – jęknął Garsteczka. – A pytanie jeszcze pamiętasz?

– *Jakie pytanie?*

– Dlaczego naukowcy jeżdżą na Stację?!

– *Bo to ostatni bezpieczny punkt. Droga spokojna, nie ma*

anomalii, bandyci nie podchodzą. Do tego masz tu pełne warunki biofizyczne Sektora, lokalne zaburzenia czasoprzestrzeni i doskonałą bazę do doświadczeń. Na Stacji zorganizowali niedużą bezzałogową placówkę badawczą, na którą od czasu do czasu trzeba dowieźć paliwo i zabrać odczyty. Dla szabrowników nic ciekawego, podobno sami tak mówią: „Puste Miejsce”.

– Ech, no dobra. Co z tym schronem antyfalowym?

– Stoi tam piętrowy budynek, dawne biuro. Na parterze jest laboratorium, a pod nim piwnica.

– I z tej piwnicy wejście do schronu, tak?

– Nie. Piwnica jest schronem.

Garsteczka przeciągnął dłonią po twarzy. Zdecydował, że pora zmienić temat, bo partner zaczyna działać mu na nerwy.

– Powiedz mi lepiej, co mam zrobić, jeśli Titomir i jego ludzie przeżyli? Mam wtedy, no nie wiem, na krzywy ryj się wkręcać? Czy...

Nagle coś błysnęło, ale na czarno. Świat zapadł się w siebie, jak gdyby ktoś wyłączył światło, nastąpiła nieprzenikniona ciemność. Garsteczka usłyszał, jak w głowę zaczynają wwiercać mu się niepokojące, obce szepty, w otaczającym go mroku pojawiły się rozmazane, trudne do ułowienia wzrokiem sylwetki. Skronie ścisnął ból. Garsteczka złapał się za głowę.

– Co się... dzieje?!

I równie nagle wszystko minęło. Znow pojaśniało, świat wyglądał normalnie.

– Co? Co się stało? U mnie nagle radio ożyło... – odezwał się Chemik.

– A u mnie głowa – jęknął Garsteczka, rozglądając się wokół. Pasma ciemności ponad widnokregiem zagęściło się i rozlało szerzej. – Jakby mignięcie, widziałeś to?

– Tutaj u mnie nie ma okien. Ale... coś było, jakby światło zgasło.

– Dobrze masz, że tego nie widzisz. Bo ja... Czekał, teraz jeszcze i słyszę!

Garsteczka znów uniósł się, wyjrzał przez okienko. Tory biegły akurat po grobli, przechodzącej przez zabagnione rozlewiska. Wszędzie dokoła rosły kępy gęstych, niskich krzewów.

– *Co tam?*

– Ano... Nie, nie wiem. Coś mi się wydawało chyba.

Rzeczywiście, dookoła było pusto. I z jednej, i drugiej strony nasypu tylko krzaki i ziemia pobłyskująca maleńkimi oczkami wodnymi... Odruchowo położył rękę na karabinku, gdy zza krzaków wyskoczyła ciemna sylwetka.

– Ożeż ty! Wilk? – zdziwił się Garsteczka. – Taki włochaty? Albo... Nie, słuchaj, co to za zwierz dziwny? Jakby wielki brytan.

– *Jak wygląda? Dokładnie!*

– Nie wiem!

Naprawdę nie wiedział! Stwór był czarny, wielkości dużego bernardyna, ale nic ponadto nie dało się powiedzieć – istota przypominała raczej kłęb gęstego, czarnego dymu. Wielki łeb na krótkiej szyi, masywny tułów, grube łapy... A na grzbiecie... torba? Tak, coś w rodzaju wypchanych juków. I przytroczony rzemieniami koc, albo karimata.

Istota długimi susami ruszyła za dreżyną wzdłuż nasypu. Wokół stwora przestrzeń jakby gęstniała i falowała, zdawało się, że rozchodzą się po niej drobne fale.

– *Jak to nie wiesz, jak wygląda?!*

– No normalnie, nie wiem! Jakby z dymu był zrobiony. Niby widzę sylwetkę, ale... I wokół niego też jest coś dziwnego! Jakby światło gasło!

– *Co?*

– Nie wiem! Przyjdź i sam zobacz!

Dymny pies skoczył na szczyt nasypu, pędząc za dreżyną. Garsteczka wychylił się nieco bardziej przez okno, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że zrobiło się ciemniej i zimniej, jak gdyby od istoty ciągnęło chłodem. Faktycznie, wokół psa jakby robiło się ciemniej! A co będzie, jeśli podbiegnie bliżej? Jeśli skoczy? Czy

da radę go powstrzymać zwykłą amunicją? Lepiej byłoby wziąć strzelbę pulsacyjną, ale zanim się naładuje...

Stwór zrównał się z drezyną, ale i tak nie było go lepiej widać. Ciemność wtłoczona w ramy sylwetki, nic więcej – falujący, skłębiony mrok. Za nim ciągnął się długi ogon, z którego spadały i powoli rozwiewały się w nicość długie pasma. Dym... Pies naprawdę dymił! Ani ślepiów, ani pyska – chociaż nie, pysk był, uchylił się, błysnął czerwienią jęzora i bielą zębów.

Garsteczce zrobiło się lżej na duszy: ma paszczę, czyli są też organy wewnętrzne, więc powinien też krwawić! Nie aż taki znów eteryczny ani mistyczny stwór, skoro ma taką mordę!

Stwór był tak blisko, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby złapać za obłazący pasmami ciemności kark. Garsteczka odniósł wrażenie, że istota zaraz skoczy do środka! Niewiele myśląc, chwycił za broń i dał ognia.

Karabinek plunął ołowiem, ale pies zahamował ułamek sekundy wcześniej, przysiadł na tylnych łapach. Garsteczka zaklął i wychylił się dalej, puszczając mu w ślad serię. Pies skoczył za drezynę, skrył się za burtą, więc on skulił się w kabinie, wystawił lufę przez dziurę i kilka razy strzelił w kierunku widmowego psiska. Istota skoczyła w bok, schodząc mu z linii ognia, po czym płynnym ruchem schowała za nasypem.

Garsteczka zaklął, poderwał się i zaczął zmieniać magazynek.

– *Garsteczka! Co ty tam robisz?*

– *W zbijaka gram, twoja mać!* – krzyknął wkurzony. – *Strzelam przecież, a co! A on mi spod kul ucieka!*

– *Hm, hm... Może to telepata?*

– *Telepatia nie ma potwierdzenia naukowego!*

– *A ty skąd... Zresztą, masz rację. Ale może nie czytać myśli, tylko wyczuwać zamiary, rozumiesz? Jakby zgadywać.*

Świat znów zamigotał, zrobiło się zupełnie czarno, wszystko znikło. W mózgu Garsteczki rozległy się szepty, znów zabolą

głowa, której od razu zawtórowały zębra. Zgrzytnął zębami, złapał ręką za okienko.

Miał wrażenie, że w ciemności przelatują obok niego sylwetki domów, ulice i jakiś niski budynek z kolumnami przed wejściem. Wszystko szare, jak fototapeta wydrukowana w skali szarości. Pośrodku budynku ziała czarna plama, niczym źrenica, dziura donikąd...

Po chwili ciemność ustąpiła, wokół znów rozciągała się zwykła, jesienna panorama. Psa też już nie było.

– Zniknął! – Garsteczka aż przetarł oczy, jakkolwiek do tej pory uważał to za idiotyczny, przesadzony, filmowy gest. – Psa jego mać, zniknął! Był i nie ma!

– *Po tym... drugim zgaśnięciu świata?* – uściślił Chemik ostrożnie.

– Tak!

– *Hm. To niedorzeczne, ale... istnieje coś takiego, jak teleportacja kwantowa. Ale to działa na poziomie cząsteczek subatomowych, a nie obiektów w skali makro. Jeśli mamy tu do czynienia ze skutkami przejścia międzyfazowego, kiedy pole próżniowe próbuje poprzez skoki potencjału zrównoważyć minimalną energię...*

– Chemik, ty się kontroluj! Nie życzę sobie, żebyś do mnie mówił takimi słowami. Powiedz lepiej, co mam robić? – Garsteczka przechylił się, wyjrzał przez drugie okno. – No nie ma go! Czyli co, zniknął i teraz się może zjawić ponownie? Jak trzeci raz błysnie?

– *Poczekaj, zaraz. Myślisz, że ten ciemny błysk był wynikiem jego teleportacji?*

– No, dokładnie tak! Albo... albo na odwrót.

– *Pozwolę sobie na szczerłość: ni cholery nie wiem, co tam się u ciebie dzieje* – sapnął Chemik.

– Witaj w moim świecie, szpiclu.

Garsteczka próbował kontrolować obie strony nasypu naraz, od czego prawie dostawał oczopląsu. Skrzywił się, pomacał

żebra: niedobrze, bolało coraz bardziej.

– Chemik, zaczyna mnie boleć – poskarżył się, zaglądając pod ławeczkę. – Podejrzanie szybko. O, cholera... Mam lekarstwa w zawiniątku, ale teraz to chyba już miałem.

Zawiniątko się o coś zaczepiło, trzeba było je wyciągać siłą. Garsteczka położył resztki kurtki na podłodze, rozwinął i popatrzył krytycznie na zawartość.

– No to mamy lek uniwersalny... – warknął.

Już wcześniej mu się wydawało, że jak wyjechał spod „świrów”, to coś tam podejrzanie brzęczało i dzwoniło. Węzełek najpierw musiał dostać kilka kulek, a potem spadła na niego ławeczka. Gdyby do niego zajrzał wcześniej, to może coś by zdołał uratować, a tak to buteleczki się potłukły, tabletki wysypały, a potem wszystko razem zamieniło się w jedną breję, która wsiąkła w bandażę i opatrunki.

– *Co? Co mówisz?*

– Że kontinuum zesrało się na moją apteczkę polową. A potem kurtką podtarło.

Garsteczka oparł się o postrzelaną ławeczkę, popatrzył na lewo i prawo, czując, jak narasta w nim desperacja. Nic, wszędzie pusto, tylko pokrzywione drzewa i trawa... Skulił się, gdyż robiło mu się zimno w samej koszuli. Ból w boku narastał.

– Chemik, jest słabo. Powiedziałbym wręcz, że kijowo. Jeść nie mam co, wody tylko tyle, co w manierce. Kilka magazynków do pistoletu, dwa do karabinu, plus pudełko w kieszeni. Do tego nóż i ta twoja strzelba elektryczna, energooszczędna, czy jaka tam. Mówiłeś, że ten artefakt jest naładowany, tak?

– *Tak...*

– Czyli wnoszę, że i rozładować się potrafi. Świetnie. Zimno mi w dodatku. Lekarstwa poszły się dymać, przeciwbólowego brak. Boli.

– *Rzeczywiście, niedobrze. Z drugiej strony, to wszystko może być mniej istotne, niż myślisz.*

– To znaczy?

– *W każdej chwili Fala może cię przemieścić na kaszę.*

– Och, mój pocieszycielu! Zakładam, że poza tym, co mi mówiłeś, to jeszcze kawalerem jesteś, bo z takimi tekstami...

Znów błysnęło mrokiem. Tym razem Garsteczce wydało się, że na mgnienie oka przed zapadnięciem ciemności jakby coś go dźgnęło palcem w serce. Teraz, zaraz! Poderwał się, złapał za karabin. Sekunda bez wizji, potem znów mignęły sylwetki domów, ulica i ciemnoszary, niski budynek z kolumnadą, za którą płonęła czernią dziura pustki, niczym wielkie oko... I zaraz potem wrócił świat.

A razem z nim skrzypiący, uginający się dach drezyny. Garsteczka zrozumiał, że dymny pies jest tam, nad nim!

Rzucił się na podłogę i wypuścił długą serię z karabinka, dziurawiąc daszek jak rzeszoto. Zwierz jednak znów wyczuł zagrożenie, zeskoczył w lewo długim susem.

Żebra zapulsowały bólem. Garsteczka skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę, ale dał radę podnieść się na kolana. Syknął cicho: „Chemik, nie przeszkadzaj teraz” i wychylił z pojazdu.

Czarna, utkana z dymu sylwetka biegła wzdłuż nasypu. Okolica mocno się zmieniła: błotnisty ugór zastąpiły gliniaste zbocza, krzaki i rachityczne drzewa, spomiędzy których od czasu do czasu widać było to kawałek betonowej belki, to starą hałdę żwiru. Drezyna minęła na wpół zwaloną budkę dróżnika, zarośniętą łopianem.

Garsteczka ostatecznie nie strzelił do psa, zamiast tego wstał, zdjął z mocowania pulsar i zarzucił za plecy. Przez potrzaskaną przednią szybę widać już było zabudowania.

– Stacja! – Zerknął z ukosa na stwora, który biegł może pięć metrów od torów, zostawiając za sobą strzępki mroku. Skierował na niego lufę, żeby bydlę wiedziało, że gotów jest strzelić, i znów popatrzył przed siebie. – Chemik, widzę Stację! Blisko już.

– *Dobrze. A co z tym zwierzakiem? Słyszałem, że strzelałeś.*

- No bo znów tu jest, biegnie za mną, ale nie atakuje.
- *Może nie ma zamiaru?*
- Kto go wie... Słuchaj, co to tam jest, na torach? Coś jakby...
- *Co?* – zaniepokoił się Chemik.
- No nie wiem. Czarne coś, ale iskrzy na złoto. I jakby się kręciło. Nieduże takie, nad szyną wisi...
- *Opisz dokładniej. Takie wrażenie, jakby przestrzeń się zapadała i płynęła?*
- Coś w tym stylu. I taki jakby wirek ze złotych iskier, a pod nim czarne.
- *Garsteczka, skacz!*
- Co...?
- *Spieprzaj z tej drezyny! Ewakuacja! Już, natychmiast!*

Tak samo krzyczał na Garsteczkę kapitan – wtedy, na kutrze, przy brzegach Amu-Darii. Na chwilę przed tym, jak bojownicy zdetonowali przyczepioną do płynącej beczki bombę.

Pies biegł po lewej stronie nasypu, więc Garsteczka, niewiele myśląc, rzucił się szczupakiem w prawo. Wrzasnął częściowo ze strachu, częściowo z bólu, gdy potoczył się po zarośniętych trawą kamieniach.

Poderwał się na nogi, rozejrzał. Stacja była zupełnie blisko, drezyna toczyła się wprost ku niej – a zaraz przed nią w powietrzu wisiał metrowej wysokości czarny stożek, sypiący iskrami. Garsteczka zdążył jeszcze dostrzec, że oprócz iskier wirowały w nim jakieś rozmazane, kolorowe bryzgi, a potem w to wszystko wjechała drezyna.

W pierwszej chwili zdawało się, że spokojnie przejedzie przez stożek. Garsteczka już nabierał tchu, żeby zrugać Chemika, który niepotrzebnie wszczął panikę, ale w tej samej chwili pojazd jakby podbiło gigantyczną pięścią do góry. Błysnęło, drezyna podskoczyła i cała zaiskrzyła na złoto, a potem słup ciemności urósł, przebił ją na wylot i rozerwał na części. Kawałki żelaza poleciały na wszystkie strony, brzęcząc i stukając o tory.

– Co za... – Garsteczka zatoczył się, przyłożył rękę do czoła. Ostrożnie ruszył wzdłuż torów, omijając szerokim łukiem to, co pozostało po dreźnie. Słup czerni zniknął, po prostu rozpląnął się w powietrzu.

– „Gromnica”! *To musiała być „gromnica”!* – zapiał w jego głowie Chemik. – „Czarna gromnica”, jako pierwszy opisał ją ustnie włóczęga Locha Timofiejew. Jego też mało nie przedźgała na wylot, podobno ledwie się uratował. Wielu nie miało tego szczęścia... Co z drezyną?

– Już po niej, tylko kawałki zostały.

– *Ciesz się, że ty cały jesteś. To, co „gromnica” robi z organiką... Gdybyś został w dreźnie, to rozlazłbyś się jak namoczona bułka.*

Garsteczce wcale nie zrobiło się od takiego porównania przyjemniej, ale tylko przełknął ślinę i znów dotknął coraz mocniej bolących żeber. Rana zaczynała piec żywym ogniem...

Pulsar wisiał na plecach, karabinek miał w ręku; nigdzie nie było widać dymnego psa. Gdzie on się podział? Przecież biegł tuż obok, a ciemnego błysku nie było, więc nie zniknął. Gdzieś tu się pewnie chowa.

– „Gromnica” znika po wyładowaniu – poinformował Chemik.

– Zupełnie? A ja jeszcze coś widzę...

Garsteczka ostrożnie podszedł ku wirującym w pobliżu resztek drezyny iskierkom. Z jednej strony oblewał się potem, ale jednocześnie aż drżał z zimna... Jednak utrata krwi i zmęczenie organizmu dawały się we znaki.

– Słuchaj, Chemik, ale tam coś się jeszcze dopala. W tym miejscu, gdzie była ta cała „gromnica”.

– *Powtarzam ci, że „gromnica” znika po aktywacji. A co widzisz?*

– Takie... okrągłe. No, okrągłe i świeci. Obok szyny.

– *Nieemożliwe. Nie możesz widzieć, że się świeci.*

– Jak nie mogę, jak mogę?! Wokół „gromnicy” też się świeciło, a jak drezynę rozpiźdz było, to aż cała zaśniła. Jakby ją kto

brokatem sypnął.

Z jakiegoś powodu Chemik zareagował mocno ekstatycznie.

– *Złotem!* – krzyknął Garsteczce w ucho. – *Ach, diabli! Garsteczka, to okrągłe, to artefakt! Kiedy anomalia ginie, potrafi po sobie coś zostawić. Akurat „gromnica” wytwarza „galaretę”, bardzo rzadki artefakt. Jeden dekagram na czarnym rynku jest wart około tysiąca dolarów.*

– Oho, zacne dolce, milordzie.

– *„Galareta” leczy rany. Ale w jaki sposób... przecież nie powinieneś widzieć promieniowania... Ludzie nie widzą tego spektrum, nie ta długość fali. Chyba, że ty...*

– Co? Mamrociesz coś pod nosem, ja cię nie rozumiem! – zdenerwował się Garsteczka, rozglądając się jednocześnie, czy gdzieś w okolicy nie czai się dymny pies. Przykucnął jakiś metr od domniemanego artefaktu. – Poza tym, o co te nerwy? Wokół „partnera” też takie coś było, ale czarne i rozmyte.

– *Ale przecież...*

– Dobra, cicho bądź. Spróbuję się przyjrzeć bliżej.

Teraz już widział, że pomiędzy podkładami leżał strzęp żółtawej... no faktycznie, galarety albo żelatyny. Ochłap mniej więcej wielkości pięści, po którego powierzchni biegały złociste iskierki. Niby kanciasty, ale kanty były wyoblone i jakby rozpływające się.

– Ty, to jest niebezpieczne?

– *Nie. Podszedłeś już? Duży okaz?*

– Bo ja wiem? Jak pięść. Ciekawe, ile waży... No dobra, skoro nie jest groźny, to jazda. – Garsteczka zgrzytnął zębami, gdy żebra znów zaboląły, ostrożnie podsunął się bliżej. Wyciągnął rękę, potem cofnął. – A nie będzie gorące? Ręki mi nie spali, albo nie urwie? Przecież dreżynę rozjebutało, że hej...

– *Pospiesz się lepiej, Fala jest już niedaleko! „Galareta” przyspieszy regenerację tkanek, nic więcej. Co z tym zwierzakiem?*

– Ba, sam bym chciał wiedzieć...

Po raz kolejny Garsteczce błysnęła nieoczekiwana myśl, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spojrział na „partnera”: a gdyby dało się na artefakt jakoś wpłynąć? Nie żeby ręką popchnąć, a... no... myślami! Wysiłkiem woli.

Garsteczka przykrył artefakt dłonią, a języki złocistego blasku owinęły się wokół jego nadgarstka. W palce zakłuło, zaszczypało, pojawiło się uczucie ciepła. W pierwszej chwili chciał cofnąć rękę, w obawie, że zaraz zrobi się gorąco, ale potem wrażenie osłabło. To było nawet przyjemne, jak wtedy, kiedy w mroźny dzień człowiek przykładła ręce do kaflowego pieca.

– *No i co tam?*

– Trochę kłuje i drapie.

Wysłuchując się w odczucia organizmu, Garsteczka objął artefakt palcami, potem wstał, uniósł go przed twarzą – i w myślach dmuchnął na strzępki wysączającego się z „galarety” blasku.

Uch ty, udało się! Smugi zafalowały i poruszyły się, jakby zamigotały. Garsteczka spróbował przekonać drżące promyki, żeby się uspokoiły, a one pokornie opadły w dół, okrywając artefakt i dłoń miękką, półprzezroczystą firanką.

– Tysiąc za deko, powiadasz... – mruknął w zadumie.

– *Na czarnym rynku. Duże laboratoria płacą po półtora-tysiąc siedemset. Weź już idź na Stację.*

– Skoro tak, to mam w garści co najmniej pół dużej bańki.

– *Co, co? Pół kilo wagi?*

– Co najmniej.

– *Oho, to rzadkość. A że nieuzbrojonym okiem widzisz promieniowanie, to w ogóle aberracja. Słuchaj, ale ty biegnij do Stacji! Tylko patrzeć, jak nadejdzie Fala. Artefakt za pazuchę i biegiem!*

– Pazuchy nie mam, a pobiec nie dam rady. Żebra bolą. – Garsteczka wsunął artefakt do kieszeni spodni, patrząc z fascynacją, jak złocista mgielka przesącza się przez tkaninę.

Potem spojrział odruchowo na wschód...

Zamarł. Uniósł brwi, rozejrzał się. Odezwał się słabym głosem:

– Chemik, wiesz co...

– *Co? Wnosząc z twojego tonu...*

– Rozpogodziło się.

– *Co? Jak?*

– Na wschodzie! Czyściutkie niebo! Czerwień, te chmury – wszystko zniknęło! Jak to, dlaczego...? Nie ma Fali, nie będzie! Po kościach się rozeszła!

– *Aparatura też się uspokoiła – sapnął Chemik. – Ja tu z tobą gadam, patrzę, a rzeczywiście amplituda się wygładziła, nie ma nic...*

– Ale to tak bywa?

– *Teoretycznie. Istnieje możliwość powstania Fali widmowej, ale tylko teoretycznie. W praktyce jeszcze ich nie widziano.*

– No to masz akurat! I co... Chociaż nie, czekaj. Uff, to dobrze w sumie, że jej nie będzie. – Garsteczka wytarł pot z czoła i ruszył w kierunku Stacji. – To powiedz mi co innego: jak wyleczyć ranę artefaktem? Po prostu go przyłożyć? Pod bandaż, czy jak? Cholera, znów mi krew leci...

– *Po pierwsze, użyj nie więcej jak dziesięć–piętnaście gramów. Po drugie, nie po prostu. Trzeba zrobić specjalną maź, nałożyć... Potrzebne są dodatkowe składniki.*

– Byle do Stacji dokuśtykać. Potem się poszuka.

– *Obawiam się, że tak łatwo nie znajdziesz. Ja sam nigdy tego nie robiłem.*

– Patrzcie go, optymista. Nogi się pode mną uginają, krwawię jak prosiak...

– *W głowie się kręci?*

– Jakbym zsiadł z karuzeli.

– *Spróbuj znaleźć jakąś laskę, żeby się podpierać. Jak upadniesz, możesz nie wstać.*

– Skąd ja ci... tu nie ma nawet porządnych drzew.

Najważniejsze, że Fala nie przyjdzie.

Garsteczka przymknął oczy, przyłożył rękę do boku. Bolało. Z trudem przestawiając nogi, krok za krokiem ruszył dalej. Nagle, tknięty przecuciem, obejrzał się przez ramię.

Dymny pies biegł po torach, prosto na niego.

Karabinek wisiał pod ręką, gdyby go teraz poderwać i obrócić się... Jednak Garsteczka czuł, że szybkie ruchy są chwilowo poza jego zasięgiem. A zwierz był coraz bliżej, czerwona paszczyka otwierała się półksiężycem, niczym ognista szczelina pośród kłębów mroku, widać było matowobiałe kły.

Od strony Stacji rozległ się stłumiony wystrzał, a mordę psa rozerwało, rozrzuciło na boki strzępami dymu. Kula przeleciała na wylot, zostawiając za sobą kanał o nierównych, wijących się i poszarpanych krawędziach. Zwierz odskoczył, po czym przypadł przednimi łapami do ziemi, plama ciemności rozszerzyła się, a potem zniknęła – razem z nim.

Garsteczka zamrugał i po prostu poszedł dalej. Nie miał już siły się dziwić, w żebra jakby mu kto wsadził rozgrzany pogrzebacz, więc szedł, zgięty wpół.

– *Co jest? Co się dzieje?* – odezwał się znów Chemik.

– Zwierz się pojawił. I zniknął. Ktoś go zastrzelił.

– *Kto?*

– No mówię, ktoś. Snajper.

– *Aha! Czyli istota była jednak materialna, żadnej mistyki... Ale kto strzelał?*

– Mówię, że nie wiem! – warknął Garsteczka. – W dupę se wsadź swoją mistykę!

– *No dobrze... i co teraz?*

– A co ma być... Idę dalej, do Stacji. Nie ma się co chować, i tak mnie widzą.

– *Mógł strzelać ktoś od Titomira. Czyli nowe hełmy ich uratowały!* – ucieszył się Chemik.

– Zobaczymy – sapnął Garsteczka. – Jeśli dojdę.

Stacja była już zupełnie blisko, ale Garsteczka nikogo tam nie widział, żadnego ruchu. Dokładnie tak, jak to opisywał Chemik: hałdy żwiru, piętrowy budynek administracji, składy, peron... I stojący przy nim krótki skład pancernego pociągu.

– Chemik... – jęknął znów – widzę pociąg. Przy wagonie z tyłu jest opuszczony trap.

– *Zgadza się, tam jest przedział transportowy z amfibią. Model eksperymentalny, specjalnie do przemieszczania się po Sektorze.*

– Wiem, słyszałem. Ale ja o czym innym. Stąd nie widać, ale chyba jej tam nie ma. Czyli co, pojechali gdzieś?

– *Kto w takim razie strzelał?*

Garsteczka nie odpowiedział. Nie był w ogóle pewien, jak i kiedy dotarł do peronu. Resztkę sił zużył na wejście po żelaznym trapie.

Wagon był podzielony na przedziały; w tylnym nie było nikogo.

– Hop, hop! – zawołał, kuśtykając dalej. – Halo! Jestem z Kompleksu! Szeregowy Nowickij! Hej!

Już wiedział, że w środku będzie pusto. Tak samo było w Kompleksie: od razu czuł, że nikogo tam nie ma. Gdzieś, hen daleko, był normalny świat – ludzie, domy, rozmowy na ulicach, zapach kawy, jeżdżące samochody i reklamy w telewizji. Ale tutaj... Pusty, wymarły skład, lokomotywa i samotny wagon stojący na zapomnianej stacji. Wokół, jak okiem sięgnąć, tylko nieużytki, bagna i lasy. Porzucone, dzikie terytorium.

Puste Miejsce.

– Ale przecież ktoś, do diabła, strzelał... – stęknął, krzywiąc się z bólu. – Ktoś, dzika wasza mać, strzelał! Hej, hej!

– *W pociągu będzie apteczka. Słyszysz? Niejedna powinna być!*

– Pewnie, że powinna! Tylko jej nie ma... Za to znów są trupy! Czy w Kompleksie, czy tutaj same sztywniaki wszędzie! Prześladowają mnie...

– *Żołnierzu, głęboki wdech.*

– Nie mogę, bo boli...

– *Co za trupy? Jakie, czyje? Uczeni? Kaufmann i Nika?*

Niezależnie od bólu, zmęczenia i wszystkiego innego, Garsteczka zauważył, że głos Chemika drgnął, gdy ten wymawiał imię dziewczyny. Jeszcze ewidentnie zdrobnione...

– Nie. Tylko żołnierze.

Ciała leżały jak szmaciane lalki. Pięciu na podłodze, dwóch wciąż na siedzeniach, zwiesili głowy na zalane krwią piersi. Ciała były, owszem, ale bronie nie. Ani jednej sztuki. Ktoś wszystko zebrał i wyniósł.

Ale kto w takim razie strzelał do zwierza?

– *Jest tam taki młody z jasnymi wąsami? Młody...*

– Jest – przytaknął Garsteczka. – Piegowaty. Leży i nie żyje.

– *Jakub* – westchnął Chemik. – *Mój agent w oddziale. Czyli nie masz sojusznika, liczysz tylko na siebie. I na moje rady.*

W drugim przedziale również nie było żywego ducha. Żelazne szafki, stolik, martwe monitory pod sufitem... Ani śladu ludzi.

Trzeci – jeszcze więcej szafek, siedzenia pod ścianami. Odsunięte drzwi na zewnątrz, za nimi pochmurny, jesienny dzień. W przeciwległym końcu przedziału drzwiczki do elektrowozu, w środku martwe ciało na podłodze. I nigdzie nie widać apteczek... niedobrze... Myśli płynęły niczym łódeczki puszczane po strumyku, zderzając się burtami i powoli, nieubłaganie tonąc, idąc na dno.

Garsteczka w końcu obrócił się wkoło, osunął plecami po ścianie na podłogę.

Dźwięk z góry. Nad samą głową. Kroki? Tak, ktoś szedł po dachu. Ostrożnie. Skradając się. No tak, strzelał też z wagonu, dobra pozycja. Kroki przemieściły się, człowiek podszedł do burty, coś lekko skrzypnęło. Będzie chciał zeskoczyć?

Świat odpływał. Dźwięki donosiły się niczym spod wody. Garsteczka tonął, zapadał w dół, ku przedziwnym krainom, pełnym nieznanym zwierząt i dziwnych zjawisk.

– Chemik... odmeldowuję się – powiedział i zamknął oczy.

Daleko, daleko od niego leżący na stosie materaców człowiek z nogą w prowizorycznych łubkach coś odpowiedział, ale Garsteczka już go nie słyszał.



Dwa kawałki plastra naklejone na krzyż bielwały na żebrach. W centrum, na samej ranie, widoczna była górka, spod której leciutko przebijała złocista poświata. Jak nacisnąć, to zaczynało boleć. Jak nie naciskać... też bolało, ale dużo mniej.

Garsteczka przestał badać ranę, usiadł i rozejrzał się. Nadal przebywał w przedziale wagonu, drzwi na zewnątrz były jednak przymknięte; przez szczelinę do środka wpadał chłodny wiatr. Zadrżał, ale już nie z wyczerpania, a zwykłego zimna, w końcu był prawie październik. A miał na sobie jedynie spodnie i buty, koszula leżała obok.

Nie miał broni.

Podciągnął już nogi, gotów poderwać się w dowolnej chwili. Nóż został na miejscu! Dobrze i to...

– Chemik... – Przełknął ślinę, wyprostował się. – Wróciłem, żyję. Co u ciebie?

W sąsiednim przedziale coś niegłośnie, rytmicznie szeleściło. Garsteczka popatrzył znów na ranę, pomacał się po pustej kieszeni; czyli co, tam pod plastrem była „galareta”? Hm, trzeba by pytać tego, co bandażował.

No właśnie. Garsteczka stracił przytomność. Ktoś go znalazł, przyciągnął tutaj, rozebrał, opatrzył... I odszedł, zabierając broń. A forsa? Otworzył kieszeń na udzie, do której schował pieniądze z sejfu Schulza: wszystko na miejscu, pachnące nowością

banknoty przewiązane gumką. Albo ktoś nie zauważył, albo nie wziął.

A przecież tutaj gdzieś leżała o wiele pokaźniejsza suma!

Odgłosy z sąsiedniego przedziału nie cichły. Garsteczka naciągnął na plecy koszulę i ruszył do drzwi działowych, zapinając się po drodze. Chemik wciąż nie odpowiadał, więc szepnął nieco głośniej:

– Te, agent! Telekonferencję czas zacząć!

Cisza. Co się mogło stać?

W przedziale z monitorami Garsteczka znalazł w jednej z szaf brezentową kurtkę. Pospiesznie ją naciągnął i zapiał się pod szyję. Rozejrzał się jak złodziej, stanął przy ostatniej szafce.

– Chemik!

Milczy. A może właśnie podsłuchuje? Przyczaił się, szpieg jeden, uszy nastawił i słucha, czym się Garsteczka zajmuje. Ci wszyscy agenci, współpracownicy, wywiadowcy i kontrwywiadowcy, zwiadowcy i kaowcy to wredny naród, wraże plemię. Chociaż... Garsteczce się wydawało, że akurat Chemik może być porządnym gościem. No pewnie, miał swoje zadanie i swoje cele, częściowo tylko zbieżne z jego pomysłem na życie, ale ciężko byłoby traktować go jak wroga.

Major Titomir – o, o nim potrafił Garsteczka tak myśleć. Chemik na razie zajmował pozycję neutralną, wręcz z szansą na sympatię. No i w końcu był raczej naukowcem, laborantem, a sam kontrwywiad, jak to ujął, był dla niego drugim etatem.

Cichy, rytmiczny szelest nie ustawał. Garsteczka rozejrzał się ponownie, wczepił palcami w górną część szafki. Ręce miał spocone, dłonie ślizgały się po metalu, ale złapał mocniej i pociągnął – najpierw na siebie, potem w bok. Klik! Szafka przekręciła się o jedną trzecią obrotu i odjechała na bok razem z kawałkiem podłogi.

Pod spodem, w szerokiej, płytkiej niszy, stało kilka pustych pojemników na artefakty, a obok nich stalowa walizeczka.

Serce Garsteczki zabiło dziko w rytmie dynamicznego marsza. Przykucnął, złapał walizkę. Zwykły zamek, żadnych szyfrów... Próbując nie hałasować, żeby się Chemik nie zainteresował, postawił pudło na podłodze. Szczęknął zatrzaskami. Uchylił wieko.

Gładkie, błyszczące metalowe ścianki. Elastyczne paski zawiasów. Samotny długopis w przegródce.

Animusz Garsteczki dostał naraz raka, wylewu i zawału, po czym umarł. Żadnych banknotów. Żadnych paczek. Nic. No choćby się naraz zapłakał i udławił, nic! Nie było pieniędzy. Ani centa z pięciu milionów.

No dobra, ale w takim razie gdzie? Wrzucił walizkę z powrotem, przesunął szafę. Myślał intensywnie. Pieniądze musiał zabrać Titomir, nikt inny. Dlaczego wyjął je z walizki? Jeden powód tylko przychodził do głowy: niewygodnie z nią biegać po Sektorze, lepiej wszystko wepchnąć do plecaka. Poza tym, jak się jedzie amfibią z ludźmi, to walizka ze skrytki prowokuje do niepotrzebnych pytań...

Czyli co, jakie wnioski? W pociągu nie ma ani majora, ani pieniędzy, ani naukowców. Nie ma też amfibii, nie ma „oka zła”. Trzeba szukać gdzie indziej.

Garsteczka ruszył na koniec wagonu, wciąż słysząc donoszące się stamtąd rytmiczne szuranie, albo raczej cichy zgrzyt. Dziwnie znajomy. Przeszedł przez pomieszczenie z martwymi żołnierzami, zatrzymał się na progu. Trap nadal był opuszczony, za nim widać było biegnące w siną dal tory.

Na zapasowym akumulatorze pod ścianą siedział niewysoki typ, miarowymi ruchami ostrzący kosior. Garsteczka nieraz widział różne noże, majchry i mesery, ale uświadomił sobie, że po raz pierwszy widzi taki właśnie kosior: długi i wąski, niczym szydło, składający się niemalże z samego ostrza. Prymitywna, drewniana rękojeść w żelaznych obejmach, przy niej kółeczko z łańcuszkiem. Złowieszczy instrument.

Gdy Garsteczka stanął w drzwiach, konus popatrzył na niego z ukosa i wstał, wsuwając kosior w rękaw długiego, brezentowego płaszcz. Płaszcz, swoją drogą, wyglądał, jakby ktoś go celowo wykąpał we krwi, a potem obryzgał smołą. Spod lekko znoszonego swetra wyglądał pistolet w kaburze. Nieznajomy miał też na sobie wojskowe buty z okuciami na noskach.

W bladej twarzy najbardziej uderzały oczy. Prawe jasne, lewe ciemne, bez mała czarne. Cała postać tego człowieka była lekko przekoszona, jakby przesunięta w pionie: lewe ramię wyżej od prawego, i rękę jakoś nie tak trzymał...

– E... no siema, cześć – odezwał się Garsteczka, patrząc na stojący pod ścianą karabinek wyborowy.

Każdy czuje się lekko skrępowany, mając do czynienia z nieznanymi. Dlatego też Garsteczka, którego niepomiernie mierziło, gdy ludzie jękają się i sumitują, nie mogąc się wysłowić, od razu otwierał rozmowę dynamiczną nutą. Jak się dobrze zacznie, to potem znajomość rozwija się w odpowiednim kierunku.

– To ty mnie połatałeś? Normalnie zakleiłeś, jak paczkę na poczcie! – Dotknął krzyża z plastrów. – I patrz, nawet nie boli. A rana paskudna przecież.

– „Galareta” zmniejsza ból – wyjaśnił konus. Mówił trochę niewyraźnie, wyginając przy tym usta, których lewa połowa nie zgrywała się z prawą. Jakiś rodzaj paraliżu połowy ciała, który nie do końca ustąpił po przejściu Fali? Czy może coś starszego?

Garsteczka dostrzegł leżący za akumulatorem plecak. Plecak świecił i nie była to paląca się w nim latarka, a blask promieniowania anomalnego. Artefakt! Nie czarny jak „kleks”, nie złocisty jak „galareta”, a lekko błękitnawy. Światło sączyło się od strony, gdzie do plecaka przytroczona była nieduża, metalowa skrzyneczka.

Tak samo świeciły za każdym razem pojemniki, w których

Garsteczka z Witią wywozili kontrabandę z Kompleksu. Głupio mu było pytać, więc zakładał, że wszyscy widzą to samo; do głowy by mu nie przyszło robić z siebie idioty! Więc co, to tylko on tak miał? No, inaczej by się Chemik nie dziwił.

Tamten obrócił głowę w kierunku siedzenia, gdzie na rozłożonej szmatce leżała „galareta”.

– Tak patrzę, że mało co zużyłeś – pochwalił go Garsteczka. – Słuchaj, a ty w ogóle wiesz, w co strzelałeś?

– W dymnego psa. Dlaczego cię ścigał?

– Żebym to ja wiedział! A ty wiesz, co to jest?

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie. Różne bywają, potrafią się pojawiać i znikać... Jak to odmieńce.

– Odmieńce?

– Wszystkie te dziwne stwory. A czasami ludzie. Albo coś takiego. Mówią, że z Zagubionego Miasta przychodzą.

– Ale jeśli... – zaczął Garsteczka.

Konus nagle odwrócił się do opuszczonego trapu, zamarł na chwilę w bezruchu i skoczył do karabinu, aż poły ciemnoczerwonego płaszcza załopotwały w powietrzu. Nieznajomy chwycił broń, padł na podłogę przy lewej ścianie i syknął, wystawiając lufę na zewnątrz:

– Kryj się!

Garsteczka też zauważył ruch, więc szybko przyklęknął. Ktoś szedł przez ugór, raptem kilkadziesiąt metrów od pociągu. Nawet nie tyle szedł, ile skradał się... Garsteczka położył się plackiem, potem podczołgał do facecika w płaszczu.

Od lewej strony ku torom podchodził człowiek w moro i skórzanej kurtce, wygolony na łyso, ale za to z sumiastymi wąsami; w rękach trzymał strzelbę.

– Kto to? – szepnął Garsteczka.

– Minus. Tak go wołają.

– Włóczęga?

– Zwykły bandyta, najmus. Przeważnie działa z Kręciołem i Słabym. Wszyscy z bandy Garbusa.

– Cóż za galeria bohaterów... – Garsteczka pokręcił głową.

Rzeczony Minus przeszedł na drugą stronę torów i skręcił ku piętrowemu budynkowi, w którym, wedle słów Chemika, naukowcy przeprowadzali swe eksperymenty, a w piwnicy można było przeczekać Falę.

Garsteczka pomyślał sobie, że chyba nadeszła pora, by z tym krzywym mikrusem zadzierzgnąć więzy bliższej znajomości. Tutaj są na pewno jakieś układy i układziki, a on nikogo i na niczym się tu nie zna. Tak nie powinno być. Popatrzył na konusa, który powoli przesuwiał lufą w ślad za Minusem.

– Słuchaj, jakby co, to Garsteczka jestem. Przyszedłem z Kompleksu, z Jedyńki.

– Tak myślałem, że od Kordonu.

– A ty coś za jeden?

– Czerwony Kruk.

– Mocna ksywa, milordzie. Włóczęga?

Minus zniknął za burtą pociągu. Czerwony Kruk odsunął się od otwartej rampy, przysiadł z podkulonymi nogami i odpowiedział trochę nieobecny głosem:

– No, można i tak powiedzieć.

– Czyli można też inaczej? Dobra, nieważnie. Co ten twój Minus tutaj robi? Ja tak sobie myślę, że ty tu na spotkanie z Titomirem przyszedłeś, nie? Machniom, coś za coś? – Garsteczka puścił porozumiewawczo oko. – Ale w takim razie skąd ten Minus, po co w niego celujesz?

– To najemnik. On i jego ludzie za pieniądze chodzą – odpowiedział Kruk. – A jeśli tu jest choćby jeden, to i cała ekipa Garbusa musi być w pobliżu.

– Dobra, bracie, pogadajmy może po ludzku, co?

Garsteczka przysiadł się nieco bliżej do Kruka, który odwrócił się do niego, jednocześnie odsuwając kawałek dalej.

– Słuchaj... Ja bym się jakoś lepiej czuł, jakbyś mi oddał moje pukawki – uśmiechnął się Garsteczka. – No przecież widzę, że pewnie pod tymi szmatami w rogu leżą, nie? Dwa razy mi przecież pomogłeś, z tym psem, potem ranę opatrzyłeś... Wdzięczność, te rzeczy, ja nie zapomnę. Przecież w plecy ci nie strzelę, a jakbyś ty mnie chciał wykończyć, to już bym nie żył. Więc wrogami nie jesteśmy, tak? Tylko rozumiesz, jak ty masz giwerę i nóż, a ja tylko koszulę, to jakoś tak... No, nieharmonijnie wychodzi. Więc tak myślę, że...

– Drzwi są otwarte? – przerwał mu Kruk.

– Co? Jakie drzwi? Tam, na drugim końcu? No tak, otwarte.

– Niedobrze. Mogą tamtędy wejść.

W tej samej chwili coś puknęło i syknęło w przedziale obok, a w ich stronę potoczył się po podłodze oliwkowy walec, ciągnący za sobą smużkę dymu. Garsteczka i Kruk zdążyli wymienić tylko spojrzenia, a potem obydwaj skoczyli na opuszczony trap i rzucili się w bok, za wagon. Przetoczyli po podkładach, nakryli głowy rękoma, i wtedy granat detonował.

Garsteczkę aż ogłuszyło, bo walnęło tuż za ścianą. Echo wybuchu jeszcze nie ucichło, gdy zobaczył, jak po torach przesuwa się cień. Widział, jak Kruk podrywa się, płacząc w swoim płaszczu, chciał pójść za jego przykładem, ale nawet przez pisk w uszach usłyszał okrzyk:

– Leżeć, nie ruszać się!

Nie zdążył – ciężki, wojskowy bucior popchnął i przygniół go do torów. Żebra zatrzeszczały boleśnie... Garsteczka ostrożnie obrócił głowę, zerknął przez ramię.

Trzymający go pod obcasem mężczyzna musiał już wcześniej zakraść się tu wzdłuż burty wagonu. Wysoki, barczysty, karczysko jak u byka, zarośnięta kwadratowa szczęka, w rękach kałasznikow. Na jego biodrze wisiała prostokątna, brezentowa torba-ładownica, a wokół niej... Garsteczkę aż w oczach zakłuło! Malinowe, złociste, białe i żółte światła, języki płomieni, cała

feeria kolorów, wijących się nićmi i mackami, przeplatających się, przeciskających przez szwy torby, przesączających przez splot grubego materiału.

Co on tam miał, skład artefaktów? Wątpliwe, żeby trzymał je tak po prostu, wszystkie razem, bo to mogło być niebezpieczne – jakieś reakcje podobno zachodziły czy coś... Pewnie torba była podzielona na osobne przegródki.

Bandyta uśmiechnął się krzywo, pokiwał głową.

– O tak! Leżeć, pajace! Słaby, widziałeś, jak się ułożyli ładnie?

Z wagonu wyjrzał drugi bandyta, ten z kolei chudy, średniego wzrostu. Splunął i wyszczerzył się złośliwie.

– A jakże. Granacik dostali, to i leżą, jak posłuszne dziewczynki, i czekają, żeby tatuś przyszedł.

Garsteczka w zasadzie wszystko już rozumiał: ten duży, czyli zapewne Kręcioł, zaczął się przy wagonie i czekał. W tym czasie Minus pospacerował na widoku, odciągając ich uwagę, a Słaby wlaźł przez drzwi w drugim końcu wagonu, przekradł się do nich i podrzucił granat. Mieli z Krukiem wybór: albo przyjąć eksplozję na klatę, albo wyskoczyć na zewnątrz. Prosto pod lufę Kręciołowi.

– E, e, e! Kruk, łapy z dala od kieszeni! – Słaby wziął konusa na muszkę. – Kręcioł, czego się gapisz i nic nie robisz?! Weź go obszukaj, bo mnie tu nerw bierze!

– Hej, Minus! Klienci dojrzeli, gotowi porozmawiać! – krzyknął przez ramię byczek. Obszedł dokoła Garsteczkę tak, żeby nie wlaźć Słabemu pod lufę, po czym potężnym buciorem przycisnął rękę Kruka do ziemi.

Garsteczka zauważył, że wargi Kruka drgnęły – jego towarzysz próbował nie okazywać bólu. Kręcioł schylił się i przystawił mu lufę karabinu do skroni.

– Leż! Leż grzecznie, nie twoja sprawa! – warknął Słaby na Garsteczkę.

Kręcioł zdążył odebrać jeńcowi pistolet i nóż, gdy rozległ się

zgrzyt kroków na tłuczniu i w polu widzenia pojawił się Minus ze strzelbą na ramieniu.

– Panowie, ale tutaj kolega słusznie mówi... – zagaił Garsteczka, przekręcając się powoli tak, żeby widzieć wszystkich trzech bandytów. Starał się mówić zupełnie naturalnie, wręcz pojednawczo, mimo że tak naprawdę czuł w piersi ciężar lodowatej guli strachu. Sytuacja była, delikatnie mówiąc, podbramkowa. – Wy tu macie z gościem swoje sprawy, włóczęgowskie, a ja w ogóle przypadkiem tu jestem. Pierwszy raz na oczy go widzę.

– Włóczęgowskie?! – parsknął Kręcioł. – Patrzajta go, włóczęgów sobie znalazł! Koleżko, my jesteśmy uczciwi bandyci!

– Eee... A to jedno drugiemu nie przeczy, bratku?

– Zdechły mutant ci bratem, frajerze! Minus, ty słyszysz, jak on nas nazywa? Włóczęgami!

– Co to za jeden? – zapytał Minus, stojący w rozkroku na szynach.

– A cholera go wie. – Słaby wzruszył ramionami. – Razem z Krukiem się tu kręcił. Co dalej?

Minus pokazał głową na Kruka.

– Zabierzcie mu brzytwę.

– A! – Kręcioł odsunął się i warknął: – Kruczek, siad! No już, podnoś się i na kolanka, migusiem! Myślałeś, że zapomnimy? No, ja to może bym i zapomniał, ale nasz Minusik ma dobrą pamięć, oj tak. Na kolana, suko!

Czerwony Kruk podniósł się bez słowa. Kręcioł stanął za nim, oblizwał usta nerwowo i wbił mu lufę w kark.

– A teraz, Kruczek, lewy rękaw do góry. Powoli!

Patrząc wciąż na Minusa, Kruk zapytał:

– Co, spóźniliście się na randkę z ludźmi z Kompleksu?

– Fala przeszła. No już, podwijaj.

Kruk zadarł rękaw płaszcza, potem podciągnął sweter. Pod nim, na chudym nadgarstku, dwa rzemienne troki przyciskały do

przedramienia skórzaną rurkę. Z jej końca od strony nadgarstka wystawał koniuszek rękojeści z kółeczkiem i łańcuszkiem.

– Wyciągnij.

– Tylko powoli! – Kręcioł tknął go lufą w potylicę, Kruk bujnął się w przód. – Kciukiem zaczepli i wyciągaj pomaleńku!

Czerwony Kruk wsunął paznokiec w kółeczko i wyciągnął z rurki swój kozik. Długa, wąska klinga wysunęła się z pochewki, broń zadyndała na palcu.

– Uch ty, ale majcher! – Słaby gwizdnął przez zęby.

– Upuść teraz – rozkazał Kręcioł.

– Ejże, panowie – odezwał się znów Garsteczka, uważnie obserwując wydarzenia – puśćcie mnie może? Przecież ja tu w ogóle przypadkiem jestem.

– Coś za jeden? – zapytał Minus.

– Ja z Kompleksu, z Kordonu. Drezyną tu przyjechałem, żeby sprawdzić, czy ktoś żyje. A tu siedzi ten o, w czerwonym płaszczu.

– A, czyli żołnierz – wtrącił się Słaby. – Nieprzepisowo ubrany, to nie wiadomo. Świnia, padalec wojskowy.

– A jak! Kula w łeb, od razu! – wyszczerzył się Kręcioł.

– Z ludzi majora? – zainteresował się Minus, wciąż zachowując twarz pokerzysty.

– Pracowałem z nim w Kompleksie, ale tutaj nie byłem ani razu. Teraz pierwszy raz przyjechałem.

Kręcioł machnął karabinem, uderzył Kruka kolbą między łopatki i znów docisnął nogą do torów, a lufą odrzucił nożyk na bok.

– Słaby, co w pociągu? – spytał Minus.

– Siedem trupów, majora brak. I coś naukowców nigdzie nie widziałem. Czołgu też nie ma, tego, co tu zawsze stał.

– Czyli co, wyjechali? – zapytał Kręcioł, zaglądnając do wagonu. Kolorowa plama wokół przypiętej do uda torby wyciągnęła się w powietrzu, gdy zrobił krok, sypnęła iskrami i kolorami. – Kruk,

a ty się skąd tu wziąłeś, co? Sułtan cię może przysłał?

– Nie. Tak sobie przechodziłem, przypadkiem. Zobaczyłem, że Fala idzie, to się schowałem do schronu naukowców.

Słaby potrząsnął karabinkiem Kruka.

– Kłamiesz, świnió! Chłopaki, on łże w żywe oczy! Przepadkiem przechodził, z karabinem... Przez Puste Miejsce! Przylazł tutaj, żeby naszą kasę capnąć! Albo sam taki mądry, albo dla Sułtana robi. Biznes nam chciał zesrać, palant! I artefakt zakosić, i pieniądze capnąć. Ale nie domyślił się, ćwok, że towaru ze sobą nie weźmiemy, tylko...

– Morda w kubeł, debilu – przerwał mu Minus.

Popatrzywszy na bandytów spode łba, Garsteczka w końcu zrozumiał: ani jego, ani Kruka nie wypuszczą. I do niewoli też nie wezmą. Los ich obydwu był z góry przesądzony, żadne gadki w tym nie pomogą. Poczuł, jak do gardła podchodzi mu żal. Nie tak powinna wyglądać śmierć bohatera wojny. Nie tu, nie z ich rąk.

– E, popatrzta, a to co? – Słaby wszedł na trap, schował się na chwilę w pociągu i zaraz wrócił, unosząc w ręku otulony złocistą poświatą artefakt. – To nie „galareta”?

– Ożeż ty... – Kręcioł aż sapnął. – Kurde, fakt!

– Minus, widziałeś to? Tutaj z pół kilo będzie, jak nic! Przecież to więcej, niż ten fiut Wiedźmak nam za tę robotę obiecał...

– Milczeń obaj, skurwiele! – warknął Minus. – Kręcioł, weź fanta i schowaj.

– Przecież on tam pod dekiel ma naładowane do pojemnika. – Słaby pokazał na torbę towarzysza. – Już nawet „antyk” i „głaba” do jednej przegródki upchnął.

– Dawaj ją tutaj! – Kręcioł obejrzał się. – Wszystko pod kontrolą, do mnie na przechowanie!

Słaby z widoczną niechęcią podał „galarete” kompanowi, który zarzucił kałasza na ramię i zaczął upychać artefakt w ładownicy. Różnokolorowe lśnienie zadrgało, poruszyło się niespokojnie, jak

gdyby wyczuwając kolejnego nieproszonego gościa. Garsteczka przypomniał sobie, jak przy rozbitej dreźnie zdołał wpłynąć na aurę „galarety”. A gdyby tak teraz...

Myślnami dotknął pojemnika. Ostrożnie, żeby nie spłoszyć świetlistych macek, chwycił grubą, powoli falującą złotawą nić. Pociągnął ją ku górze – udało się, drgnęła!

Minus tymczasem powiedział:

– Mów, gdzie masz pieniądze, Kruk. Te same, które mieliśmy dostać do majora za artefakt. Jak powiesz, to puścimy żywcem. A jak nie...

Słaby, wyciągnąwszy spod kurtki nieduży jutowy worek, podsunął Krukowi pod nos.

– Jak nie, to ci łebek upitolimy, a potem cziki-briki i w torebkę. Zaniesiemy Wiedźmakowi, ucieszy się z prezentu.

– Nie mam waszych pieniędzy – odpowiedział Czerwony Kruk zupełnie obojętnym głosem. Patrzył w ziemię, zdając się nie przejmować całą sytuacją. – Majora tu nie ma, naukowców ani amfibii też. Ruszcie głowami, pomyślcie, jak było.

– To niby, że co? – zasepił się Kręcioł. – Przeżyli, wzięli kasę i tym czołgiem odjechali? Coś mi się w to nie chce wierzyć. Chociaż...

Garsteczka prawie ich nie słuchał. Znalazł już trzy rodzaje lśnienia, zapewne pochodzącego od trzech różnych, leżących osobno artefaktów. Na dole, na wysokości kolana Kręcioła, obracał się nieduży wir malinowego koloru, powoli wsysający w siebie okoliczną energię. Na górze znajome już złociste nitki „galarety”, wysuwające się ciekawsko na zewnątrz i szukające punktu zaczepienia. Pomiędzy nimi białe, pulsujące ciężko światełka czegoś jeszcze, jak gdyby ktoś oddychał: blada mgiełka przesączała się przez materiał i chowała, niczym obłoczek pary, w niewidoczne usta.

Były tam i inne kolory, widział przelewające się odcienie brudnej żółci, zieleni i nawet opalizującego fioletu, ale o wiele

słabsze, ledwie zauważalne – te trzy zaś aż biły po oczach.

– A was dlaczego tylko trzech? – zapytał Kruk. – Garbusa nie widzę, ani reszty.

– Idą. Ruszaliśmy z różnych punktów, Fala musiała ich pognać na bok. Ale ja wiem, o czym ty myślisz, nie martw się. Mnie rozkaz Garbusa niepotrzebny, żeby cię wykończyć.

Malinowy wir, biała mgielka, złote nici... Garsteczka uznał, że z jakiegoś powodu złocisty z malinowym nie połączy się dobrze, chociaż nie wiedział, skąd taka myśl. Było w nich coś... no, coś jak karbid i woda: można połączyć, ale żadne nie będzie z tego zadowolone, stanie się coś dziwnego. Ale tutaj czuł, że na syczeniu i pianie się nie skończy. Jakby jeszcze przewlec złocistą nitkę przez mgielkę falującą pośrodku torby...

Tak sobie myślał, jednocześnie jak gdyby z boku patrząc na całą sytuację. Co się w ogóle dzieje? On się bawi jakimiś kolorkami, miesza i plącze, widzi rzeczy, których nie ma. Myślami dotknął! Przecież to jakieś brednie, czysty szamanizm...! Z jednej strony sam nie wierzył w to, co robi, z drugiej nie przestawał działać, bo widział, że jego próby dają realne rezultaty, wpływając na aurę, a więc i na same artefakty. Coś się w nich subtelnie zmieniało, niezauważalnie przesuwał środek ciężkości. Gdy wsunął kilka złotych nitek w malinowy wir, te zaślniły jakby jaśniej, naprężyły się, a biała mgielka zgęstniała, niczym zsiadłe mleko...

Kruk uniósł się na łokciu i mruknął:

– Czyli rozumiem, że Wiedźmak zdecydował się wystawić majora do wiatru? Ludzi z ekspedycji do piachu, pieniądze dla siebie, a artefakt do kieszeni? Nieładnie. Wcześniej tak nie robił.

– O, to go dawno nie widziałeś! – prychnął Minus. – Wiedźmak się zmienił. Bardzo zmienił.

Kręcioł i Słaby wymienili spojrzenia, jak gdyby te zmiany, które ponoć widać u Wiedźmaka, były czymś wiadomym, ale niewspominanym głośno. Garsteczka rejestrował te rozmowy

i spojrzenia, ale nie do końca rozumiał i tylko mógł się domyślać, o co tak naprawdę chodzi. Wiedźmak, banda Garbusa, Sułtan, Czerwony Kruk... Jakieś siły, układy i układziki, a on w samym centrum tego wszystkiego! Władował się prosto w cudze porachunki!

A przecież wtedy, w Kompleksie, miał taką piękną wizję: wziąć porzucone pieniądze i hyc! za Kordon! Zniknąć w sieniej mgle. Okazało się, że jak na razie hyczał coraz bliżej własnego grobu. Ugrzązł w tym Sektorze, jak w szambie.

– To co, kończymy ich? – zapytał Kręcioł, a potem nagle ze zdziwieniem popatrzył na swoją ładownicę.

Wielkolud musiał coś poczuć, zaniepokoiła go rozpoczynająca się reakcja. Należało się spieszyć! Garsteczka przymknął oczy i pospiesznie związał kilka złocistych nici w jeden sznur, szarpnął go mocno i wetknął prosto w malinowy wir. Ten zapulsował, zadrgał i zaczął kręcić się szybciej, nawijając na siebie nitki. Te z kolei zabłysnęły iskrami, sznur zaczął puchnąć, nabrzmiewając ciężkim, brudnym światłem.

– Panowie, a co, jeśli Kruk tu nie jest przypadkiem? Może to Sułtan go przysłał? – odezwał się Słaby. – Bo wtedy to by znaczyło, że on po całości poszedł przeciwko Wiedźmakowi. Taką dużą transakcję położyć, toby... No, to przecież wojna by była, nie?

– Ano... – rzucił Kręcioł, patrzący coraz bardziej niespokojnie na swoją torbę.

Minus podniósł strzelbę, która spojrzała Garsteczce prosto w twarz.

– Dobra, żołnierzyka na przemiał, a Kruka zwiążemy i do Wiedźmaka. Niech go po swojemu przesłucha, już on się na tym zna.

– Aua, kurwa, parzy! – wrzasnął nagle Kręcioł, skacząc w bok.

Reakcja bandyty była zupełnie instynktowna – odsunąć się od źródła bólu, tyle tylko że samo źródło było przypięte do pasa

i uda. Kręcioł zaczął się miotać i wpadł na Minusa, zrzucając go z torów.

– Co jest?! Co jest, cholera?! – Wielkolud próbował odpiąć pasek, trzymający ładownicę na nodze. – Pali, pali jak ogniem!

– Rusza się! Torba się rusza! – krzyknął Słaby. – Mówiłem! Mówiłem, nie kładź tam „galarety”!

Minus potknął się, upadł na jedno kolano, ale zaraz poderwał na nogi, gotów strzelać. Tymczasem Kruk przetoczył się na bok, podciągając kolano pod brodę; jego lewa ręka, do tej pory schowana pod ciałem, błyskawicznie zadarła nogawkę.

W okolicach biodra Kręcioła napęczniał kłęb drgających kolorów – od samego patrzenia na nie Garsteczka kręciło się w głowie. Padł na ziemię i nakrył głowę rękami, czując w kościach, że raz zaczętej reakcji już nie zatrzyma. Udało mu się naruszyć kruchą równowagę uwięzionych artefaktów, a przecież w fizyce każda akcja prowadzi do reakcji...

Kręcioł ryczał z przerażenia, próbując zerwać z nogi drugi rzemień. Słaby, do tej pory stojący na trapie pociągu, zrobił ku niemu krok, wyciągnął rękę, chcąc pomóc, albo uspokoić kompana.

Minus wycelował w Kruka, ale ten wyszarpnął pistolecik z kabury na kostce i strzelił pierwszy.

Trafił chyba w przedramię, ale tego Garsteczka dokładnie nie widział. Strzelba wypadła bandycie z rąk, Minus zawinął się wokół własnej osi i spadł z nasypu, ale zaraz zerwał się i przyciskając do piersi przestrzeloną rękę, zaczął uciekać.

Garsteczka złapał porzuconą broń, przekręcił się na bok i strzelił do Słabego. Ucięta kolba boleśnie uderzyła go w żebra, prosto w ranę, przed oczami zatańczyły mu kolorowe płatki; Słaby jęknął, zgiął się wpół i spadł z rampy.

A potem wrzask Kręcioła przeszedł w kwik, po czym jego noga eksplodowała.

Kłębiące się kolory błysnęły i zgasły, bandyta padł na ziemię,

niczym wór kartofli. Zadrżał jeszcze raz, po czym zamarł z szeroko rozrzuconymi rękami. Noga i lewe biodro aż do pasa zamieniło się w spieczony, poczerniały kikut. Z torby nie zostało nic.

Kruk złapał swój nóż, podbiegł do martwego bandyty. Zerwał z ciała kałasznikowa i popędził za uciekającym Minusem. Garsteczka też poderwał się, dopiero teraz popatrzył na strzelbę – niestety zwykłą jednostrzałówkę – złapał ją za lufę, niczym maczugę, i wbiegł na trap.

Słaby leżał na plecach, na jego ustach pieniała się krew. Ręce przyciskał do rozoranego śrutem brzucha, jedna noga drgała mu konwulsyjnie, postukując o burtę pociągu. Garsteczka schylił się tylko, odrzucił dalej karabin bandyty i wszedł do wagonu.

Już wcześniej zauważył, że pod stertą szmat coś tam leżało, więc mogła to być... tak, jego strzelba pulsacyjna, obok niej karabinek i pistolet! Odrzucił precz dziadowską jednostrzałówkę, z uśmiechem podniósł karabinek, zarepetował i wyszedł do bandyty – jednak tamten już zamarł bez ruchu, śmiertelnie blady, patrząc pustymi, szklistymi oczami w szare niebo.

Skądś, spomiędzy budynków Stacji, rozległ się pojedynczy strzał.

– Chemik, cholero, gdzie jesteś? – zawołał cicho Garsteczka, zbierając resztę uzbrojenia. – Panie agent! Doktoru! Kurdeż no, tęsknię za twoim przemądrzałym szeptaniem na uszko! Ty przynajmniej trochę ogarniałeś, o co w tym wszystkim biega, a ja tu jak dziecko we mgle! No i komu mam ufać, kto dobry, a kto zły...? No okej, dobrych pewnie nie ma, ale... Ech!

Machnął ręką, przypomniawszy sobie, że w kieszeni Słabego widział przyjemnie znajomą, prostokątną wypukłość... Obszukał trupa, wyciągnął paczkę papierosów i zapalniczkę. Tak w ogóle niby rzucił kilka lat temu, ale w ciężkich chwilach zaczynało go ciągnąć.

Zapalił, zaciągnął się i skonstatował, że trochę trzęsą mu się

ręce. I co miał robić dalej? Biec za tym całym Czerwonym Krukiem, pomagać mu wykończyć Minusa? Nie, raczej nie; niech się sami dorzynają.

Przysiadł na trapie, rozpiął ubranie i obejrzał ranę. Górka pod plastrami zauważalnie opadła, nie świeciła już złotem. Czyli kawałek „galarety”...

„Galarety”, której reszta spłonęła w anomalnej reakcji. Żegnajcie, pięćdziesiąt koła dolców.

Wyciągnął nogi przed siebie, ułożył na żelaznym trapie. Á propos pieniędzy – gdzie mogli pojechać Titomir i Kovacs? Dotarli tutaj, nakryła ich Fala, ale jakimś cudem przeżyli. Majorowi potrzebne jest „oko zła”, ale na włóczęgów z towarem nie czekał. Nie wie, że to przez Falę nie zdążyli na czas... Co robić, jak się zachować?

Garsteczka zaciągnął się i powoli wypuścił dym nosem... po czym zerwał się i odrzucił papierosa, gdy nieopodal zaterkotał karabin. Już wstawał, lecz nagle coś zabuczało, a potem szczęknęły zaczepy i pociąg ruszył z miejsca. Trap przeraźliwie zazgrzytał o tory, aż Garsteczce po plecach przebiegł dreszcz i pstryknęło mu w uszach.

– Ej, dokąd to?! – wrzasnął, obracając się w kierunku przejścia do następnego przedziału.

Jeszcze dwa wystrzały pojedynczymi, po nich długa seria.

– W dupę kontinuum z taką robotą! – ryknął wściekle, złapał za karabin i popędził przez wagon, w kierunku lokomotywy.



Czerwony Kruk stał przed deską rozdzielczą elektrowozu, trzymając ręce na przełącznikach i pewnym siebie wzrokiem patrząc w przód. Garsteczka wpadł do kabiny niczym wicher, w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby z rozpędu nie przytknąć tamtemu lufy do potylicy. Och, jak bardzo chciałby to zrobić, ale... Chociaż w dupę kopnąć zasranego knypka! Konus jeden wziął i ruszył, nic nie powiedział nawet!

Tylko kto strzelał na Stacji?

– Co ty, cholera, wyrabiasz?!

– Nadciągnął Garbus ze swoimi – wyjaśnił Kruk. – Spadamy stąd.

Znów zadudniły wystrzały, kule brzęknęły o pancerz lokomotywy. Za oknami przelatywały budynki Stacji, a pomiędzy nimi migały uzbrojone postaci.

Kruk zerknął na Garsteczkę, pokazał palcem na strzelbę pulsacyjną.

– Rarytas.

– Ta, podobno swoje wart – burknął Garsteczka, wyglądając na zewnątrz.

Kruk odwrócił się od sterów i dodał:

– Zasilania energią anomalną. Nieszczerólnie wygodne ładowanie, ale na swój sposób zabawka zacna.

Stacja została za nimi, pociąg jechał teraz wzdłuż niskiego,

długiego budynku z betonowych prefabrykatów, porośniętego na dachu krzakami. Garsteczka przełączył bezpiecznik, pokazał Krukowi biegające wzdłuż lufy iskierki.

– Włączasz, czekasz, potem ognia... Im dłużej odczekać, tym mocniejsza wiązka.

– Wiazka?

– No tak. Rozumiesz, jeśli...

Kruk nagle skoczył w bok, złapał leżącego na półce kałasznikowa, którego odebrał jednemu z bandytów. Garsteczka był szybszy: wykonał błyskawiczny zwrot i strzelił do człowieka skradającego się właśnie przez przedział za nimi.

Trafił prosto w głowę. Intruz zadygotał, jakby ktoś podłączył go pod dwieście dwadzieścia wolt, albo i pod czterysta osiemdziesiąt... Ciało zadrżało, kontury rozmyły się, tracąc ostrość, a potem jego twarz po prostu pękła. Ekspłodowała jak jajko w mikrofalówce, bryzgając na boki gęstą, lepką mazią. Na szczęście w przedziale panował półmrok i nie było widać niepotrzebnych szczegółów... Garsteczka opuścił broń, patrząc na wciąż stojącego trupa, który powoli, nie wypuszczając z ręki pistoletu, przewrócił się.

Zarzucił emkę na plecy, złapał karabinek i odsunął się na bok, żeby nie stać w drzwiach.

– To był Bromel – rzucił Kruk, wychylając się ostrożnie zza futryny i taksując przedsiónek wzrokiem. – Co z trapek ładunkowym?

– Opuuszczony przecież. Weź, podnieś stąd.

Kruk przesunął jakąś dźwignię, pociąg lekko się zakołysał. Skład nabierał prędkości.

– Stąd się nie da. Dźwignia jest na końcu, w burcie.

Garsteczka bez słowa wyskoczył zza drzwi i pobiegł z powrotem na tył pociągu. Dotarł do końca wagonu, ostrożnie zajrzał do czwartego przedziału – niby pusto, nikogo nie widać. Tylko opuszczony trap szorował o tory, skrzypiąc obrzydliwie

i sypiąc snopami iskier, a spod niego wyskakiwały rosnące pomiędzy podkładami krzaki, prostujące się i falujące w oddali.

Rzeczywiście, było tu żelazne pudło przełącznika i wymalowana w biało-czerwone pasy dźwignia. Garsteczka wzruszył ramionami, przesunął wajchę. Kłapa powoli popęzła w górę, odcinając go od świata zewnętrznego.

Popatrzył jeszcze na tory, ciągnące się przez uciekający w tył rzadki młodniak. W oczach aż się mieniło od białych brzózek i ciemniejszych świerków... O, a tam daleko na tory wyszły dwie postacie. Jedna z nich przysłoniła oczy od słońca, patrząc za pociągiem. To pewnie był Minus, a ten drugi? Niski, przykurczony jakiś... Może ten wspomniany już parę razy Garbus, herszt bandy? No cóż, kto się na własną robotę spóźnia, sam sobie winien.

Wracając do elektrowozu, Garsteczka jeszcze dwa razy próbował wywołać Chemika, ale agent uparcie milczał. Czyżby zginął? No, jeśli tak, to było źle. Bardzo źle. Czyli co, przez dziwny artefakt w uchu pozostał spięty z trupem? Aż dreszcz go przeszedł, kiedy wyobraził sobie niewidoczny kanał, łączący jego głowę z obcą, teraz już zimną, w której pewnie powoli zaczynały się procesy rozkładu... A niech to diabli, to dopiero kabała! Trzeba będzie przy pierwszej nadarzającej się możliwości jakoś ten „kleks” wyciągnąć...

Po Bromelu została tylko smuga przemieszanej z mózgiem krwi – ślad prowadził do drzwi, przez które Kruk musiał po prostu bezceremonialnie wyrzucić trupa na zewnątrz. Garsteczka podszedł do panelu sterowania i powiedział:

– Wychodzi na to, że lokomotywą umiesz kierować?

– Uproszczone sterowanie. – Kruk wzruszył ramionami. – Na wypadek śmierci maszynisty, żeby sobie poradzić.

– No dobra, ale to ja jestem z Kompleksu i nie miałem o tym pojęcia. A ty w ogóle z Sektora przyszedłeś. Skąd wiesz takie rzeczy?

Kruk nie odpowiedział. Ot, kolejna zagadka.

– Minus żyje? – Garsteczka przysiadł na ławeczce z boku. – I dokąd w ogóle jedziemy? Ej no, odpowiedz może, co?! Nie dociera do ciebie, że nie jesteś tu sam? A może ja mam swoje plany?!

Tajemniczy włóczęga pstryknął jakąś dźwigienką i stanął tak, żeby widzieć Garsteczkę, jednocześnie śledząc drogę przed nimi. Brzozy ustąpiły miejsca akacjom, zarośla były coraz gęstsze, powoli zamieniając się w ciemny las.

– Minus żyje. Teraz wszystko powie Garbusowi, a od niego dowie się Wiedźmak – odezwał się w końcu Czerwony Kruk. Lewa połowa jego ust, jak i wcześniej, poruszała się niespójnie z prawą, wargi wykrzywiały się, jak gdyby w sardonicznym uśmiechu. – Mogą za nami najwyżej biec, więc muszę zyskać przewagę odległości. Co ze Słabym?

– Już się wysłabił, dostał tak, że i wrogowi nie życzę. – Garsteczka popukał pięścią w kolano. – Ale co to w ogóle za gadki? „Muszę”, jakbyś sam tu był! A ja co?

– No właśnie, a ty co?

– Ej, ja pierwszy pytałem...!

– Powiedz mi, dlaczego tu jesteś? – powtórzył Kruk spokojnie. – Dlaczego, a raczej po co. Czego chcesz?

Garsteczka zrzucił strzelbę z ramienia, oparł o burcę lokomotywy, karabin postawił pomiędzy nogami. Klepnął dłońmi po udach i powiedział:

– No dobra, pora pogadać. Już dawno pora. Tylko że ty najpierw odpowiadasz, bo ja pierwszy zapytałem. Po co przyszedłeś na Stację?

Czerwony Kruk patrzył na niego swoimi różnokolorowymi oczami. Potem przeszedł do ławeczki przy przeciwległej burcie, otworzył stojący tam plecak z doczepionym pojemnikiem na artefakty. Wyciągnął dwie manierki, wypił łyka z jednej, zapił z drugiej, podał Garsteczce.

– Siwucha i herbata.

– Słuchaj, masz tam w pojemniku artefakt, pewnie niejeden.
Nie boisz się tak obok picia trzymać?

– Ten nie jest radioaktywny.

– No to dawaj.

W ramach rewanżu wypadło poczęstować papierosem, ale Kruk odmówił. Kiedy Garsteczka już łyknął i jednego, i drugiego napitku, a potem zapalił, jego towarzysz odezwał się:

– Ty nietutejszy jesteś. Lepiej, żebyś się nie pchał w lokalne sprawy.

– A może chcę, ha? Major Titomir zniknął, więc...

Lewe, ciemniejsze oko Kruka błysnęło zimno. Garsteczka urwał. Co to za emocje tak bardzo targają tajemniczym konusem, gdy tylko wspomnieć majora? Czy może tylko mu się wydawało? Może czas zmienić taktykę prowadzenia rozmowy: w końcu napomknął już, że wie, po co Kruk przyszedł na Stację. Chociaż okazało się, że jednak się mylił, a „oko zła” miał przynieść Titomirowi Garbus, to może, może...

– Wszystko ci już mówię. – Garsteczka nawet położył rękę na sercu, żeby dodać słowom potrzebnej powagi. Wyciągnął z kieszeni paczkę banknotów, pomachał nimi w powietrzu. – Jestem tutaj, bo mam propozycję. Chcę cię zwerbować do roboty, jeśli się zgodzisz. Tu jest pięć patoli, z tego trzy twoje. Jeden dostajesz teraz, zaraz, jako zadatek. Ale musisz mi powiedzieć więcej o sobie. Chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Czerwony Kruk siedział bez ruchu, patrząc prosto przed siebie pustym wzrokiem. Garsteczka odczekał chwilę, potem odchrząknął. No i czego się konus zawiesił? Nagle lewa ręka Kruka zadrżała zauważalnie, potem lewe ramię, następnie zatrzepotała tikiem powieka. Z kącika ciemnego oka popłynęła łza, ale Kruk otrząsnął się, starł ją z policzka i powiedział:

– Przyszedłem na Stację, żeby nie dopuścić do transakcji Wiedźmaka. Zabrać pieniądze.

– Sam z siebie, czy wynajął cię ten, jak mu tam... Sułtan?

– Sam.

– No, niech ci będzie. W takim razie się zgadza, że jesteś najemnikiem. Nawet Minus się domyślił, po co się zjawieś. Chociaż na Stację mogeś przyjść z własnej inicjatywy, niekoniecznie wynajęty. Dowiedziałeś się, że ludzie Garbusa się spóźnią, na przykład widziałeś, jak idą... I umyśliłeś, że przed ich nadejściem zwiniesz artefakt. Tylko że i tak jedno mi w tym nie pasuje, bo... Znaczy, ja nie wiem, może jesteś megakozak, ale z Titomirem cały oddział przyjechał! I ty niby co, sam jeden na nich wszystkich? Bez pomocy ich chciaeś tłuc?

Kruk wzruszył prawym ramieniem.

– Oddział i tak by wyszedł z wagonu, a ja mam celownik. Jakoś by się dało.

– Żołnierz uniwersalny, twoja mać! „Jakoś by”! – Garsteczka pokręcił głową, zaciągnął się łapczywie. – Dobra, chociaż tyle wiem. To teraz słuchaj: ja muszę ruszyć za majorem. To jest, mnie interesuje nie tyle on, co profesor Kaufmann. I jego córka.

Czerwony Kruk uniósł pytająco brew. Do tej pory nazwisko naukowca nie padło, gdyż Kaufmannowie byli wszystkim z grubsza obojętni, więc siłą rzeczy się zdziwił... Ale Garsteczka już złapał odpowiednią fazę, więc mówił szybko i pewnym głosem, nie zostawiając miejsca na wątpliwości:

– No i co się dziwisz, najmusie? Nie wiedziałeś, że profesorek jest wart swojej wagi w złocie? Geniusz, noblista, te rzeczy. Jego córusia to też niezła sztuka, naukowo, w sensie. Więc stąd moja propozycja: pomóż mi wysledzić ludzi z ekspedycji. Znajdujemy ich, psora z dziunią biorę pod pachę i już mnie nie ma. Jak pomożesz nam wrócić bezpiecznie do Kordonu, to jeszcze dwa tysie dorzucę górką. Czyli w sumie pięć będzie, co ty na to? Więcej nie dam, bo nie mam. Jak nie chcesz, to tylko powiedz, trudno. Z powrotem damy radę sami.

Czerwony Kruk patrzył na niego ze zdumieniem i pewną dozą

niedowierzania. Połknie haczyk, czy nie...? Byle tylko doprowadził Garsteczkę do majora, a tam już się pomyśli, kto dostanie pięć tysięcy, a kto pięć milionów, nie mówiąc już o tym, w czyje ręce trafi „oko zła”, Kaufmann i jego córka. Szkoda tylko, że Chemik nie odpowiada, bo on na pewno by wiedział, czym skusić najemnika z Sektora...

– Kto cię przysłał? – zapytał rzeczowo Kruk. – Dlaczego jesteś sam?

– A ty dlaczego jesteś sam? Też sroce spod ogona nie wypadłem, potrafię sobie dać radę. Poza tym w Kompleksie wszyscy zginęli, przeżyłem tylko ja i kapitan naszego oddziału, chociaż on to ledwo, ledwo dociągnął. Zanim się wykończył, zdążył mi powiedzieć o Kaufmannie, że trzeba dziadka przyprowadzić całego i zdrowego. Tam, po drugiej stronie Kordonu, jest teraz burdel na kółkach, nie ma nawet kogo o pomoc prosić, więc zanim ogarną ekipę ratunkową, to Kaufmann w Sektorze dziesięć razy odwali kitę. No i tak wyszło, że ruszyłem go ratować.

– Ale przecież Kaufmanna ochrania major z ludźmi. Po co jeszcze ty?

– Ech, koleżko, to ty połowy rzeczy nie wiesz! – Garsteczka wziął od Kruka flaszkę, wziął porządnego łyka dla kurażu i popił herbatą. Zaciągnął się trzy razy pod rząd, aż w gardle zapiekło. Odczekał chwilę, potrząsnął głową i zaczął dalej pleść trzy po trzy: – Kaufmanna i jego córkę Titomir wziął do niewoli. No, jako zakładników. Major chce dorwać „oko”, więc gotów jest spalić wszystkie mosty, nie cofnie się przed niczym. Przecież on się zajmował przemytem, człowieku!

– Skąd o tym wiesz?

– No przecież mówię, że kapitan mi powiedział, Panie świeć nad jego duszą. Jak Fala przeszła, to zginął też generał Cywik, który krył Titomira w Radzie Bezpieczeństwa, czyli nasz major został sam, bez zaplecza, bez powiązań. Artefaktu na stacji nie

dostał, więc zdecydował, że musi sam się po niego wybrać. Dorwać „oko”, upłynnić, zgarnąć podwójną kasę i po cichu zniknąć w ogólnym zamieszaniu. Jeśli nie dostarczy „oka” tym, którzy na nie czekają, to już po nim, spod ziemi go wyciągną.

– Więc po co ten pośpiech? – spytał Kruk nadal nieufnie. Garsteczka zaciągnął się jeszcze raz, żeby zyskać na czasie.

– No jak to, po co? Przecież Titomir nie wie, że w Kompleksie wszyscy nie żyją! Jest przekonany, że już idzie za nim cała grupa ratunkowa, albo i pościgowa! Że żołnierze, sprzęt, wszyscy święci... Więc dla niego Kaufmann jest teraz kartą przetargową. A ja mu tę kartę muszę odebrać. Teraz wszystko jasne?

Czerwony Kruk wstał z ławki, założył ręce na piersiach i wbił wzrok w przednie okno. Lokomotywa sunęła przez las, a krzaki i młode drzewka szorowały i trzeszczały pod pancernym pokładem. Im dalej od Stacji, tym gęstsza była roślinność, niemalże zupełnie już zakrywająca tory.

– Naukowcy, major i jego dwaj ludzie nie wyruszyli razem – powiedział w końcu Kruk.

Garsteczka przemyślał to niespodziewane stwierdzenie, zasepił się.

– Ejże, jak to? Co to znaczy, że nie razem?

Kruk poprawił rękaw, pod którym skrywał się jego nóż, odwrócił do Garsteczki. Palce lewej ręki miał ściśnięte razem i dziwnie zgięte, więc dłoń przypominała krabie szczytce. Garsteczka zastanowił się, czy w takim razie najemnik może normalnie tą ręką władać, trzymać nóż, albo broń. Chyba właśnie lewą ręką strzelał z ukrytego na kostce pistolecika...

– Byłem już na Stacji, kiedy przyjechał wasz pociąg – odrzekł najemnik. – Nadeszła Fala, ale zdążyłem się ukryć. Mocna była, ścięło mnie zupełnie, pierwszy raz coś takiego widziałem od... no, odkąd jestem w Sektorze. Ocknąłem się dopiero nad ranem, wgramoliłem na piętro, żeby popatrzeć, co i jak. Trap z tyłu już był opuszczony, właśnie wyjeżdżała amfibia, albo coś takiego.

Raczej poduszkowiec, z tego, co widziałem. W przeszklonej kabinie z przodu mechanik, Woźniak, a z tyłu siedzieli kapitan Kovacs i Titomir.

I znów po jego twarzy przemknął trudny do określenia grymas.

– No tak, jeśli przeszklona, to amfibia – zgodził się Garsteczka.

– I co, naukowców tam nie było? Na pewno?

– Tylko major, kapitan i mechanik. Wykręcili i pojechali, odczekałem, zszedłem na dół i do pociągu. Znalazłem ciała żołnierzy, po profesorze ani śladu. Jaki z tego wniosek?

– Że musieli wcześniej, piechotą... Pewnie nocą. Tylko dokąd?

– Nie mam pojęcia, ale major pewnie właśnie za nimi pojechał. Amfibia ruszyła na wschód, równoległe do Kordonu.

– Ale jak to, przecież... dlaczego naukowcy... Cholera, to się nie trzyma kupy! No dobra, zagadki swoją drogą, a ja muszę iść za Kaufmannem! Muszę go przyprowadzić całego i zdrowego, niezależnie od jego układów z majorem.

Garsteczka rzucił niedopałek na ziemię, roztarł obcasem i mówił dalej:

– Tylko że ja się tutaj nie orientuję, co i jak, nie znam Sektora! Biegać, strzelać, po mordzie bić umiem, ale to tutaj za mało. Pomóż mi, słyszysz? Trzy patole dla ciebie, a może i całe pięć.

– Czyli pieniądze, którymi major miał się rozliczyć za „oko zła”, cię nie interesują? – upewnił się Czerwony Kruk.

– Guzik mnie te pieniądze obchodzą! Kruk, uwierz mi, ja jestem porządny, uczciwy gościu! – Garsteczka aż się spocił, słysząc własne słowa. – Kicham na to wasze „oko”! Pojęcia nie mam, co to jest ani jak działa. A ty niby wiesz?

Patrzył prosto w różnokolorowe oczy Kruka z rozbijającą, dziecinną szczerością. Patrzył i patrzył, mając wrażenie, że jego nos wydłuża się jak u Pinokia, zaraz dźgnie najemnika prosto w czoło, wyjdzie mu przez potylicę i zacznie stukać o szybę okna...

Kruk pokręcił głową, a Garsteczka musiał się powstrzymać, żeby nie pokazać po sobie rozczarowania. Szkoda, och, jaka szkoda! Chemik nie powiedział, dlaczego „oko zła” jest tak cenne, ten też milczy... No trudno, trzeba żyć dalej.

Lewa dłoń Czerwonego Kruka znów zadrżała, po niej zaczęło trząść się ramię i głowa. Garsteczka z niepokojem patrzył, jak najemnik zaciska zęby, a jego twarz wykrzywia grymas bólu... Kruk wyciągnął spod płaszcza drewnianą szkatułkę, pstryknął wieczkiem i zamoczył opuszek kciuka w niewidocznej zawartości. Popatrzył kątem oka na towarzysza, wsunął palec do ust.

Garsteczce wydało się, że pod paznokciem coś błysnęło, jakby malusieńki jęczyczek ognia; Kruk wtarł nieznaną substancję w dziąsło, po czym zatrzasnął puzderko, schował do kieszeni i ciężko oparł się łokciami o deskę rozdzielczą. Jego głowa skoczyła w tył, plecy wygięły, z gardła wydobył ochrypły warkot. Garsteczka niby od niechcienia położył rękę na pistolecie. Co on, zwariował? Albo umarł i zamienia się w zombi? A może to w ogóle jakiś zmiennokształtny, weźmie i zaraz się w mutanta zamieni, ćpun cholerny!

Na szczęście Kruk po krótkiej chwili doszedł do siebie, pomasował szyję i znów zaczął zachowywać się jak człowiek. Garsteczka wstał, podszedł do okna, wyjrzał... Ukradkiem zajrzał najemnikowi w oczy, otaksował spojrzeniem twarz. Niby kolor już normalny, na policzki wracał zdrowy rumieniec.

– Nie zwracaj uwagi. – Kruk potrząsnął głową. – To lekarstwo, jestem chory.

– Aa... No, no, no. Okej. Słuchaj, najemniku mój, czy tam, no... Kruku. Czas ucieka. Jak zdecydowałaś?

– Jeżeli Titomir jest w amfibii i jedzie na wschód, śladem naukowców, to jedziemy w dobrą stronę – odpowiedział Kruk. Jego głos nabrał twardych nutek, słyhać było w nim energię i gotowość do działania. – O ile faktycznie ten pojazd to

poduszkowiec, zapewne też poruszają się wzdłuż torów. Na wschód od Stacji jest poza tym tylko las.

– Ano, to widać nawet. – Garsteczka pokazał ręką. – I po jednej, i po drugiej stronie już tylko drzewa, nawet czołgiem by daleko nie ujechał. Czyli co, teraz go powoli doganiamy? No to dobrze!

– Nie wiem, z jaką prędkością się porusza. Ponadto pamiętaj, że on nie jedzie z, a za naukowcami. Tylko ciekawe dlaczego?

– Się okaże.

Czerwony Kruk pogładził rękaw, pod którym chował swój straszliwy majcher, i skinął głową.

– Dobra, pomogę ci znaleźć Kaufmanna. Ale najpierw ty pomożesz mi dorwać Titomira.

– O, i to lubię! – ucieszył się Garsteczka, od razu wsuwając Krukowi do kieszeni tysiąc dolców. – Naści, piesku, waluty... No, to jesteśmy dogadani.

Chciał usiąść, ale poderwał się jak oparzony, gdy nagle w głowie odezwał się znajomy głos:

– *Jesteś tam? Hej! W porządku? Halo...? Odezwij się, bo... bo u mnie słabo.*



– Powiedziałem mu, że się wyszczać idę! – Garsteczka teatralnym szeptem mówił do powietrza przed sobą, wymachując rękoma i gestykulując. – Długo tak nie mogę, bo zacznie coś podejrzewać! Nie umiem tak samymi ustami, jak ktoś patrzy... Nie wiem, nie wychodzi mi! Nie chcę, nie umiem, nie będę...!

– *Co to za jeden w ogóle?*

– No mówię ci, że jakiś niebezpieczny typol. Tak czuję w kościach, że dla niego zabić, to jak dupę podetrzeć.

– *To po co się z nim wiążesz?! Idź sam...*

– Jak, dokąd? Przewodnik mi potrzebny. Widać, że to najmus, zna się na rzeczy i w Sektorze bywały. Nie żaden szczył, chociaż wzrostu takiego, że w pępek mógłby mnie nosem tknąć.

– *Garsteczka, ty mi tu nie cwaniakuj. Skąd wiesz, co on robił na Stacji?*

– No mówiłem ci, sam mi przecież powiedział.

– *A jeśli kłamał?*

– No to teraz dałeś, panie analityk! – zdenerwował się Garsteczka. – To co, ty sobie pewnie myślisz, że on mi głupot nagadał, a ja mu uwierzyłem? A on mi, no wiesz, ja tu z PCK jestem, bandaże rozdaję, bezpłatne próbki... Albo że co, że jehowitą jest i mutanty nawraca? Człowieku, ogarnij! Przecież on bez mrugnięcia oka mi się przyznał, że zabija ludzi za kasę, że przylazł tutaj popsuć innym biznes, wytłuc od wuja groma ludzi i zabrać „oko zła”! Ty chyba głupi jesteś, jeśli ci się wydaje, że tak się ludzi okłamuje! Ot, sobie wziął i z dupy historię wysrał, nie?! Słuchaj, ten gościu realnie ma wygwizdane na to, czy ja coś wiem, czy nie! Przecież mógłby mnie zabić od razu albo w dowolnej chwili!

– *No właśnie, sam siebie posłuchaj! W pojedynkę by się na coś takiego porwał? Tym bardziej nie należy mu ufać!*

– No to mu przecież nie ufam.

– *Zobaczysz, sprzeda cię w niewolę, dopiero będziesz miał.*

Garsteczka zmarszczył się, potrząsnął głową.

– Chemik, nie gadaj bzdur. Jaką niewolę?

– *Niewolniczą, panie mundurowy. Na wytrycha pójdziesz, szukać drogi między anomaliami. Jak Niemcy, kiedy ich twoi dziadowie pędzili przez pola minowe...*

– Ej, wypraszam sobie, panie Polak. Ja jestem uczciwym Ukraińcem.

– *...albo pójdziesz na gladiatora, na Arenie walczyć. Bywa tak, że „błyskiem” facetowi mózg wygaszą, w zasadzie zombifikują, a potem wypuszczają jeden na jeden, zakłady robią.*

– No dobra, panie tajniak, teraz to przeginasz! – rozłościł się Garsteczka. – W niewolników to się możesz ze swoją starą bawić, jak zaczniesz z innym flirtować, ale mnie tu nie będziesz pouczać takim tonem!

Chemik milczał chwilę, potem burknął niechętnie:

– *Dobra, przepraszam. Ale boję się, że jesteś zbyt łatwowierny. Nie wiadomo, z kim się szlajasz...*

– Już ci mówiłem, córce tak będziesz mówić, nie mnie! W dupie mam takie rady! Potrzebny mi był miejscowy przewodnik, więc go sobie zorganizowałem! Dziwny jest, nie przeczę, ale w ogóle jest! Jakoś nie było z czego wybierać... I jest, jasne? Dość pieprzenia nad uchem, tak jest i koniec.

Zamilkli obydwaj, obrażeni pomimo dzielących ich dziesiątków kilometrów bezludnej pustki. Garsteczka jeszcze dwa razy przeszedł się w tę i w tę po przedziale, potem usiadł pod ścianą na akumulatorze. Wagon ledwo zauważalnie bujał, podłoga drgała, stukały koła. W końcu zapytał o ton niższym głosem:

– Zaczęłeś rozmowę od tego, że zaatakował cię ten główny zombas. No to już, mów, co i jak było.

– *Ile razy mam ci mówić? Nie żaden zombi, tylko przemieniony. Zupełnie znikąd się pojawił, a ja zapomniałem zablokować drzwi do laboratorium, więc ten po prostu wpadł do środka. Ja oczywiście się zwałem z materaców, głową przypieprzyłem o ścianę i jeszcze złamaną nogą o stół zahaczyłem. Jeszcze teraz mnie boli, żaden przeciwbólowy nie pomaga. No i dawaj, strzelam w niego. Raz nie trafiłem, drugi raz dostał – nie wiem w co nawet... W końcu uciekł. Jakoś się dowlokłem do drzwi, zamknąłem, zabarydakowałem i fajt! zemdlałem.*

– Czyli co, jeszcze bardziej kontuzjowany jesteś, niż byłeś. Współczuję. No dobra, ja muszę iść, bo Kruk...

– *Garsteczka, to nie koniec* – dodał Chemik. – *Stało się coś dziwnego, kiedy tak leżałem bez przytomności.*

– Ej, ej. Co znów dziwnego?

– *Widziałem trzech ludzi, z zakazanymi mordami.*

– Jacy ludzie? Jakie mordy? – zjeżył się Garsteczka. – Chemik, ty nie przedawkowałeś?

– *Miałem sen, czy raczej może wizję. Trzech ludzi, jeden stał w dużym, prostokątnym przejściu, chyba z kałasznikowem w rękach. Potem pojawił się drugi, duży taki, i jeszcze trzeci... i nagle temu dużemu zapłonęła noga. Nie wiem, czy to coś znaczy, ale...*

– Jak mogłeś widzieć to samo co ja? – zapytał oszołomiony Garsteczka.

– *Jak to? Więc tobie też się...*

– Co jak to, co jak to?! Podglądałeś mnie, świnió! Przecież tych trzech to była ekipa Minusa! Część bandy jakiegoś, cholera, Garbusa, którego wysłał tu Wiedźmin czy inny Wiedźmak, żeby zabrać naszemu majorowi kasę za „oko zła”! I wiesz, co wtedy? Okazało się, że...

Garsteczka zająknął się, urwał. Jakoś nie miał ochoty opowiadać Chemikowi o manipulowaniu energią artefaktów. Jemu samemu zdawało się to czymś dziwnym, nienormalnym. Nie miał ochoty z nikim się tym dzielić.

– Okazało się, że gruby niósł pojemnik z artefaktami. Za dużo tam naładował, wszystko zaczęło reagować i girę mu urwało. Wtedy złapałem jego strzelbę i załatwiłem drugiego, a Kruk trzeciego postrzelił i przegnał. A potem pojechaliśmy. I jak, jak!?

– Uderzył pięścią o burtę. – Jak mogłeś to widzieć?!

– *Neurowłókna „partnera” stopniowo adaptują się do struktury mózgu nosiciela – wymamrotał Chemik, jakby lekko zawstydzony. – Więc możliwe, że z czasem podłączają się do innych nerwów... Albo bezpośrednio do ośrodków w korze mózgowej? Kiedy brakuje moich własnych bodźców, to włączają się te od ciebie. Czyli jeśli zasypiam, kiedy przełączam się na rytmy alfa albo beta, to wtedy... Niesamowite! Pełna wizja i fonია!*

– Jakie znów neurowłókna? Te igły czy co?! W głowie mi rosną? A niech to... niech to wszystko Sektor! Teraz, zaraz noża wezmę i wydłubię!

– *Nie! Mówiłem ci, nie możesz, nie wolno. Myślisz, że co, tylko straszę? Bez specjalistycznego sprzętu to śmiertelnie niebezpieczne. Uszkodzisz ośrodki nerwowe, skończysz jak ten przemieniony. Albo zwykły półgłówek.*

– Co to za sprzęt, skąd go wziąć? Ktoś w Sektorze może taki mieć?

– *No... teoretycznie Wiedźmak. Stary znajomy, swoją drogą.*

– Znasz tego Wiedźmaka? – zdziwił się Garsteczka. – Tego Wiedźmaka, co chciał sprzedać „oko” naszemu majorowi? Niby skąd?

– *Przecież ci mówiłem, że bywałem w Sektorze.*

– No, myślałem, że ty o Stacji mówiłeś...

– *Nie tylko. Jakby to ująć, hm... Kaufmann niejednokrotnie potrzebował do badań materiałów, które nie bardzo można nabyć oficjalnie. Szczególnie rzadkie albo niebezpieczne, niedopuszczone do obrotu.*

Garsteczka uśmiechnął się.

– Ty, agent, to wychodzi, że artefaktami handlowałeś na lewo? Ha, każdy ma swoje drugie dno! Nawet i ten Czerwony Kruk wściekły cały się robi, jak Titomira przy nim wspomnieć, więc i on ma coś osobistego do majora. Wiedźmak też nie chciał nikomu sprzedawać „oka”, tylko wystawił artefakt na przynętę, żeby pieniądze zgarnąć. Kaufmann też pewnie jest niegłupi... A ty, znaczy się, paser jesteś.

– *Tak, Garsteczko, rozgryzłeś mnie. Na całe szczęście ty jedyny jesteś uczciwy i prawy. To zaszczyt mieć takiego partnera... Ale nie pozwalaj sobie za dużo. Robiłem to, czego wymagała praca naukowa: oficjalnie jeździłem na badania terenowe z córką Kaufmanna, a w rzeczywistości zajmowaliśmy się zdobywaniem w Sektorze tego, co było nam potrzebne. Dlatego też mam swoje*

kontakty i znajomości po obu stronach Kordonu, tego i owego znam.

– No proszę, czego się o człowieku można dowiedzieć... – podsumował Garsteczka. – Pewnie dlatego cię Chemikiem przewali, nie? Bo mieszasz i kombinujesz.

– *Tak czy inaczej, tę wizję podczas utraty przytomności muszę sobie dobrze przemyśleć.* – Chemik zmienił temat. – *Nie przypuszczałem, że adaptacja „partnera” może posunąć się tak daleko. Przydałoby się jeszcze odespać niedawną przygodę z przemienionym...*

– Słabo się trzymasz?

– *Otępiały jestem. Myśli się rozłążą, od przeciwbóli język się plącze.*

– Chodź tu, szybko! – doniosło się z kabiny przez turkot silnika. Garsteczka podniósł się z akumulatora.

– A ten twój zombi znów nie wlezie? – zapytał jeszcze, idąc ku drzwiom.

– *Nie, zabarykadowałem się. On też powinien być już stracić sporo krwi, w końcu sam się nie opatrzy. Inteligencji na to mu nie starczy.*

– Dobra, to ty śpij, Chemik, a ja sobie dam radę – szepnął Garsteczka, przechodząc do kolejnego przedziału. Przez drzwi widział już plecy Kruka stojącego w kabynie lokomotywy. – Tylko mnie nie podglądaj przez sen.

– *Żeby jeszcze mógł to kontrolować...* – westchnął Chemik.

Pociąg zauważalnie zwalniał. Garsteczka podszedł do konsoli sterowania, stanął obok Czerwonego Kruka.

– Hej, co jest? Co się dzieje?

Przed nimi ziała świecąca srebrzystym blaskiem jama. Ziemia wokół niej pomarszczyła się i jak gdyby pogięła, niczym przedziurawiony palcem karton, ginące w dziurze szyny były dziwnie pokrzywione i nierówne, mimo że za nią biegły dalej idealnie prosto.

– Ki diabeł...? – jęknął Garsteczka.
– To anomalia, „połyk”.
– Nazwa kojarzy się dość przyjemnie...
– *„Kociół grawitacyjny” w oficjalnej nomenklaturze* – dodał cicho Chemik w jego głowie. – *Bardzo silne, kierunkowe zakłócenia przestrzenne.*

Garsteczka potrząsnął głową, szepnął półgębkiem:

– A wygląda... No nie wiem, jak z filmu animowanego. Jak gdyby ktoś przebił paluchem kartkę papieru na wylot, i teraz można zajrzeć na drugą stronę.

– *Tak, zdarza się i taki efekt. Anomalie to w ogóle dziwna sprawa, jak sama nazwa wskazuje. Miejscowe zakłócenia ciągłości czasoprzestrzeni, strefy wyłączenia poszczególnych aspektów fizyki newtonowskiej, czasem nawet przerwanie związków przyczynowo-skutkowych.*

– Kruk, a co to tam jest, na dole? – Garsteczka stanął na palcach, wyciągając szyję i próbując zajrzeć poza skraj jamy. Pociąg wciąż jeszcze jechał, więc perspektywa powoli otwierała się coraz bardziej. – Ej, słuchaj, tam leży pojazd!

– Nie widzę jeszcze. Bliżej nie podjedziemy, bo może wciągnąć.

Lokomotywa ostatni raz stuknęła kołami, szarpnęła i stanęła. Widać już było do połowy wciśnięty w ziemię owalny korpus poduszkowca, wgniecioną kabinę kierowcy i otwarty tylny właz.

– No, to jest nasza amfibia... W kabinie leży człowiek, albo przynajmniej resztki.

Kruk wskoczył na deskę rozdzielczą, oparł się czołem o szybę i wpatrzył we wrak pojazdu.

– Woźniak – zawyrokował.

– Kto...? A, ten mechanik, co kierował. Ale go rozsmarowało, cie choroba...

– Plecaki też są.

– Te zielone naleśniki?

– Mhm, zgmiotło je równo. A te czarne takie, tam... Nie mam

pojęcia.

– *To mogły być nowe hełmy chroniące przed energią Fali. Było ich kilka na wyposażeniu.*

– Hełmy chyba. – Garsteczka ochoczo sprzedał myśl jako swoją. – O, widzisz? Karabiny tam są, płaskie jak naklejki. Ech, niemieckie giety, z optyką... Taka ładna broń.

Widział nie tylko jamę „połyku”, amfibię na dnie, martwego mechanika, zmiażdżoną broń i sprasowane plecaki. W odróżnieniu od najemnika Garsteczka dostrzegał też srebrzystą poświatę, sączącą się wzdłuż brzegów dziury. Opar gęstniał i kłębił się przy dnie, unosząc ku górze ledwo widoczną mgiełką. I to miało być to zakłócenie grawitacji? Czyli co, jeśli wejść, to pociągnie w dół, potem coraz mocniej, a część ulotni się do góry?

– Ty, ale jak oni tam wpadli? – zdziwił się nieco poniewczasie. – Aż tak szybko by jechali? Przecież tę jamę z daleka widać.

– To jest aktywowany „połyk”. – Kruk zsunął się na podłogę. – Wcześniej, w stanie oczekiwania, dziury nie było, tylko iskry latające w powietrzu.

– Aaa, takie buty. I długo tak będzie tu... leżeć?

– Parę dni, potem grawitacja odpuści. Na dnie można „antyk” znaleźć. – Kruk pokazał głową na swój plecak. – Podobny jak w moim pojemniku. Zmniejsza wagę pobliskich przedmiotów.

– Fajne. No dobra, ale to coś mi nie pasuje. Tu na dole jest tylko jeden trup. Co z pozostałymi dwoma? Wyskoczyli?

Chemik milczał, nie odzywał się. Pewnie zasnął, więc Garsteczka zaczął sam rozmyślać i kombinować. Po chwili uśmiechnął się i dodał:

– No tak, jasne. Ten twój Woźniak siedział przy sterach, major i kapitan byli z tyłu. O tam, patrz, jest fotel w kabinie. On tylko siedział, ci dwaj stali, trzymali się poręczy. Musieli jechać szybciej, nie zauważyli albo nie zdążyli skręcić. Titomir i Kovacs skoczyli w tył i się ewakuowali, a ten już nie dał rady.

Czerwony Kruk zaczął naciągać na ramiona szelki plecaka. Garsteczka wziął strzelbę i mruknął, niezadowolony:

– Najemnik, a ty byś nie mógł, ten... Weź no, spróbuj być jakiś bardziej rozmowny. Nie wstydz się, gadaj. Otwórz duszę. Bo tak patrzę, nawet teraz się łapiesz za swoje rzeczy, a ja nie wiem, co jest grane.

– Chyba oczywiste – warknął Kruk, przeciskając się obok niego.
– Dalej i tak nie pojedziemy, więc trzeba piechotą. Banda Garbusa idzie za nami, pospiesz się.

Wyszedł do sąsiedniego przedziału, potem stuknęły otwierane drzwi, powiało chłodem. Garsteczka sapnął i dosunął suwak kurtki aż pod samą brodę. Potem przypomniał sobie o ranie, która już od jakiegoś czasu w ogóle mu nie doskwierała, więc rozpiął znów kurtkę, zadarł koszulę i popatrzył na obandażowany bok. Dotknął palcem. Górka jeszcze mniejsza, w ogóle prawie nie boli... No tak, już wiadomo, czemu się Chemik tak podjarał tą „galaretą” – poważna rzecz taki artefakt. Ciekawe, czy są też inne z podobnymi właściwościami?

Pozapinał się, zarzucił emkę za plecy, karabinek na ramię i wyskoczył z lokomotywy śladem Kruka. Ten stał już plecami do burty, machnął ręką, poganiając Garsteczkę.

Po bokach rosły drzewa – może jeszcze nie puszcza, ale rzadki las już na pewno, pełen chaotycznie wyciągających się w górę sosen, buków, leszczyn i świerków. Tu przynajmniej gleba powinna być twardsza, będzie się różniej szło. Ba, tylko dokąd iść? Pociąg stanął pośrodku wąskiej, zarośniętej krzakami przecinki, biegnącej wraz z torami płynnym, długim łukiem. Słońca nie było widać.

– Jak myślisz, dokąd ruszyli major z kapitanem?

Czerwony Kruk pokazał przykurczoną lewą ręką na południowy wschód.

– Jeśli mają choć trochę oleju w głowie, to w tamtą stronę.

Szczerze powiedziawszy, wybrany przez najemnika kierunek

dokładnie niczym nie różnił się od pozostałych dostępnych. I drzewa były takie same jak wszędzie indziej, i wszystko inne też.

– Aha, to ty jeszcze i przewodnikiem jesteś, pół-Indianinem? – mruknął Garsteczka ironicznie. – Ksywkę masz jak znalazł... Dlaczego właśnie tam? Czy ot tak sobie walnąłeś?

– Tak sobie.

Garsteczka odczekał chwilę, żeby mu odpuściły nerwy. Potem zapytał bardzo spokojnie:

– Skąd zatem taka decyzja, panie rozmowny?

– Całe ich wyposażenie zostało w amfibii.

– No tak, też widziałem. I co z tego, że... A! Chcesz powiedzieć, że muszą się przed dalszą drogą zaopatrzyć?

– Tak. Ale nie tylko. Jeśli major chce „oka”, to pójdzie do Wiedźmaka, który miał mu sprzedać artefakt. A Wiedźmak mieszka na Lotnisku.

Tak Bogiem a prawdą, Garsteczkę obchodził tylko major i jego pieniądze. Jednak wedle bajeczki, którą sprzedał najemnikowi, powinien interesować się Kaufmannem i jego córką – co zresztą przyobiegał Chemikowi – więc musiał się pokazowo zachnąć:

– Ale co z naukowcami? Przecież nie wiadomo nawet, dokąd poszli. Wiemy tylko, że od pociągu nie wracali do Kompleksu, bo wtedy bym ich zobaczył po drodze.

Czerwony Kruk wyciągnął palec, pokazując wzdłuż torów.

– Jeśli pójdziesz prosto na wschód, to wleżesz w Łyskę. Tam możesz przejść tylko w najcięższym kombinezonie ochronnym.

– O tej Łysce coś słyszałem. Trujący piasek?

– Miejscami, ale nie tylko. Do tego drapieżne krzewy... Niektórzy w ogóle mówią, że to jedna wielka anomalia. Żeby obejść ją od północnego wschodu, trzeba za dużo drogi nadłożyć. Tam dalej w ogóle jest Ślepa Plama, w którą zwyczajnie nie wejdiesz. Od tej strony Łysicę można ominąć tylko od południa i wschodu, tam jest jedyny punkt, z którego można iść dalej, czyli

właśnie Lotnisko. Punkt graniczny pomiędzy Szarym Kołem a Wstęgą.

– No, czyli tak jak Stacja między Kołem a Rubieżą. Tam we Wstędze to już podobno przerabane, co nie?

– Tutaj też niebezpiecznie, ale jeszcze się da przeżyć. Więc idź za mną krok w krok i nie gadaj tyle. Niedobrze, że w lesie nas noc zastanie. A to mi się w ogóle nie podoba.

Czerwony Kruk machnął ręką ku wschodowi i po prostu ruszył. Garsteczka spojrział na wschód, gdzie ponad horyzontem znów majaczyła purpurowa zorza. Co jest, znów będzie błyskać na czarno? Czy prawdziwa Fala się zbiera? Zrobił kilka kroków za Krukiem, obejrzał się na samotnie stojący przed lejem anomalii pociąg. Ile czasu minie, zanim dotrą tu bandyci Garbusa? Co postanowią dalej? Na pewno też szybko zorientują się, dokąd ruszyli uciekinierzy. Trzeba się było spieszyć, czas naglił.

Drgnął, gdy obok jamy przesunęła się przezroczysta, utkana z mgły sylwetka. Wysoki, chudy człowiek, chyba z długimi włosami... z jakąś pałką, a może kosturem? Duch stanął, oparł się ciężko na kiju i przekręcił głowę. Rysów twarzy Garsteczka nie widział.

– Kruk... – jęknął Garsteczka słabym głosem, ale najemnik go nie słyszał.

Nieznajomy patrzył wprost na niego. W głowie rozbrzmiały szepczące głosy, po plecach przebiegł dreszcz. Postać kilka chwil stała na skraju jamy, a potem zaczęła rozmywać się w powietrzu i zniknęła. Garsteczka zamrugał.

– Cholera, nienawidzę! – warknął. – W dupę kontinuum ten cały Sektor i jego haluny!

Wciągnął nosem haust powietrza, uśmiechnął mimo woli. Gęsty, cierpki zapach niósł ze sobą cały bukiet polowych aromatów: słodkawa woń gnijących liści, tłusty czarnoziem, tchnące torfem bagna... Jesień. Nieskrępowana wolność.

Czerwony Kruk wysforował się daleko naprzód, teraz obejrzał i machnął ręką: szybciej! Garsteczka potruchtał za nim.

Po drodze pomyślał sobie jeszcze, że nie zadał najemnikowi jednego ważnego pytania: jak niby tamten rozpoznał twarz mechanika z Kompleksu? To jeszcze można było od biedy zrozumieć, ale jakim cudem znał Woźniaka z nazwiska?

Było też i drugie, o wiele istotniejsze pytanie: czego Kruk tak naprawdę chciał od majora Titomira?



Garsteczka kluczył pomiędzy drzewami, spoglądając ku wschodowi. Przez korony drzew nie było widać ani horyzontu, ani wiszącego nad nim pasma czerwonego mroku. Pozostawało tylko zgadywać, co mogło się tam dziać.

– Kruk, ej, słyszysz? – zawołał do idącego przodem najemnika.
– A co to za Lotnisko tam jest? Prawdziwe, w sensie pasażerskie? Czy wojskowe? Bo cywilnego tu nie było, a jak wojskowe, to ciężko będzie tam niezauważenie...

Kruk nie reagował, ale Garsteczka ani myślał się poddać.

– I kiedy tam dojdziemy? No weź nie milcz, odpowiedz chociaż na pytanie!

– Byłe lotnisko, nieczynne – odezwał się najemnik. – Mieszkają tam teraz różni tacy. Porządnie, jak nie w Sektorze, mieszkają. Hotel jest, nawet bar.

– Oho, hotel! No dobra, a jak Fala, to co? Przecież po ostatniej to chyba same trupy zostały?

– Mają trzy schrony. Jeden w wieży, gdzie siedzi Wiedźmak, drugi pod budynkiem kierownictwa i jeszcze jeden pod hangarem, w którym jest Arena.

– A ludzi dużo? Tak w ogóle w Sektorze, patrzę, to pustką wieje. Jakoś tłumów nie widać.

– Stałych obozów jest jak na lekarstwo, głównie tymczasowe noclegi. Lotnisko to największy punkt w zachodniej części

Sektora.

– No i dużo ludzi tam mieszka?

– Nie wiem. Pewnie tak.

Po drodze od czasu do czasu napotykali wolne od drzew miejsca. Dziwne: to gęste chaszczce, że nie ma szans się przedrzeć, to znów pusty plac, jak polana albo przesieka. Garsteczka szedł krok w krok za Krukiem i myślał o majorze Titomirze. Jeżeli najemnik miał rację, to i major musiał wtedy iść całkiem niedawno.

Garsteczce Titomir zawsze kojarzył się z wojskowym nożem – ostry jak brzytwa, z kilkoma szczerbami, powycierany od używania. Dokładnie ten typ. I pomyśleć, że chciał jego i Witię tak po prostu posłać do piachu! Wziąć i zwyczajnie sprzedać miejscowym bandytom za pieniądze, jak niepotrzebnego psa rakarzowi. Takich rzeczy się nie wybacza.

Och, ciekawe, jak zareaguje Titomir, kiedy okaże się, że Garsteczka jest w Sektorze! Teraz szeregowy z Kompleksu pewnie będzie dla niego znów dodatkową parą rąk i nóg, które można wykorzystać wedle uznania.

Czerwony Kruk skręcił, wymijając niedużą polankę. W samym jej centrum stał pień, zupełnie już poczerniały ze starości, powykrzywiany, z ziejącą, wygniłą dziurą w samym środku. Ponad nim wirował gęsty, szary słupek komarów, albo meszek... Najemnik znów wszedł w cień drzew, idąc równym, miarowym krokiem. Wilgotne liście i mech ugiwały się miękko i bezszelestnie pod nogami, w lesie zawisła dziwna, niemalże nieziemaska cisza.

Świat zdawał się być jak za zasłoną z waty. Garsteczka szarpnął za kołnierz kurtki, czując, że materiał zaciska się na gardle, przeszkadza oddychać. Powietrze było gęste i wilgotne, niczym w saunie, drzewa ledwo rysowały się szarymi słupami. I były coraz bliżej, coraz gęstsze, okręzały go ze wszystkich stron, naciskały i tłoczyły wokół.

Garsteczka powoli, jak w stuporze, obrócił głowę, powoli i z trudem przestawiając nogi. Serce waliło niczym młotem, było ciężko... Nie, nie ciężko! Ledwo już oddychał! Przestrzeń zaciskała się jak pętla, niebo zawisło nad głową niczym ciężka, stalowa płyta. Jak wieko żelaznej trumny! Upadł na kolana, zachrypiał, łapiąc się za piersi. Obok niego ktoś był... człowiek... najemnik... też klęczał. Trzymał się za gardło, bujając z boku na bok. Otworzył usta, poruszył wargami – jak gdyby próbując coś powiedzieć. Garsteczka nic nie słyszał, w uszy jakby ktoś wsadził mu grube, sękate paluchy. Chociaż jakieś echo było, coś się dało zrozumieć:

– Strzelaj...!

– Gdzie, w co...? – zachrypiał Garsteczka.

– Po prostu! Strzelaj...

To były ostatnie słowa, jakie zdołał wykrztusić Kruk, a potem upadł na bok, w trawę, ryjąc mech spazmatycznie podrygującymi nogami.

Coś majaczyło w powietrzu za nimi. Garsteczka czuł to jako ciemny obłok. Coś bez ust, oczu, bez organów, ale nie mniej groźne, złowieszcze. Nie mógł się obrócić, nawet nie był w stanie ściągnąć karabinu z ramienia, więc słabnącą ręką rozpiął kaburę, wyciągnął pistolet. Trumna świata zamykała się nad nim, cisnęła na piersi... Ciało Kruka drgało konwulsyjnie, wykręcona ręka drapała ziemię niczym szpon, twarz skrzywił skurcz, lewa połowa w ogóle zwiśla bezsilnie, prawą ściągnęło strasznym grymasem. Jedno oko nabiegło ciemnym szkarłatem...

Garsteczka wyjął w końcu pistolet, po prostu wyciągnął rękę przed siebie i ściągnął język spustu.

Huk wystrzału smagnął po uszach niczym batem. Garsteczka zamrugał.

Wszystko nagle się zmieniło. Trumna otwarła się, jej wieko uleciało w górę, zniknęło w jasnoszarym, jesiennym niebie. Drzewa się rozstąpiły, świat nabrał przestrzeni. On sam klęczał

na środku polany, obok niego podnosił się z ziemi roztrzęsiony, ale żywy Kruk. Garsteczka zaczerpnął spazmatycznie powietrza, po czym odwrócił się ku polance.

W kierunku jej centrum powoli płynął nieduży kłęb dymu. Chmura podleciała do pnia, zawisała nad nim, a potem coś zasyczało. Od obłoczku w kierunku dziury wyciągnęła się struga dymu, jak gdyby ktoś włączył niewidoczny odkurzacz, a następnie chmurkę wessało gdzieś pod ziemię. Nad pniem znów zawirował słup komarów.

– To anomalia, „dymówka” – sapnął Kruk, przyciskający do siebie karabin, niczym relikwię. – Rzadka cholera, niebezpieczna... Panika, potem szok, w końcu serce wysiada albo się dusisz.

– „Dymówka”, dzika jej mać... – powtórzył Garsteczka, stając na nogi. Jak to możliwe, że wcześniej się nie domyślił. To przecież nie meszki tam latały! Te szare i czarne punkciki to iskry promieniowania anomalii!

– Idziemy stąd, ale już. – Czerwony Kruk z trudem zrobił pierwszy krok.

– Nie, czekaj. Tam, widzisz? Obok pnia, w trawie.

Kruk zmrużył oczy.

– Nic nie widzę.

– Tam przecież coś leży. Artefakt z anomalii, zgadza się?

– Ja nic nie widzę – powtórzył najemnik. – Ale jeśli coś tam jest, to pewnie „lepik”. Do pnia nie podejdziesz, chyba że kijem sięgnąć... Dobrze by było „lepik” zabrać, nie zawadzi.

– Aha. A co to robi? – Garsteczka odłamał długą gałąź z pobliskiego drzewa.

Z bliska artefakt wyglądał jak kawałek lekko wilgotnej, czarnej plasteliny, w którą ktoś powbijał kryształki cukru. Dokoła wirowały i kręciły się czarne muszki iskierek, które ochoczo otoczyły dłoń Garsteczki, gdy tylko ten wziął anomalny twór do ręki.

– Do skóry sobie go przylep – poradził Kruk. – Najlepiej na karku albo na ramię, blisko głowy. Kilka dni działa, ratuje przed psi-promieniowaniem. A teraz chodź, bandyci nam po piętach depczą.

Ruszył, nawet nie czekając na Garsteczkę, więc i ten pospieszył śladem przewodnika, obracając w rękę „lepik”. Miękka, podatna substancja kleiła się do palców jak posmarowana miodem.

– A przed Falą uratuje?

– Nie, tylko od anomalii: „psi-worek”, „kontroler”, „dymówka”...

Garsteczka pomyślał krótką chwilę, po czym plasnął artefaktem o szyję z tyłu, zaraz pod włosami. Przycisnął, na próbę oderwał; trzymał się dobrze, zaraza. Da się zdjąć, pewnie, ale nie bez pewnego trudu... No i dobrze, niech sobie wisi.

Kruk skrzyknął gwałtownie, zatrzymał się za drzewem. Machnął ręką, a kiedy Garsteczka podszedł, pokazał przed siebie. Przez las szedł człowiek w brudnych spodniach, od pasa w górę nagi, z długimi strąkami włosów zwieszającymi się na plecy. Szedł jakoś dziwnie, nierówno, jak zwierzę wypatrujące zdobyczy, sapiąc głośno.

– Zombas – szepnął Garsteczka najemnikowi na ucho, unosząc karabinek. – Stukniemy frajera?

Kruk pokręcił głową, dłonią delikatnie opuścił lufę broni ku ziemi i powiedział:

– To mój towarzysz.

– Co? – zdziwił się Garsteczka.

– Aleks Borysow. Porządny włóczęga... był z niego.

– I kto go przemienił?

– Pewnie wlaź w „psychika”, taką anomalię. Albo jej artefaktem się bawił, „błyskiem”, chociaż to inny efekt by był... Mógł też trafić pod Falę.

– Czyli co, to Fala też potrafi przemienić?

– Czasami tak, ale raczej rzadko.

Garsteczka aż zadrżał, gdy pomyślał, że jego koledzy z Kompleksu mogli nie zginąć, a zmienić się w takie coś. A on musiałby ich jednego po drugim... I na końcu Witię. Cholera, czyli wychodzi na to, że dobrze, iż jego przyjaciel po prostu zginął! Jak by po czymś takim można w lustro spojrzeć? I bez tego paskudnie się czuł.

Kiedy nieumarły włóczęga zniknął pomiędzy drzewami, Kruk odczekał jeszcze chwilę i znów ruszył przed siebie.

– I dużo takich tutaj? – zapytał cicho Garsteczka, idąc za nim.

– Nie. Ten do „wabika” poszedł.

Najemnik pokazał w kierunku, dokąd skierował się zombi. Garsteczka zmrużył oczy, wpatrując się pomiędzy drzewa. W oddali majaczył słup lekko mlecznego światła, wyraźnie widoczny na tle powoli ciemniejącego nieba.

– Przemienieni zawsze idą do „wabika” – dodał Kruk – jak ćmy do światła. Zbierają się tam, łążą w kółko, próbują podejść do centrum. Tam tylko taka dziura z żółtawą cieczą jest, ona tak świeci.

– Nic więcej? Może artefakt jakiś chociaż?

– Nawet dwa. Jeden to „perłówka”, coś jakby opalizująca kulka. Przy porządnym uderzeniu cholernie mocno się rozgrzewa. Drugi to „syrop” – to ta maź w jamie, co do niej leżą przemienieni. Jeśli coś zamoczyć w „syropie”, a potem wysuszyć, to twardnieje na kamień.

– *Wzmocnienie wiązań na poziomie atomowym.* – Garsteczka aż drgnął, gdy w jego głowie znów odezwał się głos Chemika. Szepnął ledwo słyszalnie:

– Ostrzegaj, jak się wcinasz w scenę!

– *Może gwizdnąć mam albo muzyczkę puścić? Przyzwyczajaj się.*

Głos był słaby, agent mówił niewyraźnie, mamrocząc i gubiąc zgłoski. Niełatwo musiało mu być: noga złamana, zombi go poszarpał, a nie miał nawet mu kto opatrunków zmienić.

– Teraz cicho bądź – szepnął Garsteczka. – Chcę się do końca wywiedzieć o „wabiku”.

Czerwony Kruk już kończył swą niedługą opowieść:

– „Wabik” to pojawia się, to znowu ginie. Przeważnie stoi w jednym miejscu dwa–trzy dni, potem przenosi się na inne. Przemienieni przełazą tam, potem znów koczują... I tak się szwendają w tę i we w tę. A większość się spala na śmierć, kiedy z anomalii wypada „perłówka”.

– Słowem, do „wabika” nie pójdziemy – stwierdził Garsteczka.

– Jeśli nic nam nie przeszkodzi, to do rana dotrzemy na Lotnisko. Teraz przed nami Łysa Górka, tam na szczycie jest wysokie drzewo. Wejdę na górę, popatrzę, czy ludzi Garbusa nie będzie widać. Potem dojdziemy do strumienia, wtedy powinno być już ciepło. Tam zanocujemy.

– *Zapytaj, co planujecie na Lotnisku. Co konkretnie chce zrobić, jaką ty masz w tym rolę.*

– Kruk, wiesz co, tak jeszcze myślę... – odezwał się Garsteczka, przechodząc ponad wystającym z ziemi korzeniem. – A co na miejscu zrobimy, jak dojdziemy? Masz jakiś plan, prawda?

Najemnik przystanął na skraju niedużej polanki, popatrzył na nią krytycznie i ruszył dookoła. Garsteczka nie miał pojęcia, co mogło się nie spodobać jego przewodnikowi, ale już nawet nie pytał.

– Plan? Nie ma planu – rzucił Kruk. – Przychodzimy na Lotnisko. Szukamy naukowców. Szukamy majora.

– Rozumiesz? Wszystko proste i jasne – warknął Garsteczka do Chemika, który od razu pospieszył z odpowiedzią:

– *O planie jeszcze pomówimy, ty i ja. Swoją drogą, znów widziałem we śnie... Widziałem, jak idziecie we dwóch przez las. I jakaś taka ciemna kula latająca tam była.*

– To anomalia, „dymówka” chyba się nazywa. Znowu podglądałeś, świnió.

– *Mówiłem ci już, że to nie ode mnie zależy. Przynajmniej mamy*

już pewność, że oprócz audio, zacząłeś nadawać mi też wideo. Zaskakujące, szczerze mówiąc, nigdy o czymś takim nawet nie słyszałem. Ciekawe, jaka jest zdolność przepustowa takiego kanału pomiędzy „partnerami”? Bo rozumiesz, gdyby dało się w całości przesłać świadomość, to można by w zasadzie przerzucić człowieka na inny nośnik...

Garsteczki jakoś ta rewelacja nie ucieszyła. Czuł, że agent trzyma go na moze i niewidocznej, ale krótkiej smyczy, a na razie nic z tym nie mógł zrobić. No i trudno, nie ma co po próżnicy tracić komórek nerwowych na wkurzanie się. Wideo, to wideo, niech będzie. Nawet i w HD. Tylko i wyłącznie przekonało go to, że pora jak najszybciej się pozbyć „partnera” z ucha, a do tego potrzebny był mu Wiedźmak.

– To pewnie dlatego, że odporny jestem, sam mówiłeś – wyartykułował niemalże bezdźwięcznie, idąc raptem kilka metrów za Krukiem. – Może i „partner” nie tak działa jak powinien.

– *To niewykluczone. Gdyby jeszcze tylko wiedzieć, co z punktu widzenia fizjologii określa stopień podatności na Falę... Może dodatkowe połączenia neuronowe w mózgu? Możesz mieć ich więcej niż statystyczny człowiek.*

– To miłe. Czyli jestem lepszy.

– *Albo wręcz przeciwnie: masz ich o wiele mniej, twój mózg jest bardziej prymitywny, co gwarantuje odporność kory na uszkodzenia.*

– No, to było niemiłe.

Kruk zarządził postój. Przegryźli co nieco, popili herbatą z manierki, ruszyli dalej. Drzewa powoli rzedły, pomiędzy nimi widać już było zarośnięte trawą wzgórze o zupełnie gładkim, łysym szczycie, pośrodku którego sterczało samotne, suche drzewo. Gdy wspięli się na górę, Kruk ściągnął plecak.

– Czekał – rzucił przez ramię, rozpinając płaszcz.

– Ty jesteś pewien, że warto włączyć? Przecież tam tylko czubki

drzew zobaczysz.

– Nie jest tak gęsto, mijaliśmy polany i przesieki. Jeśli ludzie Garbusa idą dokładnie za nami, to będzie ich widać.

Zrzuciwszy płaszcz na ziemię, Kruk wyciągnął z kieszeni drewnianą szkatułkę i wtarł w dziąsło odrobinę jej zawartości. Czymkolwiek była tajemnicza maść, błyszczała jasno, przypominając zimny płomień i zdradzając swą anomalną naturę.

Podczas gdy najemnik wspinał się na górę, Garsteczka obszedł dokoła pień. Wszędzie jak okiem sięgnąć otaczał ich las; tylko od południowego wschodu widać było szeroką przesiekę, z daleka przypominającą raczej kanion. Przysłonił oczy dłonią, wpatrując się w ten jedyny punkt charakterystyczny pejzażu, po czym zadarł głowę i powiedział:

– Cicho tutaj. Dziwnie tak, cicho i nieruchomo.

– *Mnie też to niepokoi* – odezwał się Chemik słabym, lekko drżącym głosem. – *Przeważnie po przejściu Fali następują w Sektorze daleko posunięte perturbacje.*

– *Że co?*

– *Zmiany. Bajzel straszny. Anomalie się przemieszczają, czasami potrafią przesunąć się całe fragmenty mapy... to jest krajobrazu.*

– Zaraz, jak to, mapa i krajobraz? Czyli co, góry i lasy sobie spacerują?

– *Brzmi to absurdalnie, ale rzeczywiście, trafiają się ekstremalnie dziwne przypadki. Raz zdarzyło się, że znikło duże obozowisko włóczęgów razem z fragmentem lasu, przy którym stało. Głośno o tym było.*

– Bajki dla dzieci, daj spokój!

– *Wcale nie. Sektor płodzi mnóstwo opowieści, ale to akurat przypadek udokumentowany, bo w obozie było dwóch wysłanników ONZ. Wiem, bo sam czytałem raport, prosili nas o opinię fachową.*

– Czyli co, to całe Polesie, że niby Zaginione Miasto, to też jest udokumentowane? Pff, a ja myślałem, że takie gadanie...

– *Garsteczka, na litość boską! Polesie to stuprocentowo prawdziwe miasto! Istnieje... to znaczy, istniało przynajmniej do niedawna! Lista mieszkańców, plany zabudowy, przystań, fabryka zabawek, muzeum... Ale przecież nie o tym mowa. Fale potrafią też sprowokować migracje zwierząt, nazywa się to „pędem”. Bywa tak, że po przejściu Fali stada przemieszczają się na nowe terytoria albo po prostu lecą przed siebie na złamanie karku. A teraz sam mówisz, cisza i spokój. Dziwne.*

Zaszeleściło, a potem Czerwony Kruk zeskoczył na ziemię. Naciągnął płaszcz i powiedział:

– Są blisko.

– Widziałeś? – Garsteczka zaniepokoił się.

– Tak. Idą naszym tropem.

– No to wyciągajmy nogi!

Kruk narzucił plecak na jedno ramię i nagle odwrócił się gwałtownie do niego.

– Hej, no coś ty... – Garsteczka odsunął się o krok, ale najemnik złapał go za rękę, uniósł dłoń. Na spodniej stronie widać było kilkanaście niedużych, czerwonych krostek. Kruk odepchnął rękę towarzysza, niczym żywą żmiję.

– Skąd to masz?

– Co? To? Nie mam pojęcia. A niby co?

– Ślad po anomalii, „ospa”. Czego dotykałeś tą ręką?

– Niczego. Nie, czekaj, o pień się oparłem. O tutaj, przy drzewie!

Wskazał uschłą akację i zauważył, że w jednym miejscu korę porastały dziwne, blad różowe grzyby, podobne do zarośniętych wrzodów.

– No i co? – Garsteczce nagle zrobiło się gorąco. – Co to za cholerstwo?! Sam przecież na to drzewo włąziłeś! Dotykałeś też!

Kruk popatrzył na swoje ręce i odpowiedział:

– Ja z tamtej strony wchodziłem, a pień jest gruby. Tego miejsca nie dotykałem, więc się nie zaraziłem.

– Co?! Czym? Jakie zarażenie?

– *O czym tam mówicie? Co się dzieje?*

– Biegniemy! – Najemnik zerwał się z miejsca, zarzucając połami czerwonego płaszcza. Garsteczka, nie mając nic do gadania, pobiegł za nim. Zbiegli ze wzgórza, wpadli w rzadki las...

– Co za gówno złapałem?! – krzyknął.

– „Ospa” rozmiękcza tkanki – rzucił Kruk, nawet na niego nie patrząc. – Kilka minut i zaczynasz mięknąć jak gąbka.

– Mięknąć?!

Słowo było wyjątkowo nieprzyjemne, nie kojarzyło się z niczym dobrym.

– *O do diaska!* – zaklął Chemik. – *Działanie odwrotne do „syropu”. Osłabienie powiązań na poziomie atomowym, co prowadzi do...*

– Cholera, dupa, aaa! Co mam robić?! – Garsteczka nawet nie zastanawiał się, do kogo kieruje pytanie.

Czerwony Kruk patrzył przed siebie skupionym wzrokiem, idąc ostrożnie, żeby nie potknąć się ani nie zahaczyć o gałąź. W końcu odpowiedział:

– Jeśli się pospieszyć, to można zmyć zwykłą wodą, byle biejącą. Jeden taki, Sańka Nohajec, na moich oczach się rozlazł, normalnie w szlam zamienił.

– Ty! Ty już mnie nie strasz dodatkowo! Można po prostu zmyć?!

– Tak. Tylko że szybko. Nie przeniesz zarazy na inne części ciała.

– No przecież się staram!

Garsteczka biegł, wyciągając rękę jak najdalej od siebie, żeby nie dotykać dłonią nawet ubrania. Chemik coś mówił, ale niemalże nie było go słychać, a Garsteczka miał i tak głowę pełną

własnych, przerażonych myśli. Pędził, niczym wystraszony łoś, wyciągając daleko przed siebie długie nogi, wzbijając za sobą suche liście i igliwie, nie bacząc na chłoszczące po twarzy gałęzie i tylko omijając pnie.

– Na lewo! – krzyknął Kruk, skręcając. Wypadli na przecinkę, której środkiem zygzakowała rzeczka – szeroka, ale dość żywa, pełna bysterek i płycizn. Najemnik machnął ręką. – Do wody, już! Głową naprzód!

Ba, łatwo powiedzieć! Strumień może i był szeroki, ale wody raptem do pół łydki, widać było kamienie i piasek na dnie. Garsteczki to jednak nie powstrzymało. Po prostu odrzucił karabinek i strzelbę, zerwał z siebie kurtkę i rzucił się w wodę. Walnął kolanem o kamień, przyładował w coś barkiem, a potem zarył twarzą w muł. Woda była zaskakująco ciepła jak na wczesną jesień, Sektor jeden wie czemu...

Garsteczka poderwał się na kolana, zaczął płukać rękę i chlapać wodą, która bulgotała i szumiała wokół. Wyciągnął, popatrzył – krosty jeszcze były, mimo że wyraźnie zbladły. I zaczęły swędzieć. Działa, działa! Złapał z dna kamień, zaczął z całej siły trzeć i szorować dłoń, mocno, aż do bólu, do krwi. Oczyma wyobraźni wciąż widział, jak ręka zwisa bezwładnie i zaczyna się rozpływać...

Kiedy panika nieco ustąpiła, znów zebrał się na odwagę i popatrzył na rękę. Odetchnął z ulgą – krosty zniknęły. Opłukał jeszcze bolącą i piekącą dłoń, rzucił kamieniem w diabły i podniósł się, dysząc ciężko i ociekając wodą. Raz jeszcze sprawdził: nie, nie było ich.

Udało się. Miał farta.

Wyszedł na brzeg. Czerwony Kruk siedział po turecku, odwróciwszy się bokiem, i wpatrywał się w coś na ziemi.

– Oczyszczony! – radośnie zawołał Garsteczka, szczerząc się. – Zmyłem zarazę!

Najemnik coś tylko burknął w ramach odpowiedzi. Garsteczka

ściągnął koszulę, zaczął czym prędzej wyzymać ubranie.

Dopiero teraz zauważył stojące na drugim brzegu ruiny – wcześniej nie miał do tego głowy. Czarny kamień, chyba granit... albo bazalt? Ale skąd tu bazalt? Duże, graniaste bloki, ułożone w nierówny okrąg. Jakby fundament wieży? Dolna część budowli ginęła w krzakach, ciemnozielony mech wspinał się po murze, sięgając już do korzeni pokrzywionej, młodej brzoźki, która usadowiła się w szczelinie pomiędzy dwoma głazami.

– *Widziałem wodę!* – odezwał się zaniepokojony Chemik. – *To niesamowite, ale widziałem! Tak blisko, lśniąca i mokra, prawie że namacalna. Rozumiesz, co to znaczy? Twój strumień świadomości zaczyna nakładać się na mój!*

– I czego się cieszysz? – Garsteczka podskoczył na jednej nodze, zdejmując mokre spodnie. – A jeśli się w ogóle nałoży i pomiesza? W ogóle przestaniesz ogarniać, co u ciebie, a co u mnie?

Zbliżała się noc, pomiędzy drzewami zaległy głębokie cienie. Pozostałości czarnej budowli majaczyły złowieszczo po przeciwległej stronie przesieki. Garsteczka dalej wyciskał wodę z ubrania, a Chemik mówił:

– *Nie, nie. Wydaje mi się, że w pewnej chwili udało mi się przytłumić idący od ciebie przekaz, a potem znów się pojawił. Nie jestem pewien, trzeba by popróbować, ale wydaje mi się, że będę w stanie to kontrolować.*

– Oj, panie agent, coś niewyraźnie znów gadasz. Gorzej ci?

– *Oj tak. Chyba mam podwyższoną temperaturę. Przydałby się termometr, nie wziąłem, a teraz ledwo chodzę. To mdleję, to jakoś dochodzę do siebie. Nawet nie wiem, gdzie może być ten przemieniony.*

– Ech... – Garsteczka westchnął. – No to się lecz, co ci jeszcze mogę powiedzieć? A tak poza tym, widzisz to domisko, o tam? Czarne takie ruiny?

– *Manifestacja, podobnie jak i twoja strzelba pulsacyjna.*

– Hę?

– *Coś, co zostało wykonane, ale nie przez nas. Dowód na istnienie kogoś jeszcze w Sektorze. Nie mamy pojęcia, najkrócej mówiąc. Znajduje się czasem takie rzeczy, najczęściej przy Wstędze. Potrafi się pojawić tam, gdzie wcześniej niczego nie było.*

Garsteczka pokręcił głową, skończył się ubierać. Popatrzył raz jeszcze na dłoń, odwrócił się do Kruka... I pojął, że coś było nie tak. Tamten siedział, jak i poprzednio, pochylony w przód. Zrzucony byle jak płaszcz leżał na ziemi, obok plecak i karabin. Najemnik kiwał się w przód i w tył, mamrocząc coś nieskładnie.

– Kruk, co jest? Co się stało? – Garsteczka podszedł bliżej. – No już, podnoś dupę. Cały mokry jestem, a ciemno się robi i zimno. Trzeba coś teges, bo przecież zapalenia płuc dostanę.

Zajrzał Krukowi przez ramię i osłupiał. Przed najemnikiem błyszczała kałuża rtęci, może półmetrowej średnicy. Albo nie rtęci, ale czegoś podobnego... Jakby płynne srebro, albo cyna. Jak ten materiał, z którego zrobiony był cyborg zabójca z odstającymi uszami w jednym starym filmie. Kruk patrzył w tę kałużę i coś bredził. Albo raczej żałośnie zawodził przestraszonym głosem. Garsteczka przykucnął obok.

– ...Swincow. Saszka Swincow, skąd się tu wzięłaś? Przecież sam widziałem, że nie żyjesz. Rozpuścili cię w „gnojówce”. Kostia! Marina, Marinka!

Usta Kruka ledwo się poruszały, mówił głuchym, gardłowym głosem... Ale przepełniał go taki smutek, taki wewnętrzny ból, że Garsteczce aż przebiegł po plecach dreszcz.

Nagle zapiekł go kark. W pierwszej chwili wystraszył się, ale potem przypomniał sobie, że miał tam „lepik”. Czyżby artefakt na coś reagował? A Kruk nie przestawał mamrotać:

– Kostiuszka, ty też przecież nie żyjesz. Pamiętam, pamiętam... Skąd się tu wzięłaś? Chłopcy, bracia, przecież nic nie mogłem zrobić. Mnie pierwszego wzięli. Sierioża, ty rozumiesz, prawda? Złapali mnie, wzięli przy stróżówce jeszcze...

Artefakt na karku robił się coraz bardziej gorący. Najemnik mówił, a powierzchnia kałuży wibrowała w rytmie jego słów, poruszając się koncentrycznymi falami, niczym echem głosu. Kruk pochylił się niżej, wyciągnął ręce, a substancja jak gdyby poczuła to, wyrzuszając się dużym pęcherzem.

– Ej, ej, ej! – zaskowyczał nie na żarty wystraszony Garsteczka.
– Kruk, nie odpierdalaj! Nie pchaj się w anomalie!

Ręce najemnika już pogrążyły się w srebrze, które zaczęło pełznąć ku górze po nadgarstkach. Czerwony Kruk pochyłał się coraz bardziej, mówiąc coś do siebie, twarz już niemalże dotknęła kałuży... Garsteczka zerwał z szyi płonący żywym ogniem „lepik” i z rozmachem chlapnął nim w skroń najemnika, złapał go za kołnierz i szarpnął do tyłu. Srebro nie chciało puszczać, ciągnęło się długimi, lepкими włóknami, Kruk wzdrygnął się, złapał za artefakt, palący go pewnie jak rozpalone żelazo. Garsteczka poderwał Kruka na nogi, walnął z liścia w pysk i popchnął z całej siły w kierunku wody.

Najemnik zatoczył się i rymsnął pośrodku strumienia. Spanikował, rozchlapując wodę rękami i nogami, potem jednak dał radę stanąć na czworakach, potrząsnął głową. Prychając, kaszląc i plując, zaczął brnąć ku brzegowi. Dwa razy ręce pośliznęły mu się na kamieniach, a wtedy głowa i ramiona zniknęły pod wodą... Garsteczka stał tylko i patrzył.

– *Jezu, żyjecie tam obydwaj?* – zapytał Chemik. – *Widzę, co tam się u ciebie dzieje, ale nic nie rozumiem, zamieszanie straszne. Do tego ciemno się robi.*

– *Żyjemy, ale co to za życie...* – odpowiedział Garsteczka ledwo dosłyszalnie, prawie nie poruszając ustami. Rozmowa na odległość przychodziła mu coraz łatwiej. – *Obydwaj po kolei władowaliśmy się w anomalie, ale chyba bez skutków tragicznych.*

Kruk dobrnął do brzegu i klapnął ciężko na ziemię. Mokre włosy sterczały mu na wszystkie strony, połowa twarzy obwisła

bezwładnie, za to palce lewej dłoni zupełnie już skręciło w węzły. Zgarbił się, schylił głowę, próbując powstrzymać drżenie ramion. Wyglądał jak stary, zmęczony i zagubiony człowiek... Garsteczka wyciągnął pistolet, wytrząsnął wodę z lufy i zapytał:

– No i jak?

– Nijak – odezwał się Kruk, gramoląc się z ziemi i sięgając po płaszcz.

Artefakt na jego skroni pociemniał, dosłownie się zwęglił. Kruk odciągnął plecak i płaszcz dalej od rtęciowej kałuży, wyjął swoje drewniane pudełeczko. Maznął zawartością po dziąsła, wstrząsnął się... Zaczął powoli naciągać ubranie, ale jego ruchy z każdą chwilą nabierały pewności siebie, kolory zaczynały wracać na policzki.

– Tutaj nie będziemy nocować – powiedział najemnik, zerkając spode łba na anomalię. – Przy „kinematografie” się nie da.

Dotknął wiszącego przy skroni artefaktu, który osypał się czarnymi płatkami sadzy i odpadł, zostawiając na skórze ciemniejszą plamę.

– „Kinematograf” – powtórzył niczym echo Garsteczka.

– Idziemy. – Kruk zarzucił na ramię plecak, podniósł karabin i po prostu poszedł, nawet nie zadając sobie trudu wyjęcia waciaka. – Nocą jest szczególnie niebezpiecznie, trzeba jak najszybciej znaleźć spokojne miejsce. Znam jedno takie w dolince.



Plaskając mokrymi butami, Garsteczka maszerował za Czerwonym Krukiem. Nadciągała noc, niebo ciemniało, cienie między drzewami robiły się coraz głębsze, mroczniejsze i zimniejsze.

– *Nigdy nie słyszałem o anomalii „kinematograf”* – odezwał się Chemik. – *Weź go zapytaj.*

– E, słuchaj, Kruk, a co ten „kinematograf” robi? – zawołał na przewodnika Garsteczka.

– Ludzi ci pokazuje. Bliskich.

– No i kogo zobaczyłeś?

Najemnik wzruszył prawym ramieniem.

– Towarzyszy moich. Byłych. Daj spokój, nie wnikaj – burknął głucho.

Kiedy grunt zaczął opadać, a drzewa rzednąć, Garsteczka zaryzykował jeszcze jedno pytanie:

– No dobra, widziałeś ich. I co?

Kruk wyjaśnił z wyraźną niechęcią:

– Widzisz ludzi, których kiedyś znałeś. Jak żywych, rozumiesz? Chcesz iść do nich. Pochylasz się nad nimi i w końcu wpadasz. Rozpuszczasz się.

– Tak zupełnie?

– Do cna.

– *Interesujące* – mruknął Chemik.

Garsteczka chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego kichnął głośno. Oho, jeszcze trochę i witaj, zapalenie płuc. Tak to jest, jak się jesienną nocą chodzi po lesie w mokrych ciuchach.

Jeszcze kilkanaście kroków i stanęli na szczycie zbocza, schodzącego w dół ku dolinie. Gdzieś daleko, na drugim końcu, migąły bladoczerwone ogniki odległych światel. Kruk pokazał w tamtym kierunku:

– Lotnisko.

– To co, teraz, zaraz tam pójdziemy? – zaciekawiał się Garsteczka. – Przecież mówiłeś, że nocą się po Sektorze nie chodzi, a teraz już całkiem ciemno.

Czerwony Kruk milczał, wpatrując się w dolinę. Garsteczce wydawało się, że gdzieś ponad drzewami poniosło się echo nawoływań, głosów... Ale mogło to być tylko wrażenie, po chwili znów zapadła cisza. Potarł ręce, przestępując z nogi na nogę; chłód coraz bardziej dawał się we znaki.

– Tam. – Najemnik pokazał na stok po prawej stronie. – Źródło się błyszczy. Do niego pójdziemy.

– Po diabła nam źródło? I dlaczego niby błyszczy?

Czerwony Kruk nie uznał za stosowne odpowiedzieć, za to głos Chemika szepnął:

– *To chyba nazwa jednej z anomalii. Nie pamiętam, co robi...*

Mniej więcej w połowie zbocza, pomiędzy dwoma sterczącymi z ziemi głazami wisiała lekko błękitnawa mgiełka.

– Widzisz to? – szepnął Garsteczka.

– *Widzę. Świeci się minimalnie.*

Kruk przeszedł prosto przez mgiełkę, która zakłębiła się falami; w głowie odezwały się głosy. Nie takie, jak wtedy wcześniej, ale raczej spokojne, wręcz kojące.

– Ej, to nie jest groźne? – upewnił się Garsteczka. – Nóg nie upali?

Najemnik przyklęknął, zaczął ściągać plecak i karabin. Dopiero wtedy Garsteczka ostrożnie zrobił krok w dziwne zjawisko.

Poczuł delikatne, przyjemne ciepło, więc nachylił się, potem też uklęknął plecami do Kruka. To najlepszy sposób odpoczynku podczas marszu – jeśli usiąść, to organizm nawet wbrew naszej woli przechodzi w tryb rozluźnienia uwagi, człowiek przestaje się koncentrować na otoczeniu. A tak to i stopy odpoczną, i człowiek nie traci formy.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Jeden z kamieni – podłużny, potężny i masywny – niemalże w całości odgradzał ich od doliny, drugi leżał nieco wyżej na stoku, zasłaniając widok ze szczytu. Dobrze, spokojne miejsce.

Milczeli, sycąc się ciepłem.

– Fajnie, że i takie anomalie się trafiają – zamruczał Garsteczka.

– *Ale nieczęsto* – od razu włączył się Chemik, jak gdyby tylko czekał na okazję. Mówił niewyraźnie, jak po kilku głębszych. – *Większość jest niebezpieczna, trafiają się też neutralne, jak choćby „tęczowa kula”, albo „kreskówka”. Pożytecznych jest niewiele, na palcach jednej ręki zliczysz. Słuchaj, ja... Ja nie dam rady, muszę się przespać. Spróbuj w każdym razie. Ty jak się trzymasz?*

– Na razie nie tak źle – szepnął Garsteczka. – Ale też sytuacja jest z grubsza nieokreślona.

– *To oczywiste. Ja mam gorączkę, czoło gorące jak piec.*

– Słabo.

Zamilkli. Daleko w ciemności przelewały się i błyskały światełka Lotniska, z drugiej strony w niebo bił słup mlecznego światła. Gdzieś u jego podnóża kłębili się oczarowani zjawiskiem przemienieni... A potem „wabik” nagle zamigotał i zgasł. Garsteczka aż się podniósł, zamrugnął, jeszcze kilka chwil widząc czerwono-zielony ślad, niczym wypalony na siatkówce. Potem coś błysnęło i kilka kilometrów dalej zapalił się kolejny „wabik” – a może to ten sam się przeniósł? Wyobraził sobie, jak tłum przemienionych kręci głowami, węszy, aż w końcu zauważyła nową świetlistą kolumnę i rusza ku niej, na przełaj, przez ciemny

las.

Czerwony Kruk w końcu zdecydował, że można opuścić gardę – położył plecak na ziemi, rozścielił płaszcz i zaczął się mościć na prowizorycznym posłaniu.

– A co z naszymi bandytami? – zapytał Garsteczka. – Przecież gdzieś tam są, idą za nami.

– Po ciemku nigdzie nie idą. Ja bym się nie odważył, a tutaj przecież znam okolicę. No, na tyle, na ile to możliwe.

Garsteczka pokręcił głową, rozluźniając mięśnie karku, a potem też ułożył się na ziemi. Ciepło „źródełka” przelewało się i kłębiło, niczym gorący prysznic... albo dłonie pięknej kobiety. Sięgnął pod koszulę, powoli oderwał plaster, dotknął strupa, pokrywającego ranę.

– A to na pewno nie jest szkodliwe? – zapytał.

Kruk wyciągnął zawiniątko z jedzeniem.

– Szkodliwe – nie. Pożyteczne – tak. Nie wyziębimy się, siły wrócą. Ranem zrozumiesz.

– I tak wartość trzeba trzymać.

– Tak. Ja pierwszy, potem cię obudzę.

W zawiniątku znalazły się suchary, trochę suszonych owoców i orzechy. Ani mięsa, ani nawet rybki wędzonej...

– Coś ty, weganin? – skrzywił się Garsteczka.

Najemnik wrzucił w usta kilka pomarszczonych jagódek, upił łyka herbaty.

– Mało jem.

– Bo co?

– Bo nie lubię.

– Kurczę! – warknął Garsteczka, biorąc suchar. – Porąbani tu jesteście wszyscy. Jak można nie lubić jeść? Co to za bzdury w ogóle? Nie da się nie lubić! Przecież to... smaczne jest! I w ogóle miłe. Szczególnie na pusty żołądek.

Czerwony Kruk dotknął częściowo sparaliżowanych ust.

– Smaku prawie nie czuję, więc radość żadna. A jeszcze

w „źródełku” to można i cały dzień nie jeść, siła sama wraca.

Garsteczka zachrupał sucharem, wrzucił do ust orzecha. Cholera jasna no, jak wiewiórka jakaś, albo królik! Dobrze, że chociaż jest herbata, bo jeszcze by wodę musieli pić, jak zwierzęta. Tylko patrzeć, a złączą korę i młode pędy podgryzać. Przeżuł z kwaśną miną, połknął, zapytał:

– Kruk, weź ty mi powiedz, co się tobie stało? Lewą rękę masz niewładną, twarz... Weź, no...

Zamilkł, pytająco i wyczekująco zarazem. Kto wie, jak najemnik może zareagować?

Kruk nie reagował wcale, przeżuwając jagody. Zwróciwszy głowę ku idącemu ku górze zbocz, kontemplował otaczającą ich ciemność. Potem wstał, sięgnął po pistolet. Szepnął:

– Siedź, nie ruszaj się. Sprawdzę.

I wyszedł z anomalii. Garsteczka zdążył tylko szepnąć:

– Słyszałeś coś...?

Ale Kruka już nie było. On nic nie zauważył, czemu tamten się zaniepokoił? Wstał, wziął do ręki karabinek. Stał tak chwilę, zastanawiając się, czy nie warto byłoby wyjść poza obręb lekko lśniącego „źródełka” i przyczaić się za kamieniem – ale Kruk już był z powrotem. Po prostu wyłonił się z ciemności, wrócił na swoje posłanie i ułożył się, jak gdyby nigdy nic, w poprzedniej pozie.

Garsteczka poczekał chwilę, ale stało się oczywiste, że wyjaśnień nie będzie. Westchnął od serca. Ech, to mu się trafił towarzysz podróży! I jeszcze ten płaszcz przedziwny. Co to w ogóle za kamuflaż?

Pociągnął łyka z manierki, zaczął gryźć drugiego suchara. Gdzieś w oddali odezwał się wilk, po chwili drugi odpowiedział wyciem. A przecież przez cały ten czas nie natknęli się na żadne zwierzęta! No, jeśli nie liczyć dziwnego niedźwiedzia przy torach. Nawet ptaków nie było słychać. Faktycznie, trafna nazwa: Puste Miejsce.

- Są tu, w Sektorze, jakieś zwierzęta? – zapytał.
- Są.
- Jakieś wyjątkowe?
- Nie, zupełnie zwyczajne.
- Jak to, zwyczajne? A ja słyszałem, że różne mutanty.
- Można i tak nazwać. Wilki, lisy, nawet niedźwiedzie... Tylko że już przemienione.
- Aha! Jak ludzie, co? Kora mózgowa, neurony, te rzeczy?
- Na tym się nie znam. Różnica jest taka, że przemieniony człowiek jest głupszy, a zwierzę cwańsze.
- O, to ciekawe. Ale tak zauważalnie cwańsze? – Garsteczce stanął przed oczami stary basior o intelekcie zbliżonym do ludzkiego. Zrobiło mu się cokolwiek nieswojo.
- Trochę tak. Ale trafiają się też odmieńce.
- Najemnik umilkł na dłuższy czas. Kiedy Garsteczka już nabrał tchu, żeby go zrugać za urywanie opowieści w takim momencie, ten znów się odezwał:
- Już ci o nich wspominałem. Odmieńce to dziwne istoty, przychodzące od strony Wstęgi. I gdzieś tam jeszcze mieszkają wargowie.
- Znów rozległo się wycie. Garsteczka przewrócił oczami, uniósł głowę ku czarnemu niebu.
- Co? Jakie znów wargi, o czym tym mówisz?
- Wargowie. Jak ludzie, ale bardziej... dzicy. Coś w deseń Indian. Rzadko wychodzą ze Wstęgi, ale zdarza się ich spotkać. Podobno kiedyś byli normalnymi ludźmi, oddziałem, który przypadkiem trafił do Zagubionego Miasta. Weszli tam, a miasto ich odmieniło. Zewnętrznie, wewnętrznie i w ogóle. Nie wiem, czy to prawda, ale tak mówią.
- Kruk znów umilkł, jak gdyby zastanawiając się nad własnymi słowami. Pomasaował ramię i dodał:
- Ja w to nie wierzę. Wargowie mają swój własny język, a tego się chyba nie da zmienić. Nie sądzę. Chociaż, z drugiej strony, tu

jest Sektor, tu wszystko może się zdarzyć.

Siedzieli we dwóch na tej wysepce ciepłego, błękitnawego światła pośród oceanu ciemności. Garsteczka zsuł buty, ściągnął kurtkę. Nie zrobiło mu się ani na jotę chłodniej, wręcz przeciwnie – ciepło, przyjemnie, kojąco. I ubrania zaskakująco szybko wysychały, jak gdyby energia „źródła” odparowała z nich wilgoć.

– Pomogłeś mi, tam, nad rzeczką – odezwał się Kruk. – Niedobrze.

– No coś ty? Niedobrze, że ci pomogłem?

Najemnik znów zamilkł. Garsteczka czekał, autentycznie zaintrygowany.

– Zdechłbym tam, rozpuścił się w „kinematografie”, jak przezrocze w acetylenie. A ty mnie uratowałeś. Przez to teraz...

Znów cisza. Garsteczka w końcu nie wytrzymał:

– Przez to teraz masz dług, a nie lubisz mieć długów? Daj spokój! Ty mi pomogłeś z „ospą”, ja tobie, więc jesteśmy...

– Sprzedać cię chciałem.

– Sprzedać?

– Tak. Pieniądze zabrać, a ciebie puścić na wytrycha.

– Hm... – Garsteczka aż zaniemówił po takim przejawie rozbijającej szczerości. – No, nie powiem, potrafisz zrobić zwrot akcji. To co, teraz już nie chcesz?

– Teraz już nie. Oddałeś mi swój „lepik”, uratowałeś. Teraz już nie mogę.

Całe szczęście, że Chemik tej rozmowy nie słyszał. Nie mógł słyszeć, bo przecież już by się zaczął rozwodzić, udowadniać, że właśnie przed tym Garsteczkę ostrzegał. Jeszcze tylko łożyszyderców w głowie teraz brakowało.

– No dobra – powiedział Garsteczka, bardzo ostrożnie dobierając słowa. – Chciałeś mnie wydymać, ale zmieniłeś zdanie. Proponuję iść spać. Twoja warta pierwsza, tak?



– *Oszukałeś mnie, Nowickij. Bezczelnie oszukałeś.*

Mówił to Witia. Martwy Witia. Szedł ku Garsteczce, a chociaż jego zsiniałe wargi niemalże się nie poruszały, to głos dźwięczał wyraźnie, mocno, w samym środku głowy. Tylko że przecież Witia nigdy nie mówił do niego po nazwisku, zawsze albo po imieniu, albo ksywką, więc czemu nagle teraz...

– *A przecież prawie ci uwierzyłem. Tylko ta maleńka zadra wątpliwości...*

Garsteczka rozchylił powieki. O rany, zasnął na siedząco. Błękitnawa mgiełka nadal wisiała pomiędzy kamieniami, niedaleko spał Czerwony Kruk. Najemnik obudził go jakiś czas temu, Garsteczka stanął na warcie, potem się oparł, usiadł... i zasnął! Zasnął, jak nieopierzony gołowąs!

Wspomnienie snu przepadło, ale wstyd pozostał. Wstyd przed martwym towarzyszem. Chociaż czemu miał być on, Garsteczka, winny? Niczemu przecież. A mimo to głupio mu było, że on żyje, a Witia zginął. I to tak bez sensu, niepotrzebnie.

A niby lepiej by było, gdyby obaj zginęli? Idiotyzm! Żyjesz, żyjesz, więc ciesz się życiem!

– Hej! – szepnął w przestrzeń. – Agent, no cześć! Co tam mamrociesz?

– *Oszukałeś mnie* – powtórzył Chemik.

– Oho, ktoś wstał lewą nogą. No dobra, mów, co cię boli.

Próbował mówić z nutką zadziornej ciekawości, ale tak naprawdę zaniepokoił się nie na żarty. Popatrzył na zegarek, upewnił się, że do świtu jeszcze sporo czasu. Sięgnął po manierkę z herbatą. Czuł się rześko, wręcz doskonale, zapewne dzięki „źródełku”. Ledwo co oko zmrużył, a sił miał tyle, że tylko wstawać, biec, robić, działać...! W mordę nawet komuś dać, a co!

– *Oszukałeś mnie.*

– No już, dość tego powtarzania.

– *W dziale kadrowym mają kopie wszystkich teczek osobowych. Papierowe kopie, leżą sobie na półce. Nikt nie ma tam dostępu... ale zamki puściły, więc wszedłem. I znalazłem tam twoją teczkę.*

O, niedobrze. Garsteczka milczał, czekając na ciąg dalszy.

– *Twojateczka jest cieniutka. Jedna jedyna kartka, dane, zdjęcie i dwie linijki tekstu. Przedstawiony do wyróżnienia, medal odebrał dnia tego a tego. Przeniesiony do Kompleksu. Tyle.*

– No i..? Czego się od razu plujesz? Gdzie to moje straszne oszustwo?

– *Garsteczka, nie błaznuj. Tak mała ilość informacji dobitnie świadczy o tym, że ktoś się nieźle napocił, żeby tę teczkę wyczyścić. Albo jesteś czyimś agentem jak ja, albo... Nie, gdybyś był tajniakiem, to zatroszczyliby się o fałszywe papiery. A tutaj, bach! Jedna kartka, dwa zdania. Po linii najmniejszego oporu. I ja się pytam: dlaczego? Mów, co tam było, tylko nie udawaj. Albo powiedz wszystko, albo koniec zaufania.*

– Lecę, pędzę, serce na tacy niosę. A nie pomyślałeś, że mnie jest obojętne, czy mi ufasz, czy nie?

– *Być może. Ale byłem przekonany, że jesteśmy sojusznikami. Gdybym cię nie ostrzegł o „gromnicy”, to smętne resztki ciebie właśnie leżałyby na torach, pośród kawałków drezyny. Albo już byś się zamieniał w gówno w kiszkach jakiegoś ścierwojada.*

– No i co, pytam się? Przecież na twoją prośbę wlałem do tej drezyny. Masz obowiązek mi pomagać!

– *No właśnie – mruknął Chemik. – Zaczynam poważnie wątpić, że na moją prośbę tak to wszystko ochoczo robisz. Czy ty przypadkiem nie masz jakiejś prywaty w Sektorze? No już, kolego Garsteczka, mówcie jak jest. Nic do ciebie nie mam, wal śmiało... Podobają mi się nawet twój styl, więc gadaj. Coś tam wykombinował?*

Uczucie rozdwojenia jaźni, które nieodmiennie towarzyszyło rozmowom z Chemikiem, stawało się wręcz nieznośne. Przecież

tamten uważał, że Garsteczka jest prostym, uczciwym szeregowcem, który przyprowadzi mu Kaufmanna i jego córusię przewiązanych czerwoną wstążeczką, a do tego pieniądze i „oko”! Za każdym razem musiał udawać takiego właśnie naiwnego prostaczka... Męczące to już było.

Garsteczka popatrzył na Kruka, który spał na plecach, przyciskając do piersi powykrzywianą dłoń, po czym odezwał się:

– A ja tak słyszę, Chemik, że chyba ci już lepiej. Sen pomógł?

– *Boję się, że to chwilowa poprawa – westchnął tamten. – Nocą gorączka spadła, trochę mi ulżyło. Rano znów pewnie będzie gorzej... Ale ty nie próbuj kierować rozmowy na inne tory, cwaniaku.*

– Handlowaliśmy haszem – powiedział Garsteczka.

Chemik sapnął głośno.

– *Takie buty... Tam, w Tadżykistanie?*

– Aha. To znaczy, dowództwo nasze handlowało. Tam przecież szedł przerzut z Afganu... Jeździliśmy tigrem, Witia i ja, woziliśmy wahadełkiem. Nie przez samą granicę, ale od punktu do punktu. No i tak się złożyło, że po drodze... Jedziemy, a tam kobiety, małe dzieci. Moździerze akurat zaczęły walić, a one na drogę wyskakują, ręce wyciągają. Wzięliśmy je na krypę i przewieźliśmy kilka kilometrów. Potem się dopiero dowiedzieliśmy, że to był bohaterski czyn.

– *No właśnie tak mi się przypomniało, że widziałem kiedyś wasze zdjęcia w telewizji. Ty ranny byłeś, z ręką na temblaku. Zrobili z ciebie symbol wojny, było o tym głośno, a potem przepadłeś.*

– Nie ja. My obydwaj, a Witia przede wszystkim. To on chciał cywili zabrać... Tylko tamci powiedzieli, że moja mordą do gazet lepsza.

– *Fotogeniczny, co?*

– Tak mówią. Medale nam przypięli, mnie trochę podkurowali,

potem śmigłowcem do stolicy. Wozili nas po imprezach, pokazywali, zdjęcia robili. Wywiady, nagrania, takie tam gówna. A to wszystko przez hasz.

– *Czekaj, to wy wtedy robiliście kurs? – dopiero dotarło do Chemika. – Wywieźliście ludzi samochodem, w którym przerzucaliście narkotyki?*

– No, a co ja mówię?! Kobiety na skrzyniach siedzą w tych ich burkach i chałatach, a pod nimi dragów na milion dolców! Żebyśmy ich nie brali, toby nas nie było widać, przemknęlibyśmy tylko strzałą i tyle nas widzieli! A tak to obserwatorzy nas przyłukali, zaczęli na nas ogień kierować. Ledwo stamtąd wyjechaliśmy, wóz ledwo zipie, z tyłu jęki, krzyki, krew... Wpadliśmy na nasz patrol, ściągnęli nas na holu, potem do jakiejś bazy. A samochód do garażu wstawili.

– *O rany...*

– Rozumiesz? Zabrali po prostu! No i co mieliśmy zrobić? Powiedzieć, co? Chłopaki, dajcie nam inny samochód, tylko towar przerzucimy i już nas nie ma? Nie dało się!

– *I w końcu znaleźli?*

– Po miesiącu dopiero ktoś tam zajrzał! Znaleźli, szum się podniósł, sprawę wszczęli z urzędu. Nas na przesłuchanie, a my twardo: nie wiem, nie pamiętam, szok pourazowy. Dwóch oficerów z naszej bazy aresztowali, ale przełożony zdążył zginąć na misji, nie było komu nas wysypać. Rozumiesz? Nie mieli co z nami zrobić!

Chemik zaśmiał się ochryple.

– *No tak... Byliście obaj symbolami kompanii z Tadżykistanu, bohaterami kraju, dobrymi, uprzejmymi ludzikami nowych czasów. Nawet hasło takie było: „Paweł Nowickij – bohater na służbie”. Na wszystkie sposoby to w tиви odmieniali.*

– A no, było. Więc w końcu z nami pogadali, podsunęli papiery, że dobrowolnie, i tutaj, do Kompleksu. Co z oczu, to z serca, nie? Dokoła i tak Kordon, nikogo nie wpuszczają, dziennikarze nas

nie znajdują.

– *Ironia losu. Nic, tylko książkę napisać.*

– Czekaj, bo się pogubiłem. To było złośliwe czy tak tylko gadasz?

– *Garsteczka, tak szczerze? Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Wódę i szlugi w każdym całodobowym kupisz, nikt z tym nie ma problemu, bo legalne. A co innego znów jest zabronione, bo tak... I niech będzie, mnie nic do tego. Ale teraz, mój miły, nijak nie uwierzę w czystość twoich intencji. A przecież ryzykujesz własną skórą, na poważnie. Masz swój cel, to dla mnie jasne. Tylko jaki?*

– O rany, ty jeszcze nie jarzysz... Pięć baniek, o taki.

– *Ale... To ty wiedziałeś o pieniądzach? Wcześniej, zanim ci powiedziałem?*

Z przeciwległego krańca dolinki znów rozległo się wycie. Garsteczka uniósł głowę, rozejrzał się, próbując wypatrzyć coś w ciemności. Ani księżyca, ani gwiazd, nic. Nawet większość światel na Lotnisku już zgasła, tylko „źródełko” mżyło lekkim blaskiem.

– A jak myślisz, panie doktorancie? – zapytał.

– *Myślę sobie i tak to widzę* – rzekł Chemik po chwili milczenia.

– *Cywik z Titomirem wiedzieli, jakie z was gagatki. Nie mogli nie wiedzieć. I pewnie wciągnęli was w nielegalny handel artefaktami, czyli kazali robić to samo co wcześniej. Na krótko przed waszym przybyciem akurat zginął jeden porucznik, ich człowiek. Potrzebowali kogoś nowego, a tutaj pojawiacie się wy, i to jeszcze, khem, z pewnym doświadczeniem. Zawodowcy niemalże. Dogadali się z wami pewnie bez problemu... Ciekaw jestem, jak dostawałeś swoją działkę? Pewnie przelewem na jakieś konto, raczej tak. Stąd wiedziałeś o walizce z pieniędzmi za „oko zła”? Przecież to pewnie wy dwaj mieliście wywieźć artefakt z Kompleksu, zgadza się? No, co powiesz?*

– Powiem: a jaka to różnica, Watsonie? Fala i tak wszystko pomieszała, gra zaczyna się z punktu wyjścia. Każdy wyznacza

nowy cel, a moim będzie pięć okrągłych baniek. Biorę je i się zmywam... „Oko” też biorę, jeśli się nadarzy okazja. Potem opchnę gdzieś. Pytania? Nie słyszę.

Wilki znów zamilkły, a Garsteczce wydało się, że z doliny doniosło się odległe echo dźwięku, ale tak cichego, że nie miał nawet pewności, czy stuknięcie nie dochodziło z laboratorium, w którym znajdował się ponoć Chemik. Podniósł karabin i oparł się o kamień, patrząc, jak błękitnawy opar wiruje wokół nóg. Ciekawe. Prawie nic nie jadł, a nie był głodny, do tego sił mu nie brakowało. Jakby zeżarł pół paczki snickersów normalnie. Niezła rzecz, takie „źródełko”.

– *Powinniśmy zawrzeć porozumienie* – zdecydował Chemik.

– Zgadza się, teraz powinniśmy. Co możesz mi zaproponować, panie agent?

– *Zabierasz swoją piątkę. Państwo od tego nie zbiednieje, armia nawet nie zauważy. Ja obiecuję, że nikomu o tym pary z ust. Będę cię kryć, ale za to „oko” ma trafić do Kompleksu razem z Kaufmannem i jego córką.*

– Aha, i potem mnie zakuwają w dyby.

– *Kto?*

– Nie wiem kto, ale ktoś tam już na pewno się znajdzie. I w ogóle po co mam wracać? Inaczej się z Sektora wydostanę. Ci twoi włóczędzy na pewno mają ścieżki przez Kordon wydeptane.

Garsteczka przykucnął przy kamieniu, patrząc w dół. Ognie anomalii przelewały się i pląsały w dolinie.

– *Dobrze, zrobimy tak. Znajdź pieniądze, „oko” i naukowców. Potem się dogadamy, jak zrobić, żeby wszyscy byli zadowoleni. Garsteczka, pomyśl, „oka” i tak nikomu nie sprzedasz, to zbyt poważny towar, żeby byle paser go przygarnął. To tak, jakbyś ukradł i próbował sprzedać... No, nie wiem... Prom kosmiczny! Służby specjalne, wojsko, korporacje... Kula w łeb i do piachu. Serio.*

– Hm, fakt. No dobra, znajdę twoich naukowców, „oko” i kasę,

potem pomówimy, jak się podzielić. A na razie masz mi pomagać, słyszysz? Dobrą radą służyć!

– I nie tylko. Po pierwsze, mamy z Niką kilka wspólnych skrytek w sektorze. Najbliższa musi być niedaleko od miejsca, gdzie teraz jesteście. Po drugie, mogę pomóc ci z Wiedźmakiem. To, że on chciał wystawić Titomira do wiatru, to jedno; z drugiej strony fakt, że dość długo już z nim współpracuję... Zresztą, Kaufmann z córką mogą czekać u niego w wieży. Lotnisko jest dla nich najbezpieczniejszym miejscem.

– No patrz. Bandyci na Stacji coś marudzili, że Wiedźmak ostatnio się mocno zmienił, więc uważaj, bo może i ze współpracą koniec... Ale roboczo jesteście umówieni, sztama! – podsumował Garsteczka. – Pora najemnika obudzić.

– Po co?

– A widzisz to co i ja?

– Widzę. Leżę teraz z zamkniętymi oczami i mam twój obraz. Ale przecież jest ciemno.

Ano, było ciemno. Garsteczce jednak przed oczami migotały, przelewały się i tańczyły różnokolorowe plamy, jakby ktoś rzucił na dolinę obraz schematycznej mapy z rzutnika.

– Na dole ktoś jest – powiedział. – Na polanie, pod nami. Podeszli po cichutku, więc nie było słyhać. „Źródełko” uspokaja, spada czujność.

– Co ty tam jeszcze widzisz?

– Jakby... Dwie takie nieduże plamy, błękitne. Ty pewnie ich nawet nie odróżniasz w moim obrazie?

– Nie jestem wyczulony na odcienie aury promieniowania anomalnego.

– No to mówię ci, dwie plamy. Najpierw myślałem, że to kolejne „źródełko”, ale za małe. A wokół nich są ludzie, kilka osób. Dalej... Po lewej od nich się sączy takie nieprzyjemne, żółtawe światło, potem nic, a dalej przy zboczu leży jakby świecąca ośmiornica, takie macki na wszystkie strony idą.

Pośrodku jakby płonęło ognisko. A bliżej drugiego zbocza jest para pęcherzy, albo baniek. Koloru... tylko się nie śmieję.

– *Dawaj.*

– Lila róż. Mówiłem, nie śmieję się! Nieważne. A tam dalej, gdzie jest Lotnisko, po całej dolinie leżą rozsypane anomalie, ale już są za daleko i nie widzę wyraźnie. Dobra, koniec opisywania pejzażu, budzę najmusa.

Garsteczka odwrócił się i zajął prosto w lufę pistoletu. Pistolet trzymała ręka, na której końcu była cała reszta Czerwonego Kruka. Najemnik musiał obudzić się i podejść zupełnie bezszelestnie.

– Uch ty! Czego się tak skradasz? – sapnął Garsteczka.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytał Kruk ponuro, opuszczając broń.

– Co? Z nikim. No coś ty?

– Słyszałem przecież. – Najemnik patrzył mu prosto w oczy. – Mówiłeś do rzeczy i długo. Nie gadałeś sam do siebie, a pytałeś i odpowiadałeś. Z kim?

– *Powiedz mu* – westchnął Chemik. – *Nie wszystko, ale coś musisz.*

– Z takim jednym jajogłowym z Kompleksu.

Kruk drgnął, ale nic nie powiedział, czekając na kontynuację. „Źródło” podświetlało go od tyłu, nie pozwalając nawet zgadywać, jaki mógł mieć wyraz twarzy. Tylko ciemna sylwetka, skrzycona lewa dłoń i pistolet w prawej.

– Mam tutaj „partnera”. – Garsteczka popukał się w okolice skroni.

– *Garsteczka, on zaraz pomyśli, że ci odbiło. Nie zna tego słowa, to slangowa nazwa z naszego laboratorium. Wytłumacz.*

– Połówkę „kleksa” tam mam, no. To ten artefakt z „gnojówki”.

Kruk znów drgnął, a Garsteczka przypomniał sobie, jak nad rzeczką najemnik mamrotał o jakimś Saszce, którego podobno rozpuścili w tejże właśnie „gnojówce”.

– „Kleksy” przekazują pomiędzy sobą sygnały – powiedział Kruk.

– Prawda. Rozumiesz, o czym mówię? Jeden mam w uchu ja, a drugi naukowiec w Kompleksie. Nauczyli się tam robić z nich komunikatory, technologia dopiero raczkuje, ale działa. Tylko on i ja przeżyliśmy z całej załogi. Zwie się Chemik, Polak, ale porządny gość. Nogę ma złamaną, i w ogóle nieszczególnie fizyczny chyba jest...

Chemik coś burknął, ale Garsteczka kontynuował, niezrażony:

– ...za to w Sektorze bywał, wie to i owo. No i się spięliśmy... To jest, połączyliśmy... No mamy łączność, nie? On mi doradza, co i jak. Nawet teraz każe cię pozdrowić.

– *Nieprawda!*

– I to wszystko? – zapytał Kruk.

Garsteczka rozłożył ręce.

– A co jeszcze niby? Tobie to się pewnie wydaje, że we wszystkim musi być jakaś ocipiała intryga. Spisek najlepiej, nie? A my po prostu mamy łączność i tyle. Słuchaj, teraz co innego jest ważne. Mnie się wydaje, że na dole, o tam, to bandyci Garbusa siedzą.

Kruk wychylił się zza kamienia, popatrzył w dół.

– Gdzie? Ciemno jest.

– O tam – pokazał Garsteczka. – Są dwie takie plamy niebieskawe, ledwo widać, ale da się zauważyć. I wokół nich ludzie siedzą, część leży, jak to na obozowisku. Dwaj stoją, jeden tu, a drugi tam. Strażnicy pewnie, bo...

– Jesteś anomalem, to jasne – powiedział Kruk.

– *Otóż to* – wtrącił się Chemik.

– Co, co? Ej, co to znaczy?

Czerwony Kruk po raz pierwszy popatrzył na Garsteczkę z pewnym zainteresowaniem, po czym powtórzył:

– Anomalem. Czasem się to zdarza wśród włóczęgów, niektórzy was nazywają szamanami albo zaklinaczami. Widzicie

to, czego nie widzą inni. Te plamy to na sto procent „cieplaki”, czyli artefakty ze „źródła”. Takie grzałki przenośne, często używane zamiast ogniska, jeśli nie chcesz zdradzać swojej obecności.

Nagle umilkł, przekrzywił głowę na bok. Uśmiechnął się złośliwie.

– To ty wybuchłeś artefakty w torbie Kręcioła.

– Aha. Zajebicie wyszło, co nie?

– *Udało ci się coś takiego zrobić?* – zdziwił się Chemik. – *I nic mi nie powiedziałaś?!*

Garsteczka machnął ręką, po czym wyjrzał zza głazu i zapytał:

– Kruk, ale co dalej? Dopóki ich nie widziałem, to można było sobie spokojnie siedzieć w ciepełku, ale... Jakoś tak nieswojo, nie?

– Zgoda, tutaj nie możemy zostać. Jakie jeszcze anomalie widzisz, tam na dole?

Garsteczka posłusznie opisał widziany krajobraz. Kruk milczał długo, namyślając się.

– To żółte to pewnie „szczyzny” – odezwał się w końcu. – Anomalia chemiczna, parzy błony śluzowe. To od macek to „polip”, po ziemi wyciąga macki z kolcami. Jak nastąpisz na taki, zaczyna się rzucać i zamienia wszystko dokoła w kaszę. Do tego ma jeszcze w kolcach kwas, który potrafi rozpuścić nawet kevlar.

– Mocne. – Garsteczka pokiwał głową.

– A te twoje różowe pęcherze... Nocą tak się potrafi czasami świecić „paranojka”, to nawet normalni ludzie mogą zobaczyć. Gdzie dokładnie je widzisz?

Garsteczka spróbował wytłumaczyć, gdzie w ciemności widzi światełka, po czym sam zapytał:

– A jak ta „paranojka” działa? Bo nazwa, rozumiesz, sugeruje...

– *Wywołuje napad ostrej psychozy maniakalnej i agresji, często przechodzącej w stany lękowe oraz manię prześladowczą. Poddany działaniu anomalii człowiek odczuwa skrajną podejrzliwość i wrogość wobec wszystkich dokoła, przeważnie*

uznając ich automatycznie za wrogów, a w rezultacie poddaje się atawistycznemu mechanizmowi „uciekaj albo walcz”. Reakcja końcowa zależy od wrodzonych i nabytych skłonności, ale...

– Ach, jak się pan profesor rozgadał – uśmiechnął się Garsteczka. – Nie do ciebie mówię, Kruk. No więc, co tam dalej... Widzę ich na dole tak z siedmiu, ośmiu.

– Garbus miał w bandzie jedenastu – powiedział Kruk. – Kręcioła i Słabego wykończyliśmy razem, potem ty Bromela. Zgadza się, to oni.

– No pewnie, że oni, kto by inny? Dobrze, że bardziej od nich się znasz na rzeczy. Przecież jakby oni wiedzieli o naszym „źródółku”, to jak nic by na herbatkę wpadli... Więc co robimy? Może po cichutku się zmyć?

Znów odezwał się Chemik. Garsteczka wysłuchał w skupieniu, potem przekazał:

– Mój wewnętrzny głos rozsądku podpowiada: Garbus i Minus powiedzą Wiedźmakowi, co się wydarzyło na Stacji. I o mnie, i o tobie... Słowem, naszczują go na nas. Przynajmniej teoretycznie Wiedźmak mógłby być naszym sojusznikiem... O ile usłyszeli naszą wersję wydarzeń jako pierwszą. Najlepiej jedyną.

Czerwony Kruk zgodził się:

– Czyli załatwiamy ich tu i teraz.

– Aha. Tylko że nas jest dwóch, a ich ośmiu. Z drugiej strony, my o nich wiemy, oni o nas nie. Do tego mamy pulsara. Pamiętasz, jak Bromela rozmaściło? Podkradniemy się cichaczem, a potem...

– Czekać, ja ich nie widzę. – Kruk podniósł rękę. – Poza tym, Garbus miał dwa noktowizory na wyposażeniu. Jak myślisz, dał je tym, co śpią? Czy może strażnikom? Zauważą nas.

– Tjaa... – Garsteczka podrapał się po głowie. – No dobra, a gdyby tak... Chemik, ty wspominałeś, że miałeś z tą cizią jakieś gniazdko w pobliżu?

– *Bardzo zabawne. Przy korycie wyschniętego strumienia, pod*

korzeniami dębu. Ciężko powiedzieć dokładnie, ale powinno być nie dalej jak pół kilometra od was.

– Chemiczek randkował w Sektorze z córką tego naukowca, Kaufmanna – wyjaśnił Garsteczka swojemu przewodnikowi. – Podobno mają kilka schronów, jeden z nich ma być niedaleko. Chemik, jest tam coś ciekawego poza niezbędnikiem lowelasa? Takie, żeby się teraz przydało?

Chemik milczał. Czyżby się obraził? Potem w głowie Garsteczki rozległ się niegłośny stuk, brzęknięcie szkła, gulgotanie... Wodę pił, czy co? W końcu Chemik się odezwał:

– *No więc jest tam „straszak”. O ile Nika go nie zabrała, kiedy była w Sektorze sama.*

– Straszaka mają. Możemy ślepakami postrzelać – Garsteczka przekazał Krukowi.

– Artefakt z „paranojki”. Paskudna rzecz – osądził tamten.

– Ach, czyli artefakt jednak. No dobra, a co robi?

– Straszy.

– Nie no, serio? Nie domyśliłbym się.

Chemik wyjaśnił dokładniej:

– *Aktywuje się pod wpływem siły, na przykład po uderzeniu. Działanie powiela efekt anomalii macierzystej, czyli „paranojki”. Ma mniejszy zasięg, ale oddziałuje silniej w epicentrum. Potrafi zmusić królika do zaatakowania węża... Serio, sam widziałem.*

– O, to, to! – Garsteczka zatarł ręce. – To co, panowie? „Straszakiem” sobie pomożemy!



Stuk, który rozległ się w samym środku niedużego obozowiska, obudził od razu kilku ludzi z bandy Garbusa. Obydwaj wartownicy, stojący pod drzewami na skrajach polany, obrócili się z bronią w gotowości. Minus usiadł, przecierając oczy. Garbus

zerwał się, ściskając skrócony karabinek.

– Co jest, co się dzieje? – wymamrotał oszołomiony snem Makłucha. Pozostali zaczęli już siadać, sięgając po broń.

Większość z nich leżała wokół rozłożonego na ziemi płóciennego worka, na którym niegłośno potrzaskiwały dwa artefakty. Z wyglądu przypominały zwykłe otoczaki, tyle tylko że osnute ledwie dostrzegalną niebieskawą aureolą. Oczywiście nikt z obecnych na polance nie mógł jej widzieć – w bandzie Garbusa anomalów nie było. „Cieplaki” emanowały przyjemnym, suchym ciepłkiem, niczym lampy na podczerwień.

Dźwięk usłyszeli wszyscy, ale jego źródła nie widział nikt – z tej prostej przyczyny, że „straszak” nie świecił ani nie trzeszczał, działając w pełnej, przerażającej ciszy. Artefakt, przypominający duży kawał różowej żywicy, upadł niemalże pośrodku obozowiska, aktywował się od uderzenia i potoczył prosto pod tyłek siedzącego Makłuchy.

– E, no co się dzieje...? – jęknął wciąż zaspany bandyta na mgnienie oka przed tym, jak obóz nakryło niewidoczne uderzenie anomalii.

Garsteczka, który cisnął artefaktem z całej siły, od razu schował się za kamieniem. Od polany, na której rozłożyli się ich prześladowcy, oddzielało go raptem kilkanaście metrów lasu, więc musiał działać ostrożnie, żeby nie zauważyli go wartownicy. Kruk wyczekiwał nieco z boku, gotów osłonić go ogniem.

Kilka sekund później na polance ktoś krzyknął – najpierw niegłośno, za drugim razem już donośniej, przechodząc do wrzasku. Ktoś inny zaczął coś wołać, ale jego słowa urwały się, gdy huknął pojedynczy strzał.

– Po odgłosach wnosząc, działa.

Drugi strzał padł po następnych kilku sekundach, za drzewami zapaliła się latarka, potem druga, lecz od razu zgasła, gdy zadudniło naraz kilka pistoletów i śrutówka. Potem ktoś puścił

długą, chaotyczną serię, kule poleciały górą, prując korony drzew.

– *Ty tam uważaj, bo człowiek strzela, a...*

– Cicho! – syknął Garsteczka, odpełzając tyłem od pogrążającego się w chaosie obozowiska. Gdy był już wystarczająco daleko, poderwał się i pobiegł tam, gdzie zostawił Kruka. Karabinek majtał mu się na plecach, pojemnik z jedną, pustą teraz przegródką obijał się o udo...

Poprzez wystrzały doniosły się krzyki, ktoś wrzeszczał z bólu. Nad głową znów świsnęły kule, Garsteczka odruchowo skoczył w bok. Zauważył przed sobą ciepłe, bursztynowe światło, chciał skręcić, ale już nie zdążył, wbiegł prosto w anomalię. Jego dzika mać! Przecież mogła zrobić wszystko! Plunąć ogniem, wybuchnąć, zamrozić go, oblać kwasem albo zwinąć w rulonik! Ale nie zrobiła nic. Przeleciał na drugą stronę, z wrażenia zaplątał się we własne nogi i jak długi wyłożył na ziemię.

– Ja cię! Ożeż! Co to było?!

– *Nie wiem. Ja nic nie...*

Obok Garsteczki powietrze falowało i kłębiło się, a w samym środku tego minihuraganu leżał sobie kłębek połyskujących, jakby śliskich włókien.

– *Och, teraz widzę. Nie mam pojęcia, co to, więc lepiej...*

Garsteczka złapał artefakt, wepchnął do pustego pojemnika, poderwał się i pobiegł dalej. Kanonada za nim bynajmniej nie cichła.

Umówili się z Krukiem, że ten będzie czekać bliżej wschodniego zbocza doliny, za sterczącym z ziemi czarnym kamulcem, gdzie złożyli swoje rzeczy i trochę wyposażenia, wyciągniętego ze skrytki Chemika. Znaleźli tam plecak z rzeczami i kilka zawiniątek, w których... Co tam było w tych zawiniątkach? Coraz ciężiej było mu pozbierać myśli, to pewnie „źródełko” przestawało działać. Chociaż energii mu niby nie brakowało, nawet teraz pędził przed siebie, a oddech równy, nie

czuł ani odrobiny zmęczenia. Tak pędził przez las, i... I dokąd pędził, no właśnie? Przed nim jakiś pagórek, dalej zbocze, wokół drzewa... Las? No tak, był w lesie, w tej podłużnej dolince, ale co tu robił? I po co w ogóle?

Nagle głowę ścisnął ból. Co się dzieje?! Garsteczka zatrzymał się, rozejrzał. Co jest, o co chodzi? Dlaczego biegnie przez ten las, po co, dokąd? Gdzieś za nim krzyczą, a przed nim... Ktoś tam jest, ktoś idzie!

Niewysoki nieznajomy w plamiastym płaszczu wyłonił się z ciemności. Światło latarki przecięło mrok, snop zatańczył pod nogami Garsteczki. Żołądek podszedł mu do gardła. Kto to?! Co się wokół niego dzieje?! Rozejrzał się, przerażony i zaszczuty. Tam wrzeszczą, tutaj ktoś w płaszczu... uciekać, uciekać stąd! Ukryć się!

Garsteczka obrócił się na pięcie i popędził przed siebie. W głowie rozległ się głos:

– *Dokąd, ejże? Najemnik jest z nami, weź się w garść!*

Zajęczał, złapał się za skronie.

– *Garsteczka! Pasza, chłopie!*

– Zgiń, przepadnij! – zachrypiał Garsteczka, padając na kolana.

– Idź precz, demonie!

Zaczął już wstawać, ale człowiek w płaszczu wpadł na niego, obalił na trawę. Przekręcił na plecy, przycisnął do ziemi... Garsteczka próbował walczyć, wałnął obcego pięścią w twarz, ale tamten usiadł na nim całym ciężarem ciała, uderzył w splot słoneczny. Kiedy Garsteczka otworzył usta, próbując spazmatycznie zaczerpnąć powietrza, tamten przełamał szklaną ampulkę i wylał mu do ust zimną, pozbawioną zapachu ciecz. Smak okazał się koszmarny, dzika gorycz spłynęła po języku do gardła, ściekła niżej, aż do kręgosłupa, przeciągnęła po mózgu, niczym grabiami po kamieniach. Świat zadrżał, zachwiało się, zaczął spadać i... nagle wrócił do normy.

– Kruk...! – sapnął Garsteczka. – Zdurniałeś do reszty?! Złaż ze

mnie... już!

Najemnik podniósł się, otarł krew z rozbitego nosa. W powykrzywianych palcach lewej ręki ścisnął niedużą fiolkę, sączącą się pasmami aury anomalii.

Garsteczka usiadł, trzymając się za gardło. Czuł się jak podczas zapalenia krtani – w gardle gula, wszystko swędzi, boli i drapie, miał ochotę zakasłać, ale wiedział, że od tego będzie tylko gorzej, więc powstrzymywał się wysiłkiem woli, przełykając powoli ślinę.

– *Garsteczka! Co to się z tobą stało?*

– Nie wiem! – zachrypiał. – Wy mi powiedzcie, co się stało!

– Wdepnąłeś w „próg” – wyjaśnił Kruk.

– Co? Jaki znów „pruk”?

– *Słyszałem o tym. Anomalia amnezyjna.*

Czerwony Kruk wytarł krew spod nosa połą płaszcz.

– „Próg” kasuje wspomnienia. Jeśli człowiekowi nie pomożesz na czas, to trwale. Podałem ci sok z „mandragory”, też artefakt, nieczęsto spotykany. Doskonale czyści myśli.

– Uuufff... – Garsteczka wyprostował się, rozejrzał. Noc, dolina, las. Czarny kamień sterczący z ziemi, podobny do tych, które widział przy strumieniu. Wszystko znajome, wszystko zrozumiałe.

– *Umknął mi ten moment, kiedy wszedłeś w „próg”. Nie widziałeś go?* – dopytywał się Chemik.

– Słabo się świecił. Za późno zobaczyłem. A tak w ogóle, to przy okazji...

Garsteczka wyciągnął z pojemnika artefakt, przypominający kulkę uplecioną ze szklanych nitek. Pokazał pozostałym – to jest Krukowi i sobie samemu, żeby Chemik mógł się przyjrzeć.

Kruk westchnął cicho. Po raz pierwszy tak wyraziście zademonstrował emocje – zapewne dla niego był to odpowiednik machania rękami i okrzyku zaskoczenia.

– „Swojak” – odezwał się zdławionym głosem. – Tylko raz taki

widziałem.

– *A ja nawet nie słyszałem.*

– No i co to robi? – Garsteczka schylił się po leżącą pod kamieniem strzelbę pulsacyjną.

– „Swojak” oddziałuje na obcych, którzy przyjmują cię za swojego – wyjaśnił Czerwony Kruk.

– Jak to? – Garsteczka nawet nie od razu zrozumiał. – To znaczy, że... O, cię choroba! Fajna rzecz! Normalnie...

– *Sugestia na poziomie podświadomości* – odpowiedział Chemik.

– Normalnie podświadoma sugestia! Czyli co, wkładasz toto do kieszeni, pukasz do jakiegoś randoma, on cię wpuszcza i nikt się nie kapnie? W sensie, będą myśleć, że jesteś ich, swój, ziomal i masz prawo sobie łązić?

– Tak. Oczywiście, kiedy artefakt będzie aktywny.

Ponownie rozległo się wycie – bliskie, głośne, z wielu gardeł.

– Zwierzęta usłyszały wystrzały – powiedział Kruk. – Tylko ich patrzeć w obozie, pora się wycofać.

– E tam, trzeba dobić bandytów! – zaproponował Garsteczka, przerzucając za plecy strzelbę. – A jak któryś przeżył?

– „Straszak” jeszcze działa. Minimum przez pół godziny nie wolno tam podchodzić.

– Ja myślałem, że to tak jednorazowo. – Garsteczka poprawił szelki plecaka, popatrzył na ledwo szarzejące na wschodzie niebo. – Ale jeśli tak, to tak. Trudno.

– *A na przemienione wilki zadziała?* – zaciekawiał się Chemik.

– Kruk, na te pseudowilki zadziała?

– I to jeszcze jak. – Najemnik ruszył w kierunku Lotniska, ale zatrzymał się, obejrzał i pokazał ręką przed siebie. – Szaman, teraz ty idziesz przodem. Skoro widzisz więcej ode mnie, to prowadzisz.



Zanim zaczęło świtać, byli już daleko od feralnego obozowiska bandytów. Szli prosto jak przecinak – energia, którą napoiło ich „źródło”, jeszcze się nie wyczerpała, więc Garsteczka miał poczucie, jakby spał dziesięć bitych godzin, a na śniadanie nażarł się czekolady i popił energetykami.

Do Lotniska było już niedaleko, gdy w powietrzu po lewej stronie coś mignęło. Garsteczka zatrzymał się, a idący za nim Kruk zrobił to samo.

Niedaleko od nich wisiał przezroczysty, niemalże niewidoczny owal, ledwo, ledwo unoszący się ponad igliwem. Zauważyć go można było wyłącznie dzięki nieznacznym zniekształceniom widocznego za nim pejzażu.

– Kruk – szepnął Garsteczka, ostrożnie wskazując zjawisko – ty to widzisz?

Chemik milczał. Nad ranem znów złapała go gorączka, więc naukowiec zasnął ciężkim, niespokojnym snem. Zdarzało mu się coś mamrotać, to znów budzić się i znów zapadać w niebyt... Na pytania nawet nie reagował.

Czerwony Kruk podszedł krok bliżej, odwrócił się.

– Nie jestem... – zaczął.

Zawiał leciutki zefirek, zaskrzypiała sucha gałązka w koronie sosny. Powietrze w miejscu, gdzie znajdowała się anomalia, zafalowało.

– Uważaj – w głosie Kruka dało się wyczuć napięcie. Najemnik powoli, noga za nogą odsuwał się w prawo. – Jesteśmy zbyt blisko.

– Przecież uważam – odpowiedział Garsteczka półgębkiem, kierując strzelbę pulsacyjną na anomalię.

– Ani mi się waź strzelać! „Port” potrafi zareagować na byle co.

– „Port”, powiadasz...?

Garsteczka opuścił pulsara, też zaczął powoli się odsuwać.

– Endemiczna anomalia. Przemieszcza.

– Się?

– Cię.

– Gadatliwy jesteś jak ryba w galarecie. Dokąd przemieszcza, może powiedz chociaż?

Znów powiał wiaterek, powierzchnia sfery ponownie pokryła się zmarszczkami. Z drzewa opadło kilka igiełek, które wleciały w anomalię. Coś jak gdyby plusnęło, po powietrzu rozeszły się koncentryczne fale; igiełki na chwilę zrobiły się półprzezroczyste, zamigotały, potem straciły kolor i zniknęły. Tak po prostu.

– Ej, co się z nimi stało? – zapytał Garsteczka ochrypłym głosem.

– Nie wiadomo. „Port” może przerzucać przedmiot gdzie popadnie, ale zawsze w to samo miejsce. Czasem blisko, zaraz obok, ale kiedy indziej...

Garsteczka kątem oka zauważył, że Kruk wzrusza ramionami i uśmiecha się sardonicznie.

– Kiedy indziej to cholera wie gdzie – dokończył najemnik.

Powoli, noga za nogą odsuwali się od anomalii. W lesie zaszczebotał jakiś zagubiony ptak, o dziwo, odpowiedział mu drugi. Wiatr powiał mocniej, znów zaskrzypiały gałęzie. Kilka listków, wirując, zaczęło spadać na ziemię.

– No dobra, a co z człowiekiem się dzieje?

– Nic. Po prostu przerzuca go gdzieś indziej. „Porty” długo

utrzymują się w jednym i tym samym miejscu, więc część jest udomowiona. Wykorzystuje się je, żeby skrócić drogę.

– Czyli co, wchodzisz i cię przenosi? To co się tak zesrałeś, skoro nie ma się czego bać? Nie podchodzić, i tyle poezji!

– Jeśli jesteś za blisko, to cię wciąga. Wsysa jak odkurzacz. Trzeba...

Mężczyznę, który wyszedł spomiędzy drzew, jako pierwszy zauważył Garsteczka; Kruk był nazbyt zajęty obserwowaniem anomalii.

Człowiek szedł szybkim, żwawym krokiem w kierunku zbliżonym do tego, w którym podążali oni. Wojskowy kamuflaż starszego wzoru, czarne buty, beret na bakier, karabinek w ręku... Duży plecak na ramionach.

– Major! – sapnął Garsteczka. Nie od razu rozpoznał Titomira, bo ten zawsze golił się na gładko, a teraz zarósł ciemną szczecina, tylko na podbródku bielało pasmo siwizny.

Dalej, za drzewami, widać było drugiego piechura. I właśnie wtedy major Robert Titomir zauważył też Garsteczkę.

– Szeregowy Nowickij! – Zatrzymał się i wówczas zauważył Kruka.

Karabinek w rękach majora dwukrotnie głucho stuknął zamkiem i fuknął tłumikiem. Czerwony Kruk też zdążył pociągnąć za spust; huk jego strzału poniósł się echem nad lasem, z drzew poderwało się stado ptaków.

Titomir zachwiał się, jak gdyby ktoś uderzył go pięścią w pierś, następnie upadł na plecy.

Czerwony Kruk zatoczył się, trafiony w ramię. Garsteczka chciał złapać go za połę płaszcza, ale nie zdążył – najemnik, upadając, poleciał prosto w „port”. Anomalia plusnęła, powietrze zafalowało; na mgnienie oka postać Kruka stała się szklista, załśniła... a potem znikła.

Garsteczka przetoczył się na bok, żeby nie wpaść w anomalię, machinalnie poderwał karabinek i skoczył do majora.

Zatrzeszczały i zaszeleściły krzaki, gdy przedzierał się przez nie towarzysz Titomira, znów stuknął karabin.

– Nie strzelać! – wrzasnął Garsteczka, padając obok majora na kolana. – Swój, swój jestem!

Major usiadł, dysząc ochryple, rozpiął kurtkę i przyłożył rękę do piersi. W kamuflażu ziała dziura, przez nią błyszczał zimno spłaszczony na placek metal.

– Swój! – powtórzył głośno Garsteczka, profilaktycznie biorąc na cel wybiegającego z krzaków kapitana Kovacsa. Ten był wyposażony niemalże identycznie jak Titomir, za wyjątkiem zielonej bandany na głowie i karabinu z podlufnikiem w rękach.

Kovacs wycelował w Garsteczkę, który tymczasem zaczął pomagać Titomirowi, ale tak, żeby przy okazji zasłonić się ciałem majora. Ten popatrzył na szeregowca, porozumiewawczo kiwnął do kapitana i zapytał, podnosząc z ziemi swój берет:

– Szeregowy Nowickij! Skąd się tu wzięliście?

– Melduję posłusznie, że przyjechałem z Kompleksu, towarzyszu majorze! – Garsteczka odsunął się nieco, żeby major nie złapał go przypadkiem za lufę broni. Kovacsa twardo trzymał na muszce. – Tam wszyscy zginęli! Drezyną najpierw, potem piechotą, towarzyszu majorze. Was szukałem.

Kovacs nie ruszał się, czekając na rozkaz – jakikolwiek. Spokojny, skoncentrowany, nawet niezaskoczony. Tylko wredne ogniki migwały mu w oczach.

Major cały czas miał broń przy sobie, ale na razie nie próbował nawet do niej sięgnąć, zachowując przerażająco zimną krew. Obydwaj zachowywali się jak roboty, a nie ludzie.

– Szeregowy, co robiliście z... – Major pokazał głową na „port”. – Tym kimś?

– A co z nim nie tak? – Garsteczka zrobił zdziwioną minę. – Jakiś włóczęga, mówił, że go wołają Kruk. Kazałem mu, żeby mnie poprowadził do Lotniska. Nie rozumiem, czemu zaczęliście w ogóle do siebie strzelać?

Major zerknął na anomalię, w której zniknął najemnik, po czym wstał. Kovacs od razu przesunął się w bok, cały czas celując Garsteczce między oczy. Ten również podniósł się, mierząc Serbowi pod prawe oko. Bo ten chyba był Serbem, tak? Coś takiego Garsteczka nawet słyszał, zdaje się, że od Witii. Kovacs nigdy nie lubili, bo kapitan miał zadatki na zimnego sadystę. Ot, taki pies przy nodze majora.

Przypomniał sobie słowa Chemika: Titomir zamierzał się ich pozbyć od razu, jak tylko sprzedadzą dla niego „oko zła”... Och, jak miło by było tu i teraz obydwu zastrzelić. Szkoda, że się nie da! Sumienie nawet by nie pisnęło, ręka by nie zadrżała. Tyle tylko, że wrogowie byli nie pierwszymi lepszymi cieciami, a zawodowcami. Trzeba będzie poczekać, znaleźć dogodną chwilę.

Uśmiechnął się zamiast tego szeroko i powiedział:

– Swoją drogą, dobrze, że towarzysza majora widzę! Normalnie aż serce skoczyło, jak was zobaczyłem. Co ja się naszukałem...!

– Po co? – zapytał Titomir.

– Towarzyszu majorze, a co innego miałem robić? Przecież za Kordonem chaos, łączność padła, same szумы w eterze. Fala ekrany popaliła, całą okolicę diabli wzięli! Gdzie miałem pójść, kogo szukać? Za wami ruszyłem.

Przeżegnał się w myślach, mimo że do religijnych nie należał, po czym szcęknął bezpiecznikiem i opuścił karabin. Wóz albo przewóz... Rozłożył ręce.

– Nie wiem, co dalej robić, towarzyszu majorze. Jakie rozkazy?

Titomir po prostu patrzył na niego. Twarz miał bez wyrazu, wiatr poruszał krótko ostrzyżonymi włosami, w których widać było pasemka siwizny na skroniach. Garsteczka poczuł, jak żołądek zawiązuje mu się w supeł. Przecież ten bydlak zaraz wyciągnie pistolet i palnie mu w łeb! Ot tak, po prostu! Żeby pozbyć się jednej niewiadomej z równania... Ale major zrobił gest

ręką, a Kovacs opuścił karabin. Titomir starannie nałożył beret i powiedział:

– Ruszamy na Lotnisko. Jest zadanie do wykonania, szeregowy, a nas jest tylko dwóch. Wasza pomoc nie zawadzi. Oczywiście, nasze... – pstryknął palcami, pokazał na zachód, gdzie został Kompleks – ustalenia pozostają w mocy, dostaniecie swój procent wedle umowy. Za mną.

Titomir naciągnął kaptur i ruszył w kierunku Lotniska – a Garsteczka dopiero wtedy przyjrzał się plecakowi, który major niósł na ramionach. Było w nim pięć milionów dolarów. Na wyciągnięcie ręki.

Procent? O nie, mój drogi. Już nie. Garsteczka dostanie całość.



Czerwony Kruk spadał w ciemność, umierając. Ku niemu pędziły czarne chmury, podświetlane daleką zorzą, albo jakimś innym blaskiem z zaświatów. Przeleciał przez nie, a potem...

Uderzenie – i leży na ziemi, związany, nie mogąc ruszyć ręką ani nogą. Napręża mięśnie, chcąc przerwać linę, ale więzy trzymają mocno.

Przeżywał to setki razy. Koszmar wgryzł się w pamięć, wżarł, powracając co noc w snach. Kruk budził się zlany zimnym potem i od razu zażywał płomieniówki, bo lewa połowa ciała zaczynała drętwieć i nieruchomieć.

Nad nim pojawiła się twarz Titomira – nijaka, pusta i spokojna. Zimna. Kruk skupił się na tej twarzy, usiłując nie patrzeć na boki. Nie chciał widzieć, bo wiedział, że obok, przy ognisku, leży nieprzytomna Marina z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. W oczach odbija się wrogie niebo, na rzęsach osiadła kroplami wilgoci mgła...

Las, w którym się znajdowali, pachniał dymem prochowym

i krwią. Ludzie majora przerzucali się replikami i śmiali gardłowo, niczym powarkujący padlinożercy nad sytym łupem. Czerwony Kruk po raz kolejny spróbował wstać.

– Poszczyściło ci się, włóczęgo – odezwał się major Titomir. – Ujdiesz z życiem i przekażesz Wiedźmakowi wiadomość ode mnie. Ale najpierw cię odpowiednio sprawimy, żeby Wiedźmak tylko popatrzył i od razu wiedział, że mówimy poważnie.

Dwaj żołnierze złapali go, poderwali na nogi, szarpnięciem obrócili ku dziurze w centrum polany. A tam połyskiwała czarna mazią „gnojówka”, przerażająca anomalia, wypalająca zakończenia nerwowe... Popchnęli w plecy. Czerwony Kruk zrobił krok, potem doszło do niego, jaki los mu zgotowano. Chciał uciekać, ale ktoś trzasnął go kolbą w potylicę, drugi kopnął od tyłu pod kolano, powalił z powrotem na ziemię.

Nie zdążył nawet krzyknąć – kilku ludzi naraz złapało go za prawą rękę i nogę, za ubranie, za włosy, podniosło i powlokło, a potem opuściło lewą połowę jego ciała w kotłującą się bąblami anomalię...

... a potem obudził się. Otworzył oczy, dysząc ciężko, nierówno. Sen, po prostu sen! Mara, przywidzenie, majak. Wszystko iluzja, złuda.

Tylko tamci nie żyją. Marina, Kostia, Łowczy i pozostali... Nie żyją już od ponad roku. Nie ma ich, przepadli, a on wciąż jeszcze żyje. Nie ma związanych rąk, wokół niego nie kłębią się siepacze Titomira, to nie ta sama polana!

Wykrzywił się i zajęczał żałośnie, próbując zdobyć na wysięk.

Przekreślił się na brzuch, zdołał podnieść na kolana. Odpełził od czarnych, granitowych bloków, o które tak potwornie boleśnie uderzył plecami przy upadku. Popatrzył na lewe ramię, gdzie pomiędzy plamami kamuflażu rozlewała się jeszcze jedna, świeża i mokra. Nawet nie tak rozległa, jak należałoby się spodziewać przy takim postrzale.

I bolało nawet nie za bardzo. Aż dziwne.

Szeleszcząc płaszczem po ziemi, Kruk wpełzł głębiej w wysoką trawę, dopiero tam odsapnął. Co się stało? Skąd się tu wziął?

Przypomniawszy sobie drogę na Lotnisko w towarzystwie dezertera z Kompleksu, potem niespodziewane pojawienie Titomira. Palec ściągnął język spustu.

I dwa wystrzały, które rozległy się jak jeden.

Major na pewno miał kamizelkę. Trzeba było w głowę strzelać... Pod prawą ręką Kruk miał tylko karabin na pasie nośnym, strzelał szybko, więc z pistoletu, lewą. Gdyby tylko słuchała go jak należy, wyglądałoby to inaczej – ale motoryka szwankowała, nadgarstek drżał, niezdolny do utrzymania ciężaru. Objąć chwyt, pociągnąć za spust – tak. Wycelować porządnie – już nie.

Więc zapewne Titomir żył, a on wpadł w „port”. Z dziesięciu nieszczęśników, trafiających w takie anomalie, wracał jeden, góra dwóch. Reszta przepadała nie wiadomo gdzie ani jak, niczym ludzie, po pijaku wsiadający do pociągu pospiesznego w nieznane...

Czerwony Kruk wychylił głowę ponad poziom trawy. Lewe oko nagle zadrżało, po policzku potoczyła się łza, ręka drgnęła spazmatycznie i przywarła do ciała. Syknął przez zęby, bo łydkę ściągnął bolesny skurcz. Znowu opadł na kolana, wymacał w kieszeni płaszcza pudełeczko z płomieniówką. Otworzył je, zanurzył palec w zbawiennej substancji i rozmazał gorący żel po dziąśle, roztarł językiem.

Żyłami popłynął roztopiony ołów, zalewając i zmuszając do odwrotu lodowaty chłód śmierci, pełznący już po kręgosłupie. Na chwilę w głowie pojaśniało, serce uderzyło mocno i pewnie, mięśnie zagrały, jak za dawnych lat.

O, tak. Teraz przez kilka krótkich chwil będzie czuł się niczym jastrząb pędzący na prądzie wstępującym pod chmury. Wokół tylko lazurowe, czyste niebo, wiatr śpiewa w skrzydłach...

Nie. Nie wolno mu, nie może się zatracić w ekstazie. Zaczął

ściągać płaszcz, rozglądając się dokoła lekko obłąkanym wzrokiem. Czerwono-czarne chmury tańczą i przelewają się nad głową, niczym majaki leżącego w malignie, wokół milczący tłum czarnych sosen, w uszach piszczy tą samą, wysoką nutą, jak gdyby na skroni przysiadł komar.

I nic. Żadnego dźwięku, zero ruchu. Gęste, oleiste, mokre powietrze, świat zdaje się lekko drżeć. Czyżby przedawkował płomieniówkę? Kruk mrugnął i pomasował skronie, ale nic się nie zmieniło.

To jednak nie halucynacje. Dokąd go zaniósł? Rzucił płaszcz na ziemię, ściągnął sweter i zaczął rozpinąć koszulę. Granitowe głązy wysuwały się spomiędzy zielonego mchu, jak gdyby nieznana siła wycisnęła je z trzewi samej ziemi... Coś podobnego widział lata całe temu na południu Krymu, nawet zapamiętał, jak nazywają się te magmowe kolosy – ciała intruzyjne.

Rozebrawszy się do pasa, Kruk wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcz czarną, skórzaną torebkę, otworzył. Jego apteczka polowa: pęseta, stary skalpel, jod, woda utleniona, kilka podstawowych maści i fiolki wywarów z anomalnych ziół. Ujął palcami rękojeść skalpela, popatrzył na lewe ramię – krwawił, ale nieszczęśliwie mocno.

Choroba, jego przekleństwo było zarazem jego siłą. „Gnojówka” nie tylko wypaliła większość zakończeń nerwowych w lewej połowie ciała, ale też zmieniła samą jego tkankę, zapewne gdzieś na głębokim poziomie molekularnym. Kruk bardzo starannie unikał rozmów i spotkań z naukowcami. Czuł, że gdyby trafił im w ręce, pocięliby go na malusieńkie kawałeczki z czystej ciekawości.

Skóra na lewej połowie ciała była różowawa, przypominając w dotyku grubą, sprężystą gumę. Z dziury w ramieniu leciała krew, ale niechętnie, jak gdyby ledwo przesączając się na zewnątrz. Niczym woda z gąbki, pomyślał Kruk. Kości pozostały takimi, jak były, ale mięso, skóra... Jak guma i gąbka, porowate

i miękkie.

Naciął skórę, odłożył skalpel, ujął pęsetę i wsunął do rany. Ból był wyczuwalny, ale normalny człowiek nie dałby rady sam sobie czegoś takiego zrobić bez porządnego środka przeciwbólowego. Wymacał końcówką metal, wsunął narzędzie głębiej w mięso, złapał i powoli wyciągnął. Obejrzał kulę, wyrzucił w trawę, splunął.

Po kilku minutach ramię było już roboczo zaszyte, wysmarowane odpowiednią mazią i przyłożone ziołowym kompresem pod jałowym bandażem. Poruszał ręką na próbę, zaczął znów się ubierać, wsłuchując w odczucia organizmu. Bolało, owszem, ale znośnie. I tak lewą ręką nie potrafił porządnie poruszyć, w zasadzie nie było różnicy.

Okolica przypominała źle wywołane przeźrocze, dzwoniąca cisza cisnęła na uszy. Pomyślał sobie, że mniej więcej tak wyglądał świat, kiedy wlażło się niechcący w kłęb „dymówki” – stop-klatka ze starego filmu. Milczały ptaki, nie skrzypiały drzewa, absolutna cisza i tylko ten szumiący pisk. Wiatr jak gdyby umarł, trawa była bura i nijaka. Ciemne, kontrastujące tony w odcieniu czerwieni i smoły. Niemalże jego kolorystyka.

Równie nijakie, zimne słońce wyglądało mętną źrenicą zza ciężkich chmur. A co mogło być po drugiej stronie czarnych gładów? Kruk obszedł je dokoła i zatrzymał się gwałtownie. Przed nim leżało długie, łagodne zbocze, a dalej, w dolinie, miasto.

Miasto niczym ciemnoszara plama pośrodku czerwono-brązowego krajobrazu. Jak miejsce po starym ognisku, z którego sterczały niedopalone kawałki płaskich domów.

Czerwony Kruk bardzo powoli wyciągnął lornetkę. Dostroił ostrość. Od miasta oddzielała go połać bagna, zasnutego oparami i mgłą, podchodzącego niemalże pod pierwsze domy. Widać było wynurzającą się z czarnego trzęsawiska asfaltową ulicę, wbiegającą pomiędzy betonowe ściany i... cienie na tej ścianie.

Zamrugnął, wpatrując się uważnie, lewe oko znów zwilgotniało, więc przetarł je ostrożnie.

Czarne sylwetki ludzi widniały na ścianach przy klatkach schodowych i na drzwiach, pomiędzy balkonami, na witrynach sklepów. W głowie odezwał się dziwny szept, a Kruk drgnął i mimowolnie cofnął o krok. Czy to cienie mówiły do niego? Te postacie, na zawsze odcisnięte na ulicach i w betonie wymarłych domów? Cienie mieszkańców, pochłoniętych przez pierwszą, najpotworniejszą Superfalę, która utworzyła Sektor?

Serce skoczyło w piersi, lewa ręka znów zadrżała. Kruk zrobił jeszcze krok do tyłu, bo wydawało mu się, że cienie... Chociaż nie, gdy patrzył na nie, stały bez ruchu, ale kątem oka...

Zagubione Miasto, błędzące i pojawiające się w losowych miejscach. Miasto-upiór. Polesie.

Kruk prześliznął się wzrokiem po szarych ścianach, pokrytych u dołu czarnymi cieniami, spojrzął jeszcze raz na puste ulice i zarośnięte krzakami dachy. Polesie, wiecznie umykające marzenie Wiedźmaka i jego niegdysiejszego klanu podróżników. Marzenie niejednego, śmierć tak wielu. I teraz mógł po prostu tam pójść, zwyczajnie wziąć i wejść! Niczym zaczarowany, ruszył przed siebie – i zatrzymał się.

Tak, mógłby teraz wkroczyć do Zagubionego Miasta. Wejść – i zostać tam. Nie wiadomo, co czai się w środku, do tego jeszcze trzęsawisko na podejściu... Trzeba je albo ominąć, na co potrzebny może być cały dzień, albo spróbować sił i przedrzeć się na przełaj, ryzykując, że ugrzęźnie, wpadnie w topiel albo pochłonie go kolejna nienazwana anomalia. Nie mówiąc o mieszkających tam odmieńcach.

I to dopiero droga, a nie samo Miasto.

Nie, nie mógł tak głupio ryzykować. Dopóki żył Titomir, jego celem było co innego.

Przez cały ten czas, gdy Kruk wpatrywał się w miasto, do głosów w jego głowie dołączały coraz to nowe; dziesiątki, setki,

tysiące – szept zamienił się w głuchy pomruk, nadchodzący jak fala przypływu, głośniejszy i donośniejszy. Gdy oderwał od oczu lornetkę, głosy umilkły. Kruk popatrzył przed siebie pustym wzrokiem, a miasto migotało i falowało, jak wabiąca podróżnika fatamorgana.

– Jeszcze do ciebie wrócę – szepnął, odwrócił się na pięcie i powoli poszedł precz, nie oglądając się za siebie.

Zatrzymał się dopiero przy kamieniach. Schował lornetkę do futerału, rozejrzał się. Świat niczym w formalinie, wyzuty z życia, zatrzymany w pół oddechu. Sosny, krzaki, trawa, czarny granit – wszystko obce, inne. Odmienne. Co to za miejsce? Na ile jest tu niebezpiecznie? Czy to jeszcze Sektor, czy może... coś innego? Gdzie indziej? Miał wrażenie, że trafił do równoległej rzeczywistości, albo do czyjś kosmaru.

Przecież dlatego właśnie miasto nazywano Zagubionym, że włóczędzy widywali je to tu, to tam, nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Opowieści pochodziły jednak tylko od tych, co Polesie widzieli, a nie tych, co ruszyli w jego stronę. Opowiadali wyłącznie ci, którzy miraż zobaczyli, wystraszyli się i zawrócili.

Tak jak i on teraz. Ale on nie wystraszył się tego, że może zginąć, ale raczej tego, że Titomir może przeżyć.

Czerwony Kruk zerwał źdźbło trawy, roztarł w palcach, ostrożnie spróbował językiem. Odczucia wracały powoli... Przejechał po kostce, wymacał rękojeść pistoletu, potem wyciągnął z rękawa swoją brzytwę i mocno ścisnął w dłoni. Znajome przedmioty, znajome wrażenia powoli kierowały myślą na właściwe tory.

Co dalej? Trzeba wybrać kierunek i po prostu iść.

Karabin, przypomniał sobie nagle. Gdzie jego karabin? Wrócił do wygniętego w trawie miejsca, gdzie wyrzuciła go anomalia. Zatoczył krąg. Obszedł całą polanę. Ani śladu.

Słońce chyliło się ku zachodowi... A może dopiero wschodziło? Nie, przecież powinien być wieczór. Przynajmniej zna kierunki

świata, ale gdzie iść? Nie miał pojęcia, gdzie może być – ale na pewno nie miał zamiaru zbliżyć się do Zagubionego Miasta, jakkolwiek kusząca mogła być ta perspektywa. Dowolny kierunek, byle nie tam.



Brzezina wkrótce zaczęła rzednąć, a potem skończyła się. Titomir wyszedł na skraj rozległej równiny, wskazał idącym za nim Kovacsowi i Garsteczce stojący przed nimi samolot – przedpotopowy, dwusilnikowy AN-24 bez jednego skrzydła. Drugie ułamało się w połowie długości i oparło o ziemię, opony rozlały się w czarne, nieforemne plamy. Bulaje były pozawieszane od środka szmatami albo zwyczajnie, chamsko zabite deskami. Trap zastępowała samorobna drabina z nierównych desek, pod ocalałym skrzydłem pełgało ognisko.

Przy ogniu siedziało trzech typków w kamuflażu, zawzięcie rzucających karty i przekazujących sobie pękata flaszkę. Do wspornika podwozia przywiązany był młody pies – szary jak popiół i dziwnie potężny jak na szczeniaka. Wilk, domyślił się Garsteczka. Zwierzak jako jedyny zwrócił uwagę na przybycie gości, postawił uszy i spojrzał na nich ciemnymi, nietypowo dużymi oczami. Czyżby...? Tak, to był pseudowilk, odmieniec! Spojrzenie było zupełnie rozumne, można było wyczuć, że wilk myśli sobie coś... niemiłego. Garsteczka wzdrygnął się i zapytał:

– A co, ochrony żadnej tu nie ma?

Ani major, ani kapitan nie raczyli odpowiedzieć. Kiedy wyminęli pierwszy samolot, zobaczyli kolejne – głównie stare dwusilnikowce, pomiędzy nimi parę odrzutowych TU-134. W sumie jakiś tuzin maszyn, pordzewiałe kadłuby stały smętnie nad przebijającą przez asfalt trawą i krzakami, porzucone bez jakiegokolwiek ładu czy składu, poustawiane w losowych

pozach. Wszędzie wokół widniało morze jesiennych liści: żółtych, czerwonych, purpurowych, bladozielonych... do tego rdzawe zacieki na białych cielskach samolotów, na kilku wrakach resztki kamuflażu – aż w oczach się mieniło!

Wiał wiatr, szumiały liście, po Lotnisku wędrowały cienie rzucane przez płynące po bezmiarze nieba chmury. Garsteczka pokręcił głową ze zdumieniem: nie takiego obrazka się spodziewał po tak szumnej nazwie! Osiedle? Obozowisko? Punkt zamieszkały? Phi! Toż to zwykłe złomowisko – ot, zarośnięta wszelkim chwastem łąka, a na niej kilka trupiszcz z połowy ubiegłego wieku.

Major ruszył na przełaj przez zarośla, Kovacs zamykał pochód. Garsteczka miał wrażenie, że idący za nim kapitan ciągle patrzy mu w potylicę i dotyka rękojeści pistoletu... Karabiny mieli pozawieszane na plecach, pulsara zawinął w kawałek worka, żeby broń niepotrzebnie nie przyciągała uwagi.

Przeszli pomiędzy dwiema niedużymi awionetkami, tak strasznie poobijanymi deskami i blachą falistą, że ledwo dało się w nich rozpoznać płatowce. Pod brzuszyskiem stojącego nieopodal jaka-40 ktoś w ogóle zbudował sobie dom!

– Ty to widzisz, co nie? – wymamrotał Garsteczka, patrząc na część ogonową samolotu wystającego z na wpół zburzonego hangaru. – Przecież to AN-12, transportowiec! Prawdziwy rarytas.

– *Widzę* – odpowiedział Chemik. – *Teraz widzę wszystko. Musiał lądować akurat, kiedy przeszła Fala. Elektronika siadła, stracił sterowność.*

– Pewnie jakoś tak. Słuchaj, nie mam pomysłu, jak się pozycjonować wobec Titomira.

– *To zależy. A jak on się zachowuje?*

– Nijak właśnie. On ma taki ryj, że nic nie wyrozumiesz, jakbyś w ścianę patrzył.

Kiedy zarośla się rozstąpiły, Titomir skręcił, wymijając nieduże

targowisko pośrodku niegdysiejszego pasa startowego. Na kilkunastu zbitych z byle czego straganach rozłożyli się handlarze, targujący artefaktami, bronią i częściami zapasowymi; pod brezentowymi płachtami siedzieli w kucki ludzie, popijając z cynowych kubków.

Włóczędzy z Sektora. Młodszy i starsi, wszyscy jednakowo ogorzali i zarośnięci, ubrani w powycierane kamuflaże i solidne buty, niektórzy bardziej przypominający zwykłych meneli niż pionierów nieznanego nauce terytorium. Jak na pierwszych osadników przystało, wszyscy co do jednego byli pod bronią. Po martwej ciszy Kompleksu i wszechogarniającej pustce Sektora gwar rozmów i śmiechy na Lotnisku zdawały się Garsteczce przedziwnie głośne i agresywne.

Kilka twarzy zwróciło się w kierunku nowo przybyłych, ale nikt nie okazał zdziwienia. Musieli tu często przychodzić samotnicy albo bezimienne brygady, więc trzech obcych więcej czy mniej nie robiło różnicy.

Pośrodku targowiska widniał krąg wydeptanej ziemi, w centrum którego wznosił się żelazny słup od dawnego ogrodzenia. Do słupa przyspawano kawał łańcucha, na którym miotał się i rzucał oberwaniec – na pierwszy rzut oka widać było, że przemieniony. Młody, zupełnie jeszcze dzieciak, ale wściekły jak sto diabłów: skakał, wył i toczył pianę, ciskając się i próbując sięgnąć przechodzących obok włóczędzów, warczał i kłapał zębami. Co śmielsi podsuwali się blisko, po czym odskakiwali ze śmiechem; celem zabawy było chyba kopnięcie przemienionego, szczytem odwagi – uderzenie ręką. Kilku robiło zakłady o to, kto pierwszy da radę zbić przemienionego z nóg.

To tu, to tam Garsteczka widział anomalną aurę artefaktów. Ciekawe, czy gdzieś w pobliżu był jeszcze inny, podobny jemu szaman-widzący, który też to dostrzegał? Podobno jakaś część spektrum była widoczna i dla zwykłych ludzi, w końcu „źródło” bez problemu wypatrzył Kruk. Ale już „cieplaków”

w obozowisku bandytów nie zauważył.

– Ja to w ogóle nie wiem, w jakim charakterze mnie rozpatrują – odezwał się szeptem Garsteczka. – Tutaj przecież nikt się stopniami nie licytuje. Ale chyba powinienem mu pomagać, bo znów mi obiecał pieniądze. Pytanie tylko, dlaczego miałyby mi nagle zacząć ufać?

– *Już dla niego pracowałeś, nigdy nie było problemu. Skąd te wątpliwości? Wydaje mi się, że Titomirowi jesteś równie obojętny teraz, jak i wtedy. Wcześniej ci ufał? No więc sam widzisz. On cię uważa za pionka, rzecz nabytą i zbywalną. Posłusznego, wygodnego pomocnika. Tej wersji się trzymaj.*

Rynek został już za nimi, teraz znów weszli pomiędzy krzaki. Skręcili raz i drugi, Garsteczka w końcu stracił poczucie kierunku; głosy było słychać ze wszystkich stron, ktoś brzdąkał na gitarze, trzaskały ogniska... Szli przez labirynt krzewów, rosnących wzdłuż pęknięć i łączeń w asfalcie.

– Pionek, powiadasz. – Garsteczka zgrzytnął zębami, patrząc majorowi pomiędzy łopatki. Świnia z ciebie, Titomir, a nie wojskowy. Świnia też z ciebie jako zleceniodawcy, bo zabić mnie chciałeś, po prostu sprzątnąć z szachownicy. Takiś kozak? No to zobaczymy. Nieraz się zdarza, że pionek i króla zaszachuje.

Czasami mijali chatynki, sklecone z desek i blachy, potem ponad zielenią pokazała się wieża kontroli lotów. Do połowy wysokości porastało ją coś zielonego, czarnego niemalże – mech? Dziwny jakiś. Na dachu budowli powoli kręcił się wiatrak o trzech łopatach.

– Tam mieszka Wiedźmak? – znów cicho zapytał Garsteczka, na co Chemik mruknął twierdząco. – Słuchaj, a ty dlaczego nie weźmiesz artefaktów leczniczych? Przecież na pewno coś masz w magazynie Kompleksu.

– *Takich na poważne kontuzje niestety nie ma. Są słabsze, ale to samo osiągnę tradycyjnymi środkami farmakologicznymi... Poza tym jest szereg przeciwwskazań dla łączenia artefaktów*

z lekarstwami, nerki przestają filtrować. Wolę standardową medycynę.

– Coś po głosie sądząc, to niezbyt słuszny wybór.

– *Teraz znów mi się pogorszyło.*

– Tobie by się odpoczynek przydał, a nie pogaduchy i podglądanie. Siły tylko tracisz.

– *I tak widzę to samo, co ty. Zdarza się, że niewyraźnie, bywają zakłócenia, ale i tak widzę. I słyszę. Więc faktycznie, może będę się tylko w ważniejszych chwilach odzywać...*

– Dobra – mruknął Garsteczka, po czym wbił wzrok w plecak Titomira i powiedział już głośno: – Towarzyszu majorze, a dokąd idziemy?

Ten rzucił przez ramię:

– Równym krokiem za mną, szeregowy.

Garsteczka zacisnął pięści, walcząc z przemożną ochotą, żeby podskoczyć i kopnąć majora w dupę. Zamknął oczy, zgrzytając po raz kolejny zębami i idąc na oślep, wściekły, aż się w nim gotowało.

– *Oho, ho! A co to było takiego?* – odezwał się Chemik.

– Nic. Oczy zamknąłem.

– *Aż mi się wszędzie plamy czerwone pokazały od twojego zamykania. I pole widzenia nagle się zwężyło, po bokach nic, tylko rozmazane plamy, a w centrum kark Titomira. Jak widok przez celownik optyczny.*

– Nie jestem niczyją marionetką!

To ostatnie Garsteczka powiedział o pół tonu głośniej, niż należało, i major usłyszał. Akurat wymijali samolot, na którego skrzydle płonęło ognisko, a z rozbitej kabiny wystawała samorobna antena. Titomir obrócił się przez ramię, popatrzył, ale nic nie powiedział. Garsteczka zerknął na Kovacsa, ale Serb szedł z zupełnie niewzruszoną, zaciętą twarzą.

– No dobra, wkurzyłem się – szepnął.

– *Tak też się domyśliłem. Adrenalina i pewnie jeszcze kilka*

innych hormonów... Aha, słyszysz?

– Słyszę, krzyczą coś. O, i klaszczą też.

– Musicie zbliżyć się do Areny.

Na ścianie dawnego hangaru wymalowany był ogromny znak radioaktywności, na jego tle widniała koślawa postać w masce przeciwgazowej, z karabinem i nożem w ręku, w typowej pozie zdobywcy.

– Ten hangar to właśnie Arena. A na muralu, powiadają, jest sam Północnik. Legendarny włóczęga z Zagubionego Miasta.

– A któż to taki piękny obraz mu wymalował?

– Sam sobie wymalował. To jego autoportret. On był, tak poza wszystkim, artystą grafikiem, pracował w gatunku postapokalipsy, przy czym wyłącznie nocami. Jego prace można znaleźć w wielu miejscach Sektora, potrafią być... frapujące.

– Aha. I co się z nim stało?

– Zaginął bez wieści nieco ponad rok temu. Skoro biją brawo, to pewnie akurat trwa walka.

Pod otwartymi drzwiami frontowymi stało czterech ochroniarzy, którzy tylko otaksowali przybyłych wzrokiem i pozwolili im wejść. Titomir naciągnął kaptur głębiej, pokazał Garsteczce gestem, by ten zaczekał, po czym odszedł z Kovacsem na bok. Garsteczka zaczął się rozglądać, ciekawy nowego miejsca.

– Arhar, dawaj go! Łeb mu ukręć! Jula, naprzód! Pokaż, na co cię stać!

W centrum hangaru stał zbity z desek ring, otoczony linami. Wokół niego wznosiły się pozbijane z desek, skrzynek i europalet trybuny, na których tłoczyli się ludzie. W dalszym końcu pomieszczenia wisiało na ścianie kilka żelaznych budek, do których prowadziły drabinki. Miejsca dla tutejszych VIP-ów? – pomyślał Garsteczka, wyciągając szyję.

Na ringu z całych sił okładało się dwóch zawodników. Tłum wrzeszczał, wiwatował i hałakował.

– Słuchaj, Chemik... Ile tutaj jest ludzi, w tym Sektorze!

– *To nie do końca tak. Większość Sektora to dzikie połączenie niczego, tam spotkasz tylko samotników albo nieduże grupy. Można iść nawet tydzień i żywej duszy nie spotkać. Tymczasem Lotnisko to tradycyjne miejsce spotkań, tutaj pod hangarem mają największy w okolicy schron, w którym przeczekać można Falę.*

Większy z zawodników, ten, którego nazywali Arharem, w końcu sięgnął swojego przeciwnika hakiem w szczękę, tamten poleciał na deski, ale od razu przetoczył się w bok, poderwał, żeby uciec nacierającemu nieubłagane wrogowi.

Garsteczka przyglądał się z nieukrywanym zainteresowaniem. Walka bez zasad, no proszę... Prawdziwie męska rozrywka, brutalna, w tak samo bezlitosnym i okrutnym świecie Sektora. Czy on potrafiłby takiego Arhara pokonać w walce wręcz? Hm, hm... Typ był od Garsteczki wyższy, dobre dwa metry... może ciut mniej. Było w nim coś z neandertalczyka – cofnięte czoło, mocna szczeka... Albo może raczej z wilka? Skórzane spodnie, goły tors, nawet z tej odległości widać grające pod skórą węzły mięśni. Ruchy zwinne, ale sylwetka masywna, wręcz potężna. I do tego ta karnacja, nie to, że smagła, ale wręcz...

– Chemik, widzisz go?

– *Widzę. Mówiłem ci przecież, że teraz przez twoje oczy mam pełny obraz.*

– Ty, czy mi się zdaje, czy on jest lekko sinawy? Ten na ringu, ten byku. Drugi jest normalny, a ten nie wiem, szary czy co...

– *Możliwe. To jeden z klanu wargów.*

– *Czego? Aha, czekaj, Kruk coś wspominał o nich.*

– *Wargowie... – powtórzył Chemik w zadumie. – Prawie nic o nich nie wiemy, to przedziwne plemię. Rzadko się tu pojawiają, aż dziwne, że jeden z nich walczy na Arenie. Ach, poczekaj, już rozumiem. To zombi.*

– *Hę? Jak to? – zdziwił się Garsteczka. – Coś nie jest podobny do tych wściekłych obłąkańców, tam, w Kompleksie.*

W tym momencie Arhar złapał Julę za głowę. Tamten był żyłasty i krzepki, doskonale wyćwiczony i skoczny, ale zwyczajnie było widać, że przeciwko smagłemu olbrzymowi nie daje sobie rady. Próbował się wymknąć, ale Arhar szarpnął go na siebie, po czym dwoma uderzeniami – ciężkimi, ale niepozbowionymi pewnej straszliwej gracji – posłał przeciwnika na deski. Tłum zaryczał tak, że Garsteczka ledwo usłyszał wyjaśnienia Chemika:

– Trafieś w Kompleksie na przemienioną, a to jest zombi wedle klasycznej definicji, czyli ktoś pozbawiony własnej woli. Zombifikację przeprowadza się „błyskiem”, jednym z psi-artefaktów. Jeśli mocno go ścisnąć to... Nieważne, nie będę cię zamęczał technikami, ale „błysk” wygasza pracę ośrodków decyzyjnych w przednich płatach mózgu. Na razie nie wiadomo, czy to zmiana trwała, czy tylko czasowa.

– No dobra, to dlaczego ten tutaj walczy? Ktoś mu kazał?

– Tak, zombifikowany zawsze pierwszą napotkaną osobę uznaje za swego pana i władcę. Pierwszego, kto cokolwiek mu każe zrobić. A jako że przeważnie jest to osoba, która przed chwilą wypaliła mu mózg „błyskiem”, to tak wychodzi...

Arhar chciał rzucić się na powalonego Julę, ale przeciwnik nie poruszał się. Olbrzym stanął, zwiesił ręce, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

Dwóch pomocników odciągnęło na bok liny, przez ogrodzenie wszedł czarnowłosy grubas o nalanej twarzy. Uśmiechając się szeroko, ujął muskularne przedramię Arhara, uniósł nad głowę i zaczął coś radośnie ogłaszać.

– To z kolei Sułtan – mruknął Chemik.

Włóczędzy znów zaczęli wiwatować i bić brawo, ponad owacje wybijały się tylko gwizdy i przekleństwa tych, którzy kibicowali i postawili pieniądze na Julę.

Gdy Arhar zszedł z ringu, Garsteczka zauważył, że Kovacs pokazuje majorowi na jedną z żelaznych budek. W pudle

otworzyły się drzwi, po schodkach zaczął schodzić łyсы, postawny mężczyzna w długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, podpierający się solidnym kosturem. Za nim wyłoniło się dwóch ochroniarzy z bronią.

– A to właśnie Wiedźmak. No proszę, cała wierchuszka w jednym miejscu. Jeśli się nie ruszycie, to zobaczy was, przechodząc obok.

Garsteczka nie mógł oderwać oczu od Wiedźmaka. Mężczyzna tak skrzył się światłem, że ledwo było widać rysy twarzy! Przelewał się, migotał i błyskał, niczym stroboskop – głowa, tors, ręce, nogi... Noga, konkretnie na wysokości kolana. Okucie kostura też świeciło...

– Nie... nie rozumiem. Widzę!

– Co widzisz?

– On płonie! W kolorach!

– No, nie przesadzaj. Iskrzy się raczej.

– U mnie nie iskrzy, raczej się tli. Ale to nie ma znaczenia, przecież nie powinienem tego widzieć!

– A, no faktycznie! – przypomniał sobie Garsteczka. – Ty, a co tak nagle? Przecież nie jesteś tym, no... anomalem.

– Pojęcia nie mam. – Chemik autentycznie zgłupiał. – Wychodzi na to, że również ta część strumienia zaczyna do mnie trafiać... Ciekawe, swoją drogą, jakie zmiany mogą zająć w mózgu pod wpływem nieustannego dublowania sygnałów? Bo jeśli zaczynam wzrokowo odbierać promieniowanie, to...

– To tylko patrzeć, jak sam się staniesz anomalem, panie agent.

– Garsteczka, ale to naprawdę niespotykane! Nasza więź poprzez artefakty wzmacnia się, najpierw z dźwiękowej wyewoluowała we wzrokową, a teraz chyba powoli przechodzi na poziom metafizyki.

Podczas gdy Wiedźmak, błyskający i skrzący się ogniami artefaktów, podobny do chodzącej choinki bożonarodzeniowej, schodził na dół, Arhar przeszedł do podnóża schodów. Julę już

ściągnęli z ringu, Sułtan zaś odezwał się po raz kolejny, ogłaszając następną walkę.

Stojący nieopodal major machnął ręką, a kiedy Garsteczka podszedł, powiedział:

– Tamten łyśy to Wiedźmak. Ja idę do niego. Kovacs mnie ubezpiecza, będzie obserwować. Ty stajesz jeszcze dalej i kryjesz nas obydwu. Broń w pogotowiu.

Garsteczka zauważył, że plecak z pieniędzmi przekoczywał od majora do Kovacsa. Czyli co, zaraz? Titomir chciał rozmawiać z tym Wiedźmakiem? Cholera, ale przecież...

– *Nie, nie, nie! Niedobrze!* – zaniepokoił się Chemik. – *Przecież w ten sposób ty tracisz pieniądze, a ja „oko”!* Titomir poza tym nie ma pojęcia, że Wiedźmak wysłał na spotkanie z nim Garbusa, ale z kulą dla niego zamiast artefaktu! Nie ma co próbować rozmawiać z Wiedźmakiem, bo ten nie chciał mu „oka” sprzedać, a tylko zabrać pieniądze. Powiedz majorowi... cholera, cokolwiek mu powiedz! Część prawdy, ale nie za dużo.

Titomir już przepychał się pomiędzy włóczęgami, prac na spotkanie Wiedźmakowi, który szedł powoli, kulejąc i opierając się na lasce. Głowica kostura pobłyskiwała, niczym słońce zza chmur, cała sylwetka szamana aż drżała i falowała. Dopiero teraz Garsteczka zauważył, że lewe oko handlarza skrywała szeroka, biała przepaska, pod którą też płonął anomalny ogień – bursztynowy, nasycony, dziwaczny. Co tam miał schowane? Przecież artefaktu w oczodół sobie nie wstawił!

Garsteczka ruszył za Titomirem, wołając:

– Nie, towarzyszu majorze, poczekajcie! Cholera, nie idź do niego!

– Nie nazywaj go tu majorem, idioto! – Kovacs zagroził mu drogę, ale Garsteczka odepchnął go i poszedł dalej. Kapitan złapał go od tyłu za kołnierz, szarpnął – a wtedy Garsteczka niemalże odruchowo odwrócił się i z rozmachu rąbnął go prawym prostym w zęby.

Byli mniej więcej w połowie drogi między wrotami a ringiem, gdzie stało stosunkowo niewielu włóczędzów. Kovacs zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, więc poleciał jak długi w tył, prosto na przechodzącego brodacza w kozuchu, który krzyknął coś gniewnie i odepchnął Kovacsa z powrotem. Kapitan już, już sięgał po broń, ale wtedy pomiędzy nim a Garsteczką zjawiał się Titomir. Ten też się nie patyczkował – walnął kapitana z otwartej w pysk, aż zadzwoniło, a Garsteczkę poczęstował ciosem pięści prosto w mostek. Rękę miał jak dwukilowy młot, żebra szeregowca aż zajęczały.

– Co to ma być? Baczość, obydwaj! Do mnie!

Stanęli po dwóch stronach Titomira. Włóczędzy mijali ich, nie zwracając uwagi, bo z trybun po raz kolejny rozległy się nawoływania: na ring weszła następna para zawodników. Garsteczka stał tyłem do sceny, słysząc tylko to wszystko i myśląc, czy żebra ma pęknięte, czy tylko stłuczone.

– Nowickij, czy ja mam was zastrzelić? – zapytał Titomir, nawet na niego nie patrząc. – Tu i teraz? Proste pytanie, tak czy nie.

– Szczeniak za wysoko o sobie myśli. – Kovacs wychylił się przed majora i splunął Garsteczce na but krwawą plwociną.

– *Tylko spokojnie* – poradził Chemik. – *Pamiętaj, że na razie to oni mają pieniądze.*

Bujaj się! – pomyślał Garsteczka. Wszyscy razem się bujajcie!

A potem zacisnął pięść i walnął Kovacsa prawym hakiem prosto w szczękę, dokładnie tak jak Arhar dopiero co położył Julę. Dobrze wyprowadzone, takie uderzenie wygina głowę w tył, naciągając cały kręgosłup aż do chrzęstu kości, w oczach wybuchają iskry i plamy, coś przeskakuje w głowie i bardzo często przeciwnik nie może jakiś czas dojść do siebie. Inna sprawa, że uderzający też potrafi sobie niezłą krzywdę zrobić, jeśli nie ma praktyki...

Garsteczka praktykę miał, w końcu nie na darmo po służbie

chodzili z Witią na siłkę i tłukli się do utraty tchu w kaskach treningowych. Pięść nawet nie zaboląła, wręcz przeciwnie, aż jakoś tak miło mu się zrobiło na duszy. Ach, dałby w mordę jeszcze komuś...!

Ale powstrzymał się, w końcu majora nie wypadało mu lać w pysk, bo wtedy szans na kontynuację niełatwej współpracy nie byłoby już żadnych.

Kovacs upadł jak stał, pociągnięty w tył ciężarem plecaków, prosto pod nogi przechodzącym włóczgom. Huknął potylicą o betonową podłogę, chciał się poderwać, ale jego ciało chyba nieszczęśliwie słuchało głowy.

Widząc kątem oka, że Titomir łapie za pistolet, Garsteczka chwycił go za przedramię. Och, cholera, ależ ma facet siłę! A przecież swoje lata już na karku, i do dużych nie należy... Garsteczka ledwo dał mu radę!

– Towarzyszu majorze! – syknął, niemalże stykając się z tamtym czołem. – Pójdziecie do Wiedźmaka i koniec, zastrzeli was, jak amen w pacierzu! Człowieku, posłuchaj mnie! Przecież nie masz pojęcia, co się wydarzyło na Stacji! Weź mnie posłuchaj chociaż, a potem decyduj, co zrobisz!

Titomir przestał ciągnąć pistolet z kabury, warknął:

– Precz z łapami!

Garsteczka posłusznie puścił. Kovacs zdołał usiąść, ale oczy rozjeżdżały mu się na boki, dolną szczękę wygięło w bok, a na podbródku już malował się piękny, czerwonosiny ślad.

– Co mi chciałeś powiedzieć? – zapytał major lodowatym tonem. Musiał mieć jaja ze stali! Takiego by do czynnej służby, do baonu szturmowego, a nie pod jakimś tam frajerem Cywikiem kazać mu kisnąć na bazie do emerytury!

Głośno stukając kosturem o podłogę, Wiedźmak szedł ku drzwiom w asyście swych ochroniarzy. Arhar, któremu na ramiona narzucili kurtkę, kroczył przed nimi, torując drogę... Prosto ku Garsteczce i dwóm wojennym.

– *A więc Arhar to przyboczny Wiedźmaka?* – zapytał Chemik ni w pięć, ni w dziewięć. – *Ciekawe...*

– Panie majorze, zaraz nas zobaczą – rzucił Garsteczka. – Musimy zejść im z drogi. Mnie się zreć chce, nie ma tu jakiejś stołówki? Usiądźmy, powiem wszystko po kolei, ale muszę na spokojnie! Tylko swojego kapitana pan ostrzeże: jeszcze raz do mnie fiknie, łeb mu ukręcę i w dupę kontinuum wepchnę! Ważna informacja, słyszy towarzysz major?

– *Powiedz mu, że coś chcesz zaproponować. Po drodze pokombinuję, mam jeden pomysł, jak między tych dwóch wbić klin, żeby ci lżej było działać.*

– ...I propozycję mam jedną, panie majorze, co do dalszych działań. Pan posłucha, warto. Serio.

Titomir zastanawiał się krótką chwilę, patrząc ponad ramieniem Garsteczki na zbliżającego się Wiedźmaka.

– Dobrze. – W końcu ruszył w kierunku drzwi, po drodze rzucając do Kovacsa: – Powstań, idziemy dalej. Szeregowego na razie nie ruszaj.

Na razie co? Garsteczka rozmasował kostki dłoni. Zobaczymy, co potem będzie i kto kogo.

Kovacs, wciąż jeszcze cokolwiek oszołomiony, zaczął podnosić się z posadzki. Idący już za Titomirem Garsteczka dodał:

– Majorze, major niech zrozumie, ja tutaj, w Sektorze, już dla pana nie szeregowy. I major... to jest, ty też już dla mnie nie „pan”, czapkować ci nie myślę. Jasne? Teraz czysty biznes, jako partnerzy.



Czerwony Kruk zdecydował, że będzie maszerować w kierunku słońca. Szedł ostrożnie, rozglądając się na boki; kto wie, jakie anomalie mogły się tu czaić?

A co to za dziwny cień, tam, koło sosen, na skraju polany? Kruk stanął, zmrużył oczy. Złudzenie – ot, łopian z dziwnie postrzępionymi liśćmi. Na wszelki wypadek jednak ominął łukiem podejrzaną roślinę i wszedł w las. Tu było jakby spokojniej, kiedy nie widać zasłoniętego przez korony drzew ciemnoczerwonego, jak przed Falą, ponurego nieba.

Szedł po suchym igliwiu, niemal przemykając się od sosny do sosny i wyglądając zza pni. Stopniowo przyzwyczajał się do martwego bezruchu i ciszy, przestał nerwowo zerkać w górę, gdy zza gałęzi przebił się promień purpurowego słońca – ale nawet uszedłszy bitą milę, ani na chwilę nie przestał się koncentrować.

Las sosnowy ustąpił miejsca osinowemu zagajnikowi, drzewa z każdym krokiem rosły coraz rzadziej, widoczność poprawiała się... Aż w końcu Kruk zobaczył przed sobą najprawdziwszą ścianę mgły. Gęstą, białą, wysoką i nieprzeniknioną, kotłującą się wirami i dyszącą obłokami tumanu, wypuszczającą długie, wąskie języki i wciągającą je z powrotem. Szczyt tej ściany pobłyskiwał czerwienią, gdy po niebie przelewała się szkarłatna zorza.

Kruk niespiesznie podchodził coraz bliżej, wpatrując się

w szarobiałe zjawisko. Dalej leżała martwa, jałowa ziemia, widać było resztki lasu – ogołoczone z gałęzi i kory pnie drzew, pochylone i oparte jeden o drugi, niczym czarne pale. Trawa zniknęła, pod nogami zachrzęściły kamienie. W głębi zajętego przez mgłę terytorium widać było ni to głązy, ni to resztki kamiennych kolumn...

A to co? Po lewej stronie leżał na boku śmigłowiec z połamanymi łopatami wirnika, pękniętą belką ogonową i potrzaskanym kadłubem. Czarne liany, niby giętkie palce wystającej z ziemi dłoni, oplatały rozbitą kabinę, a wokół wirowały pasma mgły, wijąc się i splatając...

Mgła żyła! Kołysała się i trzepotała, rzucała spazmatycznie, a w środku coś pęczniało i opadało. Biała macka sięgnęła ku twarzy Kruka, gdy ten zbliżył się zanadto; najemnik odskoczył, potykając o kamień. Przez chwilę wydawało mu się, że gdy wbijał wzrok w otchłań białego oparu, ten zaczynał oddychać, a pomiędzy pochylonymi drzewami włóczyły się cienie.

Coś przesunęło się za potrzaskaną, pokrytą zaciekami i mchem szybą kabiny, zamarło i popatrzyło na Kruka. Mężczyzna cofnął się jeszcze krok, potem drugi...

Niebo rozjaśnił różowoczerwony błysk, na krótką chwilę podświetlając mgłę, która cała aż drgnęła. Niebo nabiegało purpurą. Czyżby Fala? Jeśli tak, to gdzie się schować?

Kolejny rozbłysk – i coś zazgrzytało przeraźliwie, aż zaboląły zęby. To były setki, tysiące pomieszanych głosów, krzyków, jęków, wrzasków i charkotów naraz; jęczały martwe drzewa, zgrzytały tajemnicze ruiny w głębinach lasu, skrzypiał rozbity śmigłowiec i kamienie... Krew zapulsowała, zahuczała w skroniach, serce zatrzepotało, jak przerażony ptak w klatce, w ustach pojawił się metaliczny posmak krwi. Kruk po prostu pobiegł przed siebie.

Gałęzie chlastały go po twarzy, czepiały się ubrania. Brakło mu tchu, oczy zalewał pot, a zgrzyt wcale nie cichnął! Nie wiedział

nawet, czy to prawdziwy dźwięk, czy tylko coś w jego głowie... Potknął się, poleciał w trawę, skulił. Zamarł.

Hałas urwał się. Kruk leżał bez ruchu, wtulając twarz w trawę i próbując się uspokoić. Taki sam dziki, paniczny strach odczuwał tylko raz w życiu, kiedy powoli opuszczali go, *jeszcze wtedy żywego*, w „gnojówkę”. Teraz... od tamtej pory nie czuł nawet, że żyje. Był w zasadzie trupem, snującym się po świecie wyłącznie po to, żeby zabrać ze sobą na tamten świat jeszcze jednego człowieka.

Kiedy doszedł do siebie, wstał, wyprostował się i rozejrzał.

Musiał biec o wiele dłużej, niż mu się zdawało, bo ściana mgły została hen, daleko za nim. Od wzgórza z czarnymi głazami, na którym został wyrzucony przez „port”, dzieliło go co najmniej półtora kilometra. Stracił poczucie kierunku i nie miał zupełnie pojęcia, gdzie się znajduje ani gdzie zostało Zagubione Miasto.

Co więcej – nadal nie wiedział, kędy iść, aby stąd się wydostać.



Garsteczka i Titomir siedzieli przy niskim stoliku na dwóch skrzynkach i popijali świeżo warzone piwo – kwaśną, mętną breję z brudnobrązową pianą i osadem na dnie. Kubek Garsteczki był lekko wgnieciony, majora kufel nie miał uchwytu. Pomiedzy nimi stała misa z suszoną rybą i grubymi plastrami twardego, solonego sera.

– Czyli co, na samowolkę poszliście, szeregowy? – zapytał Titomir, opierając się łokciami o stół. Kaptur naciągnął na głowę tak, że jego zarośnięta twarz była nie do rozpoznania. – Inaczej się zachowujesz, Nowickij.

Garsteczka wzruszył ramionami.

– Inna sytuacja, to i ja inaczej.

Kovacs usadowił się za sąsiednim stolikiem i w ogóle nie

patrzył w ich stronę. Szczęka i prawy policzek mu napuchły i nabiegły głębokim fioletem... Plecak Titomira trzymał na kolanach, drugi pomiędzy nogami. Karabin leżał na stoliku, lufą w kierunku Garsteczki.

– Opowiadaj – rozkazał major.

Garsteczka rozejrzał się, też oparł o stół, nachylając do Titomira. Wokół było sporo ludzi, rozlegały się śmiechy i głosy, stukwały kubki i talerze. Rozmowy nikt raczej nie podsłuchiwał, reszta towarzystwa w ogóle nie zwracała na nich uwagi.

– Jak myślisz, Titomir, co ja z tym Krukiem robiłem? Jak na niego wpadłem? He? – odezwał się Garsteczka. – Otóż na Stacji, jak się spotkaliśmy, to właśnie próbowali mnie zatłuc ludzie Garbusa. Konkretnie jedna z jego ekip, tam jakiś Minus dowodził. Znasz typa?

– Ze słyszenia.

– No więc widzisz. Z jakiegoś powodu konkretnie się na Kruka wkurzyli, a na mnie przy okazji. Położyli nas ryjem do torów i zaczęli gadkę. I wiesz, o czym mówią? „Oko zła”, wyobraź sobie. „Oko zła”, którego przy sobie nie mają, bo Wiedźmak w ogóle im go nie dał. Ha! Co ty na to?

Oczy Titomira błysnęły, jak dwa kawałki lodu w słońcu.

– *Oho! Widziałeś to?* – rozległo się w głowie.

Garsteczka nieco podniósł głos:

– Ty co, major? Myślałeś, że ja się o „oku” nie dowiem?

– Skąd wiesz?

– *Powiedz, że od najemnika.*

– Od tego Kruka. Skąd on wiedział, tego już nie wiem. Ale nie o tym mowa. Ludzie Garbusa nie mieli przy sobie towaru! Nieszczególnie z Krukiem się w dyskusje wdawali, ale jedno zrozumiałem od razu: Wiedźmak ludziom Garbusa zapłacił, żeby na Stacji was ołowiec naszpikować, zabrać pieniądze... – Garsteczka wskazał brodą Kovacsa i plecaki. – I zgarnąć całą pulę. Co to znaczy, panie major?

Titomir odchylił się, założył ręce na piersi. Jego spojrzeniem można by chłodzić azot.

– A znaczy, mój panie, że do Wiedźmaka nie ma co iść, chyba że po własną śmierć – kontynuował Garsteczka. – Nawet mu się pokazywać nie wolno! Nie obchodzi mnie, co to za „oko” i na cholereę wam ono, ale swoje musi być warte. Wiedźmak od samego początku chciał je zachować dla siebie, albo znalazł lepszego klienta.

Wziął z michy płat ryby, oderwał kawałek zębami i zaczął metodycznie przeżuwać. Ryba była solona właśnie po to, żeby chciało się po niej pić... Trzeba było mocno zalewać ją piwem, na co z pewnością liczył właściciel przybytku. Major milczał, a Garsteczka po trochu siorbał breję z kubka.

Kwestię poprowadzenia rozmowy pobieżnie omówili po drodze z Chemikiem, teraz nadeszła kluczowa chwila. Gdyby jeszcze Titomir nie był takim cholernym milczkiem... Jeden wart drugiego, on i Kruk! Tyle tylko, że do Titomira można było gadać, jak do ściany, a w najemniku przynajmniej czuło się głęboko ukryte żal i gorycz, jakieś emocje. Swoją drogą, ciekawe, gdzie może być teraz? Dokąd przerzucił go „port”?

Istniała możliwość, że nigdy go już Garsteczka nie spotka. Może to i lepiej? Reakcja tych dwóch na siebie też była ciekawa: ledwo się zobaczyli, od razu ognia. Rzadko kiedy się trafia pomiędzy ludźmi tak czysta i bezkompromisowa nienawiść.

Wedle scenariusza, który ułożyli z Chemikiem, teraz powinien był coś powiedzieć major, więc Garsteczka milczał i czekał. W końcu się doczekał. Titomir oparł na stole kanciaste, twarde pięści i powiedział:

– Dlaczego miałbym ci zaufać, Nowickij?

– A dlaczego miałbym cię okłamywać, Titomir? – odparował Garsteczka. – Po co, dlaczego? Jeżeli nie mam poza tobą innych sojuszników, to...

– Nie wiem, jaką grę prowadzisz.

– Jakie znów gierki, towarzyszu majorze! – Garsteczka nawet pozwolił sobie na plaśnięcie dłonią o stół. – To wy sobie z Cywikiem i Wiedźmakiem pogrywacie w bierki akrobatyczne, a mnie to lotto. Poza tym ja tam... No, nie znam się na tych podchodach, nie lubię. Pieniądze mi są potrzebne, rozumiesz? Więc gry i zabawy zostawiam innym, tym bardziej że poza tobą mi tu nikt grosza złamanego nie da. Chcesz, wierz, nie chcesz, idź do Wiedźmaka i daj się zabić.

Titomir jeszcze chwilę pomilczał, patrząc w blat, po czym w końcu zdecydował:

– Zatem nie ma sensu pertraktować z Wiedźmakiem. „Oko” trzeba mu zabrać, ale we trzech nie damy rady.

– *Zapytaj dlaczego.*

– E, a niby dlaczego? – Garsteczka wepchnął do ust kawał sera.
– Bo co, bo Wiedźmak jest tu lokalnym bossem? Piwnica pełna ochroniarzy, te rzeczy?

Titomir tylko skinął zdawkowo.

– *Już pora. Pokaż mu.*

Garsteczka uznał jednak, że jeszcze nie pora, więc rzucił:

– No, a jakby na tę wieżę uderzyć? Znaleźć jeszcze kilku chłopca, co? Przecież pieniądze macie, można zapłacić.

– Nikt na Lotnisku na to nie pójdzie. Nie ma głupich, żeby tak ryzykować. My może damy radę za Kordon uciec, a oni muszą tutaj zostać. Wiedźmak ich znajdzie i ze skóry obedrze.

– *Garsteczka, pokazuj.*

– A jakby kogoś z zewnątrz? Nietutejszego?

Major zamyślił się na chwilę.

– To już prędzej. Jeśli przejść za Ślepą Plamę, to tam jest jeszcze jedna osada. Albo poszukać pośród oddziałów koczujących... ale na to potrzeba czasu. Za dużo czasu. Jeśli masz rację, Nowickij, to Wiedźmak będzie chciał „oko” sprzedać komuś innemu. Zanim zdążymy zebrać oddział, okazja przepadnie, bo upłynni towar. Nie mogę do tego dopuścić.

– *Garsteczka, do diaska! Gotów nam uciec zerwać się z haczyka! Zacinaj!*

Otóż to. Zacinaj.

– Ej, panie majorze, to słabo u nas... – Garsteczka rozłożył ręce, potem wsunął jedną z nich pod stół. – Popatrz no, może to pomoże...

Garsteczka zauważył tylko kątem oka, jak siedzący obok Kovacs drgnął i sięgnął do spustu karabinu. Pokręcił głową, wyciągnął z pojemnika zawinięty w kawałek brezentu artefakt. Położył na blat i lekko rozchylił materiał.

Kłębek szklanych nici przelewał się zielonkawym i liliowym blaskiem, w jednym miejscu włókna zwijały się w ciemniejszy węzeł, nad którym sterczała świecąca pętelka. Aż się prosiła, żeby za nią pociągnąć, jednym ruchem aktywując wszystkie nitki kłębka. „Kanały energetyczne”, jak je nazwał Chemik, też jako tako widzący emanację artefaktu.

Coś drgnęło w twarzy Titomira, a Garsteczka uradował się w skrytości ducha: tak! Udało mu się skruszyć lód niewzruszoności majora! No, cycomirze jeden, co teraz powiesz? Jakie to wrażenie, tak nagle zobaczyć artefakt wart parędziesiąt tysięcy zielonych? Na tyle przynajmniej oszacował wartość „swojaka” Chemik, który ponoć miał w swoim laboratorium katalog artefaktów wedle klasy i wagi.

Titomir szybko poradził sobie z emocjami, zrobił krótki gest ręką. Kovacs poderwał się, złapał za plecaki, zarzucił karabin na ramię i stanął w gotowości.

– Siadaj i popatrz – polecił major.

Kapitan przysiadł na trzeciej skrzynce, odłożył swój plecak pod stół, ten należący do majora znów wziął na kolana. Popatrzył. Zmienił się na twarzy. Obrzucił Garsteczkę niedowierzającym spojrzeniem i przeniósł pytający wzrok na majora. Powiedział:

– To przecież „swojak”

– Przybył kapitan Oczywiście! – Garsteczka zawiązał artefakt w brezent, żeby nie zainteresowali się nim ciekawscy. – Ale słusznie, „swojak”, jako żywo. Dzisiaj w nocy go znalazłem. Temu tam, Krukowi, to nawet nie pokazywałem, żeby go ręce nie świerzbiały. Więc moja propozycja jest następująca: jeden z was bierze „swojaka” i na miękko wchodzi do wieży Wiedźmaka. W końcu już tam byliście, nie?

Major zmarszczył brwi w niedowierzaniu.

– Obydwaj. I co z tego?

– No i to, że jeden z was tam wchodzi ze „swojakiem”. Przyjmują go za swojego, a on znajduje „oko”, chowa do pojemnika i jak gdyby nigdy nic wynosi na zewnątrz. No co? Plan przecież dobry.

Prawdziwy plan Garsteczki z Chemikiem sprowadzał się do tego, żeby jakoś oddzielić majora od kapitana. Dopóki ci dwaj trzymali się razem, to szanse dostania się do pieniędzy w plecaku były, jak to ujął Chemik, „z dążnością do statystycznie nieistotnych”. Obydwaj byli po prostu zbyt starymi wyjadaczami, ciągle czujnymi i nieufnymi, żeby dało się cokolwiek zrobić. Ale jeśli jeden polezie do wieży, to drugiego Garsteczka miał jakie takie szanse załatwić. Potem poczekałby na tego z „okiem” i też bez szczególnych ceregieli odebrał mu artefakt.

Ba, nawet jeśli ten, co pójdzie do wieży, tam zginie, to i tak dobrze – przynajmniej pieniądze w garści i pal licho to „oko”, którego Garsteczka nawet nigdy nie widział. Kaufmann i jego córula niech sami jakoś wtedy ogarniają własne życie, najważniejsze to pięć baniek w gotówce. Oczywiście tym drugim przemyśleniem się z Chemikiem nie podzielili.

Ale już skończywszy swoją kwestię, Garsteczka wyczuł, że coś jest nie tak. Czegoś musieli z Chemikiem nie wziąć pod uwagę, bo major patrzył na niego z chłodnym zdziwieniem, a kapitan z niedowierzającą pogardą, jak na coś wyjątkowo paskudnego.

– Wiedźmak i jego ludzie nas znają – powiedział Titomir.

– No i...? – zapytał Garsteczka. – To chyba dobrze, co nie?

– *Przeliczyliśmy się gdzieś* – szepnął Chemik. Garsteczka poczuł przemożną ochotę pacnięcia tego zdalnego mądrali w potylicę. No pewnie, że się przeliczyli! Każdy głupi by się już zorientował.

– „Swojak” nie działa na ludzi, którzy dobrze znają nosiciela – parsknął Kovacs, wykrzywiając usta.

Oho. Jedno zdanie i cały plan psu pod ogon.

– *Niewystarczające oddziaływanie sugestywne. Człowiek, którego mają przyjąć za „swojego”, nie może wpasowywać się w żaden znany paradygmat społeczny, bo wtedy jego osoba wywołuje nazbyt wiele skojarzeń i łańcuchów asocjacyjnych... No tak. Powinniśmy byli się domyśleć.*

– Yyy... – mruknął Garsteczka, czując, jak czerwienieje pod spojrzeniami dwóch oficerów. – Serio? Ojej...

– „Swojak” nie tłumi wspomnień, tylko zaciera granice – dodał Titomir. – Nieznajomego przyjmą za towarzysza, ale jak już wcześniej go widzieli, to...

– *Diabli nadali! Ale w takim razie... Garsteczka, przygotuj się, bo oni zaraz powiedzą, że...*

Titomir pokiwał głową i pokazał na Garsteczkę palcem.

– Do wieży pójdziesz ty.



Czerwony Kruk szedł na wschód, rozglądając się często. Świat powoli wracał do normalnych kolorów, wychodząc z upiornego kontrastu barw. A może to on przyzwyczał się do tej brązowoczerwonej gamy? Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy poczuł zawroty głowy ze zmęczenia. Oparł o stertę czarnych, granitowych płyt, wyciągnął z kieszeni garść suszonych jagód i zaczął powoli, metodycznie przeżuwać. Zjadł, popił resztką herbaty z manierki i ruszył dalej. Po drodze przeliczył amunicję

do pistoletu: jeden zaczęty magazynek w chwycie, dwa zapasowe w kieszeniach. Niezbyt bogato. Nie wiedział, ile mogło minąć czasu, bo od natknięcia się na ścianę mgły zegarek pokazywał wciąż tę samą godzinę.

Kruk szedł, a las ciągnął się coraz dalej i dalej. Ani zwierząt, ani anomalii, nic. Słońce jak gdyby uwięzło w niebie i nie poruszało się ani na jotę.

Już wcześniej miał wrażenie, że ktoś obserwuje go z tyłu. Nieopodal chrupnęła gałązka, Czerwony Kruk spiął się i rozejrzał dokoła. Coś zaszeleściło w krzakach, zasapało ciężko. Gałęzie rozsunęły się, spomiędzy nich wyjrzała błyszcząca, stożkowata morda ze zwisającym do dołu nosem-ryjem. Zwierz fuknął i wyszedł dalej, łamiąc krzewy. Łeb osadzony był na potężnej, łuskowatej szyi, płynnie przechodzącej w garbaty grzbiet pokryty płytkami pancerza... taki sobie pancernik wielkości niedużego niedźwiedzia, z krzywymi, włochatymi niedźwiedzimi łapami.

Czarne ślepia świdrowały Kruka. Ten cofnął się, wyszarpnął pistolet z kabury i strzelił, w głębi duszy wiedząc, że nie ma sensu strzelać ze skróconego, kieszonkowego pistoleciku do takiego monstrum... Trafił w czoło, ale kula zrykoszetowała. Zwierz skulił się, niedowierzająco potrząsnął łbem, ryknął i skoczył na niego.

Kruk odwrócił się i rzucił do ucieczki. Skręcił ostro przed gęstymi zaroślami tarniny, wpadł po pół łydki w wodę, na sekundę uwiązał w grząskim mule, ale zaraz pobiegł dalej, mając nadzieję, że wielki, ciężki stwór będzie miał z bagienkiem o wiele większy problem.

Rozlewisko okazało się względnie nieduże, więc szybko wydostał się na przeciwległy brzeg, obejrzał. Monstrum rzeczywiście zapadło się aż po brzuch, ale brnęło dalej niczym lodołamacz, pchając przed sobą falę błota.

Po kilkudziesięciu krokach drzewa zaczęły rzednąć, Kruk wyskoczył na porośnięty mchem szczyt płaskiego wzniesienia. Tu

i tam z zapadlisk wystawały kępy rzadkiej trawy, widać było spod darni kamienie i piach, daleko w dole skrzył się strumień, obramowany po obu stronach wierzbowym młodniakiem.

Pancernik na niedźwiedzich łapach sapał coraz głośniej, zbliżając się nieubłaganie. W dawnych latach, jeszcze przed Sektorem, bywało, że Kruk chodził zapolować – ale nigdy na taką wielką bestię! Inni myśliwi opowiadali, że nie ma sensu włązić na drzewa ani biec na oślep przez las, bo tym niedźwiedź zajmuje się na co dzień, więc prędzej czy później człowieka zagoni i rozszarpie. Ale za to jeśli szybkim sprintem biec w poprzek zbocza góry – tylko nie w dół ani w górę, a w poprzek! – to była szansa, że niedźwiedziowi zaplączą się łapy i zwierz upadnie.

Kruk popędził ile sił w nogach po zboczu. Potwór leciał za nim, ale odległość nie malała. Pancernik okazał się sprytny i zwolnił, chcąc zagonić człowieka na śmierć... Kruk potknął się, wyłożył jak długi na kamienie, potoczył w bok, złapał jakiegoś głazu i popęzł dalej na czworaka. Rana postrzałowa zaboląła, ale nie mógł pozwolić sobie na słabość.

Obejrzał się przez ramię. Pancernik niezgrabnie przebierał łapami, ale radził sobie niepokojąco dobrze, bynajmniej nie mając zamiaru się przewracać. Trzeba by mu pomóc... Kruk wyczołgał się na równiejszy kawałek i usiadł, oparł o kamień i wycelował z pistoletu w majtający się pysk, wyglądający na jedyną w miarę miękką część ciała. Glock plunął ołowiem, istota zahamowała z niedowierzaniem: jak to, mnie? W twarz?! Pancernik zaryczał wściekle i ruszył na człowieczka, tracąc czujność. Kruk strzelił jeszcze raz i drugi, widząc zbliżające się cielsko...

I wtedy pancernik potknął się, osunął, nie znalazł opory i potoczył w dół, próbując jeszcze złapać pazurami za strome zbocze. Ryknął dziko, widząc zbliżającą się krawędź urwiska, ale było już za późno – poleciał na dół, na łeb, na szyję, prosto na

kamienie. Gruchnął ciężko, zaczął rzucać się daleko w dole, skamląc i rycząc.

Czerwony Kruk podniósł się ciężko, pokuśtykał z powrotem pod górę zbocza, byle dalej od stwora. Zatrzymał się dopiero na samym szczycie.

Było stamtąd nieźle widać okolicę. Za nim ciemniał las, po prawej miał wąwóz, do którego spadł mutant. Jar stopniowo rozszerzał się i przechodził w dolinę, porośniętą wysokimi modrzewiami. Gdzieś pomiędzy drzewami sterczał dziurawy dach ceglanej wieżyczki.

Innych punktów orientacyjnych nie było. Kruk wsunął pistolet do kieszeni płaszcza i powlókł się przed siebie.



Ze starego Tu-134 wyrwano połowę foteli, następnie przestrzeń podzielono przepierzeniami na maleńkie pokoiki, połączone długim, wąskim korytarzykiem, tworząc prymitywną noclegownię dla tych, co nie mieli ochoty marznąć na gołej ziemi.

Zajęli jedną z takich klitek. Nocleg załatwił kapitan, bo Titomir nadal nie chciał pokazywać twarzy. W pokoiku ledwo było miejsce na jedno łóżko polowe, więc musieli wszyscy spać na podłodze. Major usiadł na plecaku, wyciągnął notatnik i ołówek. Wydarł kartkę i zaczął coś kreślić, tłumacząc:

– Na parterze znajdują się pomieszczenia gospodarcze, Wiedźmak ma tam kuchnię i izby dla ochroniarzy. Spiralne schody na górę, jeszcze dwa poziomy, tam mieszkają jego ludzie. Sam Wiedźmak siedzi na górze, w kopule. Na dole jest piwnica. – Ołówek wykreślił nierówny owal pod prostokątem wieży. – Nieduża, kilka klatek dla jeńców albo zwierząt na eksperymenty. Wiedźmak skupuje rzadkie okazy.

Major na chwilę umilkł, a wtedy w głowie Garsteczki rozległ

się rumor, jak gdyby ktoś zwalił się z krzesła na podłogę. Miał już od kwadransa takie wrażenie, że Chemik ledwo, ledwo się trzymał, bo naukowiec to mamrotał coś do siebie, to znów milkł i nie reagował. Nie mógł nawet do niego zagadać, bo cały czas byli przy nim obaj wojskowi. Poza tym większość pasma dźwiękowego od Chemika wypełniał dudniący szum, przez który ledwo było słyszeć słowa – taki, jak słyszy człowiek z wysoką gorączką.

– To gdzie mam szukać artefaktu? – zapytał Garsteczka.

Titomir i Kovacs wymienili spojrzenia, kapitan rozłożył ręce. Kovacs od wydarzeń na Arenie nie odezwał się do Garsteczki ani słowem, dolna szczęka mu spuchła, miał kłopoty z poruszaniem szyją.

– Najpewniej na górnym poziomie – odpowiedział major. – Wiedźmak ma tam laboratorium.

– Laboratorium nawet... – Garsteczka wstał, patrząc przez zasłonięty folią bulaj. Celofan był zmatowiały i brudny, ale nie dało się nie zauważyć sterczącej ponad Lotniskiem kanciastej paskudy z szerszym szczytem, do połowy zarośniętej czarnozielonym nie wiadomo czym. Symbol falliczny, jako żywo. Tylko wiatrak w domyślnej cewce moczowej trochę nie pasował do obrazka. – I co Wiedźmak robi w tym laboratorium?

– Doświadczenia. Pamiętasz wszystko, gdzie ochroniarze i resztę?

– Słuchajcie, a co to za mech albo bluszcz? Ciemne toto strasznie, pierwszy raz widzę.

Titomir też uniósł się i popatrzył.

– Anomalia roślinna, „waciakiem” to nazywają. Ani się ważyć gołą ręką dotykać.

– Niebezpieczne?

– Mikrokolce z trucizną. Mówią, że jak dotkniesz, to nic nie czujesz, a potem ręce porastają ci pleśnią, jak stary chleb.

Złożył kartkę z planem na czworo, podał Garsteczce.

– Pora ruszać, szeregowy. Będziemy tutaj czekać. Kapitanie, dajcie lornetkę.

Kovacs rozpiął plecak, wyjął dwa czarne futerały i podał jeden majorowi.

– No dobra, ręce pleśnieją, i co potem? – zainteresował się Garsteczka.

Titomir wyciągnął lornetkę i rzucił obojętnie:

– I nic. Jak zaczynasz odrywać, to odchodzi razem ze skórą i mięsem. Krwawisz, ale nie czujesz bólu.

– Jak to, tak nic a nic?

– *Blokada.... zakończeń nerwowych... pleśń prawdopodobnie... neurotrop... słyszysz?* – doniosło się przez szum w głowie.

– Nic – stwierdził Titomir. – Zaczyna ci odbijać, pleśń rośnie coraz dalej, a ty ją zdzierasz. Kończysz z lufą w ustach, chyba że ktoś wcześniej miłosiernie cię dobije.

Kovacs popatrzył na Garsteczkę tak, jakby już wyobrażał sobie, jak ten porasta pleśnią od stóp do głów.

– My czekamy tutaj i obserwujemy – Titomir wrócił do tematu.

– Masz tutaj rękawice ochronne do artefaktów. „Oka” nie bierz gołą ręką, od razu włóż do tego pojemnika. Jak tylko skończysz, zaraz tutaj wracaj.

– No dobra, a jak coś się rypnie? Jak mnie złapią?

– To będziesz miał problem. Czekamy na ciebie dwadzieścia cztery godziny, tyle działa „swojak”. Potem idziemy szukać najemników, żeby cię odbić.

Aha, odbić. Już to widzę, pomyślał Garsteczka, przerzucając przez głowę pas nośny pojemnika. Major musiał go chyba uważać za skończonego debila, skoro taki kit mu wciskał.

Dla Garsteczki oczywistym było, że nikt go ratować nie będzie. Majora interesowało wyłącznie „oko”, a sam niedawno mówił, że zebranie ekipy gotowej uderzyć na legowisko Wiedźmaka potrwa bardzo, ale to bardzo długo. Jeńców nie trzyma się tak długo w niewoli, tylko przesłuchuje i do piachu.

Ot, jaka ciekawa sytuacja: każdy mówi jedno, a myśli zupełnie co innego, orientując się wyłącznie na własny zysk i nie tylko będąc gotowym poświęcić partnera, ale wręcz już planując, jak się go po wszystkim pozbyć. Zarówno Garsteczka, jak i Titomir mieli chrapkę na „oko zła” oraz pięć milionów, tyle tylko że każdy w swojej kolejności. Pytanie, oczywiście, czego chciał Kovacs, ale niezależnie od tego, kto zgarnie całą pulę nagród, los kapitana i tak był chyba przesądzony. Normalnie kółko wzajemnej adoracji cynicznych hipokrytów-zabójców.

– Zostaw – rzucił Titomir, gdy Garsteczka sięgnął po anomalną strzelbę.

– Bo co? Moja! – warknął.

– Wcale nie twoja. Ukradłeś ze zbrojowni.

– Zarekwirowałem, jeśli już. I co z tego? „Oko zła” też nie jest nasze, a jakoś się pan major nie boczy, że je ukradnę.

– Głupis! – skwitował Titomir. – Strzelby pulsacyjne to bardzo wyjątkowa broń. Ktoś na wieży na pewno zwróci uwagę, „swojak” nie da rady utrzymać aury i cię odkryją.

Garsteczka pomyślał chwilę, ale niechętnie odstawił pulsara na miejsce.

– Czyli co, mam się tam nie wyróżniać, tak?

– Dokładnie. Nie hałasuj, chodź spokojnie, nie patrz ludziom w oczy. Odpowiadaj i kiwaj, jak ktoś się przywita, ale nie zaczynaj rozmów. Unikaj kontaktu fizycznego, bo każde gwałtowne naruszenie spokoju może zniszczyć iluzję. Jeśli ktoś zacznie się interesować, to spokojnie zejź mu z oczu, ale nie spiesz się i nie biegnij. Szybko o tobie zapomną. Jeśli coś się stanie, to się przyczaj, odczekaj i potem powoli wychodź. Zrozumieliście, szeregowy Nowickij?

Garsteczka kiwnął głową, rozpiął kurtkę i zawiesił sobie na szyi karabinek, chowając go pod ubraniem. Sprawdził pistolet w kaburze, wyciągnął na próbę nóż, poprawił pojemnik na artefakt. Wyszedł bez słowa.



Idąc skrajem lasu wzdłuż wąwozu, Czerwony Kruk usłyszał kroki pomiędzy drzewami. Ktoś maszerował, beztrosko szeleszcząc trawą i trzaskając gałęziami; przykucnął za krzakiem jałowca, słysząc głosy.

Nie był w stanie odróżnić słów. Przeczółgał się po suchej, burej trawie i wyjrzał spod kłujących zarośli.

W prześwicie pomiędzy drzewami mignął mu mężczyzna z ciemnymi włosami zaplecionymi w warkoczyki, ściągniętymi w koński ogon rzemieniem. Kurtka kamuflażowa, skórzane spodnie z frędzlami, miękkie mokasyny. Plecak zszyty z niewyprawionych skór, wsadzona za pas jakaś broń... Czyżby pulsar? Tak! Nieduży pulsar z rękojeścią okręconą kawałkami skóry.

Nieznajomy obejrzał się, więc Kruk przypadł do ziemi, wstrzymując oddech. Nie zdążył dokładnie przyjrzeć się twarzy obcego, ale rzucił mu się w oczy smagły odcień skóry i wystające kości policzkowe.

Kiedy odważył się znów wyjrzeć, przez polanę jeden za drugim przechodziło jeszcze kilku członków niedużego oddziału. Ubrani byli podobnie, w kamuflaż mieszany z brązową skórą, futrami i samodziałową tkaniną. Wszyscy mieli kruczoczarne włosy, za wyjątkiem jednego z jaskraworudym irokezem. Ten wyróżniał się też tatuażem ponad uchem: owal z zakreskowanym okręgiem w centrum. Miał na sobie długą, szarą koszulę i coś w rodzaju skórzanej kamizelki taktycznej, zza ramienia wystawała mu lufa kałasznikowa. Na prawej ręce długa, skórzana rękawica bez palców.

Rudy coś powiedział, ale Kruk nadal nie rozumiał słów... Ba, nie znał języka! Dopiero teraz zwrócił uwagę na wyciągnięte, jakby lekko wilcze twarze nieznajomych, masywne wały

nadoczodołowe i spiczaste, trochę włochate uszy...

Wargowie. Kruk odruchowo ścisnął rękojeść pistoletu. Właśnie zobaczył wargów, cały uzbrojony oddział!

Wsunął dłoń pod płaszcz, ostrożnie dotknął ramienia, poruszał palcami lewej ręki. Zmęczył się, ból doskwierał coraz bardziej. Niedługo albo trzeba będzie zażyć płomieniówki, czego wolałby uniknąć, albo odpocząć.

Wargowie za drzewami rozmawiali cicho, przerzucając się gardłowymi frazami. Kruk przypomniał sobie opowieści o tym, że mieli być kiedyś klanem zwyczajnych włóczęgów, którzy przepadli podczas wyprawy do Polesia. Ponoć odnaleźli miasto, które przemieniło ich w nie ludzi...

Chociaż, co miałyby w nich być nie ludzkiego? No tak, wyglądali nieco inaczej, ale porozumiewali się, nosili ubrania, używali narzędzi i broni. Wargowie kojarzyli mu się raczej z przybyszami z innego kontynentu, nieco odmienną rasą ludzi. Azjaci są drobni i skośnoocy, Murzyni czarni, żyłaści i z dużymi, wydatnymi ustami... A wargowie smagli, z lekko szaroniebieskim odcieniem, nieco zwierzęcy z wyglądu.

Szczekające głosy zaczęły przemieszczać się, potem cichnąć. Kruk odczekał, aż oddział odejdzie, a potem podniósł się i przeszedł na polanę. Znalazł na ziemi ledwo widoczne odciski mokasynów i ruszył ich śladem, wsłuchując się w ciszę.

Zdążył przejść może kilometr, kiedy lewa ręka zaczęła drżeć, a noga odmawiać posłuszeństwa. Nie było rady, musiał zażyć płomieniówkę, ale kosztowało go to kilka minut cennego czasu. Wargowie zdążyli zniknąć w lesie, więc musiał jeszcze przyspieszyć. Pejzaż zmieniał się, drzewa rosły coraz rzadziej, a pod nogami trafiały się kamienie. Niebo znów pociemniało, kolory wyblakły... znajomy obraz. Ze świata żywego, ruchomego i pełnego dźwięków, Czerwony Kruk ponownie wchodził w zawieszony w rudej formalinie bezruch. Drzewa pochylały się coraz bardziej, gałęzie stopniowo zamieniały w kolce.

A więc zrobił koło? Nie dowierzając własnym oczom, Kruk przyspieszył, a potem zobaczył ścianę mgły, w której jeden po drugim znikali i roztopiali się smagli wargowie o wilczych twarzach.

Rzadko kiedy okazywał emocje, ale teraz stanął i zaklął siarczyście. Pogłupieli? Przecież ta mgła to na pewno jakaś anomalia!

A może ta anomalia to jedyna droga wyjścia z tej zaklętej przestrzeni bez początku i końca?

Kamienista pustynia z martwymi drzewami znikąca we mgle, czarne pnie ledwo majaczyły w mętnej otchłani. Oddział już zniknął. Jeśli oni potrafili tam wejść, to czemu by nie on? Przypomniał sobie zgrzyt i jęk, który tak potwornie go przestraszył. Czyżby uciekł właśnie dlatego, że tak chciała anomalia? Może ten dziwny dźwięk to rodzaj mechanizmu obronnego?

Wysiłkiem woli zmusił się, żeby iść coraz dalej, nie mogąc nadziwić się rosnącemu kontrastowi barw. Drzewa pochylały się wszystkie w jedną stronę, ku mgle, więc wrażenie było takie, że oś pionu jest przesunięta, Krukowi zaczynało się kręcić w głowie, ale mleczna zasłona była tuż-tuż. Mgła zakotłowała się, wyciągnęła ku niemu mokrymi mackami, ale panowała cisza. Zgrzyt nie nadszedł, anomalia milczała.

Kruk odruchowo zaczerpnął powietrza i wszedł w nią. Wszystko wokół stało się jasnoszare, niebo przepadło. Tylko przekrzywione pnie drzew majaczyły na skraju pola widzenia, pod nogami chrzęściły i strzelały spieczone w jedną powierzchnię kamienie. Potem zapanowała idealna cisza. Kruk szedł przez zastygły świat, nie wydając nawet jednego dźwięku.

Mgła powoli rzedła. A może to było złudzenie? Nie, nie – drzewa też powoli wracały do pionu, a przed nim pojawiła się błękitnawa poświata. I coś dziwnie zielonego... ach, to trawa! Trawa, zaczynająca przebijać pomiędzy kamieniami. Robiło się

coraz jaśniej, aż w końcu mgła ustąpiła zupełnie.

I to... wszystko? Nie wiadomo, ile trwała ta wędrówka, ale Kruk miał wrażenie, że nie minęła nawet minuta. Zwolnił, stanął. Przykucnął. Przed nim majaczyły plecy wargów idących przez młodniak, powoli przechodzący w zwyczajny, mieszany las.

Kruk obejrzał się przez ramię. Po mgle nie było ani śladu, znikła też kamienista równina i pokrzywione drzewa. Tylko młodniak, najzwyczajniejszy młodniak! Lewa ręka zaczęła drgać, więc złapał ją prawą i wsunął do kieszeni płaszcza. Sięgnął po szkatułkę z płomieniówką, ale zamiast otwierać, ścisnął ją tylko z całej siły w pięści, niczym talizman. Stał tak chwilę, a potem schował ją z powrotem i ruszył tropem odmieńców; nazbyt przywykł już do osobliwości Sektora, żeby długo się dziwić czemuś niezrozumiałemu.

Powiał wiatr, niosący zapach mokrej trawy, sosen i ozonu, jak gdyby ktoś wreszcie uchylił okno w zamkniętym pokoju. Kruk szedł, oddychając głęboko i niemalże delektując się cierpkim, chłodnym aromatem jesieni – o tyle, o ile jeszcze był do tego zdolny.

Starał się nadmiernie nie zbliżać do wargów, ale też nie tracić ich z oczu. Ślady zaprowadziły go do głębokiego, szerokiego jaru, więc chcąc nie chcąc, zszedł na jego dno, czepiając się korzeni i trawy. Płynął tamtędy strumyk, niemalże rzeczka; nie miał ochoty moknąć, więc odszedł nieco na bok, przeprowił się na drugi brzeg po kamieniach bysterki. Drzewa znów zaczęły rzędnąć, ziemia lekko podnosiła się ku górze. Kruk przystanął, patrząc przed siebie.

Znał tę okolicę.



Owiele łatwiej i prościej by było, gdyby Chemik raczył dojsć do siebie i coś powiedzieć. Jego przemądrzałe rady działały Garsteczce na nerwy, ale potrafiły się też przydać... i to bardzo. A teraz jak na złość agent sobie zemdlał, budząc się tylko po to, żeby wybelkotać coś bez ładu i składu, co jeszcze bardziej przeszkadzało i irytowało. Dodatkowo szum z jego głowy zaczął pulsować, słychać było przez niego, jak wali serce naukowca – szybko, nerwowo i nierówno.

Zbliżający się już do celu Garsteczka aż przystanął, sprawdził sobie puls. No nie, to nie u niego! Nie w porę, a ten hałas zaraz zacznie zagłuszać normalne dźwięki.

W pobliżu wieży zarośla były wykarczowane, więc wznosiła się ona pośrodku pustego placu popękanego asfaltu, otoczona dodatkowo wysokim płotem z blachy. Przy otwartej bramce siedziało dwóch ochroniarzy. Jeden chyba spał z karabinem na kolanach, drugi właśnie kończył obierać jabłko.

Garsteczka przystanął w krzakach. Niepokoila go lufa karabinu wystająca z przybudówki obok bramy, w dodatku widać było, jak ktoś kręci się po wewnętrznym podwórzu. Z bliska wieża wyglądała zupełnie inaczej, bardziej przypominając czteropiętrową kamienicę niż wielkiego kutasa... No, chyba że jakiegoś zmutowanego, kanciastego i grubego.

Na samym szczycie, w apartamentach Wiedźmaka, paliło się

światło. Pozostałe okna na trzech poziomach były zabite deskami albo pozawieszane brezentem, część straszyla popękanyymi, wybitymi szybami. Poskrzypywał kręcący się na dachu wiatrak.

– Chemik, cholera, jestem przy samej wieży – szepnął, kładąc rękę na pojemniku z artefaktem. – Pewnie mnie nie słyszysz... Albo słyszysz, ale nie ogarniasz, co się dzieje, bo zamiast mózgu masz już jajko na twardo. I tak sobie pogadam, bo mi tak łatwiej. Ty nie musisz odpowiadać...

Przykucnął, przełknął ślinę, wpatrując się w ciemny prostokąt budowli.

– No więc, ochroniarze mają zdrowo wyjebane. Widać, że ten Wiedźmak to jakiś lokalny boss, więc nie mają się czego bać. To ja teraz włączę artefakt i powoli będę podchodzić, a jak na mnie zareagują, to... Cholera... No to przegwizdane, będę udawać, że mi się srać zachciało i miejsca szukam. Że niby nietutejszy jestem. Odwracam się i z powrotem w krzaki. Zero ryzyka, łapiesz? Nic a nic, pełny luzik. Spacerok. No, dobrze kminisz, sam siebie tak uspokajam.

Prawdę powiedziawszy, Garsteczka bał się strasznie. Nie dość, że zwiad dywersyjny, to jeszcze anomalno-artefaktowy... Cały plan był oparty na tym „swojaku”. Miał wrażenie, że zbyt ufa rzeczom, którym w żadnym razie nie powinno się ufać.

Garsteczka otworzył pojemnik, wyciągnął splątany kłębek szklanych nici. Złapał dwoma palcami za sterczące z węzła ucho, przekręcił i pociągnął. Więc podobno go włączył, tak? Bo nie stało się nic zauważalnego. Potrząsnął głową i jęknął w duchu: nie tak, nie tak się to powinno odbywać! Powinny być trzy grupy, jedna robi manewr pozoracyjno-odciągający, druga przenika do obiektu, trzecia ubezpiecza i osłania odejście... A on tutaj, jak klaun jakiś, artefaktami się bawi!

„Swojak” nagle lekko zalsnił i zadrżał, gdy po nitkach przebiegły iskry. Garsteczka poczuł się, jakby ktoś połaskotał go ptasim piórkiem po mózgu, coś zassało go w żołądku. Świat niby

zmienił się, ale pozostał taki sam: on nadal kucał w zaroślach, przed nim była wieża i płot, dwaj ochroniarze. Słysząc rozmowę, ktoś na Arenie gra na harmonii, Lotnisko powoli zasypia. A mimo to coś było inaczej, coś dziwnego stało się z odległościami pomiędzy przedmiotami, ich wymiarami i... I coś się zmieniło, nawet Chemik inaczej szumiał w głowie!

No właśnie, w głowie. W głowie było pusto i jasno, jak w wymiecionej do czysta komórce na węgiel. Jak wtedy, kiedy nasztachał się tlenem z butli na oddziale ratowniczym.

Garsteczka wsunął „swojaka” do pojemnika, ale wieczka nie zamykała. Dotknął wiszącego pod kurtką karabinka, po raz piętnasty sprawdził, czy na pewno ma pistolet, nóż i drugi pojemnik. Odetchnął głęboko, podniósł się i wyszedł z krzaków.

Jeśli wszystko się uda, to będzie miał w ręku „oko zła”. Wtedy po cichutku da dyla za Kordon, a tam już pomyśli, jak sobie poradzić z majorem, Chemikiem i wszystkimi innymi. Na razie musi się udać.

Ochroniarz uniósł głowę. Odłożył jabłko, wytarł o nogawkę składany nóż, sięgnął po kałasznikowa. Garsteczka ruszył prosto ku bramie, całym sobą pokazując, że jest absolutnie, stuprocentowo tutejszy i na miejscu. Wewnętrzny głos rozsądku wrzeszczał: uciekaj, spadaj stąd, biegiem! – a on szedł. Ochroniarz podniósł się, poprawił fufajkę, spojrzał na nieoczekiwanego gościa...

I znów to uczucie, jakby ktoś mu dmuchnął na odsłonięty kręgosłup, ale od środka, od strony głowy. Pod czaszką coś przyjemnie załaskotało, w dołku ścisnęło, jak przy pierwszym pocałunku.

Oczy ochroniarza zmętniały, jak u śniętej ryby. Źrenice przesunęły na bok, jak gdyby ześlizgując się z twarzy Garsteczki... Na twarzy ochroniarza dało się wyczytać zdziwienie, gdy po raz drugi spróbował skoncentrować wzrok na gościu i nie był w stanie, jak człowiek za wszelką cenę usiłujący

nie zasnąć na stojąco przy rozmowie.

Garsteczka był już przy wejściu. Nad płotem pojawiła się głowa operatora karabinu maszynowego, ale od razu znikła. Nie patrząc w tamtą stronę, skinął ochroniarzowi.

– O, no siema... – mruknął tamten i zmarszczył się, jakby próbując przypomnieć sobie imię.

Drugi siedział nieruchomo, nawet nie uchyliwszy powiek. Garsteczka minął ich i wszedł dalej, obejrzał przez ramię: na pomoście przy płocie stał na trójnogu kaem, przy nim siedział na zydelku trzeci ochroniarz. Ten z kolei odwrócił się i sennie uniósł rękę na powitanie, a Garsteczkę znów jakby ktoś połaskotał po mózgu.

Nieco odzyskując rezon, chciał mu odmachnąć, ale w porę przypomniał sobie, że nie powinien wykonywać gwałtownych ruchów, więc tylko zrobił w powietrzu nieokreślony gest i tym samym powolnym, miarowym krokiem przeszedł bliżej ku wieży.

Na podwórku stały kanistry, obok nich wałała się hałda kół do samolotów, a nieco dalej była szopa, z której niosło się pochrumkiwanie i zapach gnoju. Cicho, pusto, nikogo więcej... Próbował odnaleźć wzrokiem samolot, z którego powinni obserwować go major z kapitanem. Trzecie okienko od lewej... Ciekawe, czy go obserwowali? Pewnie tak. Ślipią w lornetki i obstawiają zakłady, jak daleko da radę dojść.

A on dojdzie do samego końca. Uda mu się! Tylko nie ma co poddawać się euforii, trzeba nadal działać tak samo, spokojnie i bez nerwów. Nie pchać się na widok.

Wieżę do połowy porastał ten dziwny, połyskujący czarnozielony mech, gęsty i gruby, niczym futrzany rękaw. Okna pierwszego piętra wyglądały niczym zapadnięte dziury... A na drugim piętrze mchu już nie było, ściana jak ściana. „Waciak”, tak to nazwał major? Straszna rzecz, jeśli wierzyć opisom, a zarazem doskonała ochrona przeciwko intruzom.

Drzwi do wieży otwarły się, dwóch mężczyzn wyniosło coś podłużnego, zawiniętego w brezent. Nietrudno było odgadnąć, że trupa. Popatrzyli na obcego, ich oczy nagle się zamgliły. Jeden z nich, nieco starszy, jakby poczuł, że coś jest nie tak, popatrzył na Garsteczkę i znów odwrócił wzrok. W głowie załaskotało, jakby ktoś napuścił mu pod czaszkę mrówek, które teraz biegały po mózgu. Nic, tylko podnieść dekiel i się podrapać. Drugi tragarz słabo, jak gdyby od niechcienia, machnął Garsteczce ręką, niemalże upuszczając pakunek, po czym potaszczyli ciało w kierunku szopy.

Ciało. Szopa. Świnie. Skwarki. Nigdy więcej tutaj, pomyślał Garsteczka, jednocześnie skacząc naprzód, żeby przytrzymać zamykające się na sprężynie drzwi. Popatrzył na odległy samolot, kiwnął lekko głową i wsunął się na parter.

Dopiero w środku uświadomił sobie, że już od pewnego czasu nie słyszał pulsującego szumu w głowie. Nic. Zupełna, straszna cisza, żeby nie powiedzieć „martwa”. Jak w telefonie z uciętym kablem.

W osi wieży był szyb windy, wokół którego wiły się spiralne schodki. Pusty hol, jakieś drzwi... Zza jednych walił dym i śmierdziało przypalonym tłuszczem. No tak, kuchnia, major przecież mówił. Garsteczka ze zwykłej ciekawości otworzył drzwi windy, zajrzał do pustego szybu, w którym majtały się resztki stalowych lin. Szyb schodził jeszcze jakieś dwa metry poniżej poziomu podłogi, w ścianę wpuszczone były kłamry drabinki, prowadzącej do niedużych drzwiczek przy samym jego dnie.

Otworzyły się drzwi zaraz obok kuchennych, pojawiło się dwóch uzbrojonych ludzi w skórzanych kurtkach i spodniach od dresów. Jeden był urodziwy jak cegła, z gębą dziedzicznego mordercy, drugi zupełnie młody, wygolony na łyso, z tatuażem na potylicy.

Obydwaj popatrzyli na Garsteczkę, który ruszył ku schodom.

Wytatuowany od razu spuścił wzrok; tępa morda tego drugiego nabrała wyrazu senności, ale gęste, czarne brwi zsunęły się w wyrazie ciężkiego zamyślenia.

Pod czaszką zabiegały karaluchy, świad mózgu stał się nieznośny. Tylko patrzeć, jak ktoś go przejrzy! Ten tępy wielkolud to jakieś silne bydlę, patrzy i nie chce ustąpić!

– Ej, ty... – odezwał się tamten do znikającego już za zakrętem schodów Garsteczki.

– Cześć – odpowiedział półgłosem Garsteczka i powoli, sennie machnął ręką.

– Skąd ty... – zaczął znów ten mordziasty.

Z kuchni doniosły się przekleństwa, potem brzęknął o ziemię rondel. Ktoś wrzasnął donośnie, potem rozległ się odgłos uderzenia.

– Znów młody żarcie zjarał – zauważył ten wytatuowany. – Kurwa, Rysiu, przecież kucharz go weźmie i zajebie zaraz.

Rysiu warknął coś i odwrócił się do drzwi kuchennych, za którymi, wnosząc po częstotliwości uderzeń, właśnie miała miejsce czyjaś kaźń. Łysy dresik ruszył za nim. Obaj zniknęli w kłębach sinego, śmierdzącego dymu.

Garsteczka odetchnął z ulgą i zaczął wchodzić na górę. Echem niosły się głosy, ale nie widział nikogo; na piętrze było pięcioro drzwi, za jedynymi otwartymi zobaczył puste pomieszczenie z wybitym oknem, przez które wpadał zimny wiatr. W pozostałych chyba byli ludzie, w jednym, zdaje się, grano w karty.

Ruszył dalej. Gdzieś nad nim coś stuknęło, trzasnęły drzwi, rozległy się kroki i głosy... Spora ekipa szła na kurs kolizyjny. Garsteczka zatrzymał się, rozejrzał, zdesperowany. Niedobrze! Schody przecież są wąskie, będzie musiał się między nimi przeciskać, i tyle osób patrzących naraz... Co robić, co robić?

Kroki zbliżały się, więc po prostu cofnął się, a potem wśliznął za uchylone drzwi, podszedł do okna i stanął bokiem, gotów

reagować wedle zmieniających się okoliczności. Kilku mężczyzn minęło jego pokój, jeden przystanął, zajrzał. Garsteczka odwrócił się, wyglądając na zewnątrz: podwórko, szopa, sterta kół. Płot. Kaem na dachu. Nie ma mnie, nie ma mnie, nie ma mnie...

– A, to ty... – rozległo się od drzwi.

– Aha...

Kątem oka widział, jak tamten wychodzi, przymykając drzwi. Kroki oddaliły się i ucichły.

Uff...! No, teraz to by sobie pięćdziesiątkę czystej chlapnął. Gdzie tam Kruk i jego herbatki... Przepadł pewnie w anomalii, nigdy go już Garsteczka nie zobaczy. Nie to żeby jakoś szczególnie tęsknił, ale ten konus-najemnik nawet mu przypadł do gustu. Widać było po nim, że to zadziorny typ, ale nie z gruntu zły. Gniewny, tak, ale nie zły. Gniewny i trochę smutny.

Wyszedł z pokoju i zaczął wspinać się dalej. Na wysokości trzeciego piętra schody zagraadzały żelazne drzwiczki z judaszem, zamkniętym od tamtej strony. I okrągła klamka z dziurką od klucza.

Dupa i kamieni kupa. Dalej nie wejdzie. Garsteczka odstąpił o krok i złapał się ręką za głowę, próbując wymyślić jakiś dalszy plan. Dzwonka nie było, no przecież nie będzie pukać?! No co, wyjrzy ktoś i popatrzy na niego... I to nie byle kto, a może sam Wiedźmak?! I tam nie będzie żadnych aha-to-tylko-ty-rób-co-tam-robiłeś, bo nie o to chodzi. Nie wystarczy, żeby go przepuścili, tutaj muszą wpuścić! Nie, zbyt jawnie wyjdzie, „swojak” nie wytrzyma i klops.

Garsteczka zszedł kilka stopni niżej. A może... może przez rozbite okno w pustym pokoju? Po ścianie... Tylko jak? Potrzebna lina, karabińczyk, jakaś kotwiczka i cała reszta majdanu. A do tego tam „waciak” rośnie, nie daj Boże w niego wpaść. No i co dalej? Wlezie na górę, popuka w szybę: Wiedźmak, otwórz? Bzdura. Chociaż, okna się pewnie otwierają,

więc można by...

Szczęknął zamek w drzwiczkach. Garsteczka spanikował, zleciał na dół, zbiegł po schodach na pierwsze piętro i zamknął się w pokoju z wybitym oknem. Drzwi do apartamentów Wiedźmaka skrzypnęły, potem stuknęły; ktoś schodził na dół, jeden człowiek. Drobniejsze kroki, więc może ktoś mniejszy. Kobieta? Nie, raczej nie...

Garsteczka wyszedł z pokoiku w tym samym momencie, gdy niewysoki grubasek ze skołtunioną czupryną akurat mijał jego drzwi. W rękę nieznamy trzymał skrzynkę narzędziową – taką, jaką przeważnie noszą ze sobą instalatorzy – ubrany był w czarne, ubrudzone ogrodniczki.

I nie miał przy sobie broni.

Grubasek był z jakiegoś powodu wyraźnie roztrzęsiony, jakby właśnie zebrał niezłą burę i teraz sam przed sobą się usprawiedliwiał, krzywiąc twarz i coś do siebie mamrocząc. Nie zwracając na Garsteczkę uwagi, popchnął drzwi obok i wszedł do środka. Mignęły jeszcze tylko piętrowe łóżka, stół i dwa krzesła – a potem monter tak walnął drzwiami, że aż echo poszło po klatce schodowej. Zamek jednak nie złapał, drzwi odbiły się od futryny i znów otwały do połowy. Garsteczka podszedł bliżej. Sytuacja była marna, bo lada chwila mógł zjawić się ktoś jeszcze, na górę nie wejdzie, na dół... Na dół mógł iść, ale po co? Co dalej? Po prostu sobie pójść? „Swojak” przecież działał, potrzebny był tylko pomysł!

Widział przez uchylone drzwi, jak monter rzucił skrzynkę na stolik i zaczął ściągać kombinezon roboczy. Z dołu znów doniosły się głosy, coraz głośniejsze... Ktoś zaczął wchodzić na górę. Garsteczka odetchnął głęboko i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Monter obejrzał się, zmarszczył brwi i burknął:

– Co ty tu... a, no tak.

Odwrócił się spokojnie i ściągnął drugą szelkę spodni.

Na drzwiach była zasuwka, więc Garsteczka, niewiele myśląc,

przesunął rygielek, podszedł do grubaska i zapytał:

– Ty, jak się dostać na górę?

Żył cichą, marną nadzieją, że uda mu się zagadać, nie psując działania „swojaka”. A nuż? W końcu typek nie był ochroniarzem, więc kwestie dostępu i bezpieczeństwa nie powinny go obchodzić. Może jednak weźmie i powie. Niestety, kiedy Garsteczka przemówił, rzeczywistość bujnęła się zbyt mocno. Monter aż podskoczył ze strachu, wlepił w Garsteczkę przerażony wzrok i wydusił:

– A ty to kto?!

Patrzył prosto na Garsteczkę! Spojrzenie nie ześlizgiwało się, tylko przykleiło do intruza... Garsteczka doskoczył do grubasa, strzelił pięścią w łeb i przytrzymał, układając na podłodze. Potem przykucnął nad nieprzytomnym, kilka razy klepnął po policzkach. Podczas gdy pechowy monter dochodził do siebie, rozpiął kurtkę i przesunął karabinek bardziej pod rękę, na wszelki wypadek, gdyby ktokolwiek otworzył drzwi. Zatkał grubaskowi usta ręką – w samą porę, bo ten zamrugnął, szarpnął się i byłby zawył. Garsteczka nachylił się nad nim i zasyczał mu na ucho:

– Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię? Jeśli tak, to kiwnij!

Monter kiwnął. A potem spróbował Garsteczkę ugryźć. Ten raz jeszcze zdzielił go pięścią, wyciągnął nóż i przystawił mu do gardła.

– Słuchaj, zdychasz albo żyjesz. Twój wybór. Powiesz, co chcę wiedzieć – będziesz żyć. Nie odpowiesz albo krzykniesz, gardło ci jak prosiakowi poderżnę. Łapiesz?

Monter pokiwał, tym razem szczerze.

– Twój wybór – powtórzył jeszcze raz Garsteczka i cofnął dłoń.

– Wiedźmak jest na górze? Mów.

– T-tak.

– Klucz masz?

– Nie...

– Od żelaznych drzwi, na schodach? Nie masz? Musisz mieć. Oddawaj!

– Nie mam! Mówię, że nie mam! – zasapał grubas. – Skąd? Ja... kto by mi dał? Ja tu tylko sprzątam! A tam Wiedźmak siedzi!

– Jak się dostać na górę?

– Przez drzwi...

– Kurwa, no debil! – Garsteczka przycisnął mu nóż mocniej do szyi. – Musisz mieć klucz, jeśli przez drzwi! Dawaj!

– No mówię, nie mam! Klnę się na Zagubione Miasto!

– Cholera... kto ma?

– Wiedźmak. I... i Rysiu. Zawsze ochroniarze, co na straży stoją.

– Taak... – Garsteczka zerknął na drzwi. Monter poruszył się, ale zamarł, znów czując klingę na szyi.

– Gościu, muszę wejść na górę. Nie pomożesz, to po tobie. W twoim interesie leży, żeby mi się udało. Pięć sekund, a potem zacznym rznąć. Cztery...

Grubas zachrypiał, potem szepnął:

– Szybem...

– Od windy?

– Innego nie ma. Do samej góry idzie...

– A na górze nie jest zamknięty?

– Tak, tak, ale tam jest właz. Mam narzędzia... da się otworzyć. Często sam włączę, kiedy...

– Jak do szybu wejść? Przecież drzwi są zaspawane na piętrach, widziałem.

– Tak, ale od dołu jeszcze można. Tam bez problemu...

– To mów, jak otwierasz górny właz. Ilu ludzi na górze siedzi? I jeszcze mi coś powiesz: Wiedźmak ma jeden cenny artefakt, ty pewnie nawet nie wiesz, gdzie trzyma takie okazy? Odpowiesz, gruby, to będziesz żyć. Słowo pioniera.



Nadchodziła noc, więc Czerwony Kruk maszerował żwawym krokiem, bojąc się, że może na dobre zgubić trop wargów. Rozwahał, czy nie podejść bliżej, wywracając wcześniej płaszcz na drugą stronę, gdzie wzór kamuflujący miał spokojniejszy, szarzielony odcień, ale zrezygnował. Nie pora na zajmowanie się takimi błahostkami.

Za lasem leżał ugór porośnięty burzanem, a zaraz na wprost spomiędzy krzaków dzikiego bzu sterczały ruiny ceglanego budynku. Obok rdzewiały wraki ciągników gąsienicowych, a pomiędzy nimi widać było betonowy kanał do remontu maszyn.

Ślady wargów wymijały ten park maszynowy i prowadziły dalej, na zachód. Idąc za nimi, Kruk zauważył wystające z krzaków nogi. Zatrzymał się. Wargowie albo nie zauważyli nieboszczyka, albo się nim nie zainteresowali. Kruk też nieszczególnie miał na to czas, bo nie chciał, żeby noc zastała go w głuszy, ale... A nuż uda się znaleźć broń? Kieszonkowy pistolet to niezła rzecz, jego nóż był jeszcze lepszy, ale nie pogardziłby też czymś naprawdę poważnym.

Ale broni, jak na złość, nie było. Młody włóczęga w rozchełstanej bluzie, kamizelce taktycznej i dżinsach leżał na plecach, patrząc niewidzącymi oczami w niebo. Kruk przykucnął nad nim, obmacał kieszenie. Znalazł tylko składany scyzoryk, nadający się najwyżej do otwierania konserw. Zauważył jednak, że włosy na ciemieniu trupa są mokre i skleione. Przyjrzał się bliżej...

Dziurka. Idealnie okrągła, równiutka dziureczka.

Mózgownik. Czerwony Kruk wyprostował się, wyjął z kieszeni pistolet i zaczął cofać, nie spuszczając oczu z półprzymkniętych drzwi, prowadzących do ruiny. W środku było ciemno i – jak mu się teraz wydawało – coś się powoli poruszało... Mózgownik był nocnym stworem, niezmiernie rzadkim i niebezpiecznym. Kruk przez wszystkie swoje lata w Sektorze widział raptem jednego,

w dodatku zdechłego, ale historii nasłuchał się o nich co niemiara. Mało kto był co prawda w stanie opowiedzieć o spotkaniu z tym mutantem, którego ślina rzekomo paraliżowała i rozkładała tkankę mózgową. Mózgownik żywił się jak pająk – wbijał w czaszkę i wysysał zawartość przez dziurkę.

Nieszczerólnie duże ani silne, mózgowniki polowały wyłącznie na samotników, potrafiąc uparcie podążać za upatrzoną ofiarą przez długie godziny, czekając na nieubłagane nadejście zmęczenia i snu... Więc lepiej byłoby dogonić wargów, i to szybko! Czerwony Kruk nie miał zamiaru do nich dołączać, tym bardziej że i oni raczej nie ucieszyliby się z towarzystwa – ale obecność większej grupy powinna odstraszyć mutantą.

Czy może spróbować załatwić go teraz, od razu? Patrzył w ciemność za drzwiami, bojąc się głębiej odetchnąć. Nie, jednak nie; za bardzo był zmęczony, poza tym specjalizował się raczej w zabijaniu ludzi.

Oglądając się przez ramię i gładząc rękojeść pistoletu, Kruk pospieszył dalej. Ciemniało szybko, jeszcze trochę i nastanie noc.

Chwilę później zobaczył spękaną asfaltową dróżkę. Wkroczywszy na nią, Kruk – który zdążył już uznać, że mózgownik jednak zrezygnował z pościgu – poczuł, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił się, unosząc pistolet; zauważył cień, który skoczył szybkim susem ku krzakom leszczyny na skraju pola. Stał tak chwilę, wyczekując, ale więcej ruchu nie zauważył. Szybkim krokiem ruszył wzdłuż pobocza.

Wyłącznie dzięki zapadającym ciemnościom w porę zauważył delikatną błękitną poświatę i nie wpadł w „lodowiec”, ścinający krew w żyłach w lód. Anomalia była niebezpieczna, bo nie reagowała na rzucone śruby ani kamienie, a tylko na istoty żywe. Powiadali, że ongiś sam Wiedźmak zajmował się badaniami nad „śnieżką”, artefaktem z tej anomalii, i coś poszło mocno nie tak. Podobno właśnie po tym wypadku nigdy już nie zdejmował swego futrzanego palta, nieustannie marznąc: rzekomo

kawałeczki „śnieżki” na zawsze już utkwily w jego ciele.

Droga kończyła się hałdą ziemi i pokruszonego asfaltu, jak gdyby pozostałościami po jakimś potężnym wybuchu. Dalej ciągnęła się nieduża dąbrówka, na skraju której Kruk zauważył niski, okrągły dom z czarnych gładów – jedną z budowli, które na pewno nie wyszły spod ludzkiej ręki. Coś podobnego widzieli z Garsteczką przy strumieniu, tam, gdzie prawie zginął w „kinematografie”.

Obszedł budynek dokoła, zajrzał przez okrągłe okienko – pusto. Ruszył dalej, widząc już przed sobą wysoki, betonowy płot.

Fabryka, jak nazywano to miejsce. Ot tak, po prostu: Fabryka. Nikt tu nie mieszkał, mimo że do Lotniska było stosunkowo niedaleko, Kruk nigdy nie zaryzykowałby tej drogi w pojedynkę, a tym bardziej nocą. Było zupełnie już ciemno, tylko gwiazdy mrugały blado na nieboskłonie, poza tym zmęczył się straszliwie, ręka co chwilę drżała. Lewą nogę dosłownie już włókł za sobą, a połowa twarzy była jak z drewna – gdyby miał się teraz odezwać, to zapewne nie wydusiłby ani słowa. Musiał, po prostu musiał odpocząć.

Zza ogrodzenia rozległy się przytłumione głosy. Więc i wargowie zdecydowali się zanocować, albo może skręcili na Fabrykę z innego powodu? Rozmyślając nad tym, Kruk powoli kuśtykał wzdłuż ogrodzenia, w kierunku bramy.



Garsteczka spętał montera dwoma prześcieradłami, w usta wepchnął mu własną czapkę, a oczy zakleił taśmą i wepchnął grubasa pod najdalsze łóżko, okręciwszy go kocami tak, żeby się nie udusił, ale żeby też zbyt szybko się nie wydostał. Oczywiście, na długo tego wiejskiego BDSM nie wystarczy, tamten raczej prędzej czy później zacznie się rzucać, kopać w ścianę, albo

wręcz wypełźnie z niewoli i narobi hałasu. Ktoś na pewno przybiegnie lub przypadkiem wejdzie do sali i zaczną się problemy.

Teraz Garsteczka mógł liczyć wyłącznie na własną szybkość, więc nie tracił ani chwili.

Przez drzwi na parterze wcisnął się do szybu windy, wspiął po drabince na górę i pomajstrował chwilę przy zawiasach włazu przy pomocy płaskiego śrubokręta, szczypiec i młoteczka. Gdy ten w końcu ustąpił i zawisł na samej tylko kłódce, Garsteczka wcisnął się do niedużego pomieszczenia technicznego, pełnego pustych bębnow po przewodach, kawałków zdjętej izolacji, fragmentów kabli i temu podobnego śmiecia. Pomny słów montera, mniej więcej pamiętał, co zobaczy dalej. Odgarnął włosy z czoła, poprawił pas karabinka, otworzył drzwi i wyjrzał.

Wieńczące szczyt wieży pomieszczenie kontroli lotów było podzielone na pięć segmentów z promieniście doczepionymi do centralnego szybu ściankami. Z komórki przy windzie Garsteczka trafił do pokoiku, który grubas określił jako „przedpokój”, gdzie stała pozapadana kanapa i parę krzeseł. Jeśli miałby pójść zgodnie z ruchem wskazówek zegara, przechodząc przez drzwi w ściankach działowych, trafi najpierw do sali zebrań i odpraw, potem będzie gabinet i sypialnia Wiedźmaka, następnie laboratorium, a za nim pomieszczenie ochroniarzy. Do tego ostatniego wchodziło się przez drzwi ze schodów, a potem z powrotem do przedpokoju i tak w kółko.

Zza ścianki po lewej słychać było głosy ochroniarzy, więc Garsteczka skręcił w prawo, do sali. Nawet nie spojrzał na dwóch ludzi siedzących przy uchylonym oknie.

– Ja tam w to całe Zagubione Miasto to nie wierzę.... – Mężczyzna urwał, gdy wszedł Garsteczka, popatrzył na niego obojętnie i znów odwrócił do towarzysza. Na podłodze pomiędzy nimi leżały dwa plecaki i nanizane na pas nieduże, sześciennie pojemniki, mieniające się kolorami anomalii. „Swojak” zareagował

na to chwilowe podwyższenie uwagi ledwo słyszalnym brzęknięciem.

Ci dwaj zapewne właśnie wrócili z rajdu, przynosząc Wiedźmakowi nowe okazy artefaktów. Nawet nie zdziwili się, że Garsteczka tu jest, bo i czemu mieliby? Minął ich, otworzył jak gdyby nigdy nic kolejne drzwi i wszedł do gabinetu. Łóżko, stół, dwa fotele, na ścianie wiszą trofea: poroże jelenia, łeb wilka o długiej, dziwnej mordzie, obok szczeka dzika z potężnymi, półmetrowej długości szablami.

Po drugiej stronie pomieszczenia były niedomknięte drzwi do laboratorium, wykonane z kawałka stalowej blachy na kółkach. Obok stał wysoki, popękany i wyszczerbiony postument z czarnego kamienia.

Postument nakryty był kołpakiem z tytanitu, o którym mówił monter. Zresztą, nietrudno się było domyśleć, co jest pod spodem – przestrzeń wokół postumentu aż się wyginała i płynęła pod naporem anomalnego promieniowania. Jak to mówił Chemik? „Trudno powiedzieć, artefakt czy urządzenie”, tak? No, to zaraz się dowiemy... Swoją drogą, kawał artefaktu musi być, jeśli Wiedźmak nie chce go trzymać w laboratorium, gdzie na pewno nastąpiłaby interferencja z innymi okazami.

Zerkając na drzwi do laboratorium, skąd słychać było jakieś dźwięki, Garsteczka naciągnął rękawicę od majora i podszedł do postumentu. Za drzwiami, znając życie, przebywał Wiedźmak ze własnej osobie. Grubo.

Miał wrażenie, że przestrzeń wokół artefaktu zapada się pod własnym ciężarem, tworząc wielki, głęboki, ciemny lej... Autentyczna dupa kontinuum! Zwieracz czasoprzestrzeni, jego mać. Odbyt wszechświata.

O, jakich się mądrych słów nauczył od Chemika, co? Nie to żeby wcześniej nie słyszał o czymś takim jak „kontinuum” czy „czasoprzestrzeń”, ale jeśli już, to w filmach. Nie z jego podwórka kundle. A teraz, masz babo placek! Musiał się Paweł Nowickij

dokształcić i zmądrzeć, już mu się mózg ledwie pod czaszką mieści. Tylko patrzeć, jak czapki o rozmiar większe będzie musiał zamawiać.

Kiedy położył rękę na tytanitowym kołpaku, miał wrażenie, że jego nadgarstek wygina się i faluje – ale to samo powietrze drżało, niczym w febrze. Garsteczce robiło się na przemian to gorąco, to zimno, w palce wbijały się setki igieł. „Swojak” z pojemnika już nawet nie brzęczał, a buczał, jak stara spawarka.

Odetchnął głęboko, podniósł i odłożył kołpak.

Miał wrażenie, jakby ktoś odessał mu powietrze z głowy. Nagle zatkały się uszy, coś pociągnęło za włosy, ale od środka. „Oko zła” leżało na okrągłej podstawce. Nie wyglądało spektakularnie: ot, spleciona z czarnych żył obręcz o średnicy dłoni. Tylko że było tam... i nie było w tym samym czasie. Znajdowało się i tu, i gdzieś – gdzieś jeszcze. W innym miejscu, odległym, z którego do naszej czasoprzestrzeni wystawała tylko część.

W sam środek obręczy w ogóle nie dawało się spojrzeć, bo od razu tak ryło mózg, że oczy same się zamykały, łzawiły, pod powiekami paliło i szczypało... Garsteczka zasłonił twarz ręką, odwrócił, oparł o ścianę.

Dłuższą chwilę dochodził do siebie. Kiedy huczące w głowie płomienie nieco opadły, a oczy wyschły, otworzył pojemnik i dwoma palcami sięgnął po „oko”, próbując złapać je tak, żeby broń Boże nie wsadzić palców do środka obręczy. Artefakt był lekki, ale... ale jednocześnie miało się wrażenie, że próbuje się wyciągnąć z wody górę lodową. Ogromna masa i siła musiały być doczepione gdzieś pod... za... wewnątrz... Cholera! Nie potrafił nie tylko wyjaśnić, ale choćby opisać tego uczucia! Ciężko było o „oku” nawet myśleć, głowa jakby w odruchu obronnym nie chciała przyjmować jego istnienia do wiadomości.

Garsteczka lubił sprawy proste i równie proste pytania. A tutaj wszystko było zakręcone jak baranie rogi! Przesunął „oko” nad pojemnik, czując, jak grawitacja artefaktu zaczyna ciągnąć go za

zęby, dolną szczękę, nos, czoło, próbując zmusić, żeby pochylił się nad nim i...

Wrzucił „oko” do pojemnika, zatrzasnął wieko. W głowie nagle zrobiło się lżej i luźniej, więc czym prędzej zapiął zamki, odstawił tytanitowy kołpak na miejsce. Gdy tylko artefakt zniknął mu z widoku, przestrzeń wróciła do normalnych wymiarów, jak gdyby zamknęły się drzwi, wiodące do nieznanego, dudniące i huczącej przestrzeni pełnej gorąca i dynamiki ruchu. Znowu było cicho, spokojnie, normalnie.

Garsteczka, powodowany przemożną ciekawością, przekradł się na palcach do drzwi i zerknął do laboratorium.

Przez niedużą szczelinę nie było wiele widać, ale zawsze coś... Przede wszystkim – fragment wysokiego łóżka na stalowej ramie, z pasami na wysokości rąk i nóg. Po drugie, kawałek fotela, w którymś ktoś siedział... Jakoś wyjątkowo nie spodobało mu się to łóżko z więzami, było w nim coś złowieszczonego. Od razu przypomniały mu się wszystkie dziwne filmy w nocnym kinie, operacje na żywca, wiwisekcje i inne amputacje. Do tego jeszcze śmierdziało tu artefaktami – mało, że śmierdziało, capiało tak, że ledwo się na nogach można utrzymać!

Nagle poczuł się jak żagiel wydęty szkwałem. Nie widział ani jednego artefaktu, ale czuł, był pewien, że za ścianą jest ich cała masa. Doskonale rozumiał, że pora bezzwłocznie brać nogi za pas, ale i tak przesunął się nieco na bok i rozpoznał Arhara, siedzącego w fotelu. Nad nim, stojąc tyłem do drzwi, nachylał się Wiedźmak w swoim nieodłącznym płaszczu podbitym futrem i coś robił.

Garsteczka zauważył go i cofnął się mimo woli. Ledwo powstrzymał się, żeby nie zamknąć drzwi do końca – tak bardzo miał ochotę odgrodzić się od tamtego! Bardzo, bardzo nie pasowała mu ta para: tajemniczy alchemik-szaman i milczący, szaroniebieski gigant. Do tego łóżko z pasami... Odwrócił się i bezszelestnie zaczął wracać. Minął gabinet, przeszedł pokój,

gdzie dwaj włóczędzy wciąż dyskutowali o Zagubionym Mieście, potem przedpokój. W końcu komórka z narzędziami i nareszcie właz.

Schodząc na dół, starał się oddychać głęboko i miarowo, żeby uspokoić rozszalałe serce. Tam, w gabinecie Wiedźmaka, był przekonany, że wszystko zaraz trafi szlag, że albo jeden, albo drugi musi, po prostu musi, go zauważyć! A tymczasem udało się.

Chemik wciąż milczał. Wcześniej Garsteczka był zajęty czymś innym, ale teraz, gdy nieco ochłonął, zaczął się martwić o partnera. Cisza na niewidzialnym łączu niepokoiła – przecież Chemik nie mógł tak po prostu umrzeć, prawda? A jeśli tak, to co, do cholery, Garsteczka miał zrobić z kawałkiem artefaktu spinającym go z trupem?

Bał się jeszcze, że na parterze znów nadzieje się na Rysia, który zareaguje jeszcze gwałtowniej, ale w holu nie było nikogo. Drzwi do kuchni zamknięte, zapach spalenizny niemalże już wywietrzał.

Poprawił kurtkę, otrzepał dłonie z rdzy i dziarskim krokiem ruszył do wyjścia. Cały ten czas czuł „oko”, niczym kulę roztopionego ołowiu wiszącą u pasa... Mocno paliło, nawet specpojemnik od majora wiele nie pomógł. Ależ mu się trafiła gratka! Gdyby tak jeszcze zrozumieć, odkryć, jak to działa i na co wpływa...

Na razie jednak – wynieść stąd i artefakt, i się. Jak najdalej i najszybciej. Ciekawe, czy tamci dwaj pajace wojskowi zauważą, jak będzie wychodził? Pewnie tak, obserwują na zmianę, więc jak tylko wyjdzie przez bramę, to od razu w długą i schować gdzieś artefakt.

Popchnął drzwi, zrobił krok na zewnątrz i dosłownie wpadł na Minusa.

Oczy bandyty rozwarły się z niepomiernym zdziwieniem, ręka od razu sięgnęła pod porwaną, zakrwawioną kurtkę...

Garsteczka zadziałał szybciej – po prostu uderzył go w nos.

Minus poleciał na ziemię, rozdarł się przeraźliwie. Ochroniarz siedzący nad bramą poderwał się, przewracając zydeł, dwaj stojący niżej podskoczyli, zaczęli szamotać się z bronią. Nie było sensu próbować ucieczki, więc Garsteczka rzucił się z powrotem do środka, rozpinając kurtkę. Zatrzasnął drzwi, skoczył ku schodom.

Drzwi kuchenne się otworzyły, wypadł stamtąd znajomy już dresik z tatuażem. Garsteczka przywitał go trzaśnięciem kolby w pysk – nie uderzył szczególnie mocno, ale trafił zacie, bo coś chrupnęło paskudnie, łysy wrzasnął i upadł, trzymając się za rozbity nos chlustający krwią. Garsteczka popędził na górę, sadząc po dwa stopnie, słysząc, jak hol na dole wypełnia się tupotem butów i okrzykami. Na górze też już krzyczeli...

Na piętrze ostro skręcił, zanurkował do znajomego pokoiku. Wskoczył na parapet, wyjrzał na zewnątrz. Podwórko pełne było pokrzykujących i klnących ludzi, ale na razie nikt nie patrzył w górę. Wciąż miał szansę się uratować, prawie dokładnie pod nim stała szopa. Może nie bezpośrednio pod, ale jakby się dobrze wybić i skoczyć... Dach powinien wytrzymać, potem się stoczy i na dół, na ziemię, przez ogrodzenie i hyc, jak zajac w łopuchy!

Mózg Garsteczki jeszcze pracował, gdy nogi i ręce już przejęły inicjatywę, wyrzucając go z okna, niczym z procy. O dziwo, doleciał aż do szopy, ale na tym plan się skończył – nie stoczył się z dachu, gdyż deski nie wytrzymały i pękły, a on w chmurze pyłu, próchna i brudu plasnął w mokre, lepkie, śmierdzące błocko. Zakwiczało przeraźliwie kilka tłustych prosiaków, Garsteczka już poderwał się i pobrnął ku bramce zagrody, grzęznąc w oborniku.

Nie zdążył. Drzwi do szopy otwarły się na oścież i stanął w nich równie wielki, co wściekły Rysiu. Lufa karabinu spojrzała Garsteczce prosto między oczy.



Brama prowadząca na teren Fabryki dawno już musiała trafić na złom, więc Czerwony Kruk bezszelestnie wśliznął się na ciemny podwórzec, zostawił po lewej stróżówkę i stanął za stertą przegniłych palet. Na wprost przed nim był budynek centralny: wysoka, betonowa hala produkcyjna z oknami u dołu. Dwa z nich pełgały różowawym blaskiem.

W pierwszej chwili pomyślał, że to świeci anomalia, ale kiedy podszedł bliżej, zrozumiał, że to „światlik”, artefakt wykorzystywany jako źródło światła. Kruk pomasował przestrzelone ramię, a potem rozejrzał się i przebiegł pod stojący nieco z boku domek z pustaków. Stamtąd powinien mieć dobry widok na obozowisko wargów.

Wspiął się na piętro po zaśmieconych schodach, w korytarzu ostrożnie uchylił pierwsze z brzegu drzwi. Światło księżyca wpadało przez brudne okno, kładąc się na długim stole i zakurzonych krzesłach, pachniało myszami i pleśnią. Już, już chciał wejść głębiej, gdy poczuł czyjąś obecność tuż obok...

Coś spadło na niego z góry, przygniotło twarzą do ziemi, wytrącając pistolet. Kruk stawiał opór, ale był czymś okutany, opleciony, jak grubym brezentem, który już zaczynał się zaciskać. Przyciśnięta do boku prawa ręka drapała bezsilnie w kokon, ale równie dobrze mógłby próbować palcami przebić się przez beton. Spróbował podciągnąć nogi, ale było za późno.

Pierś ścisnęło tak, że aż zakręciło mu się w głowie. Miał nie więcej jak minutę, nim straci przytomność! Trzymająca go istota poruszyła się, chcąc jeszcze mocniej zacisnąć chwyt; Kruk wykorzystał tę chwilę nieco mniejszego nacisku, pociągnął palcami lewej ręki za majtający się w dłoni łańcuszek. Majcher płynnie wysunął się z przytroczonej do przedramienia pochewki.

Lubił tę broń już wcześniej. Pokochał ją, odkąd wpadł na pomysł, żeby naostrzyć jak brzytwę i zamoczyć w „syropie”. Od tamtej pory klingą można było ciąć szkło.

Czymkolwiek był kokon, nóż wszedł w niego jak w masło. Istota zaskrzeczała, a on szarpnął w bok, tnąc szeroko więzy; skrzek wzniósł się do piszczącego jazgotu, wwiercając w uszy, a potem kokon zadygotał konwulsyjnie, wyrzucając Kruka na środek korytarza. Nóż wyleciał mu z nieposłusznych palców, więc najemnik zaczął gorączkowo macać dokoła, szukając broni. Stwór chrypiał, rzeził, plaskał i stukał, słyhać było, jak pazury zgrzytają o podłogę, potem jęknęły drzwi, brzęknęło szkło.

Kruk w końcu znalazł swój kosior i skoczył śladem mutanta, w biegu wyciągając pistolet. Barkiem uderzył drzwi, wpadł do pomieszczenia i podbiegł do okna – coś mignęło mu na tle ciemnego nieba, uderzyło skrzydłami i przepadło w ciemnościach. Ptak, nietoperz...? Ale taki wielkości niedużej lotni.

Okno wychodziło na ogrodzenie, więc Kruk cofnął się do korytarza, popchnął drzwi naprzeciwko. Przeszedł przez niedużą świetlicę z mównicą i kilkoma rzędami krzeseł, wyjrzał na drugą stronę. Na parterze hali, tak jak wcześniej, dwa okna świeciły miarowym, różowym blaskiem, widać było niespiesznie poruszających się wargów.

Żaden nie wyszedł na zewnątrz. Nic nie zauważyli, nic nie słyszeli.

Kruk chciał odwrócić się na pięcie, ale lewe kolano odmówiło posłuszeństwa i po prostu upadł na podłogę. Nogę ściągnął

przykurcz, aż pięta niemalże przycisnęła się do poślądka... Leżąc na ziemi i stękając przez zaciśnięte zęby, Kruk zdołał wyciągnąć z kieszeni zawiniątko, otworzył, wziął igłę i wbił z zamachu w udo.

Nogę przeszył dojmujący ból. Rana w ramieniu odezwała się pulsującym rwaniem, lewa ręka zadrżała konwulsyjnie... A potem skurcz przeszedł. Czerwony Kruk schował igłę, sięgnął do kieszeni po płomieniówkę, ale ostatecznie zrezygnował. Faktycznie, przez jakiś czas będzie pobudzony, ale co dalej? Nic dobrego, bo potem dosłownie zetnie go z nóg na bitych kilka godzin. Zamiast tego powinien się chociaż trochę przespać... Wargowie nie będą chodzić po Fabryce w ciemnościach, a nawet jeśli prześpi ich odejście – to co z tego?

Przecież właśnie po to za nimi szedł, żeby w ich bezpiecznym kilwaterze dotrzeć w bardziej znane rejony Sektora. Tę okolicę już znał, od biedy poradzi sobie sam; nawet do Lotniska zostało tyle co nic, wystarczy wyjść z Fabryki, pokonać ugór i już będzie przy dolinie.

Chociaż... Wargowie autentycznie go intrygowali, a już możliwość podglądania ich z ukrycia była czymś nowym, ekscytującym. Nigdy nie widział całego oddziału tych smagłych tubylców, a ci szli azymutem w zasadzie zgodnym z jego planami. Może też zdążali na Lotnisko? Całe to zamieszanie z „okiem zła” kręciło się wokół Wiedźmaka, a tamten, jak wiadomo, z ich plemieniem kombinuje. Wnioski nasuwają się same.

Tak czy inaczej, miał czas, żeby odpocząć. Nie skorzystawszy w końcu z płomieniówki, Kruk wdrapał się na podium, ułożył w niszy pod mównicą i zawinął w płaszcz, podkładając ramię pod głowę.



Wytatuowany dresik, nazywany przez wszystkich Dziarą, powetował sobie złamany nos po całości. Pod koniec chyba nawet się zmęczył i zaczęły go boleć pięści. Co dopiero powiedzieć o Garsteczce! Całe ciało, żebra, plecy, brzuch, ramiona, głowa... Chociaż głowa najmniej, bo zasłaniał się rękami. Gdyby nie Rysiu i pozostali ochroniarze, dresik byłby go niechybnie zakatował na śmierć.

Zawlekli go do piwniczki pod windą, wrzucili jak worek kartofli i zatrzasnęli kratę. Zgrzytnął klucz w kłódce, kroki ścichły. Garsteczka leżał twarzą w dół na brudnych szmatach, dziwiąc się, że jeszcze żyje.

Ze dwa żebra były w najlepszym razie pęknięte, karkiem nie był w stanie ruszyć... musiał się usunąć krąg, rychło w czas. W końcu zdrowo go Dziara podeptał swoimi kaloszami, nie ma co. Garsteczka oparł się łokciami o podłogę, mając szczery zamiar wstać – bynajmniej nie do pionu, o nie! Na kolana chociażby się podnieść i rozejrzeć.

Poczuł pulsowanie w skroniach, zamarł bez ruchu. Nie było nieprzyjemne, ale jakieś dziwne. Głuche, przytłumione... I do tego rytmiczny szum, jakby fale bijące o brzeg.

Fale rozbijające się o brzeg. To jego marzenie, o którym nie pamiętał przez te ostatnie kilkanaście godzin. Marzenie, które było w zasięgu ręki, a teraz dryfowało, het, w siną dal! Teraz nie czas marzyć, teraz przeżyć by...!

Pulsowanie zniknęło, umilkł szum. W ciszy rozległ się znajomy głos:

– *Słyszysz mnie? Halo, haaloo... Garsteczka, jesteś tam? Odpowiedzże, proszę cię...*

– Słyszę – stęknął Garsteczka, unosząc głowę. Nie miał sił się nawet ucieszyć, poza tym wypadło ogarnąć sytuację.

Część piwniczki przegrodzono kratami, tworząc dwie cele: jedną większą, prostokątną, i drugą malutką, w rogu. Jemu przydzielono tę bardziej przestronną, do spółki z jakimś

starszym nieszczęśnikiem, leżącym na plecach i przykrytym płaszczem. Kozia bródka, poorana zmarszczkami twarzy... Głowa spoczywała na kolanach siedzącej obok dziewczyny w męskiej kurtce i z chustą na głowie. O rany, co ona, gołe nogi ma? Przecież zimno, od podłogi ciągnie...

Nad drzwiami paliła się mdłym światelkiem pojedyncza świetlówka, co i rusz migając i bucząc cicho. Dziewczyna patrzyła na Garsteczkę, chudy brodacz leżał, nie dając oznak życia. W sąsiedniej, maciupciej klatce przysiadł w kucki pod ścianą kolejny więzień – chudy, półnagi i długowłosy. W pierwszej chwili Garsteczka myślał, że tamten się modli, ale potem zrozumiał, że jeniec ma ręce przywiązane do ściany łańcuchem i nie może ich opuścić, trzymając ponad głową... jakiś taki nietypowy, ale w tym oświetleniu trudno było dostrzec cokolwiek więcej.

Garsteczka zamknął oczy, opuścił głowę. Był obolały i zmęczony, makabryczność nastroju dorównywała beznadziejności sytuacji. Nie miał ochoty reagować na nic.

– Coś długo milczałeś, Chemik – wymruczał. Nie za głośno, ale też nie cicho; nie było sensu się kryć. Dziewczyna zerknęła, zdziwiona, ale miał to w dupie. – Co ci się tam stało?

– *Nie wiem* – odpowiedział agent niewyraźnym, głuchym głosem, jakby dochodzącym z wnętrza beczki.

– A konkretniej?

– *Nie rozumiem, co się ze mną dzieje.*

– Chrryste... opisowo poproszę. – Irytacja pomogła Garsteczce znaleźć siły, żeby jednak usiąść.

– *Nie wiem. Naprawdę! Posłuchaj, pogarszało mi się cały czas, potem zgubiłem sygnał od ciebie, chyba zemdlałem... Zdarzało ci się kiedyś tracić świadomość?*

– Też pytanie.

– *Zatem rozumiesz, że sam moment, kiedy zaczynasz odlatywać, jest nie do wychwycenia. W głowie dzwoni, widzisz i myślisz*

dziwne rzeczy... A potem dochodzisz do siebie i wiesz, że zemdląłeś. Tak samo i ja, a potem ocknąłem się... Ocknąłem się tutaj.

– Chemik, błagam... Gdzie?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Jest ciemno, jakbym pływał w nicości. Ciała nie czuję, nie mogę niczym poruszać. Rozumiesz? Chyba nawet nie oddycham.

– Eee... – sapnął Garsteczka. – Chemik, słuchaj... A ty przypadkiem nie umarłeś?

– Rozważałem tę ewentualność, ale to... mało prawdopodobne. Jestem materialistą, rozumiesz? Niełatwo jest zachować ufność w naukę, kiedy człowiek codziennie patrzy na Sektor, ale jestem przekonany, że wszystkie jego fenomeny i osobliwości mają spójne i logiczne wyjaśnienie naukowe! Prawa fizyki, chemia, biologia... Po prostu części z nich musieliśmy jeszcze nie odkryć, więc...

– Dobra, dość. Faktycznie nie umarłeś – warknął Garsteczka, jak zwykle poirytowany trajkotaniem towarzysza. – Brawo ty. Teraz konkrety.

Musiało to z boku wyglądać co najmniej dziwnie: siedział sobie, obity i zakrwawiony, gadając do siebie. Dziewczyna gapiała się na Garsteczkę wielkimi oczami, brodaty nie poruszał się, kudłaty w celi obok milczał, nawet nie unosząc głowy... Tylko ona nadawała się do czegokolwiek i pewnie myślała, że wrzucili im do celi świra. Ale twardo nie pokazywała po sobie strachu, milczała tylko z poważną miną. I kij z nią, niech sobie milczy. Pies ją trącał.

– Wiszę w ciemności. Nie czuję nic. To są moje konkrety – powtórzył Chemik. – Zdaje się, że nie mam ciała. Nic nie boli, nie ma zapachu ani smaku. Słyszę tylko ciebie, to mój jedyny bodziec zewnętrzny. W zasadzie to wewnętrzny też.

– Mnie za to dostarczyli bodźców od cholery – warknął Garsteczka. – Agent, ale jak w takim razie...

– Wiem, o co chcesz zapytać: jak mogę mówić, skoro nie mam

ciała? No cóż, nie mam pojęcia. Może wcale nie mówię? Niewykluczone, że nasza więź przeszła na poziom czysto mentalny.

– Czyli cholera wie. – Garsteczka wyprostował nogę, zaczął rozmasowywać stłuczone kolano i biodro. Kurtkę mu zabrali, broń i nóż też, zostawili jak biedaka w samych spodniach, butach i koszuli. Porwanej zresztą. Ostrożnie przesunął palcami wzdłuż żeber, szukając opuchlizny charakterystycznej dla złamań i pęknięć. – A poza myślami metafizycznymi masz jakieś inne?

– *Zapewne jestem w śpiączce albo głębokim stanie nieświadomości. Jeśli brak kontroli nad światem i otoczeniem... to co mam robić? Jestem tutaj uwięziony, we własnym umyśle!*

– Chemik, nie dramatyzuj. Ze mną możesz pogadać. I mieć nadzieję, że się ockniesz albo że w Kompleksie ktoś się zjawi i cię połatają. No wiesz, pierwsza pomoc, te sprawy.

– *Czyli pozostaje gadanie. Co tam u ciebie się działo? Gdzie teraz jesteś?*

– U mnie działa się sroga ryfa na pełnym froncie. – Garsteczka przysunął się do ściany, oparł o nią i zaczął rozciągać mięśnie. Mówił teraz ciszej, żeby dziewczyna nie słyszała. – Po pełnym wuju ryfa, mój drogi przyjacielu Chemiku. Jestem w dupie kontinuum po samą szyję. W takiej wielkiej, ciemnej i włochatej. Pełnej mrocznych, brązowych tajemnic, jak i sam Sektor.

Chemik milczał przez chwilę.

– *No dobrze, rozładowałeś emocje, ulżyło ci. Teraz ty mi powiedz konkretnie, co się stało?*

Przekuśtykał wzdłuż celi na miękkich nogach, trzymając się rękami krat. Jedną ze ścian tworzył szyb windy z drzwiczkami, półmartwy brodac i dziewczyna byli w przeciwległym. Chudy, kudłaty siedział, jak siedział, bez ruchu. Garsteczka poruszał się tak powoli, że po drodze tam i z powrotem zdążył opowiedzieć Chemikowi wszystko wraz z komentarzem. Na końcu dorzucił:

– A, i mam współwięźniów. Jakiś kudłacz obok, a u mnie pan

kozia bródka i młoda paniusia.

– *Nika!* – krzyknął Chemik. – *To oni! Czemu od razu nie mówiłeś? Nika i Artur Kaufmannowie! Znalazłeś ich!*

– Ano – mruknął Garsteczka, kucając obok dziewczyny.

– Z kim pan rozmawia? – zapytała, lekko przerażona.

– Z takim jednym Polakiem, Chemikiem. Znasz?

– Andrzej?!

– Mam go, o tutaj. – Garsteczka popukał się palcem w skroń. – W sensie, jego głos mam, bo on w Kompleksie został. Słyszała panienka o „kleksie” i „partnerach”?

– Tak... Słyszałam i nawet widziałam.

– Chemik, co przekazać młodej damie?

– *Ja... tego... przekaz jej... powiedz, że... Nie, powiedz tylko, że nic mi nie jest.*

Agentowi nigdy wcześniej nie zdarzało mówić... no, w taki sposób! Coś było chyba na rzeczy z młodą profesorówną!

– Chemik pozdrawia panienkę i przekazuje, że pozostaje w dobrym zdrowiu. – Garsteczka zerknął na brodatego. – Czego, jak widzę, nie można powiedzieć o panienki tatusiu.

– *Zapytaj, po co przyszli do Wiedźmaka? Czy to on kazał ich uwięzić?*

– Przyszliście do miejscowego kacyka po pomoc, a ten was za kratki?

– Tak – odpowiedziała Nika, przykładając ojcu rękę do czoła. Profesor patrzył pustym wzrokiem w sufit, można było pomyśleć, że nie żyje, ale lewa powieka drgała mu konwulsyjnie. Cały czas, ani na chwilę nie przestając.

– Ale podobno był w wami jeszcze ktoś? Laborant czy ktoś...

– Kostia. Zginął, dopadły go pseudowilki. Ojciec i ja zdążyliśmy skoczyć w „port”.

– W dolinie?

– Nie. – Dziewczyna odchrząknęła, wyprostowała się i spróbowała mówić głośniej, biorąc się w garść. – Za

strumieniem, tam są takie czarne ruiny, a w nich wisi „port”. Wilki były tuż-tuż, Kostia pośliznął się na kamieniach, upadł. Wilki skoczyły na niego, my zdążyliśmy odbiec kawałek. Ojciec chciał wspiąć się na mur, ale wiedziałam, że tam też nas dorwą.

– Pseudowilki, znaczy się.

– Tak, odmieńce. Są o wiele zwinniejsze od zwykłych, również bardzo inteligentne. Zobaczyliśmy anomalię, więc skorzystaliśmy z niej. „Port” przerzucił nas... – Machnęła ręką. – Na wschód od Lotniska. Doszliśmy tutaj i wtedy...

– Chemik, odbierasz to, co ona mówi? – zapytał Garsteczka na głos.

– *Słyszę, chociaż niewyraźnie. Wizja znikła, ale wciąż odbieram dźwięk.*

Znów zwrócił się do dziewczyny:

– Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego uciekliście z pociągu sami, bez obstawy?

Przeniosła wzrok na ojca, zamilkła.

– Widziałem „oko zła” – powiedział Garsteczka na próbę i zrozumiał, że trafił, gdyż Nika Kaufmann drgnęła. Spojrzała na niego spode łba i znów wbiła wzrok w nieświadomego profesora. Garsteczka kuł żelazo, póki gorące. – Nawet je w ręku miałem. Przyszedłem z Kompleksu, jestem ochroniarzem. Chciałem wam pomóc wykraść Wiedźmakowi „oko”, ale się nie udało. No bo wy też do niego po artefakt przyszliście, więc... Zaraz, chwila przerwy. Muszę pomyśleć.

Niejasna myśl pojawiła się w jego głowie, jeszcze gdy chodził po celi, opisując Chemikowi sytuację, a teraz powróciła. Garsteczka odszedł na bok, oparł czoło o pięść i zamknął oczy, jak to robił w tych nieczęstych przypadkach, gdy musiał użyć mózgu.

Kaufmann, Nika i laborant byli w pociągu. Wyszli z niego, zrozumiałwszy, że „oka” na Stację nikt nie przyniesie. Ruszyli prosto do Wiedźmaka, kładąc laskę na wojskowych. Tak? No tak.

I do tego Chemik błagał Garsteczkę, żeby ten polazł za nimi w Sektor. Masa pozornie niepowiązanych faktów, kawałków układanki, szczegółów i niedomówień... Ale myśl nabierała ostrości, aż w końcu Garsteczka otworzył oczy i oznajmił:

– Chemik, ja wiem.

– *Hę?*

– Żaden z ciebie agent. Żadnego departamentu wewnętrznego czegoś tam nie ma. Powiedziałeś mi to wyłącznie po to, żebym cię usłuchał. Żebym znalazł tych dwoje, a konkretnie dziewczynę... i „oko”. Kłamca z ciebie, Chemik. Kombinator i oszust, nie lepszy ode mnie.

W głowie zapadła cisza, ale był pewien, że tamten go słyszy, więc podniósł głos:

– Pseudowilki, pseudowszystko... Tak samo i ty, pseudoagent! A bo co, zaprzeczysz? No dawaj! A ten twój ziomek, Jakub z wąsami, co w pociągu zginął, to kto?

– Nasz przyjaciel – odezwała się Nika. – Pomagał nam tylko...

– Tylko! Tutaj wszystko, cholera, jest „tylko”! A tak naprawdę to każdy coś ukrywa, jedno mówi, a czego innego chce! Przecież wy doskonale wiedzieliście, że major handluje artefaktami, a Cywik go kryje! I mieliście pewność, że „oko” ucieknie za granicę, tego właśnie nie chcieliście... Dlaczego, ja się pytam? I dlaczego, powiedz mi, Chemik, nie pojechałeś z nimi na Stację? Po co zostałeś w Kompleksie?

– *Nie włączono mnie do składu ekspedycji. Osobista decyzja Cywika. Owszem, nie jestem agentem, a ciebie, rzeczywiście, wykorzystałem. Nie ze złej woli, ale sam nie byłem w stanie ruszyć na pomoc profesorowi i Nice.*

W innym czasie i miejscu Garsteczka dostałby ataku wściekłości, zaczął kląć na czym świat stoi i wymachiwać pięściami. Teraz jednak powiedział tylko zmęczonym głosem:

– No, to fajnie się wybrałem do Sektora po pieniądze. Hyc! Tam i z powrotem, spacerek. Ale to ja, głupi, naiwny, łatwowierny...

A jakim cudem wy, troje ludzi po uniwersytetach i z porządnym ilorazem inteligencji, mieliście zamiar to cholerne „oko” dorwać? Co, na rympał? Z tym waszym, pozał się Boże, pomocnikiem rozwalić oddział wojska?!

– *Plan był taki, żeby „oko” wykraść. Już po wymianie za pieniądze wykraść ze skrytki majora.*

– Wykraść! – powtórzył Garsteczka. – Słyszałaś, koleżanko...? No dobra, nie słyszałaś. Chemiczek mówi, że chcieliście majorowi artefakt wykraść. Ot tak, wziął i zabrał, spod samego nosa zwinął! Doliniarze się znaleźli, wasza mać!

– *Garsteczka...*

– Cicho, teraz ja krzyczę! To jeszcze mi powiedzcie, dlaczego po przejściu Fali, kiedy się obudziliście jako pierwsi, nie zatłukliście od razu żołnierzy? Noc, wszyscy leżą pokotem, wy już wiecie, że towaru na Stację wam nie przynieśli. Co, nie wiedzieliście, że Titomir jest wam wrogiem? No pewnie, że tak! A on leży, nieprzytomny! Kulę w łeb jemu, drugą kapitanowi! Czemu ich nie wykończyliście?!

– Chcieliśmy, ale nie daliśmy rady – powiedziała po prostu dziewczyna.

– Nie daliście rady?!

Garsteczka poczuł, jak narasta w nim prawdziwa złość i to uczucie jak gdyby przywróciło go do życia. Ból był wciąż jeszcze silny, obite żebra dokuczały, szyja bolała, ale zmęczenie i apatia odchodziły, wypychane przez gniew. Był zbyt żywy, zbyt dynamiczny, żeby jak ci naukowcy siedzieć w kącie i się zamartwiać. Jedyne, co znał, to uczucie dążenia do celu. Przeszkody rozrywało się rękami, mury przebijało głową, waliło, biło, kopało, drapało i gryzło, strzelało, biegło, upadało i podnosiło znów! To była istota jego charakteru, to był cały on – zawsze naprzód, jak dziadunio w czterdziestym piątym pod Berlinem!

Żeby pozbyć się resztek apatii, ścisnął pięść i z całej siły walnął

w żelazne drzwi. Possał stłuczone kostki, rozmasował; Nika popatrzyła na niego zdziwionym wzrokiem, a Chemik zapytał:

– *Co ty ram robisz?*

– Wy... wy to przecież jak małe dzieci jesteście! I co, ja mam was teraz wszystkich ratować?! Ten tutaj w śpiączce, tamten sobie leży ze złamaną nogą i mędrkuje, ta znów... Ta znów kobieta, i to z gołymi nogami! A jeszcze tamten, cholera, jest! Też siedzi i milczy, kolejny niepełnosprawny! – Garsteczka podszedł do krat. – Ej ty, kudłaty! Popatrz no na mnie, do ciebie mówię!

– To przecież hiper... – powiedziała dziewczyna, kiedy Garsteczka przełożył rękę pomiędzy prętami i szturchnął więźnia w ramię. – Lepiej go nie...

Czwarty więzień poderwał się z brzękiem łańcuchów, zatrząsł brudnymi kudłami. Garsteczka odskoczył, widząc przyklejoną do kraty bladą twarz z garbatym nosem, cofniętym czołem i kosmatymi brwiami.

Istota zasyczała, szarpnęła jeszcze raz kajdanami, próbując sięgnąć do Garsteczki – najpierw zębami, potem nogą. Chude, żylaste ciało, mięśnie jak z gumy... Długie palce, owłosienie przypominające sierść, prymitywne spodnie ze skóry, sięgające jedynie do kolan.

– *Bagienny hiper?* – zainteresował się Chemik. – *Hm, nigdy ich nie widziałem, nawet zdjęcia przeważnie były rozmazane.*

– Hiper... – powtórzył Garsteczka, odpełzając tyłem na czworakach.

– *Dokładnie tak. Uważa się, że ich gatunek zamieszkuje gdzieś w okolicach Zagubionego Miasta. Są zdolni do hipermetabolizmu, oczywiście w ograniczonych ramach czasowych. Podobnie do jaszczurek – zamierają na długo, a potem raptem ruszają się tak szybko, że wymyka się to postrzeganiu. Zapewne wynik odmiennej niż u ludzi struktury tkanki mięśniowej, która...*

– Dość tego syczenia, ćwoku oberwany! – krzyknął Garsteczka na hipera, próbując pokryć czymś zmieszanie.

Stwór znów przysiadł w kucki i gapił się na ludzi z półotwartymi ustami. Jego wydatne zęby błyszczały w mdłym świetle, długie palce poruszały się bezwiednie. Garsteczka odsunął się jeszcze kawałek, podrapał w głowę i pokazał na leżącego jak kłoda profesora.

– A jemu co?

– Tortury – odparła Nika lakonicznie.

– Ran nie widać...

– Wiedźmak łamał mu psychikę. Z pomocą artefaktów... i złamał.

– Ale po co? Co niby takiego wie twój ojczulek, żeby Wiedźmak go męczył?

– Wie, gdzie są pieniądze. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Że co?! – zdumiał się Garsteczka. – Zaraz, nie, poczekaj. Jakie znów pieniądze? Bo jeśli masz na myśli te, co je Titomir niby miał oddać za „oko”, te pięć milionów dolców, to przecież major trzyma je w plecaku!

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Wtedy nocą zabraliśmy je ze skrytki w pociągu. Major i kapitan leżeli zaraz obok, ich nie ruszyliśmy, ale wzięliśmy gotówkę. Przynieśliśmy tutaj, żeby kupić „oko zła” od Wiedźmaka, ale ojciec zdecydował, że do wieży z nimi nie będziemy wchodzić. Ukrył je sam, żebym nawet ja nie wiedziała. Tak jakby przeczuwał, że...

Nika spojrzała na ojca i opuściła wzrok. Garsteczka zaklął paskudnie, przypominając sobie, ile razy łakomie patrzył na plecak Titomira. I co, tam nie było żadnych dolarów? A on tak zęby do nich suszył...! Chociaż, po co mu teraz pieniądze? Życie cenniejsze, o to walczyć trzeba.

– Więc co, Wiedźmak dowiedział się, gdzie są? – zapytał.

– Tak... – jęknęła Nika. – Nawet nie korzystał z „błysku”, tylko powiedział, że poeksperymentuje... Wziął kilka artefaktów i pokancerował tacie rozum...

– Cholera jasna, co za dzień! Noc już w zasadzie nawet. No cóż,

koleżanko, szczerze współczuję. Ty mnie też możesz, swoją drogą. Tak poza tym to tak się zawinęłaś w tę chustę, że ledwo cię widać. Niech ja w ogóle spojrzę na ciebie... – Przysiadł obok, wyciągając rękę.

– Zostaw! – Nika chciała się uchylić, ale szybkim ruchem ściągnął jej chustę z głowy. Po ramionach rozsypały się płowe włosy, lepiej widać teraz było twarz – delikatne kości policzkowe, prawdziwie inteligentne rysy. Jeszcze tylko okulary z złotej oprawce i pani od muzyki jak malowana.

– *Co ty jej robisz?!* – zawył Chemik.

– Spokojnie, gołąbku ty mój. – Garsteczka wyprostował się, dziewczyna odskoczyła. Nogi miała chude i długie, jeszcze spod tej męskiej przydużej kurtki wyglądały w tej piwnicy... jakoś tak żałośnie. Niewinnie, prawie że dziecinnie. – Czyli kolejna zagadka się wyjaśnia, bo wy tu zakochani... Pokłóceni, czy nadal razem? A zresztą, kij z tym, nie moja sprawa, tylko na szybko ogarniam, co i jak. Krótko mówiąc, i tak razem tu siedzimy, więc...

Szczęknął zamek, zgrzytnęły drzwi. Rozległ się rytmiczny, donośny stuk, na dźwięk którego Garsteczka poczuł, jak włos jeży mu się na głowie. Pojawiło się wrażenie, jakby nagle powiał gorący, zły wiatr, niosący ze sobą drobne, małe cząsteczki pyłu... anomalnego pyłu.

Obiema rękami złapał się kraty, patrząc z przerażeniem na wejście do celi. Za drzwiami zamigotały różnokolorowe ogniki, a potem do środka, stukając kosturem o posadzkę, wkroczył Wiedźmak. Zwieńczenie laski płonęło jaskrawożółtym ogniem, w miejscu lewego oka, pod śnieżnobiałą opaską, migotał bursztynowy blask.



Leżący pod mównicą Czerwony Kruk uniósł głowę, wsłuchując się w nocną ciszę. Obudził go jakiś cichy dźwięk na zewnątrz. Kroki? Tak, chyba ktoś szedł przez fabryczny podwórzec. Poruszał kontuzjowanym ramieniem, potem uklęknął i wyjrzał do salki. Było jeszcze zupełnie ciemno, czuł, że nawet porządnie nie zasnął... Maksimum półtorej godziny, nie więcej.

Wstał i ześlizgnął się z podium na dół, wyjrzał przez okno. Różowawe lśnienie „światlika” nadal sączyło się z dwóch okien na parterze hali, ale od strony bramy szło ku niemu dwóch ludzi... W zasadzie to jeden warg i jeszcze ktoś z latarką w ręku. Światło trochę oślepiało, ale Kruk miał wrażenie, że gość nosił brodę. Kto miałby przychodzić na Fabrykę o takiej porze? Mało kto był na tyle odważny, żeby nocą chadzać po Sektorze, a jeszcze tutaj?

Kiedy dwaj przybysze zniknęli w drzwiach, Kruk szybko wyszedł ze świetlicy i zszedł na dół. Słabość niemalże minęła, mimo że co i rusz ziewał; ręka przestała się trząść, lewa połowa twarzy znów podlegała jego woli. Minął podwórzec, przekradł się wzdłuż ściany i ostrożnie zajrzał przez okno.

Warg z rudym irokezem siedział na stołku, w drzwiach stał brodaty włóczęga. Kruk chyba widział go już kiedyś, ale imienia nie pamiętał.

– ...nie czekać do rana – doleciało do niego kilka słów brodacza.
– Wiedźmak ma wielkiego szamana? – odezwał się z mocnym akcentem rudy warg.

– Nie wiem. Kogo niby?

– Szaman o imieniu Artur.

– Aaa, ten... Tak, ma. Czekają na was, więc się pospieszcie.

– Idziemy trzy. Moi człowieki zostać, czekają. Tak?

– Ano – mruknął brodacz. – Człowieki zostają, my idziemy. Jakbyście tam wszyscy kupą się władowali, to komuś mógłby drgnąć palec na spuście... Powiedz swoim, że wrócicie niedługo.

– Wiedźmak z wami? Tutaj też wróci niedługo?

Brodacz poczochnął się po czuprynie.

– Słuchaj, ja tam planów Wiedźmaka nie znam. Myślę, że pewnie tak, bo chciał z wami iść i z tym... twoim szamanem, Arturem. Ale sam się go pytaj, dobra? Ja mam was tylko do niego przeprowadzić.

Odwrócił się i wyszedł. Rudy wziął ze stołu karabin i ruszył jego śladem, wkrótce z sali obok rozległy się głosy. Czerwony Kruk odsunął się od okna, przeszedł przez podwórzec i zdążył akurat przysiąść za stertą palet, kiedy z budynku wyszedł brodaczn w asyście rudego i jeszcze jednego wargę. Człowiek z latarką prowadził, obcy szli za nim. Kruk przypomniał sobie imię: Czaban. No tak, faktycznie! Dobrze znany przewodnik po miejscach trudnych i niebezpiecznych. Widzieli się raz i drugi w przelocie, więc i pamięć nie od razu zadziałała.

Trzech nocnych wędrowców nie poszło ku bramie, zamiast tego skręciło za róg hali produkcyjnej. Światło zostało tylko w jednym z okien, w środku było cicho i spokojnie. Zapewne pozostali wystawili wartę i teraz spali. Kruk odczekał chwilę i ruszył śladem Czabana. Gdy wyminął halę, tamci właśnie wychodzili poza teren przez zwałone przęsło ogrodzenia.

Wokół Fabryki rozciągał się pusty ugor, a dalej, za rzędem wysokich topoli, zaczynało się łagodne zbocze, schodzące do doliny Lotniska. Kruk był już w połowie ugoru, kiedy znów chwycił go skurcz – tym razem atakujący nie nogę, a rękę. Palce wygięło jak szpony... Ból był tak straszny, że aż się zachwiał i byłby upadł, ale dał radę powoli uklęknąć. Przed oczami zrobiło się czerwono, księżyc zadrżał na nocnym niebie, rozpluwając się w nieostrą plamę. Musiał jednak zażyć płomieniówki, zanim zemdleje... Tak bardzo się spieszył, że o mały włos nie wypuścił szkatułki z drętwiejących palców.

Kiedy doszedł do siebie na tyle, żeby ruszyć za wargami i Czabanem, ci już zniknęli mu z oczu. Przeszedł przez ugor, szybkim krokiem pomaszerował pomiędzy drzewami,

przedzierając się przez krzaki; w końcu zobaczył daleko w dole Lotnisko, wyglądające stąd jak duża przesieka w połaci lasu. Widać było też wraki samolotów i wznoszącą się ponad nimi ciemną wieżę kontroli lotów, u podnóża której paliło się kilka zasilanych wiatrakami reflektorów.

Trzech wędrowników ledwo było widać w dolnej części zbocza, ale Kruk już nie musiał się śpieszyć. Widział, dokąd idą.

Schodząc w dół, postawił kołnierz płaszcza. Szedł powoli, próbując nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi; Lotnisko nie powinno wiedzieć, że się tu zjawiał. Nie żeby lokalni włóczędzy mieli sami z siebie narobić mu problemów, ale wieści o tym, jak zarabia na chleb, zaczynały już się rozchodzić. Nawet pomimo ostrożnego doboru zleceń i skrupulatnego likwidowania świadków po Sektorze już chodzili ludzie, gotowi zapłacić też za jego głowę.

Powinien iść do wieży Wiedźmaka, co do tego nie było wątpliwości, bo handlarz i badacz artefaktów był nazbyt głęboko umoczony w całej tej historii, żeby i teraz się o nią choćby nie otrzeć. Przecież Titomir i Kovacs dokładnie w tym właśnie celu musieli iść na Lotnisko! „Oko”. Wszystkim chodziło o „oko”, a ono leżało zapewne u Wiedźmaka...

Czyli major był gdzieś niedaleko.

Kruk kluczył pomiędzy ogniskami, wymijając co lepiej oświetlone placyki i starając się jak najszerszym łukiem ominąć targowisko. Słyszał było brzęk naczyń, śmiechy i nawoływania, jak zawsze, gdy skończyły się rozgrywki na Arenie. Przeszedł obok hangaru z murałem na ścianie, a potem przykucnął pomiędzy samolotem-hotelem i wieżą, na skraju oczyszczonego z krzaków placu wokół legowiska Wiedźmaka. Liście szeleściły w podmuchach wiatru, księżyc zalewał okolicę srebrzystym blaskiem.

Pomyślał nagle, że już dawno nie było tych „błysków ciemności”, jak określił przedziwne zjawisko Garsteczka.

Horyzont od strony Wstęgi też był czysty, zorza zniknęła. Cokolwiek zaczęło się dziać po przejściu Fali, ustało samo z siebie. Może po prostu nie było nic widać, a proces wciąż trwał, nabierając sił w centrum Sektora?

A przecież zupełnie niedawno też tam był, w samym sercu. Niemalże. O ile oczywiście Zagubione Miasto nie było halucynacją.

Brama na podwórzec wieży była zamknięta, migające i przemieszczające się światła wskazywały, że po drugiej stronie ktoś się kręcił. Reflektory oświetlały schowany za płótem placyk, w ich blasku Kruk zauważył świeżą dziurę w dachu szopy. Ktoś chyba wyglądał też na zewnątrz, bo nad ciemnym płótem widać było owal głowy jednego z ochroniarzy.

Co dalej? Jeśli da radę dopaść „oko”, to będzie mógł wykorzystać je jako przynętę na Titomira. Ale artefakt był w wieży, pewnie na samym jej szczycie, w laboratorium. Kruk umiał niemało, ale zupełnie nie miał pomysłu, jak wejść do budynku, ochranianego przez co najmniej tuzin uzbrojonych ludzi.



Razem z Wiedźmakiem do celu wszedł Arhar, który stanął pod ścianą z założonymi rękami. W korytarzu został chyba ktoś jeszcze, ale tego już Garsteczka nie widział.

Wysiłkiem woli zapanował nad wzrokiem, niemogącym nadażyć za płasmi anomalnego blasku i skoncentrował się na tym, co realne. Wiedźmak nadal miał na sobie ten sam futrzany płaszcz, spod którego wyglądały spodnie z żółtymi lampasami, wsunięte w czarne oficerki. Kostur w jego ręku, podobny do laski, na jakiej opierają się weterani, niby nie był niczym szczególnym, poza tym, że w rączce tkwił artefakt.

Utykając, Wiedźmak podszedł bliżej klatki. Spojrzenie prawego oka zdawało się palić żywym ogniem. Hiper zasyczał, Nika Kaufmann odsunęła się odrobinę. Wiedźmak stanął przy kratkach, ciężko opierając się na swej lasce, ale nie dotykając zwieńczenia z artefaktem.

– Jesteś człowiekiem Titomira?

Dudniący głos wypełnił piwnicę echem, niczym kamienie sypiące się w przepaść.

Garsteczka tylko przez chwilę mógł patrzeć gospodarzowi wieży w twarz, która też wyglądała jak wykuta z granitu: masywny nos, szerokie, wydatne usta, dziwnie szara skóra, w której zmarszczki wyglądały jak pęknięcia na skale. I to jedno oko... Niczym dziura, wypełniona rozpaloną lawą.

– Gdzie ukrywa się Robert? – zahuczał Wiedźmak.

Teraz Garsteczka już wyraźnie widział trzy źródła anomalnego blasku: oczodół pod przepaską, kolano prawej nogi i brzuch. Tam zapewne wisiał pojemnik na pasie, ale kolano i twarz...! Czy on wszczepił sobie te artefakty?! Cholerny anomalny cyborg... Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby zrobić czegoś takiego!

No i to spojrzenie, zupełnie obłąkane. I z takim monstrem chcieli się układać naukowcy? Pieniądze mu nieśli, chcieli „oko” wykupić? Przypomniawszy sobie, jak jeden z bandytów ze Stacji – bodajże Minus – wspomniawszy, że Wiedźmak bardzo się zmienił, i to, jak zareagowali pozostali. Czy przypadkiem nie było tak, że boss Lotniska dostał w swe łapy legendarny artefakt i wtedy go pogięło? Z relatywnie normalnego człowieka zamienił się w takie... coś.

– Mów! – Laska stuknęła o posadzkę, artefakt w rękojeści mignął. Garsteczka przełknął ślinę i odpowiedział:

– Aha, przyszedłem tu z Titomirem i Kovascem. Znacie się?

– Gdzie oni są?

– Ha... Czemu miałbym ci to mówić?

– Bo i tak powiesz. – Wiedźmak pokazał na Kaufmanna. – Chyba że wolisz tak jak on...

– Co, tortury? Ty mnie tu męczyć będziesz, a oni w tym czasie uciekną daleko.

– Miałbym cię torturować? Ależ bynajmniej... – Wiedźmak przejechał końcówką laski po prętach. – Artura musiałem, bo nie wziął go „błysk”. Ciebie nie będzie trzeba.

O czym on...? Garsteczka nie zdążył nawet pomyśleć, jak w głowie rozległ się głos Chemika:

– *Wiedźmak... pewnie ładuje... „błysk” od „oka”... „Błyski” to duża rzadkość... a on ma teraz wielorazowy...*

Twarz Wiedźmaka drgnęła, podszedł bliżej do krat. Żar bijącej od niego anomalnej energii owionął Garsteczkę, aż odsunął się

do tyłu. Wiedźmak oparł czoło o kraty, zaglądając mu w oczy.

– Szaman! – zadudnił. – Jesteś szamanem?

– To jest nas dwóch... – Garsteczka chciał powiedzieć to lekko ironicznie, ale mu nie wyszło, głos zadrżał. Czyżby właściciel wieży też usłyszał słowa Chemika?! Nie, to przecież niemożliwe... Prędzej już zobaczył anomalne pulsacje „partnera”, kiedy ten zaczął działać. Nie jest w końcu wszechmogący, nie? Tyle tylko, że starszy. I bardziej doświadczony. I w ogóle potężny.

– „Nas”? Do pięt mi nie dorastas, chłystku, ale jesteśmy ulepieni z jednej gliny. I do tego masz artefakt... o tu. – Wiedźmak uniósł dłoń i palcem sękatym jak konar wiązu wycełował w okolice ucha Garsteczki. – Masz tam „kleksa”. Tylko po co ci on w głowie?

– Nie twoja sprawa! – warknął Garsteczka. – Jak chcesz ze mną pogadać, to z klatki wypuść.

Szaman obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, a potem zadudnił:

– To popatrz na mnie! Uważnie popatrz!

– I tak patrzę, czego chcesz.

– *Garsteczka, nie rób tego! On chce...* – głos Chemika zaginął w kakofonii zakłóceń.

– Spójrz mi w twarz. – Szare, pomarszczone palce dotknęły przepaski. – Co widzisz?

– Ryj jak wylewka z cementu. – Garsteczka nie rozumiał, o co chodziło Chemikowi.

– Odwróć się, zamknij oczy! – rozległ się głos Niki.

Wiedźmak uniósł przepaskę – w oczodole pod nią tkwił artefakt, podobny do dużego kawałka bursztynu. Garsteczka, jednocześnie przerażony i oczarowany, wlepił w niego wzrok, nie potrafiąc patrzeć w inną stronę. To musiał być właśnie ten „błysk”! I ten wariat wbił go sobie w...

Artefakt sypnął iskrami i zapadła cisza.

W świecie na stop-klatce światło „błysku” zwinęło się

w oślepiająco jasną obręcz, która spłynęła na głowę Garsteczki. Ścisnęła, paląc żywym ogniem. Miał ochotę zerwać z siebie to coś, ale nie mógł się poruszyć! Widział samego siebie, jak stoi bez ruchu przy kratkach, a na głowie miał pulsującą obręcz nałożoną prosto na mózg! Obręcz wsiąkała w skórę, przeniknęła przez kość, dotknęła tkanki szarej... W głowie zrobiło się gorąco, potem tylko ciepło, następnie... zwyczajnie. Nijak. Mimo to obręcz nie zniknęła, a była tam, w środku, mówiąc coś:

– NAZYWAJ MNIE SWOIM PANEM.

Kamienna twarz nasunęła się na niego, ogromna jak masyw skalny. U jej podnóża Garsteczka był malutki, malusieńki, niczym mrówka. Huczący bezmiarem uniwersum głos wypełnił jego świat, a obręcz pulsowała w takt słów, ściskając umysł paroksyzmami bólu.

– SŁYSZYSZ MNIE, NIEWOLNIKU?

– Tak... panie – szepnął Garsteczka.

Twarz, zakrywająca wcześniej wszystko i wszystkich, odsunęła się.

Garsteczka znów był w podziemiu, trzymał się zbielełymi palcami krat, nogi drżały, w głowie było zupełnie pusto. Pusto, cicho, szaro. Jak w grobie.

– Przyszedłeś na Lotko z majorem i kapitanem?

– Tak, panie.

– Gdzie są teraz?

– W noclegowni, panie.

– Samolot?

– Tak, panie. Trzeci pokoik po lewej.

– Co tam robią?

– Czekają na mnie.

– Dlaczego?

– Miałem wykraść „oko zła”, panie, i wrócić do samolotu. Ale nie tak zamierzałem zrobić, chciałem zabrać „oko” i ukryć, żeby potem major musiał mi zapłacić.

Słowa płynęły same z siebie, Garsteczka po prostu nie mógł nie mówić! To było jak... jak oddychanie, jedzenie, picie! Jego pan wydał mu polecenie, więc był posłuszny. Inaczej się nie dało.

– Zapłacić? Pięć milionów dolarów... których major nie ma.

– Już wiem, mój panie. Ona mi powiedziała. – Garsteczka pokazał na skuloną pod ścianą dziewczynę, o której istnieniu zdążył już zapomnieć. Dziewczyna... Nika... Patrzyła wzrokiem zaszczutego zwierzęcia na stojącego za kratami Wiedźmaka.

– Wiesz, gdzie są pieniądze? – zahuczał Wiedźmak.

– Nie.

– Kaufmann ukrył je w „kieszonce” za błotnistą kałużą na południe od Lotniska. Cwane posunięcie. „Kieszonka” to słabszy wariant „portu”, przy czym niewidoczny dla zwykłych ludzi. Musiałbym tam pójść sam, ale teraz mam ciebie, niewolniku. Przyniesiesz mi te pieniądze... Jak mam cię nazywać, niewolniku?

– Nazywaj mnie Garsteczką, mój panie. Ale jest problem.

– Jaki?

Garsteczka pomilczał chwilę, próbując sformułować myśl w dzwoniącej ciszy własnej głowy.

– Dziara mocno mnie pobił, panie. Wszystko boli, ledwo się ruszam.

Wiedźmak obrzucił go obojętnym spojrzeniem.

– Dam ci „euforyjkę”, ona pomoże.

– Tak, panie. Mam ruszać teraz?

– Nie, czekaj na rozkaz. Pójdiesz po pieniądze razem z... – Wiedźmak obejrzał się na otwarte drzwi, przy których stał bez ruchu Arhar z rękoma założonymi na piersi. – Pójdiesz z dwójką moich ludzi. Oni znają okolicę, ale nie znajdą „kieszonki”, a tobie się uda. Wyciągniesz z anomalii plecak z pieniędzmi i przyniesiesz do mnie. A ja tymczasem wyślę ludzi po majora. Zrozumiałeś wszystko, niewolniku?

– Zrozumiałem wszystko, mój panie. Wyjmę z anomalii plecak

i przyniosę tobie.

– Dokładnie. Arhar, otwórz klatkę.

Wiedźmak zrobił krok w bok, warg podszedł do celi. Zazgrzytał klucz, skrzypnęły drzwiczki. Garsteczka pochylił się w niskim przejściu, wyszedł na zewnątrz i stanął przed swoim panem.

– „Kleks” w twojej głowie – odezwał się Wiedźmak. – Do czego służy?

– To tylko część „kleksa”, panie. Nazywa się „partnerem”, drugi taki ma w głowie Chemik.

– Chemik? – W dudniącym głosie zabrzmiało zdziwienie. – Gdzie on teraz jest? Czyli jesteście powiązani... interesujące!

– Tak, panie. – Garsteczka stał nieruchomo, z opuszczonymi rękami, patrząc wprost w kamienną twarz. – Chemik jest w Kompleksie, jesteśmy połączeni przez „partnerzy”.

– Słyszycie się?

– Słyszemy, a on wcześniej jeszcze widział to, co ja. Nasza więź wzmacniała się, on zaczął nawet odbierać aurę artefaktów. Ale teraz... – Garsteczka powoli podniósł dłoń, dotknął ucha. – Słysząc od niego tylko szum.

– Dlaczego?

– Chemik jest w śpiączce, panie. Umiera.

– Ha! Co mu się stało?

– Złamał nogę, ma wysoką gorączkę. Ponadto ranił go przemieniony, który uciekł z laboratorium.

– Dlaczego nikt mu nie pomógł?

– Wszyscy poza nim zginęli podczas przejścia Fali, panie. Ekran ochronny popaliło, za Kordonem panuje chaos.

– Interesujące, nawet bardzo. – Wiedźmak pokiwał głową. – Czyli Chemika nie da się uratować?

Garsteczka zastanowił się, przypominając sobie. Coś było, wczoraj albo przedwczoraj, Chemik coś mówił...

– Być może jest sposób, panie – powiedział z wahaniem.

– Co? Mów głośniej!

– Tak, mój panie. Gdy rozmawialiśmy, Chemik zastanawiał się, czy przez „partnera” można przenieść całą świadomość. Przerzucić na nowego nosiciela.

Nastąpiła cisza. Arhar i Garsteczka stali tak samo nieruchomo przy kratkach, a wysoki, łysy szaman marszczył czoło, opierając się ciężko na swojej lasce, najwyraźniej rozważając sytuację.

Nagle hiper jak gdyby coś poczuł i poderwał się, rzucił w łańcuchach, zadzwonił okowami i wyszczerzył na Wiedźmaka zęby. Ten odwrócił się ociężkale, złapał kostur w połowie wysokości i przesunął pomiędzy kratami. Hiper zasyczał, chciał się odsunąć, ale Wiedźmak jednym szybkim ruchem dotknął stwora w porośniętą szczeciną pierś. Artefakt trzasnął i błysnął, hiper poleciał w tył jak uderzony młotem, huknął łbem o ścianę i osunął się na posadzkę.

– Bardzo, bardzo ciekawe! – głos niczym z kruszarki do kamieni znów wypełnił podziemie. – Arhar, słyszałeś to? Kanał pomiędzy połówkami „kleksa”... Nareszcie możemy do czegoś wykorzystać tę bestię, którą dla mnie złapaliście na bagnach. Wy dwaj, zabierzcie hipera z klatki i zanieście do mojego laboratorium! Wyciągniemy „kleksa” z głowy naszego nowego przyjaciela i spróbujemy się nim pobawić. Garsteczka, potem pójdziesz po pieniądze Kaufmanna. Wykonać!



Stojący w zaroślach Czerwony Kruk zauważył, jak sześć sylwetek, jedna za drugą, oddzieliło się od ciemnego masywu płotu otaczającego wieżę. Pochylił się w przód, ujmując chwyt pistoletu. Co to za ludzie? Pokazali się po prawej, szybko przebiegli przez otwarty teren i zniknęli mu z oczu.

Ale dlaczego nie wyszli przez bramę, tylko jakąś boczną

furtką? Przecież nie byli to intruzi, próbujący niepostrzeżenie wejść na włości Wiedźmaka, a właśnie wychodzili! Kruk rozejrzał się, popatrzył na bramę i w drugą stronę. Jakieś dwieście metrów od wieży widać było wystający z krzaków grzbiet TU-134, wykorzystywanego jako noclegownia. „Tutka”, jak mówili na samolot miejscowi, a szefował w Tutce grubas, przezywany Lotnikiem. Wszystkie okna samolotu były ciemne...

Za wyjątkiem jednego, w którym migotało światelko, niczym od słabej latareczki.

Kruk wpatrzył się w zarośla, pomiędzy którymi zniknęło tamtych sześciu ludzi. Wciąż słyszalny szelest wskazywał, że szli w kierunku noclegowni, a jemu do głowy przychodził tylko jeden powód, dla którego mieliby właśnie tak się zachowywać: wiedzieli, że bramę ktoś obserwuje. Ale przecież nie mogli mieć pojęcia, że on tu jest!

Znów zerknął na samolot. W głowie narodziło się podejrzenie. A co, jeśli...

Gdzieś niedaleko ktoś się odezwał, więc Kruk przykucnął, wtulił głowę w ramiona.

– Dziku, weź przestań hałasować, bo w łeb! Szef kazał po cichu sprawę załatwić.

– Przecież Lotnik się wkurwi, jak do niego wbijemy. Na pewno ryja rozedrże.

– Lotnik to będzie mordę trzymał na kłódkę, przecież Wiedźmakowi jest winien dziesięć patoli. Jego ochrona też grzeczna będzie, ale działamy po cichu, jasne? Tych dwóch to lepsze gagatki. Koniec mędrkowania!

Czerwony Kruk był już gotów w każdej chwili dać ognia do ludzi Wiedźmaka, ale ci nie zauważyli go i przeszli bokiem. Odetchnął z ulgą. Iść za nimi? Po ciemku, przez szeleszczące krzaki... Trzeba będzie bardzo, ale to bardzo uważać.

Wcześniejsze podejrzenia nabrały prawdopodobieństwa. Tych sześciu wyszło boczną furtką, żeby nie zauważono ich przez

bulaje samolotu. Choć Tutka stała nie tak znów blisko wieży i był środek nocy, zachowywali pełną ostrożność.

Kto ważny mógłby siedzieć w noclegowni?

Kruk obawiał się, że zna odpowiedź. Lewa ręka mu zadrżała, kiedy pomyślał o człowieku, który mógł właśnie wyglądać przez okienko samolotu... Nawet o dwóch ludziach. Wolałby zabić ich obydwu osobiście. Kovacs nie był bezpośrednim celem, ale był tam, trzymał wijącego się i wrywającego Kruka, gdy opuszczali go w anomalię...

Szedł ostrożnie, więc zanim dotarł w pobliże samolotu, siepacze Wiedźmaka zdążyli już wejść do środka przez zasłoniętą brezentem dziurę w poszyciu, do której prowadził zbity z desek trap. Na zewnątrz nie było ochrony, ale w środku zawsze ktoś siedział, minimum jeden strażnik.

Wewnątrz panowała cisza. Czerwony Kruk skręcił, trzymając się wyższych krzewów dotarł pod skrzydło. Gdyby miał linkę, to dałby radę wspiąć się na górę i spróbować wcisnąć przez któreś okienko; można też było spróbować podstawić deskę, po której...

W nocnej ciszy rozległ się jakiś hałas, a potem w kilku okienkach naraz zabłysły światła. Kruk spiął się odruchowo, ramię zabolowało ostrzegawczo; z wnętrza samolotu doniósł się czyjś krzyk, potem odgłosy szamotaniny. Kolejne błyski ognia, a potem zapaliło się światło, w którym widać było krzątających się ludzi. Na jeden z bulajów nagle czymś bryznęło. Ktoś upadł na szybkę i zaczął powoli zsuwać się w dół, zostawiając za sobą rozmazany, ciemny ślad.

Znów zapadła cisza, Kruk bał się nawet odetchnąć. Niemalże widział oczami wyobraźni, jak major Titomir osuwa się po ścianie z dziurą w głowie, obok niego leży w kałuży krwi Kovacs... Nie tak miała wyglądać zemsta, nie tak! To on powinien był to zrobić! Kruk stał nieruchomo, tylko serce waliło mu jak oszalałe, a ręka ścisnęła pistolet aż do bólu.

Rozległy się kroki, na trap wyszli ludzie. Jeden, drugi, trzeci –

ten potykał się, na głowę miał zarzucony worek – i ostatni, czwarty. Weszło sześciu, wyszło dwóch mniej, w tym jeniec. Tylko który, kapitan czy major?

Z samolotu wyjrzał ochroniarz.

– Cholera jasna! Co mamy z ciałami robić? – syknął ze złością. – Krew na podłodze, na ścianach! Co z plecakami?!

Nikt mu nie odpowiedział. Ochroniarz splunął i schował się z powrotem, a czterech ludzi ruszyło ku wieży. Kruk widział, że jeniec ma ręce skrupowane za plecami. Kovacs czy Titomir?!

Oddział skręcił ku przecince, Kruk wlepił oczy w ciemność tak, że aż bolało. Który, który z wojskowych przeżył?! Przecież jeśli to major, to można by go teraz, zaraz! Lewa ręka zaczęła drżeć tak, że aż musiał wsunąć ją do kieszeni i przycisnąć do biodra. Uniósł pistolet, wycelował i... I opuścił. Nie. Nie wolno mu, nie w ten sposób, mimo że to majora prowadzono do wieży; Kovacs był chudszy i wyższy, więc jeńcem musiał być Titomir. Zabić, ale nie tak, nie po ciemku, nie ukradkiem. Poza tym ryzyko, że nie trafi, było zbyt duże.

Odczekał, aż tamci znikną w krzakach, po czym powoli poszedł za nimi.

Zobaczył ich ponownie dopiero, gdy wyłonili się z gęstwiny w pobliżu bramy do wieży. Wrota skrzypnęły cicho, ochroniarz wyjrzał na zewnątrz i zapytał:

– I jak poszło?

– Sam nie widzisz? No po prostu zajebicie! – warknął ten, który po drodze rugał kompana za hałasowanie. Zamachnął się i huknął więźnia pięścią między łopatki, major upadł na kolana, ale nawet nie jęknął. – Te dzikusy wojskowe trzech naszych położyły! Ten tutaj Dzikowi gardło od ucha do ucha poderznął! Cholerni mundurowi sadyści...

Dla odmiany kopnął Titomira, który poleciał na ziemię, nadal bez jednego dźwięku.

– Podnieście go!

Dwaj pozostali poderwali jeńca, postawili na nogi.

– A co z kapitanem? – zaciekał się ochroniarz.

– Zatrął się ołowiem. Trzy kule dostał i jeszcze fikał, czujesz? Zdążył łeb Dereszowi saperką rozwalić, zanim go stuknąłem. A ty idź, nie ociągaj się! Czeka ją tam na ciebie.

Ponownie uderzył jeńca i oddział wszedł na podwórzec. Wrota zamknęły się, zgrzytnęła zasuwka, głosy powoli cichły. Stuknęły drzwi do wieży, zapadła cisza.

Kruk zawinął się w płaszcz, wsunął ręce do kieszeni i patrzył na wieżę. Na górze za oknami apartamentów wódza przelewał się łagodny, miękki blask „światlika”. Więc gdzieś tam był teraz Titomir, niedaleko od niego Wiedźmak... I „oko zła”, chociaż ono interesowało go najmniej. Ciekawe, co też Wiedźmak zamierzał zrobić z majorem?

Poczuł, jak zbiera mu się na ziewnięcie. Płomieniówka działała dobrze, ale organizmu nie da się oszukiwać bez końca, deficyt snu narastał. Nie mógł jednak pozwolić sobie, żeby po prostu odejść, musiał zostać i obserwować. Do świtu zostawało jeszcze kilka godzin, przez ten czas mogło się wydarzyć dosłownie wszystko.

Nieposłusznymi palcami lewej ręki wymacał w kieszeni kilka orzechów i suszonych owoców żurawiny, po czym zaczął metodycznie, jeden po drugim gryźć i przeżuwać. Nad ranem strażników powinna ogarnąć senność, więc może spróbować wtedy? Wpaść do wieży, zarznąć majora, a dalej niech się dzieje, co chce.

Czekał cały długi rok. Poznał plany wroga, zaplanował zasadzkę. Przyszykował stanowisko na Stacji, włożył tyle wysiłku w sprawdzenie dróg odwrotu... Teraz gotów był zginąć, byle doprowadzić swe dzieło do końca.

Kruk ziewnął szeroko, rozdzierająco – i wtedy skrzypnęła brama, trzech ludzi wyszło za ogrodzenie. Jeden potknął się, drugi popchnął go, warknął coś gniewnie. „No idź, debilu!” –

usłyszał Kruk. Wpatrzył się w półmrok, uświadamiając sobie, że wszystkich trzech znał! Minus, z którym spotkali się na Stacji; Dziara, czyli jeden z przybocznych Wiedźmaka, i ten żołnierz z Kompleksu, jak mu tam... Garsteczka! Ale co ten ostatni tu robił? Rozglądając się na boki, szli na południe.

Czerwony Kruk upuścił na ziemię resztę orzeszków. Senność minęła jak ręką odjął; nagle bardzo, ale to bardzo zaciekał go dalszy rozwój wypadków.



Garsteczka w zasadzie wiedział, że został zombifikowany. Zrozumienie przyszło prawie od razu, a umocniło się po tym, jak Wiedźmak na żywca wyciągnął mu z głowy „partnera”. Jakich narzędzi użył, w jaki sposób – nie widział. Ale czuł ból.

To było zaraz po tym, jak razem z Arharem przywlekli do laboratorium i rzucili na podłogę hipera. Pan i władca kazał Garsteczce położyć się twarzą w dół na stole operacyjnym, a potem coś zabuczało nad nim, rozległ się świst, jak wiertła u dentysty... Poczul na karku zimny oddech Wiedźmaka, a potem jego głową szarpnęło, jakby wyrwano z niej zardzewiały gwóźdź. Świat wokół zawirował, oczy rozjechały się na boki, rzeczywistość rozpadła na piksele. W uszach zaszumiały nieznajome głosy, zagłuszył je świszczący zgrzyt, potem zapachniał bez... dlaczego akurat bez? W to wszystko wdarł się smród palonej gumy, następnie feeria barw przed oczami, tysiące twarzy, korowód postaci... I ciemność.

– Wstań – rozkazał Wiedźmak.

Otworzył oczy i wyprostował się, czując w głowie pustkę. Szaman trzymał w pęsecie „partnera”, z którego wyrastało kilka długich, rozwidlonych na końcach włosków, pokrytych kroplami gęstego śluzu.

– Teraz dam ci „euforyjkę” – powiedział Wiedźmak, podczas gdy Arhar przywiązywał do zwolnionego stołu hipera. Istota szarpnęła się, chyba odzyskując przytomność. – To nieduży artefakt, łykniesz go jak tabletkę. Działa przez dwie godziny. Na dole czekają na ciebie Minus i Dziara, oni wiedzą, dokąd iść. Masz słuchać Minusa. Plecak z pieniędzmi trzymasz i nie dajesz nikomu, dopiero mnie. Ochraniasz go za cenę życia, innych i swojego. Zrozumiałeś, niewolniku?

– Tak, mój panie – odpowiedział Garsteczka.

Kiedy schodził po schodach, w pustce jego głowy zadźwięczała dziwna myśl: po co? Po jaką cholere się miał tak starać? W imię czego?

Gdy był przy bramie, myśl z dziwnej zmieniła się w zupełnie normalną. Logiczną. Jego własną, prywatną myśl.

Garsteczka, ocknij się! Hejże, panie zdegradowany kapralu! Jesteś żołnierzem, ochroniarzem z Kompleksu, może i na samowolce, ale mimo wszystko! Władowałeś się w gówno po uszy, w sam środek porachunków miejscowych bossów, ale to nie znaczy, że jesteś czyjąś marionetką!

I to czyją – Wiedźmaka! „Mój panie”... Tfu! Żaden z niego pan, a zwykły cham, domorosły eksperymentator, łysol paskudny, szaman zziębnięty... I to ten typ zamienił cię w zombi?! Niedoczekanie!

Szaman. Wiedźmak mógł sobie zombifikować zwykłych ludzi, ale na pewno nigdy nie wypróbował „błysku” na innym szamanie, nie na kimś, kto sam steruje artefaktami. Bo to szaman ma władzę nad artefaktem, a nie na odwrót!

Gdy tylko Garsteczka uświadomił sobie, że to nie artefakt kontroluje jego, a on sam jest swoim panem, obręcz zaskrzypiała, jęknęła i pękła, zasypując mózg tysiącem odłamków szkła, wbijających się we wszystko wokół. Ból był taki, że aż zachwiał się i potknął o próg bramy, zajęczał cicho... Jakby piłą głowę rznąli! Idący za nim Dziara popchnął go bezceremonialnie.

– No idź, debil!

Ból ustępował stopniowo, odłamki bursztynu rozpuszczały się, wsiąkały w strumienie nagle uwolnionych myśli, niczym kawałki lodu w gorącej wodzie. Garsteczka obejrzał się na Dziarę – i nagle zrozumiał, że tamten też jest zombi!

Zaraz za bramą prowadzący ich Minus skręcił na południe. Lotnisko nie spało: płonęły ogniska, słychać było głosy, gdzieś skowyczał przykuty na łańcuchu wilk, albo przemieniony człowiek. Szli szybko przez zarośla, wymijając samoloty i szalasy.

Milczeli wszyscy trzej, Dziara dyszał głośno przez usta – złamany nos dawał o sobie znać. Garsteczka analizował sytuację i ważył szanse. Tamci mieli po karabinie, on tylko pistolet i latarkę. Czy na pewno był wolny? A może to tylko wrażenie? Czy myśl o buncie to już wolność?

Nieważne, na razie nieważne. Załóżmy, że chwilowo będzie trzymał się tego, co mu kazał.. Wróć! O co *prosił* Wiedźmak, co Wiedźmak *chciałby*, co *wydaje mu się*, że Garsteczka zrobi. Więc pójdzie po pieniądze, a potem... No właśnie, co potem? Czy da radę działać sam, czy może spróbuje sięgnąć po broń i dostanie wtedy zawału? Albo nic nie zrobi, jak maszyna, którą odłączą od prądu? Nie, nie, bzdura! Przecież nie może tak być, żeby...

Tak się zamyślił, że odruchowo podrapał po głowie. Ha, czyli mógł to zrobić! Ale co, jeśli to tylko odruch? Do diaska, ciężko było myśleć o takich poważnych rzeczach! Jak by to Chemik rozkminił, hm...? Jeśli ktoś jest zombi, to nie może wiedzieć, że jest zombi, bo skoro wie, czym jest, to może tym nie być... Albo i nie? Ale przecież nie da się ślepo czegoś robić, jeśli człowiek ma świadomość, że to oszustwo! Więc jeśli pamięta moment zombifikacji, to chyba jest wolny.

Na próbę podrapał się po wewnętrznej stronie dłoni – udało się! Ha, co dwie głowy to nie jedna! Nawet jeśli Chemika już mu z mózgu wyciągnęli, to i tak został po nim pewien naddatek możliwości, jakiś zapas wolnej przestrzeni mentalnej. Może to

dzięki niemu właśnie udało się pokonać moc „błysku”...? Ale na razie, dopóki nie miał w ręku pięciu milionów, nie było co o tym myśleć. Teraz postara się grać swoją rolę, wyczekując na odpowiedni moment.

Krzaki przerzedziły się, ziemia nabiegła wilgocią. Przed nimi było rozlewisko dużego, bagnistego stawu. Minus jako pierwszy wszedł na kładkę z desek, Garsteczka szedł za nim, patrząc na drzewka po drugiej stronie. Wiedźmak mówił, że ta „kieszonka” będzie zaraz za bagienkiem, czyli stąd powinno być już widać... Ale na razie nic, tylko ciemność i krzaki.

Zrobił raptem kilka kroków, kiedy Dziara z tyłu podstawił mu nogę. To świnia zombifikowana, jeszcze się odgrywał za złamany nos! Czekał na dobry moment, czaił się, planował! I jeszcze walnął kolbą kałasza po żebrach, zrzucając z pomościku.

Noga pojechała na śliskiej desce i Garsteczka plasnął w błocko, aż poszły bryzgi. Zabułgotało, chlupnęło i mlasnęło soczyście; na całe szczęście staw nie był głęboki, bo przecież i w wodzie po kolana można się utopić, jak człowiek z przestachu łyknie szlamu.

Garsteczka oparł się o muliste dno, podniósł na kolana. Zaczął wypluwać błoto, smarkać, prychać i kasłać, próbując brudnymi rękami otrzeć twarz... Usłyszał, jak Minus ruga Dziarę za głupotę, a ten stoi z miną niewiniątka, udając, że to nie jego wina.

Garsteczka wstał, spojrział wściekle na obydwu, sięgnął po pistolet – i zamarł, gdy Minus krzyknął:

– Spokój! Barany, debile obydwaj! Ani drgnąć!

Wiedźmak kazał mu słuchać, tak samo pewnie Dziarze. Bandyta, rzeczywiście, zamarł bez ruchu, mimikę twarzy jakby ktoś mu wyłączył, ręce zwisły swobodnie. Minus podszedł do niego i z zamachu chlasnął otwartą dłońią w ucho. Tamten tylko się bujnął, jak wańka-wstańka, na tępej twarzy mignął cień emocji... i zniknął, znów pojawiła się obojętność. No, prawie, bo oczy błyszczały mu złośliwie.

Minus odwrócił się do Garsteczki, podniósł rękę do uderzenia. Ten stał jak kołek, za wszelką cenę próbował nadać twarzy wyraz nieobecności i spokoju, otworzywszy głupkowato usta, mimo że w środku aż w nim wrzało! Minus w końcu zagryzł wargę, splunął w błoto i opuścił rękę, mówiąc:

– Garsteczka, czy jak cię tam wołają, oczyścić mi się. Tylko migiem! Dalej ty idziesz pierwszy. „Kieszonka” ma między drzewami być, wypatruj oczy. Dziary masz nie ruszać. Rozumiesz, debilu?

– Tak, rozumiem – odrzekł Garsteczka.

– No to ruszaj!

Podczas gdy Garsteczka gramolił się na kładkę i strząsał z ubrania błoto, Minus wydawał polecenia Dziarze:

– Zostaw Garsteczkę w spokoju! Idziesz za mną, pilnujesz okolicy. Rozumiesz?

– Rozumiem – odburknął tamten.

– No to wykonać, obydwaj!

Deski zaskrzypiały pod nogami, uginając się, gdy ruszyli dalej. Minus szedł w środku, Dziara zamykał pochód.

Drzewa na drugim brzegu rosły rzadko, dalej widać było niewysokie pagórki, porośnięte gęstymi krzakami i niemalże kosmate. Na zboczach świeciło kilka kolorowych plam światła anomalii, a między drzewami... Garsteczka zauważył, może dwadzieścia metrów od nich, jaśniejszą smugę w powietrzu. Jakby znajdowała się tam niedokładnie zasunięta kurtyna, zza której przebijało światło. I to jest ta „kieszonka”? Nic innego w pobliżu nie było.

Serce uderzyło mocniej: cel w zasięgu ręki! Zmuszając się do spokoju, podszedł bliżej.

– Widzisz coś? – zainteresował się Minus.

– Tak. Widzę „kieszonkę”, idę do niej – odpowiedział Garsteczka martwym głosem.

Poczuł, jak pocą mu się dłonie. Zbliżała się chwila prawdy. Nie

poruszając głową, strzelił oczami na boki; Minus był zaraz za nim, potem słyszał nieco z lewej Dziarę; obaj mieli karabiny, ale po nim niczego się nie spodziewali. Co robić? Musiał szybko myśleć i sprawnie działać.

Wąski, ledwo widoczny pasek światła przypominał świecąca szczelinę, kończąca się na wysokości pasa. Minus i Dziara nie widzieli nic, dla nich to była tylko pusta przestrzeń, tak? Więc co, staną do nich tyłem, a potem...

Czas na rozmyślenia minął, anomalia była tuż przed nim. Garsteczka nachylił się, chcąc zajrzeć do środka. Jak to było, kiedy stryjek sprawdzał ułożenie cielaka w krowie? Nie wierząc w to, co robi, ostrożnie wsunął jedną rękę w świecąca szparę.

Najpierw zniknęły palce, potem dłoń, nadgarstek... Ostrożnie, powoli zanurzał w nicości przedramię, łokieć... Nic, żadnego oporu, żadnych dziwnych odczuć.

Pod palcami poczuł coś szorstkiego... Ach, to materiał plecaka. Przeciągnął dłonią, czując klapę kieszeni, sprzączki, paski. Przedziwne uczucie, kiedy czegoś dotykasz, a nie widzisz! Swoją drogą, to warto sprawdzić – już raz się przeliczył, mając nadzieję, że wie, gdzie są pieniądze. Tak bardzo chciał, żeby dolary miał Titomir, że sam w to uwierzył, teraz trzeba było dmuchać na zimne. Kto mógł zabronić Kaufmannowi oszukać Wiedźmaka, wypchać plecak gazetami?

Grzebiąc w „kieszonce”, Garsteczka jednocześnie starał się kontrolować sytuację. Wnosząc po sapaniu, Dziara stał zaraz za nim. Gdzie jest Minus? Chyba po lewej. Gdyby coś tylko powiedział, odezwał się, kaszlnął, byłoby łatwiej.

Palce wymacały suwak, rozpięły... Tak, tak! Bingo! Dotyku pieniędzy w paczkach nie da się z niczym pomylić, takie przyjemne odczucie, ożywiające. Równiusieńkie prostokąty banknotów z banderolą, plecak naładowany nimi, aż szwy trzeszczą. A dusza śpiewa i płąsa, wzlatuje ku niebu na skrzydłach miłości. Miłości do pieniędzy, rzecz jasna. To znaczy

pieniądze same z siebie to nic, ot, papierki i farba. Szczęścia nie dają. Ale daje je wszystko to, co można za nie kupić! Lazur morza, słona bryza, palące słońce i śnieżnobiały żagiel...

Teraz plecak trzeba było zapiąć. Spokojnie, braciszku, bez pośpiechu, jesteś już przy celu, trzymasz złotą krowę za wymię, teraz tylko nie spłoszyć... I coś zrobić z tymi dwoma pajacami, którzy patrzą ci w plecy. Zrobić teraz, tutaj, na miejscu. Krótko i zdecydowanie. Zamknąć temat, bo jak nie, to zamkną ciebie. Równie krótko i zdecydowanie.

Ręka Garsteczki tkwiła w „kieszonce” aż po ramię, biaława poświata pływała i przelewała wokół barku. Plecak, o ile rozumiał, leżał... wisiał jakiś metr nad ziemią. Co za przedziwne rzeczy w tym Sektorze, te wszystkie dupy kontinuum i ślepe kiszki czasoprzestrzeni, porty, „dymówki” i „połyki”...

– Co się tak grzebiesz? – zapytał niezadowolony Minus gdzieś zza lewego ramienia Garsteczki.

– Wyciągam plecak – odpowiedział. Dziara nadal sapał mu prosto w kark.

– Znalazłeś?

– Tak.

– To wyjmuj!

– Zaczepił się o coś.

Garsteczka nachylił się, żeby lepiej złapać chwyt.

– Co ty pieprzysz? Przecież w anomalii się o nic nie...

Wyszarpnął plecak z „kieszonki” i z całej siły cisnął nim Dziarze prosto w twarz, jednocześnie kopiąc Minusa w kolano i posyłając na ziemię. Dziara odruchowo złapał pakunek, jednocześnie tracąc równowagę. Garsteczka wyszarpnął z kabury broń, kciukiem przełączył bezpiecznik, ale wystrzelić już nie zdążył, bo dostał po rękach plecakiem; sprzączka paska uderzyła prosto w kostki palców, pistolet wypadł z ręki.

Minus usiadł, Garsteczka wyprostował się i złapał za lufę karabinu Dziary, który już prawie uniósł kałasza, szarpnął z całej

siły w bok. Pas nośny pociągnął bandytę za kark, stracił równowagę i poleciał głową naprzód prosto w anomalie. Biaława poświata mignęła, a dalej już Garsteczka nie patrzył. Chciał ruszyć na Minusa, ale zamiast tego spojrzał prosto w lufę jego karabinu.

– Debilu, już po tobie! – zachrypiał tamten.

Czyjś cień skoczył ku Minusowi z krzaków, zaszeleścił płaszcz, mignęła stal. Minus tylko pisnął urywanie, kiedy ręka Czerwonego Kruka zatoczyła krótki łuk i uderzyła go w okolice ucha. Garsteczka aż podskoczył, spodziewając się wystrzału, który nie nastąpił.

– Kruk! Kruk, skąd się tu wziąłeś?!

Najemnik spojrzał na niego obojętnym wzrokiem, cofnął rękę od głowy Minusa, który siedział tak jak wcześniej, z rozwartymi oczami i półotwartymi ustami. Za ręką wyciągnął się paseczek, ociekający krwią i lekko pobłyskujący stalą... Nóż. Ten konus wbił bandycie swój majcher prosto w ucho, aż po samą rękojeść! Minus zamrugał, wypuścił karabin i przewrócił się na bok.

– Ten drugi gdzie jest? – zapytał Kruk, wycierając swój kosior o płaszcz.

Dopiero wtedy do Garsteczki dotarło, że słyszy za sobą, od strony anomalii, jakieś dziwne dźwięki. Podnosząc z ziemi karabin, odwrócił się do „kieszonki” – ta wisiała sobie w powietrzu i świeciła, a Dziara zniknęła – cały wpadł do środka! Wnosząc po tym, co wcześniej czuł Garsteczka, anomalia nie była duża, może wielkości worka. Wisi sobie taki pionowy worek w powietrzu, a tamten tam wpadł, rzuca się teraz i miota, próbuje wydostać, panikuje... Ciekawe, czy widział, co jest na zewnątrz?

Dziara wrzasnęła dziko, chyba zaczął się jeszcze bardziej szamotać, bo w powietrzu mignął i zniknął but, potem kawałek ręki. Rozległ się odgłos repetowanej broni, huknął przygłuszony strzał. Garsteczka, niewiele myśląc, wsunął kałasza w szczelinę

anomalii i pociągnął serią.

Huk niósł się, jak z innego świata, odległy i nijaki. Garsteczka odsunął się, dymiąca lufa pojawiła się znikąd. Parę sekund panowała cisza, a potem z powietrza zaczęła kapać krew, następnie pociekła cieniutką strużką szkarłatu w dół, na ziemię. A następnie znów zamieniła się w krople.

Garsteczka odsunął się jeszcze o krok, wstrząśnięty i oczarowany przedziwnym zjawiskiem. Niech to... Nawet szkoda mu się zrobiło Dziary, mimo że tamten był ćwokiem i mordercą. Ale młody chłopak w końcu, a teraz leży nie wiadomo gdzie, w tej „kieszonce”, i krwawi... Nie, nie! To już nie on leżał, nie Dziara, a jego ciało. Martwe ciało, trup, tylko mięso, kości i krew. I trudno, i dobrze! Zapomnieć, nie myśleć. Garsteczka ma dość własnych problemów.

Odwrócił się do pierwszego z nich. Wcale niebagatelnego, chociaż nikczemnej postury.

Czerwony Kruk przykucnął nad otwartym plecakiem, pełnym paczek dolarów. Dotknął jednej, wyjął. Powąchał. Uniósł głowę i popatrzył bardzo uważnie na Garsteczkę.



Chemik zadrżał, bezdźwięcznie otwierając usta i usiłując pojąć to, co właśnie się z nim działo. Dopiero co trwał zawieszony w ciemności, bez żadnych bodźców, odczuć i wszystkiego innego, rozpluwając się i kawałek po kawałku zapominając, kim jest. A potem w oceanie mroku pojawił się ledwo odczuwalny prąd i choć nadal nie miał orientacji w przestrzeni, wiedział, że zaczął dryfować, niczym liść na wietrze, coraz szybciej i szybciej...

Nagle poczuł własne ciało. Ręce, nogi, głowę opartą brodą o mostek. Siedział, ręce leżały na czymś miękkim, bose stopy napotykały coś zimnego. Posadzka? Ciepło. Jasno. Głosy... Głosy?!

Jakże dawno nie słyszał nikogo, za wyjątkiem Garsteczki i chaotycznych urywków rozmów przez radio!

Rozmawiały dwie osoby, ale więcej nie był w stanie powiedzieć, bo znów przejął go dreszcz. Z jakiegoś powodu było mu niewygodnie, jakby naciągnął cudzą koszulę, która w jednym miejscu cisnęła, w innym znów odstawała. I noga – ha! Noga już nie bolała, o dziwo! Mógł nią nawet poruszyć... Kto mówił? Głosy, intonacje jakby znajome...

Z trudem rozkleił powieki. Przed oczami tańczyły i wirowały plamy, pulsowały rozmyte cienie. Powoli, z trudem uniósł rękę, przeciągnął dłonią po twarzy. Co za dziwaczne uczucie! Jakby twarz zarosła mu szczecina. Aż tak długo był nieprzytomny?

A może to uszkodzenia nerwu czuciowego?

Teraz słyszał już wyraźniej. Rozmawiano tuż obok niego.

– Nie zrobisz tego, Wiedźmak. To szaleństwo.

– Szaleństwo, Robercie? Szaleństwo?! – zadudniło w odpowiedzi. – A który z nas dwóch marzył o nowej młodości? Oto i masz ją w zasięgu ręki!

Major odpowiedział jak zwykle: chłodno, lakonicznie, ale Chemik miał wrażenie, że usłyszał czającą się w jego słowach nutę strachu.

– Nie tego chciałem. Ale i tak tego nie potrafisz, więc nieistotne. Możemy się potargować. Czego chcesz ode mnie?

– Służby! – huknął Wiedźmak.

– Co ty wygadujesz, handlarzu? Armia się tu zjawi, zetrą cię w proch.

– Tam, dokąd zdążam, nie dotrze nikt. Twoi żołdacy, majorze, nie będą mieli wstępu do nowej rzeczywistości. Antyświat, Robercie! Antyświat! – głos Wiedźmaka zahuczał niemalże ekstatycznie. Chemik drgnął; kilka razy słyszał już to słowo z ust Kaufmanna. – I ty ruszysz tam ze mną, majorze. Robert Titomir... Rob! To doskonałe imię dla wojownika, tego, co rabuje i zamienia w rabów innych. I staniesz się moim wojownikiem, ale to nie będziesz już stary ty, a zupełnie nowy. Odmieniony i posłuszny.

Wzrok poprawiał się powoli. Mimo że wszystko dokoła zdawało się drzeć i falować, jak powierzchnia kałuży na wietrze, to Chemik zrozumiał, że siedzi na fotelu. Obok niego znajdowało się zabite deskami, pochyle okno pomieszczenia kontroli lotów.

W środku palił się kłębek różowawego, jasnego ognia, zawieszony w szklanej czaszy. Stał tam podłużny, metalowy stół i wózek na przybory laboratoryjne, zestaw kolb, retort i alembików, kilka szaf i łóżko na kółkach. To na tym łóżku leżał major Titomir, przypięty grubymi pasami. Nad nim stali Arhar i Wiedźmak w swoim nieodłącznym futrze, trzymający w pęsecie coś małego, czarnego... „Partner”, zrozumiał Chemik.

Co się dzieje?! Przecież jeszcze niedawno był w Kompleksie, leżał na materacach i umierał, a za drzwiami na korytarzu krążył, mamrocząc coś do siebie, samiec alfa przemienionych...

– Ej! – zawołał.

Ale zamiast tego prostego, krótkiego okrzyku z gardła wyrwało się coś... coś. Niski, wibrujący dźwięk, którego nie mogła, nie byłaby w stanie wydać ludzka krtań! Wiedźmak odwrócił się, major uniósł głowę. Chemik odkaszlnął, próbując wstać; ciało nie słuchało go jak powinno, więc złapał dłońmi za podłokietniki.

– Widzisz to, Robercie?! – zadudnił Wiedźmak tryumfująco. – Dałem radę! Skoro udało się z nim... To uda się i z tobą!

Łysy czerep, biała przepaska... Kiedy zdążył stracić oko? I wyłysieć? Zaledwie kwartał temu, kiedy widzieli się po raz ostatni, handlarz był dumnym posiadaczem siwej grzywy włosów... I obojga oczu! Wiedźmak, albo Borys Grigoriewicz Wiedźmakow, przed pojawieniem się Sektora dyrektor Muzeum Krajoznawczego Miasta Polesie, wzięty historyk.

Chemik widział jego akta, znał życiorys. Przedziwne koleje losu: przeżył pierwszą Falę, a takich ludzi można było policzyć na palcach. Został w Sektorze, zebrał oddział włóczęgów, zwanych się podróżnikami, uważanych przez większość za sektę, a nie jeden z klanów. Potem pokłócił się z nimi, osiedlił na byłym lotnisku, które wtedy było ledwo raczkującym obozem. Zaczął handlować wszystkim, co tylko mu w ręce wpadło, zainteresował się artefaktami. Następnie za zarobione pieniądze wysyłał ekspedycje w kierunku Wstęgi, potem wyrósł na największego przemytnika anomalnych tworów, przy okazji badał i uczył się używać artefaktów. Jako jeden z pierwszych opanował tworzenie „wiązek”, czyli kombinacji kilku artefaktów w coś zupełnie nowego i innego...

Bywało, że współpracowali. Artur i Nika Kaufmannowie dobrze znali Wiedźmaka. Ludzie gadali, że ponoć kontaktował się on nawet z klanem wargów, którzy nieodmiennie pozostawali

tajemnicą, nawet w Sektorze. Do tego podczas akcji wojskowej rok temu Wiedźmak wystąpił przeciwko Titomirowi, stojącemu na czele ekspedycji karnej, ale potem zawarł z majorem sojusz i rzekomo dobrowolnie oddał pod protekcję Cywika.

Tak, niezaprzeczalnie Wiedźmak zawsze był samowładny i butny, nieco osobliwy, skryty w sobie, z własnymi celami oraz sposobami ich osiągnięcia. Nie zawsze pasował do otoczenia, potrafił być dziwny – ale nigdy nie był *taki*.

Co on, na Boga, ze sobą zrobił? Przecież on *świeci!*

Teraz Chemik widział to wyraźnie. O wiele wyraźniej niż wtedy w hangarze oczami Garsteczki: pod przepaską płonęło bursztynowe światło, blask sączył się z kolana, pełgał przy pasie, potrzaskiwał i sypał iskrami ze zwieńczenia stojącego pod ścianą kostura. Tam skrywała się ostateczna broń Wiedźmaka – „udar”, artefakt generujący impulsy ciśnieniowe, ale... Ale jakim cudem Chemik mógł to widzieć?

Spróbował znów wstać, mocniej oparł się o podłokietniki – i dopiero wtedy spojrzął na swoje palce. Długie, szarawe, z dużymi, wydatnymi kostkami. Silne i zwinne. Porośnięte krótką szczecina...

Nie jego.

Nie tylko one. Nagie ręce, nogi w prymitywnych, skórzanych portkach. Mocna pierś, płaski, muskularny brzuch. To nie był... To nie był on! Nie on!!!

Chemik zasyczał – dźwięk bezwiednie wydostał się z gardła. Miotając się, spadł z fotela, kopiąc bosymi piętami. Uderzył głową o beton, wygiął konwulsyjnie.

Wiedźmak znalazł się przy nim w dwóch sążnistych krokach, zawisł nad rozpostartym na ziemi ciałem. Jego postać zdawała się Chemikowi ogromna, obok niej pojawiła się druga sylwetka – szary olbrzym z obojętną twarzą drapieżnego wilka. Dźwięki zaczęły odpływać, a razem z nimi świat, lecz Chemik usłyszał jeszcze huczący głos:

– Zrozumiał, że obudził się w obcym ciele. Do tego ciele nieczłowieka. Szok somatyczny, jak się spodziewałem. Arhar! Wrzuć go na razie do klatki, potem się nim zajmę. I wracaj tu szybko, mam dla ciebie i Roberta coś niezwykle ciekawego.



– E, e, e, kolego sympatyczny! Mamusia nie nauczyła, żeby nie grzebać w cudzych rzeczach? – Garsteczka przykucnął przy plecaku i pociągnął go do siebie. – Zostaw kasiorkę, ona chce do mnie.

Czerwony Kruk odrzucił paczkę banknotów, ale również złapał za plecak. Garsteczka pociągnął mocniej. Kruk popatrzył na niego, na pieniądze – i puścił. Garsteczka czym prędzej zamknął i zapiął plecak, żeby bogactwo nie kłuło najemnika w oczy i nie sprowadzało durnych myśli.

Garsteczka demonstracyjnie, powoli odłożył w trawę karabin, przy okazji równie powolnym, węzowym ruchem zgarniając do kieszeni leżący tam pistolet. Spokojnie, płynnie, jak gdyby nigdy nic. Jak dziewczynę za kolanko się łapie, żeby się nie spłoszyła przypadkiem.

Kruk pozornie nic nie zauważył, wsunął tylko rękę do kieszeni płaszcza. Oho, pewnie miał tam pistolet, drań jeden. I teraz, zdrajca, z tego pistoletu celował do Garsteczki. Tak samo zresztą jak Garsteczka do niego... Tyle tylko że on najemnika nie chciał zabijać. Czy Kruk gotów byłby jego stuknąć? Trudno powiedzieć, może i nie.

Ot, taka sobie obustronna zbrojna neutralność. Krucha równowaga sił.

– Ja też na te pieniądze zasłużyłem – odezwał się Kruk.

Nie chciało się przyznawać racji, ale... no tak, w sumie to tak, zasłużył. W tym niemiłym znaczeniu, że gdyby nie on, to

Garsteczka by leżał na trawie z dziurą w głowie, a nie Minus.

Garsteczka posażał wciąż bolące po uderzeniu sprzączką palce i powiedział, ważąc słowa:

– Wiesz co, bo ten, no... Ja o te pieniądze walczyłem. Pracowałem, żeby zdobyć. A ty się, tak o, z dupy pojawiłeś i bach. Przypadkiem. Nie mówię, że to źle, bynajmniej. Ale sprawiedliwość dziejowa mówi, że większość powinna być moja. Tak w ogóle, gdzieżeś ty był?

– Niedaleko. Fakt, może i nie walczyłem o nie. Ale gdyby nie ja, toby cię Minus załatwił.

– Ano – westchnął ciężko Garsteczka. – Tak się składa, panie najemniku, że masz rację. A kim ja jestem, żeby się z prawdą kłócić? To co, stówkę ci dam i jesteście kwita. No dobra, znaj szcudrość, sto pięćdziesiąt. Sto pięćdziesiąt uczciwych tysięcy honorowych dolarów za uratowanie gościa z Kompleksu. Odliczamy, przybijamy piąteczkę i każdy idzie w swoją stronę.

– Dwieście i jesteście kwita – powiedział Kruk.

Ech! Jak strasznie chciwi i nieuczciwi są ludzie, czując łatwy zarobek... Tak sobie Garsteczka pomyślał, ale o samym sobie. Kto inny by na jego miejscu podjął najemnika pod kolana, ucałował w oba policzki i lekką ręką oddał połowę, albo chociażby trzecią część. A on sobie od razu policzył, że dwieście kawałków będzie dla Kruka w sam raz; więc zaczął od setki, dorzucił jeszcze pięćdziesiąt i wielkodusznie zgodził się na drugie tyle górką, żeby Kruk też się cieszył, że utargował.

I co? I wyszło. A jakby od razu zaproponował dwieście, to Kruk by sobie krzyknął trzysta. Albo i pińcet. Tak, tak. Chytróść to przydatna cecha.

– Sroka z ciebie, a nie Kruk – pożalił się. – Żerujesz na mojej dobroduszości i wrodzonym miękkim serduszku. No dobrze, ale dla ciebie sobie od ust odejmę. Umowa stoi! Słuchaj, ja tutaj, popatrz, pistolet do kabury chowam, okej? To i ty weź łapki z kieszeni powyciągaj. Żebym się przy liczeniu z nerwów nie

pomylił.

Czerwony Kruk wyjął rękę z kieszeni i wzruszył ramionami.

– Nie miałem zamiaru cię zabić, bracie.

– Ani ja ciebie, mój serdeczny najemny przyjacielu – mruknął Garsteczka, chowając pistolet. – W żadnym razie i za żadne pieniądze.

Otworzył plecak, ale Kruk potrząsnął głową.

– Potem odliczysz, najpierw opowiedz. Byłeś na wieży? Co tam robiłeś? Titomir tam jest?

Hm, hm, opowiedzieć mu... Garsteczka rozejrzał się – cicho, pusto, trup na trawie. Średnie miejsce na poważną rozmowę. Z drugiej strony jednak, lepiej chyba nie będzie.

– A jak tam twoje ramię? – odbił piłeczkę. – Przecież widziałem, że cię major chyba postrzelił.

– Postrzelił, rzeczywiście. Kulę wyjąłem, nic poważnego. Wszędzie tutaj – najemnik dotknął lewego ramienia, boku i nogi – ciało mam dziwne. Jak gąbka, bólu prawie nie czuję.

– Smaku nie czujesz, bólu nie czujesz, normalnie jogin jakiś. Dobra, słuchaj. Titomira i Kovacsa udało mi się przekonać, że jestem ich wielkim przyjacielem. Co prawda z kapitanem z początku po ryju sobie daliśmy, ale nieistotne. Zostali w samolocie, a ja ze „swojakiem” polazłem na wieżę, żeby zabrać „oko”. Rzekomo im przynieść, a tak naprawdę...

Garsteczka opowiedział wszystko w prostych, żołnierskich słowach, po czym podsumował:

– No i tak się sprawy mają, panie najemniku. Nie zostało ci czasem wódeczki trochę w manierce? Nie odmówiłbym, prawdę powiedziawszy.

– Ani ja – odpowiedział Kruk. – Więc co się z Chemikiem teraz dzieje, powiedz jeszcze raz?

– Diabli wiedzą. Mam wrażenie, że Wiedźmakowi podsunąłem głupi pomysł i teraz będzie chciał świadomość Chemika przerzucić przez „kleksa” do tego hipera. Jeśli mu się uda, to

i Chemik, wychodzi, będzie w wieży na Lotnisku. W podwójnej niewoli, że tak powiem.

– Przenieść świadomość... Nikt nie potrafi czegoś takiego, ale masz rację, zobaczymy. A naukowiec? Żyje, martwy?

– Bliżej tego drugiego raczej. A może i całe lata tak będzie leżeć, jak warzywo, nie wiem. Ale tamto... – Garsteczka machnął ręką. – Tamto już było. A jest to, czyli pieniądze i wolność. No, pieniądze już, a wolność zaraz, jak tylko się wydostanę z tego waszego...

– Co Wiedźmak chce zrobić z Titomirem? – przerwał mu Czerwony Kruk, błyskając okiem. Garsteczce przypomniał się „błysk” w oczodole Wiedźmaka, wzdrygnął się i odpowiedział:

– Tego, przyznam ci się, nie jestem pewien.

– Major jest teraz na wieży.

– To pytanie było...? Aha, nie. No wiesz, sam ich sprzedałem, że w samolocie siedzą. Wiedźmakowi wyśpiewałem jak z nut.

Garsteczka skrzywił się na samo wspomnienie. Na poprawę humoru wyciągnął magazynek z pistoletu, sprawdził amunicję, wsunął ponownie. Zatrask szczęknął przyjemnie, serotonina automatycznie podskoczyła. W tym czasie Kruk oznajmił:

– Kovacs zginął.

– O, a to nowość. Skąd wiesz? Widziałeś trupa?

– Nie, ale wykończyli go na pewno. Titomira ludzie Wiedźmaka przywlekli do wieży. Co się z nim stanie?

– A ty co się o niego martwisz? No już, mów, co jest grane! Wystarczy o nim wspomnieć, a się trzęsiesz jak panienka na pierwszej randce. Opowiadaj.

Czerwony Kruk zabębnił palcami po trawie, potem jego lewa ręka zatrzęsa się, najemnik zacisnął pięść i podniósł z wysiłkiem, jak cudzą. Zgiął w łokciu, schował do kieszeni. Garsteczka patrzył na to kątem oka. Nieźle faceta złapało, aż przygięło na bok. Przez kilka minut pożytku z niego nie będzie.

I można by go teraz stuknąć, nawet nie piśnie. Za dwieście

tysięcy dolców... Nie, nie przystoi. Jasne, pieniądze nie byle jakie, ale karmę miał już Garsteczka tak zapapraną, upačkaną wszelkim paskudztwem, że jeszcze chlapnąć na nią krwią bezbronnoego człowieka... Nie. Inni może tak robią, a on nie będzie.

Dziara i Minus zginęli, owszem, ale nie dla pieniędzy – tam szło o życie. Gdyby zauważyli, że Garsteczka umknął spod kontroli ich szefa, to kula w łeb. Jak nie teraz, to potem, w wieży, bo Wiedźmak jak nic by zauważył, że bursztynowa obręcz z głowy jeńca przepadła.

– Słyszałeś o akcji wojskowej? – wyrzucił z siebie Kruk. – Rok temu. Właśnie wtedy major...

Aż niemiło było patrzeć, jak najemnik walczy ze sobą, wypływa słowa z nieposłusznych, krzywiących się warg. Garsteczka przerwał mu:

– Słyszałem, pewnie. Miejscowi się za bardzo rozochocili, pieniądze i artefakty zaczęły przechodzić szychom z ONZ koło nosa, tak? No i Cywik, jako odpowiedzialny za ten kawałek Kordonu, wysłał Titomira z ogniem i mieczem.

– Major ze swoim oddziałem wtedy prawie stu włóczęgów wymordował – odezwał się głośniejszy Czerwony Kruk. Garsteczka myślał już, że tamten zaraz maźnie sobie po dziąśle tym swoim ziołem, ale najemnik chyba wziął się w garść. – Moją brygadę też... dopadli. Wszystkich, bez wyjątku.

– To ty w bandzie byłeś?

– Nie, w brygadzie zbieraczy. Artefaktów szukaliśmy, chodziliśmy na dalekie rajdy. Dobrze znałem Wiedźmaka wtedy, pracowaliśmy razem. Moich wszystkich wybili, mnie wrzucili do „gnojówki”.

– Do anomalii?! – jęknął Garsteczka.

Kruk westchnął ciężko, przymknął oczy. Posiedział tak kilka chwil w milczeniu, potem popatrzył prosto na Garsteczkę. Jego drobna, okrągła twarz ściągnęła się grymasem żelaznej

determinacji, zmarszczki zarysowały się mocniej, mięśnie szczęk ścisnęły.

– Tak – powiedział nieswoim głosem. – Lewą stroną ciała wsadzili do „gnojówki”. Kiedy po kilku dniach doszedłem do siebie, kazali mi iść do Wiedźmaka i przekazać mu: albo idzie z nimi na układ, albo zrobią mu to co mnie, ale głową naprzód. Mieli Marinę, moją Marinkę...

Czerwony Kruk wyciągnął przed siebie lewą rękę i z wyraźnym wysiłkiem rozprostował palce. Ręka przestała drżeć, ale widać było, jak dużo musiało go kosztować, żeby utrzymać ją nieruchomo.

– Kobiety w Sektorze to rzadkość, a Marina była ze mną. W brygadzie i ze mną, rozumiesz? A oni jej nie zabili od razu, tylko męczyli. Kaleczyli, cięli... Powiedzieli: „Przekaż Wiedźmakowi, to żywą ją puścimy”. Nie wierzyłem im, ale poszedłem i tak. Wiedźmak popatrzył na mnie i szybko zdecydował, że woli z armią działać. Kiedy wróciłem – ona już nie żyła.

Kruk znów urwał na chwilę.

– Po tym wszystkim Titomir wyniósł się z Sektora, zbyt wielu chciałoby go widzieć martwym, więc siedział tylko w Kompleksie. A ja czekałem, szykowałem się. Imałem się każdej pracy, ochraniałem naukowców, chodziłem na ekspedycje karne dla tych i dla innych grup, zabijałem za pieniądze. Porozumiałem się... Odnowiłem kontakty z Woźniakiem, tym mechanikiem z Kompleksu. Został moją wtyczką, przerzucał mi informacje, ja płaciłem artefaktami.

– Odnowiłeś, powiadasz?

– Ha, nie uwierzyłybyś, ale uczyliśmy się razem w technikum kolejowym, wieki temu. W innym życiu, przed Sektorem.

– Aha. Fakt, nie uwierzyłbym.

– Ja chcę tylko jednego, śmierci Titomira. Z moich rąk, powolnej i brutalnej, rozumiesz? Żeby wiedział, jak to jest... Żeby

poczuł chociaż ułamek tego, co czułem ja, kiedy trzymałem to, co zostało z mojej Mariny. Chociaż część! – Cały ten czas Kruk trzymał wyciągniętą dłoń przed sobą, jakby celując wyprostowanymi palcami w serce wroga. Teraz jednak wypuścił powietrze, opuścił rękę. – I tylko po to jeszcze żyję. Żeby zobaczyć, jak on umiera. Na własne oczy!

Nachylił się do Garsteczki.

– Widzieć odbicie mojej twarzy w jego gasnących oczach.

Zapadła cisza. Księżyc to pojawiał się na niebie, to nurkował za czarne chmury. Na Lotnisku migotały światełka, cisza, nie zaszeleścił nawet jeden liść. Garsteczka, przygnieciony ciężarem emocji z opowieści, otrząsnął się. Poklepał dłonią po policzkach, przetarł oczy i powiedział:

– Jasna sprawa, Kruk. Okej, chcesz zatłuc majora, utopić we krwi, niezależnie od kosztów i ofiar. Brawo ty, masz moje błogosławieństwo. On jest na wieży, czyli i ty musisz tam wejść. I to szybko, zanim Wiedźmak sam go nie weźmie i na kawałki nie pokroi. Tak? No tak. Więc co, dzielimy kasę i każdy idzie swoją drogą? Ja muszę dojść do Kordonu, stamtąd na zewnątrz, dopóki jest szansa wykorzystać zamieszanie. Czekaj, odliczę twoją działkę...

Otworzył plecak i wyjął paczkę banknotów, ale Kruk położył na jego rękę swoją lewą dłoń.

– Idziesz ze mną – powiedział.

– Eee, to znaczy, niby gdzie? Tylko weź rękę, bo nie lubię, jak mnie faceci dotykają. Babę sobie znajdź, ją będziesz macać.

Czerwony Kruk zabrał rękę, znów wsunął do kieszeni i wyjaśnił:

– Sam nie mam po co do Wiedźmaka, za dużo tam ludzi. Widziałem cię na Stacji, wtedy, z bandytami Minusa... No i to teraz. Nie boisz się zabijać. I umiesz, prawda?

Garsteczka wzruszył ramionami. Jakoś nie poczuł się mile połączony, nawet jeśli miał to być komplement.

– Można powiedzieć, że się udaje. Chociaż do twojej wirtuozerii mi daleko.

– Mało komu nie jest daleko. Nieważne, potrzebny mi partner do tej roboty.

– Kruk, weź se kogoś znajdź na wolnym rynku. Czego ty ode mnie chcesz? Koniec tego, bierz kasę i...

– Płacę dwieście tysięcy dolarów.

– Że jak? – zdziwił się Garsteczka.

Kruk zrobił krótki gest lewą ręką, znów wykręconą przez skurcz.

– Chcę cię wynająć na robotę. Płacę dwieście tysięcy.

– Ty, ale... Nie za dużo ciutkę?

– Dwieście tysięcy. Pomagasz mi wejść do wieży i patrzysz, jak zabijam majora. Konkretnie pilnujesz mi pleców, kiedy to robię. Potem ja pomagam ci uciec. Jeśli będzie trzeba, przykrywam odwrót. Zostaję sam.

– I co, giniesz śmiercią chwalebną?

– Nie ma takiej. To jak, szeregowy? Zgódź się.

Czerwony Kruk patrzył mu w oczy. Jedno oko miał normalne, a drugie wyglądało jak mała, czarna dziura, za którą była tylko ciemność.

– Niech cię cholera! – Garsteczka zerwał się, zrobił parę kroków ku ciału Minusa, odwrócił się i ze złością kopnął plecak, z którego wyleciało kilka paczek banknotów. Kruk ani drgnął. Czekał.

Dwieście tysięcy! Garsteczka zacisnął pięści. Niech je piekło pochłonie, pieniądze cholerne! Co mu po pieniądzach, jak będzie martwy?! Nie o pieniądze chodziło! Bardzo często, przeważnie, niemalże zawsze chodziło właśnie o pieniądze, ale nie tym razem! Oprócz pieniędzy bowiem było jeszcze coś, a nawet ktoś.

Był Chemik. Jeśli Garsteczka właściwie zrozumiał brednie Wiedźmaka, to Chemik był już w wieży. Czytaj: w niewoli. I jeszcze ta dziewczyna, którą ledwo zdążył poznać, siedząca

w celi i trzymająca na rękach konającego ojca...

I wszyscy inni ludzie. Dziesiątki ludzi, a może i setki. Ludzi, którzy jeszcze byli sobą, a w planach Wiedźmaka mieli po mignięciu „błyska” zamienić się w powolne mu bydło.

– Jechana twoja anomalna mać! – zawarczał wściekle Garsteczka. Gdyby nie propozycja najemnika, to jakoś by w sobie stłumił myśl o Chemiku, Nice i innych ofiarach Wiedźmaka... A teraz nie miał na to argumentów.

Czerwony Kruk wciąż milczał. Garsteczka odetchnął głęboko, po czym przykucnął i zaczął metodycznie zbierać wysypane pieniądze.

– Wiesz, co to jest, to „oko zła”? Co to robi?

– Nie – odpowiedział Kruk.

– No więc chyba artefakty może ładować i wzmacniać. Taki akumulator-potencjometr. Ten tam, „błysk”, to jakaś rzadkość, co nie?

– Rarytas.

– No właśnie tak myślałem, bo inaczej po całym Sektorze by czyjeś zombi łąziły. Jaka to cholerna pokusa dla takiego łysego fiuta: błysnął ci po oczach i ma niewolnika. Niewolnika takiego na maksa, co i buty mu wylize, i życie odda bez mrugnienia okiem. A teraz ten palant w futrze może swój „błysk” ładować od „oka” jak komórkę na indukcji. Tak sobie myślę, że tylko artefakt w „oko” wkłada i już. Bo ono jest puste w środku, łapiesz? I tam w środku jest... uch ty! Wszystko płynie i się topi, jak dziura wyrwana... nie wiem, w zaświaty, czy coś. Włożył, wyjął i jazda, czujesz? Więc pomyśl, co będzie, jak ten dupek zacznie sobie po troszku produkować armię, to raz. A dwa, to Chemik i jego panna.

– Córka naukowca? – upewnił się Kruk.

– A jakże. No co, zostawimy ją samą, wilkom na pożarcie? Bo rozumiesz, Kruk, jak taki Chemik ci w głowie tyle godzin przesiedzi... No to, cholera, bliski ci się staje.

Garsteczka zapiął plecak, rozejrzał się po okolicy i powiedział:

– Czyli co, Kruk, rozumiem, że nie muszę ci nic odliczać i całość moja? Super. To zostają dwie kwestie do wyjaśnienia. Raz, gdzie schować plecak? Do „kieszonki” nie ma co, bo się pieniądze ubrudzą, więc pomyśl o jakimś dobrym miejscu. A dwa, to jak mamy wejść do tej przeklętej wieży?



Kiedy Arhar do spółki z Rysiem wrzucili do klatki rzucającego się konwulsyjnie hipera, Nika Kaufmann poderwała się, przerażona. Stwór miotał się na posadzce, machając długimi łapskami.

– Gdzie?! – wrzasnęła dziewczyna. – Do drugiej klatki go!

– Teraz już można – uciął Rysiu. – A z tym co robić?

Patrząc kątem oka na rzucającego się i skrobiącego pazurami po podłodze hipera, wszedł do celi i przykucnął nad leżącym nieruchomo naukowcem. Skrzywił się, wysunął do przodu mocną szczękę. Arhar stał w drzwiach, jak zwykle z założonymi rękami. Rysiu złapał Kaufmanna za gardło.

– Co robisz?! – Nika próbowała go odciągnąć, ale Rysiu odepchnął ją, aż zatoczyła się pod drugą ścianę.

– Puls sprawdzam, głupia dzido – warknął, przyciskając do szyi profesora dwa palce. Wsłuchał się, pokręcił głową i wstał.

– Arhar, idziemy – rzucił, przechodząc nad hiperem.

Zgrzytnął zamek, wyszli z podziemia, zamykając za sobą drugie drzwi. Nika ostrożnie zrobiła krok w kierunku ojca, ale żeby podejść, musiałyby wyminąć hipera. Ten uniósł głowę, a potem złapał ją za kostkę długimi palcami i zasyczał przejmująco. Dziewczyna pisnęła, chciała się wyrwać...

Chemik zasyczał mimowolnie – dźwięk po raz kolejny sam wydobył się z nieposłusznego gardła. Otwierał usta, próbując powiedzieć Nice, że nie ma się czego bać, że to on, ale nie był

w stanie wykrztusić ani jednego normalnego słowa! Obce ciało nie słuchało go, nawet kiedy próbował delikatnie poruszyć ręką, ta podrygiwała, jak w ataku padaczki, nogi drżały i uginały się, nie dając żadnej opory.

Ale najgorzej było z głową. Na świadomość nakładały się wrażenia hipera, prymitywne i niejasne dla człowieka, za to o wiele silniejsze i pełne pierwotnej wściekłości. Przestrzeń falowała i gięła się, jak folia aluminiowa, obraz rozjeżdżał... Chemik oparł się pięściami o posadzkę, podniósł na kolana. Był to bodajże pierwszy w miarę skoordynowany ruch, jaki udało mu się wykonać w nowym ciele, więc aż pogratulował sobie w myślach: brawo, teraz można się spróbować uspokoić.

Zacisnął zęby, zwiesił głowę w dół, patrząc się na nie swoją klatkę piersiową i brzuch. Umięśnione, chude, wyrzeźbione z samej skóry i kości, pokryte krótką, miękką sierścią, trzęsły się i drżały, spazmy co i rusz spinały przeponę. Serce biło jak młotek pijanego majstra, do nierównego taktu przed oczami migwały krwawe plamy.

Stopniowo, powoli wyrównał oddech. Kilka razy stuknął zębami, przyzwyczajając się do nowej – cudzej! – szczęki i zębów, przeciągnął po podniebieniu szorstkim językiem. Rzucił głowę na dziwnie długiej, giętkiej szyi, w końcu ukląkł. Spodenki ze skóry napięły się, zagrały schowane pod nimi mięśnie. Po raz kolejny zacisnął pięści, pochylił i wbił wzrok w skuloną w rogu Nikę Kaufmann.

Jej sylwetkę otaczało zielonkawe, migające halo. Chemik wytrzeszczył oczy, przetarł niewprawną pięścią: aura nie zniknęła, wręcz nabrała wyrazistości. Kiedy dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę, blask zamigotał, przelewając się w przestrzeni.

No tak, wzrok hipera, który teraz należał do niego. Widzenie warunkowane było przez zestrojenie gałek ocznych z nerwami, charakterystyki odpowiedzialnych za nie fragmentów mózgu...

Był hardware i software, żelastwo i ciągi zerojedynkowe, jedno zgrane z drugim. A teraz system operacyjny Chemika siłą przerzucono na nieprzystosowaną platformę. W zasadzie jeszcze inaczej: nadpisano jego pliki systemowe na zupełnie inny OS, mający własne drivery i kodeki. Nic dziwnego, że występują konflikty sprzętowe.

Pół biedy, że nie wyrzuca go do blue screena.

Zajęczał, ściskając głowę rękami: wszystko znów zaczęło falować i drgać, świat zamigotał, gdy wzajemnie wykluczające się informacje przepełniły mózg, a w ślad za nim całe ciało.

Usterka sprzętowa. To była ostatnia jasna myśl, a potem przewrócił się na bok i znieruchomiał.

Kiedy ocknął się ponownie, było nieznacznie lepiej. Coś i tak nie grało, perspektywa rozjeżdżała się, odległości pomiędzy obiektami nie zgadzały się z rzeczywistością. Kolory też były jakieś dziwne... Zmieniły się dźwięki, wszystko było głębsze, jakby przeciągnięte w czasie, ale jednocześnie bardzo wyraźne. Wyglądało na to, że mózg specjalnie odłączył jego świadomość na jakiś czas, próbując stworzyć nowe ustawienia fabryczne... Tak, było zdecydowanie lepiej.

Widział, słyszał, mógł się poruszać. Mówienie nie wychodziło, i koniec; zrozumiał to, gdy zamiast: „Nika, to ja, Andrzej” wybełkotał jakieś: „Yyya, oaa, Ahee”.

Dziewczyna patrzyła na niego, szczerze przerażona. Chemik próbował podpełznąć do niej na czworakach, ale Nika krzyknęła: „Nie zbliżaj się!” i kopnęła go w głowę. Nie wyszło mu to na dobre, bo znów upadł, mając wrażenie, że w relatywnie już spokojną wodę jego umysłu ktoś wrzucił z rozmachu pół cegłówki. Dlaczego, za co tak?! To on tu na kolanach, a ona go w łeb?!

Chemik zgrzytnął zębami, złapał się krat i warknął:

– Ne yij mne, hupia.

Zupełnie nie wychodziły mu dźwięczne, pełne zgłoski, do

których nie był przystosowany ani język, ani krtań hipera. Mimo to Nika musiała zrozumieć, bo spojrzała na niego, na poły zaskoczona i oszołomiona.

– Ty mówisz?

– Nhe... T’ja – zamlaskał Chemik. – Thy... Urfa maś...! Hoa, ho Eeeemik! Eemik!

– Che... Andrzej?!

– Hak! Tfu! Tak! Ho yja, ja!

– Ale jak... ale... „Kleks”? Ale gdzie jest twoje ciało?

Jego ciało! Jego stare, dobre ciało! Wcale nie takie stare, nawet dość zadbane, ale jego własne! Leży gdzieś tam, w pustym Kompleksie, na stercie materaców, nieruchome. Opuszczone przez właściciela...

Na ile odczucie swojego „ja” zależy od ciała? Niby to tylko powłoka, ubranie, ale przecież nigdy niezdejmowane. Czasem za luźne, kiedy indziej obcisłe i przyjemne w dotyku, czyszczone albo i nie, zadbane albo przedwcześnie zamienione w łachman – ale przecież twoje! A teraz tę część Chemikowi odebrano, obleczone w nowe ciuchy. Cudze!

Czuł nadal echo świadomości hipera – niczym przerażony, nic nierozumiejący zwierzak wciąż rzucała się i wierzgała, stopniowo jednak rozmywając się, zanikając, tak jak niedawno on sam rozpuszczał się w oceanie bezdennej ciemności.

Nika ostrożnie podeszła bliżej, wyciągnęła rękę, dotknęła jego dłoni. Przesunęła palcami po skórze, ujęła za ramię. Klęczeli naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy.

– To naprawdę ty?

– Ja. Ahrzej, Cheemich – wciąż mówił niewyraźnie, mlaskając i sepleniąc, ale przynajmniej go rozumiała. – Ddzie Aarsteczka? Ten z Oompleksu?

– Nie wiem. Wiedźmak go zombifikował, wszyscy sobie poszli. A potem przynieśli ciebie.

– Pszsz... Przenieśli. Przenieśli mnie.

– Jak... Ach, no tak. Przenieśli.

Chemik dotknął jej ręki. Nika drgnęła, ale nie cofnęła dłoni.

– Jak się szymasz, Nika?

– Słabo. Fizycznie w miarę, ale ojciec...

Spojrzeli oboje na leżącego nieruchomo Kaufmanna.

– Ojciec nie żyje – szepnęła Nika. – Teraz już zupełnie. Jakiś kwadrans temu miał skurcz i... i koniec. Serce stanęło.

– Przykro mi – wymamrotał Chemik. Zabrzmiało to do bólu banalnie, ale co w takiej chwili powiedzieć? Delikatnie poklepał dziewczynę po ramieniu, spróbował wstać. O dziwo, nawet mu się udało, chociaż z trudem. Nogi były nie takie jak powinny, stawy działały inaczej, wszystko było inne! Zataczając się, jak pijany marynarz, Chemik przeszedł po klatce, szarpnął drzwi nieposłusznymi palcami. Wrócił na miejsce, usiadł po turecku, dociągnął nogi rękoma we właściwą pozycję.

– „Oko zła”... – zaczął.

Otworzyły się drzwi, do podziemia weszło czterech ludzi. Nieznajomy mu brodac, Rysiu i dwóch wargów, ubranych w kamuflażowe spodnie z frędzlami i kurtki ze skór, wyglądających jak karykatury współczesnych Indian. Jeden nosił plamiastą bandanę, drugi świecił jaskraworudym irokezem.

Chemik i Nika odwrócili się do krat, goście podeszli bliżej, stanęli. Rysiu pokazał na martwego Kaufmanna i oznajmił:

– Kojfnął pacjent.

Rudy otaksował wzrokiem jeńców i odezwał się, kalecząc zgłoski:

– To wielki szaman. Żywy powinien być. Potrzebny, żeby rytuał. Potrzebny ciemny dom, Wielkie Oko, potężny szaman. Dlaczego zabić potężnego szamana? Co teraz?!

Bez ostrzeżenia złapał Rysia za fraki i przyciągnął do siebie, podsunął pod nos pięść w skórzanej rękawicy bez palców. Na tylnej stronie dłoni coś błysnęło.

– Ryżebod, uspokój się! – Brodac wskoczył pomiędzy nich.

Rysiu odepchnął rękę wargą, odsunął się, krzycząc:

– A co, ja go zabiłem czy co?! Wiedźmaka się pytaj, co mu zrobił!

– Wiedźmak gdzie?! – ryknął Ryżebod. – My tutaj, oni mówić: nie wchodzić! W pokoju trzymają!

– Wiedźmak jest zajęty! Zaraz skończy swoją robotę, będziecie gadać!

– Gadać?! – powtórzył warg, a na jego grubo ciosanej, wilczej twarzy mignęło niedowierzanie. – Gadać nie! Musi, potrzeba potężny szaman, tylko potężny szaman prowadzi do ciemnego domu! Wielkie Oko potrzebne do rytuału! Gdzie?!

– No to mówię, przecież „oko” ma Wiedźmak u siebie! – odezwał się znów brodaty. – Na górze. Zaraz pozamyka swoje sprawy i pójdziemy wszyscy gdzie trzeba. A do twojego ciemnego domu córka szamana pewnie też może wejść, co? Dlatego jej Wiedźmak nie ruszył, rozumiesz? Ona poprowadzi. No już, idziemy stąd, dość tego cyrku. I ty swoim „asurem” przed twarzą ludziom nie machaj, jeszcze przypadkiem komuś łeb urwiesz. Idziemy, idziemy! Zaraz się z Wiedźmakiem zobaczysz, on wszystko wytłumaczy.

Ryżebod pozwolił się wyprowadzić z celi, za nim wyszli też pozostali. Drzwi znów jęknęły, zgrzytnął zamek.

Chemik słyszał wyczulonym uchem hipera to, czego nie potrafiłby wychwycić żaden człowiek – kroki za drzwiami, stuk zapadek w zamku, zamykające się drugie drzwi, kroki... Nawet stuk skobla.

Kiedy wszystko ucichło, odwrócił się do Niki i powiedział:

– Prosiłście mnie, profesor i ty, żebym znalazł „oko”. Ale żadne z was nie powiedziało mi całej prawdy, zgadza się? Nawet ty, po tym, co razem...

– Ojciec ukrywał to przed wszystkimi. – Nika spuściła głowę. – Pamiętam jeszcze, jak przyjechaliśmy do Polesia, ale to, co działo się tam... Przecież wtedy, przed pierwszą Falą, nie miałam nawet

dwunastu lat.

– Zaprosił was Borys Wiedźmakow, prawda? Wiedźmak?

– Tak. Przyjaźnili się z ojcem, uczyli razem w szkole. Ojciec poszedł w fizykę kwantową, Wiedźmak w historię. Cały czas organizował wyprawy archeologiczne, aż pewnego razu znalazł coś w okolicach Polesia. Coś... coś przedziwnego. Jakiś obiekt, ale nie wiem wszystkiego.

Chemik spojrział jej prosto w oczy. Uważnie, z powagą.

– Wargowie... Oni nie są *stąd*, prawda?

– Zostali... przetrzuceni – odpowiedziała. – Skądś indziej.

– An-ty-świat – przesyłabizował, czując, jak język znów przestaje go słuchać. Do tego jeszcze zaczął grasejować, litera „r” była w ogóle poza jego zasięgiem.

Obliział spierzchnięte usta, poruszył parę razy dolną szczęką i podjął:

– Kilka razy słyszałem, jak mówił o tym Kaufmann. To, co znalazł Wiedźmak, to przejście, prawda? Portal tam, na drugą stronę? Do Antyświata?

– Nie, chyba nie. Wydaje mi się, że Antyświatem nazywał coś, co powstało wewnątrz Wstęgi. Tam zaginają się prawa fizyki, kontinuum czasoprzestrzenne wariuje.

– I to tam, w Polesiu, mieszkałaś przed pierwszą Falą?

– Tak, ale zrozum... Ja nic nie pamiętam! Tylko to muzeum, dom z kolumnami. I coś jeszcze, coś w środku.

– Co?

– Nie jestem pewna. Tam było wiele rzeczy, eksponatów. Ojciec zaczął badać to coś, do czego wezwał go Wiedźmak i... I coś zrobił, chyba to uruchomił. Przypadkowo, albo celowo, z ciekawości? Nie wiem, nigdy o tym nie mówił. Wydaje mi się, że „oko” było częścią, elementem tego obiektu czy urządzenia, które znalazł Wiedźmak. Ojcu udało się je odłączyć, wyjąć „oko”, a w rezultacie przyszła pierwsza Fala. Tata bardzo rzadko o tym mówił, nawet kiedy ustąpiła amnezja. Nie lubił tych wspomnień,

coś musiało go bardzo wystraszyć. W końcu ze wszystkich ludzi w Polesiu przeżył tylko on, Wiedźmak i jeszcze jeden artysta, który pomagał przy ustawianiu wystaw w muzeum. Pojawił się Sektor, będący efektem ubocznym... czegoś.

– Jak gazy wylotowe – mruknął Chemik.

– Co takiego?

– Kiedy uruchamiasz samochód, to pierwszy obrót tłoków, takie kasznięcie silnika... I kłęb czarnego dymu z rury wydechowej. Takim kłębem była pierwsza Fala, a Sektor to plama sadzy na posadzce warsztatu.

– Andrzej, zlituj się z metaforami... Ale może być i tak. Jest jeszcze coś. – Nika zajrzała mu w oczy. – Ojciec powiedział kiedyś... Nadal nie wiem, co miał na myśli, to chyba najdziwniejsza rzecz, jaką od niego słyszałam. Tata powiedział, że bardzo, bardzo dawno, tysiące lat temu, ten obiekt znaleziony przez Wiedźmaka rozszczepił światy.



No przecież ci mówię, że musi być tunel. – Garsteczka nachylił się, zaglądając do dziury, ziejącej pod korpusem samolotu. – Inaczej nie robią. Lotnisko jak się patrzy, jest wieża kontroli, to jest i tunel techniczny, którym idą media, kable puszczane... Ty co, myślisz, że to po ziemi się kładzie? Mój kochany, pod każdą bazą są tunele komunikacyjne. I jeden musi łączyć budynek centralny z wieżą.

Znajdowali się właśnie w owym centralnym budynku, w który ongiś wbił się samolot. Ta część Lotniska nie była zamieszkana, panowała cisza i spokój, tylko drobne gryzonie szurały i szeleściły w hałdach śmieci, pośród szczątków połamanych płytek podłogowych, na wpół zwalonych ścian i odpadającego z sufitów, przemokłego tynku.

Garsteczka położył się na brzuchu, zwiesił do jamy głowę i zaświecił jedyną latarką. Przyjrzał się i zawyrokował:

– Dam ci latarkę i karabin. Zleżę pierwszy, podasz mi, potem ja ci pomogę zejść.

Wcześniej wcisnął się do rozbitego samolotu i schował plecak w czeluściach luku bagażowego. Na podłodze leżały tam lekkie stalowe płyty, więc po prostu podniósł jedną i wsunął pakunek pod spód, a potem przyrzucił kilkoma połamanymi fotelami, które walały się po całej maszynie.

Nie odważył się zostawiać wypchanego kasą plecaka w pobliżu

„kieszonki”, więc musiał leżeć na Lotnisko, niosąc na plecach pięć milionów dolców. Z jednej strony, bliskość pieniędzy przyjemnie grzała duszę; z drugiej, cały czas miał wrażenie, że ktoś na niego patrzy. A tutaj, wnosząc po ilości śmieci i brudu, nikt się nie zapuszczał.

Wrócił do najemnika, przekazał mu broń i po kolei zeszli do dziury, wybitej w konstrukcji przez upadek potężnej maszyny.

Pod centralną salą było piętterko z toaletami i pomieszczeniami technicznymi, a jeszcze niżej znaleźli kwadratowy pokój z żelaznymi drzwiami. Oczywiście zamek był dawno wyłamany, a wszystko cenne rozszabrowane albo zwyczajnie poniszczone. Pod nogami chrzęściły potrzaskane płytki.

– No dobra, to teraz trzeba określić kierunek – odezwał się Garsteczka, zabierając Krukowi latarkę. – W którą stronę jest wieża?

Najemnik zadarł głowę, zmrużył oko i bez wahania pokazał ręką.

– No patrz, tak samo myślałem – mruknął Garsteczka. – Skoro wszystkie te włazy prowadzą do tuneli, to nasz będzie... o ten. No, to w drogę.

Tunel był betonowy, wilgotny i niski. Czerwony Kruk szedł bez większych problemów, a Garsteczka sapał i giał się, żeby nie zaczepiać głową o kable i nie zgarniać włosami pajęczyn z mocowań ciągnących się wzdłuż ścian.

Nie dotarli nawet do jednej trzeciej odległości, kiedy drogę zagrodziło im osuwisko – mieszanina betonu, kamieni i ziemi. Żeby przekopać się przez coś takiego, potrzeba było sprzętu, brygady i kilku dni roboty.

– No to doszliśmy. – Garsteczka uniósł latarkę, poświecił. – Tego się obawiałem, Wiedźmak jest nie w ciemną bity, żeby dróg nie pozabezpieczać. Ale warto było sprawdzić.

– Myślisz, że ten zawał jest sztuczny? – Kruk kopnął czubkiem buta kawał betonu.

– Wystarczająco prawdziwy, żebyśmy nie przeszli. Nieważne, wracamy. Tylko co dalej? Do świtu jeszcze parę godzin, a za dnia nijak tam nie wleziemy. I z godziny na godzinę rośnie szansa, że ktoś inny, a nie ty, stuknie pana majora.

– Chemik też jest w niebezpieczeństwie, o ile tam go trzymają. Nie mówiąc o naukowcach.

– Ano. Tę wieżę, to myślę, że na rympał trzeba wziąć, z doskoku, teraz, zaraz! Ale nie we dwóch, cholera. A major sam mówił, że ludzi by trzeba szukać nie wiadomo gdzie, bo tutejsi się boją.

Teraz jako pierwszy szedł Kruk. Podeszwy głucho stukwały o beton, gdzieś w ciemnościach kapła woda. Zupełnie jak krew trupa z anomalii, lejąca się z pustego powietrza... Garsteczka pomyślał, że wypadałoby wyciągnąć nieszczęśnika z „kieszonki”. Minusa wrzucili do wody i docisnęli deską, tamtego też by tak trzeba.

No tak, pieniędzy do „kieszonki” nie można było włożyć, bo przecież wie o niej Wiedźmak, ale trupa zostawiać tam też się nie godzi. Niech sobie myśli Wiedźmak, że we trzech uciekli z kasą... Chociaż nie, Dziara był też zombifikowany, więc nie mógł zdradzić. Czyli co, Minus ich zastrzelił? No, dokładnie! Zastrzelił i uciekł z łupem. Niech tak sobie szaman myśli.

– Ty, czekaj, chyba mam pomysł – powiedział Garsteczka, stając w miejscu. Kruk odwrócił się. – Weź popatrz tylko. Zaraz Wiedźmak zacznie svirować. Zresztą pewnie już zaczął, przecież dawno powinniśmy wrócić z plecakiem. I co zrobi?

Czerwony Kruk milczał, czekając na ciąg dalszy. Garsteczka westchnął i nie doczekawszy się reakcji, mówił dalej:

– No przecież sprawdzić pójdzie, nie? I to sam pójdzie, osobiście, bo poza nim nikt „kieszonki” nie zobaczy. Weźmie swoich mułów i pójdą.

– No i co?

– A to, że wiemy, ty i ja: niedługo z wieży wyjdzie i polezie do

bagienka nieduży oddział. Wątpię, żeby Wiedźmak całą ochronę ze sobą brał.. No i co, może zasadzkę urządzić, he?

Pod koniec mówił już z wahaniem, bo sam zrozumiał, że nic z tego nie wyjdzie. Kruk ubrał w słowa jego wątpliwości:

– Mamy dwa kałasze i dwa pistolety, po magazynku do każdego. Jest nas, jak zauważyłeś zapewne, dwóch. A oni jak wyjdą, to mocną grupą z noktowizorami... A Wiedźmak nie jest głupi, poczeka do świtu. Nic z tego.

– Cholera, sam już wiem.

– Ale ja mam inny pomysł. – Najemnik ruszył dalej.

Garsteczka dogonił go i puknął w ramię:

– Ej no, jaki? Kurde no, nie zachowuj się jak ostatni buc! Mówże!

– Znasz Sułtana?

– No, bez przesady, dwa dni tu jestem. Słyszałem i widziałem, ale nie znam. Drugi lokalny boss.

– Tak, trzyma Arenę i gospodę na rynku. Sułtan ma za mało swoich ludzi, żeby uderzyć na Wiedźmaka; wręcz przeciwnie, ostatnio nawet boi się, że Wiedźmak go sprzątnie, bo teraz ma swoje zombi. Sułtan nie będzie płakać, jeśli... – Kruk zamilkł, idąc szybko ku wyjściu z tunelu. Poły płaszcz powiewały z boku na bok, szurając o beton. – Nie będzie płakać, jeśli poderwiemy miejscowych i poprowadzimy do ataku na wieżę.

– Oho. A czemu mieliby dać się poderwać? – zdziwił się Garsteczka. – Przecież nawet ty się zgadzałeś z Titomirem, że ciężko będzie znaleźć kogoś, kto pójdzie na Wiedźmaka. Coś się ostatnio zmieniło?

– Wtedy w równaniu nie było Titomira – warknął Kruk. – Nikt nie wiedział, że jest w Sektorze, tym bardziej że siedzi z Wiedźmakiem na wieży. Majora strasznie nienawidzą i jeśli powiedzieć im, że Wiedźmak go ukrywa... To wszystko zmieni. Wszystko.



Sułtana znaleźli w dużym, wojskowym namiocie niedaleko miejsca, gdzie wciąż trwała hulanka. Ochraniło go czterech wykidajłów – dwóch przy wejściu i dwóch w środku, więc żeby wejść, trzeba było się gęsto tłumaczyć. Gości wpuszczono dopiero po tym, jak oddali całą broń i pozwolili się przeszukać.

Gdy zasiedli naprzeciwko Sułtana, dwaj ochroniarze stanęli z tyłu, trzymając palce na spustach. Na niskim stoliku płonąła lampa gazowa, druga kołysała się pod sufitem.

Sułtana przewano tak nie bez powodu: korpulentny, czarniawy, z lekko skośnymi oczami... Jeszcze tylko haftowany kaftan i dziwna czapa, a trafiłby do tureckiego serialu.

Wysłuchał ich. Długo milczał, taksując od stóp do głów ciemnymi oczami, lewą dłonią przebierając paciorki różańca. W końcu rozłożył ręce.

– Iść na wieżę... Teraz? Przecież wszyscy są pijani. Sami słyszycie.

Przez płótno namiotu bez przeszkód niosły się wrzaski, okrzyki i śmiechy. Nawet teraz, gdy na zmianę wykładali Sułtanowi swój plan, trzy razy wybuchały jakieś burdy, tłumione przez ochronę.

– Wytrzeźwieją, jak tylko usłyszą, co się szykuje – zaproponował najemnik.

– Czyżby? A jeśli nie, to co?

– Te, Sułtan, no weź – wtrącił się Garsteczka. – Co za różnica, czy po pijaku, czy na trzeźwo pójda? Nawet lepiej, jak pijani będą, bo przecież na trzeźwo byś ich w życiu nie namówił. Jak se człowiek chlapnie, to i odwagi przybywa, i złość szybciej łapie! No, rozpalić towarzystwo, mowę jakąś płomienną sieknąć, cyc goły pokazać! Niech krew żywiej zagra!

– Jest jeszcze jeden problem. – Sułtan pokręcił głową. – Po

walkach w hangarze zapowiedziałem, że na nocne picie idą bez broni. Żadnych pistoletów, noży, nic, żeby się nie pozabijali przypadkiem. No założmy, że ich poderwiemy, i co dalej? „Idźcie do siebie, wróćcie z bronią”? Albo z gołymi rękami ich posłać?

– To im daj broń – zaproponował Kruk.

Sułtan zmrużył oczy, patrząc na niego wnikliwie. Najemnik pokazał ręką na odgradzoną brezentem część namiotu

– No przecież wiem, że masz. Każdy coś chowa na czarną godzinę. Wydaj ludziom, jak my już z nimi pomówimy.

– Broń... Broń kosztuje.

– Aha, a władza na Lotnisku za darmo na rynku idzie, na kilogramy! – sarknął Garsteczka, którego takie przerzucanie się mądrościami zaczynało już złościć. – Ty co, cudzymi rękami chcesz ziemniaki z ogniska wygarnąć i się nażreć do syta? Przecież jutro, albo jeszcze dziś, to może być twoja wieża! Będziesz miał pod sobą całą okolicę!

Sułtan uśmiechnął się półgębkiem, ale zmilczał. Widać było, że myśli intensywnie, palce szybciej zakreśliły różańcem.

– Przy ataku zginą ludzie. Mniej ludzi to mniej klientów. Straty będę miał w handlu.

– Przyjdą nowi – odparł Kruk. – Cały czas nowi przychodzą, a sława zostaje.

Sułtan wstał, założył ręce za plecami i ciężkim krokiem przeszedł się po namiocie. Jego szeroki cień na zasłanej skórą podłodze wyciągnął się daleko, kiedy stanął przy lampie, gdzieś w bok uciekł, długi, bledszy od światła na stole. Pod ścianą stali milczący ochroniarze, a Garsteczka aż czuł między łopatkami, że nie wypuszczają broni z rąk.

Sułtan odwrócił się, znów rozłożył ręce, tym razem uśmiechając się drapieżnie.

– A przecież można spróbować! Można! I czuję, czuję tutaj, o! – Uderzył się ręką w pierś. – Że się uda. Musi się udać! Żelazny Major, sam Titomir na wieży... Jako gość Wiedźmaka! O ile,

gołąbki moje, nie kłamiecie...

– Jest tam – warknął Kruk.

– Zatem... dobrze. Tobie wierzę. Ja dobry jestem, układny, lubię z ludźmi się dogadywać. Wiedźmak zły, on woli siłą. I niech zatem siłą mu się dostanie! Titomir, tutaj, w zasięgu ręki... Co go naszło, że się tu zjawił? Przecież to wróg dla wielu, chociażby dla ciebie, Kruk.

– To co, zgadzasz się? – zapytał Garsteczka.

– Zgadzam się, tak. I broń wam dam. Tylko trzeba pomyśleć, jak to wszystko zrobić, żeby na pewno się udało. I szybko, szybko! Zanim słońce wstanie, zanim ludzie się popiją do końca.

– Się zrobi! – Garsteczka klepnął się po kolanach, wstając. – Tylko jest jeszcze jedna sprawa, Sułtan. Masz pewnie artefakty, nie? Na pewno masz, nie udawaj. Przydałoby się kilka „perłówek”, tych, co robią za granaty termiczne. I dwie liny z kotwiczkami, tak z, no... po dziesięć metrów każda.



W rogach drewnianego podestu, nad którym rozciągnięto brezentowy dach, stały koksowniki pełne węgla. Garsteczka zauważył, że przez ostatni kwadrans ludzi trochę ubyło, więc Sułtan miał rację: włóczędzy pochłali, a teraz rozpełzali się powoli po swych kwaterach, namiotach i szałasach. Mimo to impreza miała jeszcze dobre kilka dziesiątków uczestników, z których część siedziała w grupach, a część tłoczyła się przy długim, wąskim stole z desek, zastawionym talerzami i talerzykami, cynowymi kubkami i butelkami. Przy jednym końcu kilku ludzi próbowało coś radośnie śpiewać, przy drugim dojrzewiała kolejna bójka.

Garsteczka i Kruk podeszli do siedzących przy tym weselszym krańcu.

– Rusak – szepnął Kruk, pokazując na barczystego wścacha ze strzechą płowych włosów. – Bywały włóczęga, ma posłuch. Major zabił mu rodzony brata.

Na nowo przybyłych nikt nie zwracał uwagi. Garsteczka rozejrzał się i zauważył, że zza jakiegoś namiotu czterech ludzi wyniosło długą, ciężką, drewnianą skrzynię. Przed nimi przeszedł Sułtan z latarnią w ręku, pokazał gestem, gdzie mają postawić, po czym ruszył przez podest, odpowiadając skinieniami głowy na pozdrowienia i okrzyki włóczęgów. Ktoś złapał go za rękaw, przyciągnął do siebie, żeby coś powiedzieć; Sułtan cierpliwie wysłuchał pijanego, poklepał po ramieniu i ruszył dalej.

– Ja mówię – zastrzegł Kruk.

– Jesteś pewien? – zdziwił się Garsteczka. – Nic osobistego, rozumiesz, ale na komentatora sportowego to by cię nie wzięli raczej, a ja, co jak co, ale gadane to mam. Wiesz, jak nas wtedy po telewizji przeciągnęli, takich się gadek nauczyłem, że pewnego razu to normalnie...

– Dla nich jesteś nikim. Ja mówię – powtórzył Kruk, wyciągając z kieszeni drewniane pudełko.

Garsteczka popatrzył na twarze zasiadających za stołem: prości chłopcy, sól tej ziemi... Młodzi i starzy, gładcy i pomarszczeni, ogoleni i zarośnięci. Niektórzy nawet z błyskiem inteligencji w oczach, inni jak urodzeni bandyci i zbóje. No tak, zacznie do nich gadać, to dopiero będzie, jak na niego wsiądą... albo i mordę obiją.

– Ty, weź i mnie kopsnij działkę – poprosił, kiedy Kruk uchylił wieczko. Zawartość pobłyskiwała zimno, niczym lodowy ogień. – Bo mi Wiedźmak jakieś takie anomalne extazy dał, ale chyba zaczynam mieć zjazd, bo żebra znów ciągną i plecy czuję. No weź, klin klinem.

– Potrafi mocno do głowy pójść, jak ktoś nieprzyzwyczajony – ostrzegł go najemnik. – Zresztą i przyzwyczajonych mocno

bierze.

– No, to jak znalazł dla mnie teraz. Kurde, przecież ostatnio spałem... nawet nie pamiętam kiedy, a jadłem jak wróbelek, razem z tobą. Burgera bym teraz wciągnął, podwójnego z colą i kimnął się tak ze dwanaście godzin... Nie dam rady bez jakiegoś dopalacza, więc kopsnij działkę.

Najemnik wyciągnął szkatułkę. Garsteczka zajrzał, wsunął do środka palec, wyjął odrobinę świecącego czegoś. Miękkie toto, jak kasza, glutowate. Zimne w dotyku, ciekawe, czy zęby nie będą boleć?

– Nie bierz za dużo, bo... – zaczął Kruk, ale Garsteczka już wsunął palec do ust i wsmarował glutek w dziąsło, pod wargą. Najemnik wzruszył ramionami. – No trudno, teraz czekaj. Na ciebie zadziała wolniej. Jak regularnie bierzesz, to od razu do pionu stawia.

Garsteczka kiwnął głową, wsłuchując się w sygnały organizmu. Na razie czuł tylko lekki chłodek w okolicy górnych jedynek... Kruk też wziął trochę i wsunął do ust porcję, ale dwa razy większą niż wcześniej. Zamarł na kilka sekund – i dosłownie ryknął. Był to głośny, zwierzęcy ryk, wybijający się ponad okrzyki, swary i śmiech. Kilku ludzi, siedzących przy stole nieopodal, aż się obejrzało; odwrócił się też Rusak. Zauważył, poznał Kruka. Wąsata twarz wyciągnęła się zdziwieniem, uniosła jedna krzaczasta brew.

Sułtan stanął obok. Garsteczka dotknął językiem miejsca, które jeszcze chwilę temu było zimne, a teraz zaczynało się rozgrzewać, ciepło rozlewało się po całych ustach, spływało do gardła... A potem głowa buchnęła ogniem. Aż sapnął – wrażenie było takie, jakby ktoś chlapnął mu tabasco na mózg, oczy wyskoczyły z orbit, uszy zapłonęły żarem, potem fala gorąca rozlała się na twarz i spłynęła w dół, wzdłuż kręgosłupa na całe ciało.

Jęknął cichutko w ekstazie. Świat błyszczał, jak noworoczna

choinka, wszystko nabrało jaskrawych barw, energia aż w nim kipiała, rwąc do czynu. Szum głosów podniósł się, ale od razu ucichł, a on słyszał teraz każde słowo, każdą zgłoskę.

Sułtan uśmiechnął się szeroko, kiwnął Rusakowi.

– No, co tam? – zapytał włóczęga.

Zamiast odpowiedzieć, boss pokazał ręką na Kruka, który rzucił na podest linę z kotwicą i karabin, jednym ruchem strząsnął z siebie płaszcz i zerwał przez głowę waciak. Garsteczka miał wrażenie, że nawet oczy najemnika błyszczą tym samym światłem, którym lśniła płomieniówka... Ale to już chyba było przywidzenie.

W ogóle Garsteczka widział teraz różne cuda. Koksownicy zamieniły się w bąble pomarańczowego światła, zniknęły cienie pod stołami, głosy ludzi brzmiały donośnie, jak dzwony na cerkiewnej wieży. A mimo to słyszał i widział wszystko wyraźnie, doskonale rozumiał i pojmował sytuację!

– Cisza! – zawołał Sułtan. – Słuchać! Ważne wieści!

Ale poza Rusakiem i kilkoma najbliższymi biesiadnikami nikt go nie usłyszał, zbyt głośno i wesoło toczyła się popijawa. Czerwony Kruk, stojący teraz tylko w brudnych spodniach i znoszonej tielniczce, zdecydowanym ruchem podszedł do stołu, wskoczył na blat.

Nie po prostu wskoczył, a wleciał, wylądował na nim niczym ptak. W świetle ogni Garsteczka zobaczył wyraźnie, że lewa ręka i ramię najemnika mają dziwny, różowawy odcień, ponadto ramię i przedramię były jakby wychudzone, ale też jednocześnie bardziej żylaste... Jak kruk, rzeczywiście! Stary, mocno doświadczony, ale wciąż żywy i groźny.

Siedzący obok zareagowali niezadowolonym, podnieśli ręce, zaczęli wygrażać, ale Kruk przeszedł się po stole, przewracając butelki i roztrącając naczynia, stanął pośrodku. Rozległy się okrzyki i przekleństwa, ktoś czymś w niego rzucił, kto inny wybuchnął śmiechem. Kruk złapał z blatu pustą butelkę, wziął

zamach i roztrzaskał o stół.

Wszyscy umilkli, zdziwieni. Kruk zacisnął pięści, wzniosł ręce nad głowę.

– Znacie mnie? Pytam, znacie mnie?!

Jego krzyk poniósł się echem w ciszy, jaka nagle zaległa nad całym Lotniskiem.

Ktoś coś mruknął niepewnie, potem odezwało się więcej głosów. Rusak pokiwał głową, powiedział głośno:

– Znamy, znamy. Najemnikiem jesteś, zabójcą.

– O! To, to! Prawda! – podchwycili inni.

Kruk nachylił się. Jego twarz zdawała się płonąć od środka, oczy świeciły dziko.

– Tak, to ja! A co mi zrobili, wiecie?! I kto to zrobił?!

Złapał za koszulkę, szarpnął i rozdarł, rzucił pod nogi. Lewa połowa ciała lśniła dziwną gładkością, pokrzywione mięśnie i nierówne kości zdawały się pływać pod cienką, napiętą skórą.

– Żelazny Major cię dorwał – odezwał się ktoś.

– Tak! Kazał swoim psom wrzucić mnie w „gnojówkę”!

– No wiemy! – krzyknął jakiś wysoki chudzielec. – I co z tego? Stara historia! A ilu uczciwych włóczęgów zabiłeś, co?!

– Uczciwego ani jednego!

– Kłamiesz! Zabójca! Najmus cholerny! – odezwało się kilka głosów naraz.

Nastroje dryfowały w kierunku ściągnięcia Kruka ze stołu i w najlepszym razie spuszczenia mu łomotu. Sułtan rzucił na boki oczami, Garsteczka już strzelił kostkami palców, szykując się na drakę. Aż go rozpierało od żaru płomieniówki, jak gdyby ciało mu napompowali podtlenkiem azotu, skóra trzeszczała od energii...

– A teraz tutaj popatrzcie! – Kruk zerwał z ramienia opatrunek, zmiął i rzucił w kierunku chudego. – Ranę widzicie?! Widzicie? Dziura po kuli, wczorajszy postrzał. Świeży!

– Co ty odpierdalasz?! – wściekł się chudy, który dostał

opatrunkiem prosto w twarz. – Gównu mnie twoje postrzały interesują!

– A strzelał do mnie sam Robert Titomir! – ryknął Czerwony Kruk. Przez rozpaloną mgłę narkotycznych wizji Garsteczka zobaczył, jak twarz najemnika wykrzywiła się przerażającym grymasem, lewe oko zapadło w głąb czaszki, w bezdenną otchłań, upodabniając się do dziury.

Narastający szum głosów jak gdyby ktoś nożem uciął. Wszyscy zamilkli, w ciszy skrzypnęła skrzynka pod Rusakiem, który poderwał się z miejsca.

– Mów!! – zachrypiał włóczęga. – Mów, major tu jest?! Gdzie?! Milczeć, milczeć wszyscy!

– Szedłem za nim od samej Stacji! – Kruk mówił ciszej, ale słowa i tak wyraźnie rozbrzmiewały ponad zgromadzeniem. – Przyjechał tutaj, żeby z Wiedźmakiem dobić targu... „Oko zła”! Słyszeliście o takim artefakcie?

– „Oko” się znalazło? – sapnął niedowierzająco chudy. – Ale... Nie, on kłamie! To nie może...

– Krypta, zamknij się, mówiłem! – ryknął Rusak. – A ty mów, mów!

– „Oko zła” jest u Wiedźmaka! – powtórzył Kruk. – Czaban mu je przyniósł, sami wiecie, że Czaban wlezie tam, gdzie inny nawet nie spojrzy... Widzieliście te dziwne czarne błyski, jakby migawka na świat spadła? A ta ostatnia Fala? Wielekroć potężniejsza od wszystkich poprzednich, ilu naszych poginęło! To przez „oko” wszystko, przez majora, przez Wiedźmaka! Wiedźmak się nim bawi jak i innymi artefaktami, to przez niego poszła Fala!

– A te przywidzenia...! – Na drugim końcu stołu podniósł się jakiś młodzik. – Ludzie, sami przecież wiecie! To mgła się podniesie znikąd, a w niej postaci jakieś, to ze strumienia nagle wyłażą czarne macki! Sam widziałem, nocą, za hangarem, jak od Wstęgi szli jacyś ludzie! Świecili w ciemności! Przecież nawet

w Sektorze się takie rzeczy nie zdarzały!

– Źle się dzieje – przytaknął Krypta niechętnie. – Jak ta Fala przeszła, to strach nosa z obozu wyściubić. Mnie mało co dymowy pies nie zeżarł! I co, co się gapita! Wczoraj to było! Psisko takie, jak z czarnego dymu zrobione, wyskoczyło znikąd, z dziury w powietrzu! Biegł za mną, tam, przy strumieniu, jeszcze jakby torbę jakąś miał na grzbiecie... No co?! Ja wiem, sam nie wierzę, ale tak było!

Machnął rękami, splunął, usiadł.

– Mów o majorze! – rozkazał Rusak.

– Titomir przyszedł do Wiedźmaka, przyniósł pięć milionów dolarów, żeby „oko” kupić! I wiecie, gdzie teraz jest wasz Żelazny Major?! – Czerwony Kruk wzniosł pięść nad głową. – No wiecie?! Siedzi w wieży!!

– Tyy, razem z tą kasą...? – zapytał ktoś głośno przez narastający gwar zaniepokojonych, złych, zdziwionych i chciwych głosów.

– Pieniądze! „Oko zła”! Major Titomir, wszystko to jest w wieży Wiedźmaka! – wrzasnął Kruk, a wtedy tłum dosłownie eksplodował.

Zakrzyczeli wszyscy naraz, Garsteczka mało co już z tego rozumiał, we łbie kotłował mu się ognisty wichur, w uszach dudniło, pięści zaciskały i otwierały się same, przed oczami płynął korowód rozwrzeszczanych twarzy. Nagle wyrósł przed nim Kruk, Garsteczka nawet nie zauważył, kiedy najemnik zeskoczył ze stołu. Nad nim zawisł Rusak, jego broda falowała i zwijała się, niczym węzowe sploty, a on wypytywał natarczywie, patrząc na Sułtana:

– To nie oszustwo? Naprawdę tam jest?

Wokół nich krzyczał, stukał kubkami i tłoczył się tłum, ludzie zewsząd ciągnęli już do stołu, wieść oblatywała obóz lotem błyskawicy. Sułtan pociągnął ku sobie Rusaka, szepnął mu coś na ucho. Ten wysłuchał, zerkając to na Kruka, to znów na

Garsteczkę.

Wywołany przez płomieniówkę żar nieco już opadał, mimo że świat wciąż sypał iskrami i strzelał feerią barw. Wnosząc pochytrej minie Sułtana, ten nie tylko sącył wąsatemu włóczędze do ucha prawdę o tym, że ten będzie mógł pomścić śmierć brata, ale jeszcze przemycał myśl o szansie obalenia Wiedźmaka i podzielenia się władzą. Rusak kiwnął, bezceremonialnie odepchnął Sułtana, po czym wyciągnął zza pazuchy potężny, oksydowany na czarno rewolwer i trzy razy wypalił w powietrze.

Huk wystrzału był krótki, rwany i basowy, ogłuszający. Krzyki ucichły. Rusak zawołał, pokazując na skrzynię, przy której stali ludzie Sułtana:

– Tam macie broń i amunicję! Bracia, do broni! Nadeszła godzina zemsty na Żelaznym Majorze! Śmierć majorowi, śmierć Wiedźmakowi, który ukrywa u siebie naszego wroga!



Księżyc spełzał ku horyzontowi, jego blasku stopniowo ubywało – zbliżał się świt. Garsteczka i Kruk zwalniali kroku, żeby nie pobiec na czele oddziału. Wkrótce włóczędzy rozdzielili się na dwie grupy; mimo że nikt nawet nie pomyślał o planie działań, to Rusak zdecydował się poprowadzić część ludzi od flanki, żeby uderzyć równocześnie z dwóch stron.

Włóczędzy gardłowali, klęli, wymachiwali bronią i nożami. Szelest krzaków, trzask gałęzi, tupot nóg daleko niesły się nad ciemnym Lotniskiem. Chyba tylko głuchy nie usłyszałby, że na wieżę ciągnie tłum.

– Najemnik, wolniej, wolniej! – powiedział Garsteczka, wymijając wielkie ognisko pośrodku asfaltowej łysiny. Większość ludzi poszła dwiema stronami, ale część co butniejszych pomaszerowała prosto, przez węgle i żar, podnosząc snopy iskier i tumany dymu.

Płomieniówka wciąż jeszcze kipiała i wrzała w nim, ale przynajmniej zaczynał spójnie myśleć. Czerwony Kruk szedł obok, a choć był od Garsteczki niższy i do tego kulał, to co rusz wysforowywał się naprzód. Poły płaszcz łopotął i furkotał, kotwica kołysała się na zwiniętej linie, a karabin w rękach.

– Wolniej, mówię... To ma być zdobycie wieży, a nie rajd kamikadze!

Kruk niechętnie, ale zwolnił kroku. Do wieży zostało im może

sto metrów, za oknami przesuwały się światelka – to ludzie Wiedźmaka kręcili się po pomieszczeniach. W laboratorium na samej górze ledwo, ledwo pełgał artefakt, jak gdyby świecący już resztką mocy.

– Jeśli ten Rusak jest mądrzejszy, niż na to wygląda, to drugą grupę powinien po cichu... – zaczął Garsteczka.

W tej samej chwili gdzieś z boku od nich fuknęło głucho i sypnęło iskrami, w kierunku wieży pomknęła spiralna smuga, która wbiła się w strukturę z ogłuszającym hukiem i krótkim, gwałtownym błyskiem. Chmura dymu i kurzu spłynęła w dół, zamieniając światła reflektorów w rozmyte plamy.

– O ja ciebie pierdziu! Ja myślałem, że Sułtan im kałasze tylko dał...!

– Widziałem dwa granatniki – warknął Kruk. – Musiał któryś debil znaleźć amunicję.

– I tak z dupy strzelił, w ścianę! Pijaki cholerne!

Echo nie zdążyło umilknąć, gdy zagdał karabin znad bramy. Ze wszystkich stron rozległ się ryk atakujących, zamigotały ognie wystrzałów. Włóczędzy bezładnie rzucili się w stronę ogrodzenia, strzelając na oślep; większość biegła od strony targowiska, ale grupa Rusaka, o ile można było się domyślać po odgłosach i ogniach, zdołała obejść wieżę na jakieś ćwierć obwodu i teraz podchodziła od prawej.

Garsteczka spróbował przekrzyczeć hałas:

– Na lewo! Tam jest szopa!

W ich planie najtrudniejszym elementem było dokładne trzymanie się czasu – dokładne, albo w ogóle jakiegokolwiek. Wystarczyło spóźnić się trochę, a atakujący wpadną do laboratorium przed nimi. Jeśli zaś się pospieszą, to trafią jeszcze pod lufy obrońców... Nie mieli wątpliwości, że wieża padnie, ale ważne było dla nich coś zupełnie innego.

Kaem nadal dudnił, odpowiadał mu bezładny ogień karabinów i pistoletów. Garsteczka, kuląc się, skoczył w lewo, tam, gdzie za

wieżą poszczekiwał basowo rewolwer Rusaka. Huknął detonujący granat, potem drugi, a kiedy dobiegli do granicy wyczyszczonego z krzaków pierścienia wokół wieży, walnął i trzeci, głośniejszy i donośniejszy niż poprzednie. Karabin zachłysnął się i zamilkł.

– Udało się! – sapnął Garsteczka z lekkim niedowierzaniem. – Zaraz się wbiją do środka... Trzydzieści sekund i przełazimy przez płot!

Przysiedli w krzakach, obserwując, jak kilku włóczęgów kłusem przecina pusty plac. Od tej strony atakowało najmniej ludzi, ale od drugiej, wnosząc po odgłosach, płot już niemalże padł.

– Co za idioci, żeby drutu kolczastego po górze nie puścić... – mruknął Garsteczka.

Pomimo hałasu najemnik usłyszał, bo odpowiedział:

– Był, ale „rdzawka” zeżarła.

– Że co?

– Taka anomalia, co metal atakuje i zamienia w pył. Żeby nie przerzuciła się na cały płot, Wiedźmak kazał zdjąć drut. Mieli potem nowy założyć, ale jakoś tego nie zrobili.

– No i już nie robią! – parsknął Garsteczka. – Chyba że Sułtan i Rusak tak zdecydują, jak na wieży się usadowią.

– Ci dwaj będą rano wyjaśniać, co i jak. – Kruk pokręcił głową. – Rusak to wojownik, ale szczególnie bystry. Sułtan z kolei to chytra żmija, nie lepszy od Wiedźmaka.

– Ale chociaż przy zdrowych zmysłach, nie wbija se w oczy artefaktów... No dobra, jazda!

Schyleni, żeby nie zarobić jakiejś zabłąkanej kuli, pobiegli. Przed ogrodzeniem nie było już nikogo: kilku atakujących padło pod ogniem obrońców, inni dali radę przeleźć, a teraz strzelali i wrzeszczeli na podwórku.

Pomysł na przesadzenie płotu mieli już umówiony, więc Kruk szybko upadł na kolana, schylając głowę, a Garsteczka wlaź mu

na plecy i próbując nie rozgnieść konusa na placek, podskoczył, łapiąc za szczyt ogrodzenia. Podciągnął się, wgramolił na górę, potem wyciągnął rękę, pomagając wspiąć się Krukowi.

Od strony wieży stała szopa, z której niosło się paniczne kwiczenie świń. Noc wokół huczała, trzeszczała i błyskała ogniem, w oczach aż mieniło się od rozbłysków. Zeskoczyli na dół, podbiegli do ściany chlewika, za którym chowało się trzech włóczęgów, wyglądających zza rogu, dających ognia i odskakujących w tył. Okna wieży rozbłyskiwały strzałami obrońców, od czasu do czasu widać było przebiegające w środku sylwetki.

Garsteczka dobiegł do ścianki szopy, ale zaraz cofnął się trochę, położył na ziemi i przeczołgał kawałek w bok. Ostrożnie wyjrzał za róg: żelazne drzwi były zamknięte, z okien strzelali bez ustanku. Na podwórku chyba nie było już nikogo z ludzi Wiedźmaka, atakujący poukrywali się, gdzie kto mógł, wiodąc bezładny, ale gęsty ogień.

W tak chaotycznym starciu chyba jeszcze nie dane było Garsteczce brać udziału, ale zamieszanie było im na rękę. Machnął na Kruka, stojącego za trzema napastnikami, po czym poderwał się, popędził obok wyglądających zza węgła włóczęgów, skręcił ostro i rzucił się głową naprzód w uchylone drzwiczki chlewika.

Panował tu gęsty, śmierdzący półmrok, światło sączyło się przez dziury w dachu. Oddech aż zatykało, nic, tylko maskę przeciwgazową zakładać... Świnie zbiły się w gromadkę w rogu i kwiczały, jakby już, zaraz mieli je wszystkie przerobić na skwarki.

– Otwieraj zagrodę! – krzyknął.

Kruk doskoczył do furtki i szarpnął przerdzewiałym skoblem, a Garsteczka zaczął wspinać się po ścianie, wsuwając palce w szczeliny pomiędzy deskami. Chlewik nie był szczególnie wysoki, więc szybko dosięgnął belki stropowej; Kruk w końcu

otworzył zagrodę, ale postąpił sprytniej niż Garsteczka, bo wskoczył na zbitą z desek ściankę, a już z niej podciągnął się na górę.

Świnie, ujrawszy drogę ku wolności, rzuciły się na zewnątrz – w samą porę, bo do szopy już pchali się włóczędzy, słusznie zakładający, że Garsteczka i Kruk wiedzą coś więcej o możliwości dostania się do wieży. Zwierzaki wypchnęły ludzi z powrotem na dwór, dwa dorodne tuczniaki stuknęły się łbami w przejściu, zakwiczały, zaczęły rzucać się i przepychać.

Garsteczka przeszedł po desce i dotarł do „własnościelnie” wybitej dziury w dachu. Obejrzał się: Kruk był tuż za nim, więc przesunął się jeszcze kawałek, wyjrzał na zewnątrz.

Reflektor, sterczący akurat nad nimi na długim żelaznym drągu, już wcześniej dostał kulkę i zgasł. Sam Garsteczka miał zamiar go tak zgasić, ale szczęśliwie kto inny zrobił to za niego. Na dach padał tylko blask z okien wieży, ale nie oświetlało go żadne bezpośrednie źródło światła. Promienie latarek skakały i przemieszczały się, gasły i zapalały w nowych miejscach, więc i tak trudno było się zorientować, kto gdzie w ogóle jest.

Mimo to mogli zostać zauważeni, więc Garsteczka wypęzł na dach i od razu przekręcił się na plecy, wyciągając przed sobą karabin. Okno, z którego skakał na szopę, było bezpośrednio nad nim. Puste, ciemne – na razie nie widać w nim było nikogo.

Kruk wyskoczył na górę, przyklęknął obok i też wziął okienko na cel.

– Pilnuj! – Garsteczka wyciągnął z kieszeni kilka kawałków brezentu i sznurek. Podczas gdy Kruk kontrolował najbliższe im okna, on okręcił szmatami nogi, przewiązał sznurkiem, potem podniósł do ramienia karabin i zawołał:

– Gotów!

Kruk opuścił broń, również sięgnął do kieszeni i zaczął majstrować przy butach. Po chwili powtórzył: „Gotów!”. Podniósł się, stanął na szeroko rozstawionych nogach i zrzucił z ramienia

zwiniełą linę. Rozkręcił w ręku kotwicę, cisnął ku górze – albo miał niewiarygodnie celne oko, albo szczęście, ale trafił prosto w ciemny otwór okna. Pociągnął, stuknęło metalicznie, kotwica złapała za betonowy parapet.

Garsteczka kiwnął Krukowi, celując w okna; ten złapał się liny rękoma, skoczył i zawisł, opierając o ścianę zawiniętymi w brezent butami. Od razu zaczął wspinać się na górę, ostrożnie przestawiając nogi, zapadające się w „waciaku”. Kiedy był już przy oknie, pojawił się w nim nagle człowiek z bronią. Garsteczka dał ognia trzema krótkimi, postać fajtnęła w tył i zniknęła.

Czerwony Kruk złapał za krawędź okna, wciągnął się do środka, machnął nogami i zniknął. Po chwili pojawił się w otworze, więc Garsteczka zarzucił karabin na plecy i złapał za linę, gotów rzucać kotwicę, ale ten uniósł rękę: poczekaj! Co się stało?

Najemnik wysunął się przez okno, zamachnął i rzucił coś w jego stronę. Coś stuknęło o dach szopy, odbiło i zamarło: but. But, do którego Kruk przywiązał sznurówkami zwieszającą się z okna linę. Nie do końca wedle planu, ale nawet lepiej.

Garsteczka szarpnął sznur raz i drugi, sprawdzając, czy na pewno utrzyma jego niebagatelną wagę. W końcu sapnął, ujął ją mocno, zbiegł po dachu i ile sił w nogach odepchnął od skraju. Poleciał, wisząc na linie, podeszwy uderzyły o „waciaka”. Szybko przebierając rękoma, zaczął wspinać się na górę.

Okno, podciągnięcie, przewrót – i już stał w ciemnym pokoiku obok Kruka, trzymającego na muszce uchylone drzwi. Od strony schodów niosły się krzyki i hałas, na podłodze leżał pechowy obrońca, trafiony dwiema kulami, wciąż ściskając w ręku obrzyną.

– Szmaty odetnij, tylko ostrożnie – powiedział najemnik.

Garsteczka wyjął nóż, chlasnął po sznurkach i strząsnął z nóg materiał, pokryty warstwą kolców „waciaka”. Kruk podszedł

ostrożnie do drzwi, otworzył przywieszony do pasa pojemnik, w którym leżały dwie „perłówki”, podarowane im przez Sułtana.

– Na górze cisza – rzucił przez ramię. – Idziemy.

Powoli, ostrożnie wchodzili po schodach, obawiając się zasadzki. Było prawie ciemno, tylko z dołu błyskały tańczące po ścianach światła; na parterze czekała już większość ludzi Wiedźmaka, szykując się od odparcia ostatniego szturmu. Górna część schodów, wijących się wokół szybu windy, była pusta.

– Ty, chyba nikogo nie ma – szepnął Garsteczka.

– Też nic nie słyszę – potwierdził Kruk.

– Aż dziwne. Jeżeli... O, weź patrz, drzwi są otwarte.

Żelazne drzwiczki na końcu schodów były uchylone. Za nimi był pogrążony w ciemności pokój.

– Wiedźmak mógł wszystkich na dół wysłać... chyba – dodał jeszcze ciszej Garsteczka. – Ale gdzie jest on sam?

Kruk pokazał mu gestem, żeby się odsunął, po czym, trzymając karabin jedną ręką na pasie nośnym, szponiastymi palcami drugiej dłoni powoli pociągnął za klamkę. Drzwi uchyliły się, ukazując im ciemne pomieszczenie ochrony: dwa krzesła, puste ściany, samotny plakat z gołą babką. Otwarte na oścież drzwi w ścianie działowej. Pusto.

Na dole huknęło basowo, wieża zadrżała, echo przetoczyło się po schodach. Kilka głosów krzyknęło naraz, łomot wystrzałów napełnił budowlę.

– Wywalili! Drzwi wejściowe wywalili z granatnika! – krzyknął Garsteczka. Czerwony Kruk wyciągnął z pojemnika „perłówkę”, wziął zamach. – Nie! No coś ty, przecież...

– Spowolni ich – uciął najemnik i cisnął artefaktem.

Bursztynowa kula stuknęła o ścianę, stoczyła się niżej po schodach.

– Dalej! – Kruk zanurkował w drzwi.

Nie było wyboru, Garsteczka skoczył za nim. Rozpędzająca się na schodach „perłówka” w końcu puknęła o którąś ściankę na

tylko mocno, że odpaliła, rzygając falą spopielającego żaru. Z dołu buchnęło gorącym tak mocnym, że Garsteczka aż zasłonił twarz: jeśli tutaj tak przypiekło, to strach myśleć, co zrobiło z tymi na dole... Na szczęście to nie on rzucał termicznym artefaktem, niech sobie Kruk z wyrzutami sumienia radzi, o ile jeszcze takowe w ogóle posiada.

Wystrzały ścichły, ich miejsce zajęły skowyty i wrzaski bólu, przekleństwa i jęki. Garsteczka zatrzasnął drzwi i pobiegł za najemnikiem, znikającym już w kolejnym pomieszczeniu.

Dogonił go dopiero przy wejściu do laboratorium. Stalowe drzwi na kółkach były odsunięte na bok, pokój za nimi oświetlał agonalny, różowawy blask „światlika” dopalającego się w szklanej czaszy.

Garsteczka zwolnił, przystanął. Kruk nachylił się nad metalowym łóżkiem, patrząc na kogoś, czyjej twarzy Garsteczka nie widział. Z lewej, pod dużym, skośnym oknem, stała czasza z artefaktem. Po prawej był regał z żelaznymi szufladkami, jak katalog, albo skrytki pocztowe... Albo składowisko artefaktów, jak sugerowały różnokolorowe błyski energii.

Obok regału stał znany mu już kamienny postument, ale tytanitowego kołpaka, pod którym leżało „oko”, nie było na miejscu. Ani samego artefaktu. Za to leżała tam strzelba pulsacyjna.

Garsteczka od razu poczuł w kościach, że coś było nie tak, więc ostrożnie podszedł bliżej. W korpusie pulsara wycięta była dziura, a w środku... Walcząc z przemożną chęcią ucieczki, nachylił się i zajrzał.

Wewnątrz pulsara, w wąskich zagłębieniach, leżały obok siebie dwa czarne dyski. Ni to obsydianowe, ni to z metalu, jakiś kompozyt? Chyba że to ten „pustak”, co o nim Chemik mówił?

A pomiędzy dyskami świecił i pryskał żarem cylindryczny trzpień. Wszystko to razem wyglądało jak hantelka, tylko że z rączką nagrzaną do czerwoności... i wciąż rozgrzewającą się

bardziej. Pierwszostopniowe... prymitywne? Pierwotne zbieranie potencjału rezonansu, o! Tak o tym jakoś Chemik mówił i mimo że Garsteczka nic z tego nie rozumiał, to jedno było jasne: Wiedźmak rozpruł pulsar i coś w nim namotał, podpinając „pustak”, który teraz zbierał jakiś impuls... i prędzej czy później musiał się rozładować.

– Eee, Kruk! – zawołał, cofając się. – Wiedźmak nam tutaj minę zostawił! Zaraz pierdyknie!

Czerwony Kruk milczał, wciąż pochylając się nad stołem. Garsteczka podbiegł, szarpnął go za ramię.

– Słuchaj, dajemy w długą! Trzeba do szybu zejść, bo Chemika tu nie ma, a panna, jeśli jeszcze żyje, to w podziemiu będzie, bo i tak...

Zamilkł. Na łóżku, patrząc się pustymi oczami w sufit, leżał Robert Titomir. Piers pod rozchełstaną koszulą unosiła się i opadała w rytm płytkich oddechów.

– No w pytę! Chłaśnij go po gardle i w długą! Na co czekasz?!

Drzwi do laboratorium jęknęły, uderzone od drugiej strony. Atakujący musieli być tuż-tuż.

– To nie on – szepnął Kruk. – Tylko jego ciało.

– No i co z tego?! Ciało zabij i spadamy!

– Ale to nie on! Jedynie ciało, nie on! Jak to?!

– Cholera... Wiedźmak go przeniósł! Przerzucił do innej głowy.

– Ale jak go teraz znaleźć? Jak się zemścić?

– Przecież Wiedźmak na pewno przy sobie go trzyma! Kruk, ruszaj się! Musieli na samym początku ataku się jeszcze przebić, rozumiesz? Dopiero co! Ruchy, ruchy, pójdziemy za nimi, ale teraz trzeba się stąd wynosić, bo zaraz to wszystko pieprznie!

Kruk drgnął, odsunął się. Z wyrazem cierpienia na twarzy wniósł lewą rękę, jak gdyby walcząc sam ze sobą, po czym uderzył szybkim ruchem w gardło majora. Krtań zapadła się, jabłko Adama zjechało w bok; ciało Titomira zarzęziło, rzuciło się konwulsyjnie i znieruchomiło.

Głowa osunęła się bezwładnie, pierś pod koszulą opadła i zamarła.

– Przez szyb... – sapnął Kruk. – Mówiłeś... o włazie...

– Tak, ale to biegiem, już!

Leżący na postumencie pulsar zapełgał, a potem zamienił się w kłębowisko bladych płomieni. Przestrzeń wokół zafalowała, wpadający w rezonans energetyczny „pustak” zaginał rzeczywistość falami, przenikającymi przez beton i stal. Zadrżał wypełniony artefaktami regał, podłoga zatańczyła pod nogami.

Kruk jako pierwszy wypadł z laboratorium, Garsteczka pobiegł za nim, ale w biegu kopnął coś leżące na podłodze, odruchowo schylił się, podniósł. Błyszczące coś, okrągłe, jakby spora puderniczka, ale metal z zielonkawymi żyłkami... tytanit chyba. Jakiś rysunek, czy może znak wytłoczony na wieczku, z boku kilka ogniwek łańcuszka, jak gdyby ktoś nosił to na szyi albo nadgarstku, a potem zgubił podczas panicznej ucieczki. Wiedźmak? Któryś z wargów? Garsteczka wrzucił znalezisko do kieszeni i popędził za najemnikiem.

Wybiegli z laboratorium, przelecieli przez składzik narzędzi i instrumentów, kiedy na schodach, zaraz za drzwiami, detonował granat. Garsteczka kopniakiem otworzył właz, przecisnął się przez niego i zaczął szybkimi ruchami schodzić po drabince, przyczepionej do ścianki szybu. Na głowę sypał mu się piach i rdza, spadające z butów niemalże następującego mu na palce najemnika.

Na dnie szybu nie było nikogo, ale zza drzwiczek na parterze niosły się okrzyki, przekleństwa i echo strzałów. Ktoś jęczał, po schodach biegali ludzie. Na szczęście w całym tym zamieszaniu nikomu nie przyszło do głowy tu zajrzeć, ale mogło się to wydarzyć w dowolnej chwili.

Garsteczka przesunął zasuwkę na drzwiach do podziemia, uchylił je lufą karabinu. Pod sufitem migąła i potrzaskiwała goła żarówka, oświetlając puste klatki... Nie, niezupełnie puste –

martwy Kaufmann wciąż leżał pod ścianą.

– Pusto! – Garsteczka wskoczył do środka. – Ale jak mogli... Cholera, są drugie drzwi! Patrz, w rogu!

Rzeczywiście, w drugim końcu pomieszczenia widać było nieduże drzwiczki, do niedawna przykryte cienką, betonową wylewką, teraz skutą w pośpiechu młotkami. Garsteczka już do nich podszedł, kiedy na górze, w laboratorium Wiedźmaka, proces toczący się w strzelbie pulsacyjnej przekroczył punkt krytyczny. Podłoga uciekła spod nóg, cały budynek aż skoczył w bok, polecieeli obydwaj z Krukiem na ziemię.

– Uciekli... Uciekli tunelem! – sapnął Kruk.

– Tak, ale tam przecież jest zawał! Jak... Nieważne, biegiem, za nimi! Żeby nas tu nie przywaliło!

Garsteczka zerwał się, włączył latarkę i szarpnięciem otworzył drzwi. Beton, wiązki kabli, rury przy ścianach... Ten sam tunel, w którym byli! Wpadli do środka, zamknęli za sobą drzwi i w tej samej chwili gdzieś nad nimi coś zajęczało i ciężko, przeciągle zgrzytnęło. Betonowe płyty osiadały, trąc o siebie nawzajem, zbrojenia rwały się jak papier. Wnosząc po ledwo słyszalnych w tunelu krzykach, pozostali przy życiu włóczędzy również w panice rzucili się do ucieczki.

Legowisko Wiedźmaka waliło się nad ich głowami, więc Garsteczka i Kruk pobiegli ile sił w nogach. Tupot ich stóp odbijał się echem od ścian tunelu, a wkrótce zagrodziło im drogę znajome osuwisko.

W ścianie po lewej ziała ciemna, nierówna dziura.

– Mówiłem, że specjalnie zasypali! – sapnął Garsteczka. – I drugie wyjście zrobili, żeby od zewnątrz nikt nie znalazł, a oni mieli drogę ucieczki! Chytre bydlaki, nie ma co...

Przejście było niziutkie, podparte drewnianymi stemplami. Czerwony Kruk ruszył przodem z pistoletem i latarką, wyższy Garsteczka dłuższą chwilę kombinował, czy iść schylony jak paralityk, czy może czołgać się, albo coś innego... Płomieniówka

przestała działać, więc kolana mu drżały, w ustach zaschło, a serce biło szybko, nie nadążając za potrzebami ciała.

Szedł za najemnikiem, czując, jak cisza tunelu wciska się w uszy. Zastanawiał się, gdzie mógł być Chemik? Czy w ogóle jeszcze żył? W laboratorium go nie było, w celach też nie, więc Wiedźmak musiał go zabrać ze sobą, o ile naprawdę przerzucił go w nowe ciało. Chyba tak, bo przecież hipera też nigdzie nie znaleźli, a półdzikiego, agresywnego stwora by ze sobą nie brali. Cholerny szamaneksperymentator, szalony naukowiec!

Tunel biegł najpierw poziomo, potem skręcił w lewo i zaczął się unosić, w końcu biegnąc niemalże pionowo i kończąc żelazną drabinką, prowadzącą do dziury przykrytej kawałkiem blachy falistej. Kruk wspiął się na górę, uniósł pokrywę głową i wsunął w szczelinę pistolet, potem latarkę.

– Świta – skonstatował.

– Zaiste odkrywcze stwierdzenie – sarknął Garsteczka. – Uracz mnie jeszcze jakimś celnym spostrzeżeniem, mój drogi Watsonie. Kruk pomilczał chwilę, potem wzruszył ramionami.

– Samolot.

Odrzucił blachę na bok i wylazł na górę.

Rzeczywiście, tunel wychodził we wnętrzu samolotu, leżącego brzuchem na ziemi. Było zupełnie cicho, pomiędzy porwanymi i pordzewiałymi siedzeniami pasażerów kładły się plamy bladego światła, wpadającego przez bulaje. Słońce dopiero zdążyło unieść się ponad linią horyzontu, więc w jego mdłym blasku przeszli przez kadłub, zajrzeli do kabiny pilotów i wrócili. Ogon maszyny był oderwany, przez dziurę w poszyciu wyszli na owalny korpus.

Garsteczka zadrżał, gdy owionął go chłodny wiatr poranka. Zarzucił karabin na ramię, wsunął ręce pod pachy. Brały go dreszcze, miał straszną ochotę się położyć, zawinąć w kołdrę, nakryć z głową i pospać. Ale wcześniej chlapanąć sobie ze dwieście gram, wypalić szluga i poprawić na drugą nóżkę.

A potem faktycznie się położyć i nie wstawać aż do następnego dnia. Rajska rozkosz!

Samolot leżał na samym skraju doliny, w oddaleniu od pozostałych, pośród bujnych zarośli i rozłożystych drzew. Hangar stał po przeciwległej stronie Lotniska, wieża nieco bliżej, ale przez ścianę zieleni ledwo ją było widać. Teraz z miejsca, gdzie stała, walił gęsty dym, przez czarne kłęby przeświecał ogień. Wciąż błyskały i huczały karabiny, więc włóczędzy nie myśleli poprzestać na zburzeniu legowiska nagle znieawidzonego handlarza.

– Nie widzę ich nigdzie – powiedział Garsteczka. – Ty coś mówiłeś, że niedaleko jest jakaś Fabryka. Gdzie?

Kruk pokazał w kierunku przeciwległym do ruin wieży, w stronę długiego, łagodnego zbocza, porośniętego krzakami i wysokimi świecami sięgających ku niebu topoli.

– Jesteś pewien, że tam mogli pójść?

– „Oko” jest w jakiś sposób powiązane z Polesiem, więc i Wiedźmak będzie tam ciągnąć. Dogadał się jakoś z wargami, słyszałem, jak Czaban rozmawiał z wodzem tamtych. Jeśli masz rację, to mają też majora, a w każdym razie jego umysł. I twojego Chemika, i córkę profesora. Nie rozumiem tylko, dlaczego wargowie spotykają się z nim właśnie na Fabryce?

– Jakies miejsce musieli sobie wyznaczyć, co nie...?

Kruk pokręcił głową.

– W okolicy są lepsze punkty, bezpieczniejsze i łatwiejsze do obrony, nie mówiąc o tym, że nie aż tak znane. Myślę, że coś jest z Fabryką na rzeczy, tylko jeszcze nie wiemy co.

Przysiadł na skraju urwanego pokładu, zwiesił nogi. Garsteczka ukradkiem wyciągnął z kieszeni znalezione z kawałkiem łańcuszka, zerknął, ale nadal nie mając pojęcia, czym może być, schował za pazuchę, żeby się nie zgubiło. Trzeba będzie przy okazji się kogoś mądrego spytać, albo nożem podważyć i otworzyć. Na pewno w środku było coś ciekawego.

Kruk obejrzał się na niego.

– Nie mamy czasu, żeby dokupić sprzętu? – zapytał Garsteczka, podchodząc bliżej.

– Nie mamy czasu na nic. Lada chwila i stracimy trop.



Budka ochrony – niskie, przysadziste pudełko na betonowych podpórkach i z zardzewiałymi schodami – stała niedaleko dziury, która pozostała po wrotach prowadzących na teren Fabryki. Popychany przez wargę Chemik wdrapał się na górę, zrobił kilka kroków i stanął. Pokoik przedzielała na pół przegródka z wyrwanymi drzwiami, pod nią walał się materac, w rogu na taborecie leżała puszka po konserwach, pogięty widelec i pusta butelka po wódce. Przez zasnutę pajęczynami okno wlewało się chłodne światło wczesnego poranka.

Na rękach i nogach Chemik miał kajdany, połączone na krzyż łańcuchem za plecami. Okowy dzwoniły przy każdym kroku, przeszkadzały i nie pozwalały się pochylić do przodu.

Warg wyminął Chemika i wszedł do drugiego pomieszczenia, wrócił i stanął przed nim. Słysząc było, jak na zewnątrz dudni głos Wiedźmaka, któremu odpowiadał Czaban. Warg, olbrzymi nawet jak na standardy swej rasy, otaksował Chemika od stóp do głów. W odróżnieniu od pobratymców, ten był ubrany prawie jak człowiek: kamuflażowe spodnie z bocznymi kieszeniami, porządna brezentowa kurtka, pod nią polar z kapturem, na ramieniu karabinek, przy pasie pistolet, nóż i ładownice.

– Znasz mnie – odezwał się, lekko niepewny.

Zapytał, czy może stwierdził... Chemik ostrożnie kiwnął głową i powiedział:

– Jesteś Arhar, wojownik Wiedźmaka.

– Możliwe, tak... Nie jestem pewien. Tak, jestem Arhar! Ale przecież...

Zamilkł, potrząsnął głową. Chemik wpatrywał się w pociągłą, wilczą twarz, w której nienaturalnie duże oczy wargę strzelały na boki, jakby czegoś szukając. Przybysz zagryzł wargę i zasepił się, marszcząc brwi. Czyżby naprawdę nie był pewien?

– Titomir? Robert Titomir...? – zagaił Chemik. Smagły gigant wzdrygnął się, jak gdyby zobaczył ducha. – To wy, majorze? Słyszałem po drodze tutaj, jak Wiedźmak do ciebie mówił.

Warg przestąpił z nogi na nogę. Nawet ten ruch był zupełnie nieadekwatny, niepasujący do potężnej, umięśnionej sylwetki i drapieżnych rysów twarzy.

– Ja... tak. Tak! Czy jednak nie? Mój pan powiedział, że jestem Rob. Powiedział: nazywać tak. Ja być Rob! Rob! – jego głos nabrał siły. – Wojownik Rob! Ten, co zamienia w rabów. Warg.

– Ale jesteś przecież Titomirem, prawda?

– Jeśli tak, to... – Nagle wykrzywiając twarz w grymasie złości, warg podszedł bliżej. Chemik aż cofnął się, dzwoniąc łańcuchem. – To dlaczego pamiętam to, czego nie robiłem? Pustkowiec, czarne wieże. Miasto za murem z kamienia. Nory, w których gnieźdzą się włóczędzy. I bagna, gdzie siedzą podobni tobie. Cały ród, plemię dzikusów w łachmanach, mieszkających w szałasach z błota i nawozu. Wy polujecie na włóczędzów, a oni na was. Nie widziałem tego, nie robiłem tego! Dlaczego pamiętam?!

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Warg umilkł, jakby speszony.

– Więc słuchaj... Twoją świadomość przerzucono na inny nośnik. Tak samo jak mnie – zaczął Chemik. – Naprawdę jesteś majorem Robertem Titomirem, ale w innym ciele. W innym mózgu! W mózgu, który należał do wojownika Arhara. Osobowość Arhara musiała być silniejsza niż prymitywny umysł hipera, na który wrzucono mnie. Hiper... On zniknął, przestał

istnieć. Arhar nie poddaje się bez walki, rozumiesz? To jego wspomnienia, nie twoje. Cudza pamięć.

– Pamięć... – powtórzył Rob, zakrywając oczy dłonią i jakby słuchając czegoś wewnątrz. – Cudza pamięć.

– Tak. Stopniowo będzie zlewać się z twoją, stanie częścią ciebie. Rozumiesz, o czym mówię? W końcu będziecie jednością... Zapewne. Nową osobowością, w której będzie coś od Titomira i od Arhara. Zapewne będzie to Rob, ale na razie...

– Jestem Rob!

– Nie, jeszcze nie. Ale wkrótce się nim staniesz. Dlaczego nazwałeś Wiedźmaka swoim panem?

– Wiedźmak to pan! Mój pan.

– Ależ bynajmniej. – Chemik zajrzał w oczy wargę. – Nie musisz być mu posłuszny, niby dlaczego? Przecież dokonał zombifikacji już po przelaniu świadomości, więc zapewne potrafisz...

Zdziwienie na wielkiej, po barbarzyńsku pięknej twarzy ustąpiły miejsca wściekłości. Potężna dłoń chwyciła Chemika za gardło, przyciągnęła bliżej; przerażony, częściowo stracił kontrolę nad sobą, wyszczerzył kły i zasyczał, chciał chwycić wargę pazurami, ale kajdany trzymały mocno.

– Nie ma innego pana! – ryknął Rob. – Mój pan to Wiedźmak! Jeszcze raz tak powiesz, zabiję!

Chemik warknął i kłapnął zębami, a Rob cisnął nim przez cały pokój. Chemik uderzył o przepierzenie, zwalił się na twardą podłogę zaraz obok materaca... Gdy zaczął się podnosić, wargamajora już nie było. Huknęły drzwi, posypał się tynk, zajęczały schody, a potem gwar rozmów na dworze wzmógł się.

Ciało hipera szybko radziło sobie z bólem. Chemik poruszył ramionami, potem wstał. Złapał za wiszący z tyłu łańcuch i naciągnął; irytowało go ciągle pobrzękiwanie. Utykając, wyszedł do pokoiku obok, szukając dróg ucieczki. Hm, okno zabite deskami... Można by je wyrwać, nawet mając ręce

związane za plecami, ale tamci usłyszą i Chemik daleko nie ucieknie. Ponadto razem z nim do Fabryki przyprowadzono Nikę. Nie mógł jej tak zostawić.

Zauważył, że na jednej ze ścian, nad połamaną szafką, wisi dosłownie odłamek lusterka. Podszedł bliżej, nachylił się i zajrzał w nie z trwogą. Z odbicia patrzyła na niego obca, pociągła twarz, obramowana splątanymi kudłami. Brwi sterczały, niczym dwa dzikie krzaki. Blade wargi, szorstka skóra, oczy... Obce, cudze, nie jego oczy! Czarne i błyszczące, pełne zarazem przerażenia i agresji, strachu i zdziwienia.

Nie, nie był brzydki. Nie był nawet ludzki... Ani zwierzęcy, ani ludzki, gdzieś w pół drogi. Garbaty nos z szerokimi nozdrzami, mięsiste, płaskie uszy, marszcząca się na czole skóra.

I te oczy. Ciemne, wielkie i obce. Gdzieś za nimi miał się ukrywać on, jego dusza? Chemik zadrzał. Z głębin świadomości napłynęła obcość, przejęła kontrolę nad ciałem. Zasyczał na własne odbicie, obnażył zęby i upadł na kolana. Gdyby nie skute za plecami ręce, byłby gotów stanąć na czworakach, bo ta pozycja zdawała mu się bardziej naturalna niż wyprostowana. Przecież tak można było biec, pędzić... Lecieć na przełaj przez bagna, przeskakując z wysepki na wysepkę, rozbryzgując i rozchlapując wodę, pędząc na spotkanie wstającemu nad lasem czerwonemu słońcu, w którego promieniach czerniała ogromna, czarna wieża.

Co? Jak to...? Przecież nigdy tego nie widział, nie znał tych bagien ani wieży, a już na pewno nie biegał o świcie! Przecież on nie...

Potwornym, bolesnym wysiłkiem woli stłamsił, zepchnął na dno jaźni hipera, który ponownie schował się w otchłani niebytu. Musiał myśleć, zachować rozsądek i zdolność rozumowania! Zawsze był człowiekiem myśli, a nie uczuć i instynktów. Tylko pozwolił sobie na chwilę emocjonalnej słabości, a już tamten się obudził. Być może minie to z czasem, ale teraz musiał trzymać się

w karbach. Nie był we wnętrzu głowy sam.

Chemik podniósł się powoli, naciągając za plecami łańcuchy, wrócił do pierwszego pokoiku. Podszedł do okna i wyjrzał, nawet nie czując lepiącej mu się do twarzy pajęczyny.

Teren wokół stróżówki porastała wysoka trawa, po lewej widać było budynek hali, po prawej betonowe ogrodzenie. Pod drzewami nieopodal stało czterech wargów z Ryżebodem na czele, kolejni dwaj przykucnęli koło dziury po bramie, trzeci kręcił się na zewnątrz. Czyli siedmiu, nie licząc Roba-Titomira.

Przed ryżym hersztem stał Wiedźmak, wsparty ciężko na swoim kosturze. Futrzane palto, biała przepaska, czarne oficerki... Chemik widział bursztynowe migotanie „błysku” i blask sączący się z okolic kolana. Nie miał pojęcia, co mogło tam tkwić, za to żółtobiałe światło „udaru” w rękojęści laski rozróżniał bez pudła. Ciekawe, czy aurę artefaktów widział dzięki umiejętnościom hipera, czy może dostały mu się w spadku po krótkim, ale burzliwym związku z Garsteczką?

Na ramieniu Wiedźmaka wisiał nieduży, czarny plecak. Chemik wlepił w niego oczy: plecak dosłownie pulsował, jakby oddychał. Ciężko, z wysiłkiem, spazmatycznie raz za razem wciągając w siebie otaczającą go rzeczywistość. Nie było cienia wątpliwości, że to właśnie tam znajdował się pojemnik z „okiem zła”, przy czym efekty specjalne wskazywały na to, że jego promieniowanie zaczynało przesączać się przez wzmocniony ołów.

Nika Kaufmann siedziała na ziemi niedaleko od wejścia, obok niej stali Rob i Rysiu. Nieopodal przestępował z nogi na nogę brodaty włóczęga. Rob podszedł do Wiedźmaka, stanął obok. Ten rozmawiał nadal z rudym wargiem.

Chemik wytarł twarz o ramię, ścierając pajęczynę. Czuł w kościach, że coś się szykuje. Brodacz rozglądał się ukradkiem i krok za kroczeniem, po troszku odchodził tyłem od reszty: to przykłąknie, poprawi nogawkę spodni i przewiąże sznurówki, to

wyprostuje się i robi kilka kroków w bok, potem zerwie jakąś trawkę, pogryzie, wypluje i znów kroczy w tył. Z okna było doskonale widać, że poruszał się celowo i z rozmysłem, aby znaleźć się jak najdalej od wargów i mieć wszystko na oku...

Ryżebod splunął Robowi pod nogi, obejrzał się na swoich i szczerzył kilka gniewnych słów, unosząc nad głową ramię w rękawicy, na której coś błysnęło. Jednocześnie Wiedźmak odwrócił się szybko, kiwnął głową w kierunku stróżówki. Rysiu od razu poderwał na nogi Nikę, popchnął ku drzwiom; Chemik złapał za łańcuchy, odskoczył od okna, żeby nie zorientowali się, że podglądał.

Gdy otwarły się drzwi, stał na środku pokoiku.

– Właź! – rozległo się na zewnątrz. Do budki wpadła Nika, popchnięta z tyłu w ramię. – Na ziemię, jedno z drugim!

Za nią zajrzał Rysiu, pokazał lufą karabinu na podłogę i dodał ciszej, oglądając się:

– No już, cholera, kłaść się! Zabłąkaną kulkę chcecie złapać?

Uklękli oboje, położyli na posadzce. Gdy tylko za Rysiem zamknęły się drzwi, Nika szepnęła:

– Andrzej... Wydaje mi się, że Wiedźmak chce zabić Ryżeboda.

– Po co?

– Słyszałeś, kim był Arhar? Jak trafił do Wiedźmaka?

– Nie no, przecież skąd...

– Arhar był – jest! – młodszym bratem Ryżeboda. Około pół roku temu zdecydował się rzucić mu wyzwanie i przy wsparciu młodszych z klanu zostać wodzem. Ryżebod dowiedział się o ich spisku, część pozabijał, innym darował życie, a Arhara za karę sprzedał Wiedźmakowi. W zasadzie oddał, jak rzecz.

– Żeby ten go zombifikował?

– Chyba tak. Wiedźmak wysłał go na Arenę, a teraz...

– Ach, rozumiem – przerwał jej Chemik. – Nikt nie wie, że w ciele Arhara jest teraz Titomir, do tego zombifikowany. Ryżeboda trudno jest kontrolować, ma jakieś swoje interesy,

a Wiedźmakowi to nie pasuje. Jeżeli jednak Arhar miałby na oczach innych wargów zabić ich obecnego wodza...

– Tak. Posłuchaj, jest jeszcze coś. – Przysunęła się do niego, wsunęła mu coś w dłoń. – Trzymaj. To zarodek „rdzawki”.

Ścisnął w dłoni nieduży, szorstki orzeszek.

– Skąd to wzięłaś?!

– Znalazłam. Tam wcześniej, kiedy poprosiłam, czy mogę na stronę, pamiętasz? Możesz pozbyć się kajdanów i uciec!

– Nigdzie nie idę bez ciebie. – Pokręcił głową.

– Andrzej... – Przeciągnęła ręką po jego głowie. – Ty... Twoje ciało...

Pod jej dotykiem Chemik zadrżał, hiper w jego ciele znów zaczął się budzić, próbując przejąć kontrolę. Zasyczał cicho, a Nika szarpnęła się w tył, więc od razu zaszeptał:

– Nie, nie bój się! To... to ja! Tamten się budzi tylko czasem, wtedy muszę... Posłuchaj, ciało jest inne, ale to ja, Andrzej. Już prawie się przyzwyczaiłem, więc może i ty... kiedyś... Nie w sensie, że my, ty i ja, mielibyśmy, ale... Cholera jasna! Nika, uciekamy tylko razem, rozumiesz? Ale musimy poczekać na dobry moment.

– Ale ty nie wiesz, że ciebie Wiedźmak też chce zombifikować – szepnęła dziewczyna. – Słyszałam, jak mówił o tym z Czabanem, tylko czeka, żebyś oswoił się z tym ciałem. Nie chce cię okaleczyć przedwczesną próbą. Musisz uciekać, i to już!

– Jeśli już, to już. Ale tylko razem – zdecydował Chemik, oparł się czołem o podłogę, wygiął ciało w łuk, podciągnął kolana i uklęknął.

Z dworu doniósł się okrzyk i odgłos uderzenia, za oknem błysnęło, kiedy odpalił się artefakt w lasce Wiedźmaka. Nad głowami więźniów ktoś przebiegł, z sufitu posypał się kurz – czyli wargów było ośmiu, postawili jeszcze strażnika na budce. Huknęły strzały, coś ciężko upadło na dach, stoczyło się i przeleciało za oknem – człowiek, martwy lub ranny. Znow ktoś

krzyknął, wystrzały nagle urwały się, a potem ponad harmider głosów wybił się jeden, pewny siebie i władczy, należący do Roba-Titomira, szczekającego coś w języku wargów.

Chemik zmiądzzył w dłoni zarodek bioanomalii, roztarł w ręku zimną, mazistą substancję i rozsmarował po kajdanach. Rzekomo „rdzawka” miała nie mieć wpływu na organizmy żywe; cóż, zaraz się okaże... Kajdany były solidne, ale jednak miał nadzieję, że rdza przeżre je w ciągu kilku minut.

Zaszumiało, rozszedł się smród siarkowodoru; Chemik skrzywił się, próbując nie kichnąć ani nie spanikować. Z dworu nadal niósł się głos Roba.

– Chce ich przekonać, że mają teraz słuchać jego – szepnął do Niki. – Czyli Ryżebod już nie żyje... Leż, ja zaraz skoczę!

Podniósł się i podbiegł do okna, nie przejmując się już brzękiem majtających się łańcuchów – jego nadzorcy mieli ważniejsze sprawy. Ryżebod leżał, szeroko rozrzucając ręce, obok niego walał się jeszcze jeden warg, kolejny skulił się w bramie. Rysiu powoli, z karabinem w gotowości, szedł w kierunku ciała w trawie pod płotem. Czterech pozostałych przy życiu wargów słuchało Roba, który mówił władczym, donośnym głosem, to uderzając się pięścią w pierś, to pokazując wyciągniętą ręką na Wiedźmaka. Szaman stał, szeroko rozstawiwszy nogi. Trzymał na ramieniu swój kostur niczym najprawdziwszą broń.

Był tam też Czaban, rozplaszczony nieruchomo na ziemi twarzą w dół.

– Powiedz im, że idziemy do ciemnego domu, tak jak planowaliśmy! – zadudnił Wiedźmak, unosząc nad głową swój plecak. Chemik ledwo go widział przez wirujący wokół „oka” huragan czerni. – Ty jesteś ich wodzem, ja szamanem! Zrobimy wszystko tak, jak chce tego los!

Chemik szarpnął łańcuchy; smród siarkowodoru był coraz silniejszy, ale metal wciąż trzymał. Odwrócił się tyłem do Niki i zapytał:

– Co z nimi? Widzisz?

– Metal zoksydował, zaczyna rdzewieć – odpowiedziała. – Jeszcze trochę...

– Idź do drugiego pokoju, do okna. Zaczynij odrywać deski, ale postaraj się po cichu.

Wstała niepewnie. Chemik zobaczył przez okno, jak Rysio z karabinem w gotowości rusza w kierunku ich stróżówki.

– Szybciej! – syknął. – No już, ruszaj się!

Nika podreptała ku przejściu do drugiego pomieszczenia, a on przeczołgał się pod oknem i stanął pod drzwiami. Zaskrzypiały metalowe schodki... Chemik napiął mięśnie, szarpnął za kajdany, które powoli, z przeciągłym zgrzytem zaczęły puszczać, aż w końcu pękły. Przysiadł, szybkimi ruchami rozdzierając okowy na nogach jak mokre, spróchniałe drewno.

Kroki Rysia zadudniły już pod samymi drzwiami, gdy z pokoju obok dało się słyszeć skrzypienie odrywanej deski.

Chemik złapał leżący na podłodze łańcuch, zamachnął się i chlasnął wchodzącego do środka Rysia prosto w twarz. Żelazo zawinęło się wokół szyi, więc szarpnął i skoczył do przodu, uderzając tamtego czołem w nos. Rysiu zdążył pociągnąć za spust, ale krótka seria poszła bokiem, dziurawiąc ściankę działową, a potem poleciał w tył. Chemik poprawił kopniakiem, ochroniarz wypadł z powrotem na zewnątrz, stoczył się na łeb na szyję po schodkach.

Z zewnątrz doniosły się krzyki, więc Chemik zatrzaskał drzwiczki, złapał karabin i popędził do pokoiku obok.

Nika siedziała na podłodze z ułamanym kawałkiem deski w ręku. Po jej biodrze lała się krew.

– Andrzej, chyba mnie... – zaczęła.

Dopadł do niej, chwycił za ramię.

– Wstawaj!

– Nie, nie dam rady... Nie będę mogła iść! Spowolnię cię, złapią nas oboje!

Gdy na schodkach znów zdudniły kroki, Chemik poderwał karabin i na oślep wypuścił resztę magazynka w ścianę i otwierające się drzwi, potem cisnął broń na podłogę, popatrzył na siedzącą bezradnie Nikę i rzucił się barkiem w okno.

– Wróć! – krzyknął jeszcze, wypadając na zewnątrz w chmurze próchna i szczap. – Wróć po ciebie!

Walnął ciężko o ziemię, przetoczył na bok, zerwał i popędził pomiędzy zabudowania Fabryki.



Garsteczka i Czerwony Kruk, przyjąwszy po kolejnej dawce płomieniówki, szybkim krokiem zmierzali ku Fabryce. Najemnik ostrzegał, że przesadzają, więc około południa oczekiwał ich zjazd i przymusowy odwyk, najczęściej związany z nudnościami, a nawet drgawkami. Ale nie mieli wyjścia, w końcu już dwie doby działali obydwaj na najwyższych obrotach.

Zbliżali się do betonowego płotu, kierując na wyłamane przesło, kiedy od strony Fabryki zahuczały wystrzały z karabinów. Głuche, stłumione echo niosło się pomiędzy budynkami, strzelano zapewne dalej, po drugiej stronie kompleksu. Przypadli obydwaj ku ziemi, celując na zmianę w otwór i okna hali. Jeszcze jeden wystrzał, drugi – i wszystko znów ucichło. Garsteczka zerwał się jako pierwszy.

– Biegiem! Ja lewą, ty prawą wzdłuż płotu, spotykamy się przy dziurze!

Zagdakała kolejna seria z karabinu, ale ciszej, jak gdyby strzelano z wnętrza budynku. Chwila przerwy, znów kilka pojedynczych. Daleki trzask, niczym pękającej gałęzi drzewa, okrzyki, uderzenie, ktoś coś wołał...

Pobiegli, stopniowo oddalając się od siebie, i nagle Garsteczka uświadomił sobie, że widzi „oko zła”! Dzika jego anomalna mać,

widzi! Przez betonowy płot, przez ceglane ściany i cholera wie co jeszcze po drodze, ale widzi! Może nie sam artefakt, ale płynącą i falującą wokół niego, zaginającą się przestrzeń, drżącą niczym woda pod wpływem wiatru. Wydawało mu się, że epicentrum tych zakłóceń schodzi coraz niżej, zapada pod ziemię... Tak, „oko” przemieszczało się w dół! Czyżby niosący je Wiedźmak schodził do jakiejś piwnicy?

Skręcił przy samym ogrodzeniu, biegnąc w kierunku dziury. Najemnik zbliżał się z naprzeciwka, trzymając broń ku górze, żeby uniknąć przypadkowego, głupiego postrzału. „Oko” zniknęło pod ziemią.

Przez zwalone przesło wpadli na podwórzec, zawalony przerdzewiałymi kontenerami i stertami desek, zastawiony rzędami brudnych beczek w plamach mazutu. W potężnym korycie na zawsze zastygł cement, przed nimi widać było wielką, ślepią ścianę – znajdowali się na zapleczu dawno temu remontowanej hali produkcyjnej.

– Widziałem „oko”! – sapnął Garsteczka. – Spadało... Nie, chowało się pod ziemię!

Najemnik popatrzył na niego bez słowa. Trzeba było wyjaśnić:

– No, aurę jego widziałem, co nie? Wiedźmak musiał je wyjąć z pojemnika i zszedł gdzieś niżej, pod ziemię. Może piwnica, albo kanały jakieś...

– Z tej strony nikogo nie ma, strzelali przed halą.

– No tak, więc musimy tam się dostać. Po lewej straszne krzaki, z prawej jest więcej wolnej przestrzeni. Dawaj, pójdziemy prawą.

Budynek był prostokątny, więc kiedy prawie już dobiegli do końca krótszej ze ścian z szeregiem zakratowanych okienek, zza węgła wypadła chuda, żylasta postać. Biegnący przodem Garsteczka wystraszył się tak, że aż przygryzł sobie język, ale odruchy zadziałały prawidłowo: rąbnął potencjalnego wroga kolbą prosto w pysk, poprawił kopniakiem, powalił na ziemię i docisnął nogą, celując w pierś...

Bogu dzięki, nie strzelił. Brudne kudły, włochaty tors, skórzane spodnie do kolan... Hiper! Skąd mógł się tu wziąć?!

– Garsteczka! – szczechnął stwór, a od tego głosu Garsteczce aż włosy stanęły dęba. Jakiś mutant, odmieniec, paskuda, może i człekokształtna, ale tak brzydka i obca, nagle mówi po ludzku! I to jego imię!

Kruk podskoczył bliżej, sięgając już po nóż, ale hiper wrzasnął:

– Nie, nie! Ja swój!

Czerwony Kruk zamrugał, autentycznie zdziwiony – przy czym tylko prawym okiem, lewe patrzyło ciemną dziurą źrenicy na mutantą.

– Che... Chemik? – jęknął Garsteczka, unosząc karabin. – Kruk, zostaw! O rany julek, to naprawdę swój...

– No a kto inny?! – zaseplecił włochaty, splunął krwią i usiadł. – Na fotce wyglądałeś lepiej.

– Eee, no wiesz, zważywszy okoliczności... Krwiożerczy mutant z Sektora? – mruknął Garsteczka. – Kruk, to jest... był... no dobra, to jest właśnie Chemik. Tak go Wiedźmak urządził.

– Nie tylko mnie. – Chemik podniósł się, popatrzył na okna. – Ja byłem tylko wprawką, potem zajął się Titomirem. Teraz major biega w ciele wargi.

– Jesteś pewny?! – Czerwony Kruk zrobił krok w jego stronę. Można było odnieść wrażenie, że zaraz złapie hipera za kołnierz, przycisnie do ściany... Tylko że ten nie tylko kołnierza, ale w ogóle nie miał żadnej koszuli.

– Titomir siedzi teraz w ciele Arhara – powtórzył Chemik.

Garsteczka zamrugał, przeciągnął ręką po twarzy. Strasznie, potwornie dziwne było, kiedy z paszczy takiego paskudztwa niosły się pewne, mierzone metrum logiki słowa jego towarzysza z głowy!

Kruk wziął głęboki wdech, przymknął oczy. Garsteczka zapytał:

– Słuchaj, co się tam dzieje? Słyszeliśmy strzelaninę.

– Czterech wargów i Czaban nie żyją, wytłukli ich na rozkaz Wiedźmaka. Reszta oddziału weszła do hali, mają Nikę. Chciałem ją zabrać, ale dostała postrzał w nogę, nie mogłaby iść. Wzięli ją ze sobą, jest im potrzebna.

– A ty dokąd biegłeś?

– Zablokowali za sobą drzwi! Tam nie było innego wejścia, więc chciałem tędy, przez okno albo...

– Po co weszli do środka? – przerwał mu Kruk.

– „Oko” przepaliło pojemnik. – Chemik złapał długimi palcami za kratę najbliższego okna, zaparł się o ścianę, ale żelazo ani drgnęło. – Uff... Nic z tego. Nieosłoniony artefakt jest skrajnie niebezpieczny, ale Wiedźmak chyba do końca oszalał, bo na to nie zważa. Chce go zanieść do Polesia! Wydaje mi się, że gdzieś tutaj musi znajdować się „port”. Dlatego tutaj wyznaczyli miejsce spotkania... Nie możemy dopuścić, żeby „oko” trafiło do Zagubionego Miasta! Myślę, że nawet próba przeniesienia go przez „port” zakończy się katastrofą, ale Wiedźmak ma to w dupie! Pojebało go do reszty!

Garsteczka aż uniósł brwi. Z ich poprzednich rozmów odniósł wrażenie, że to on jest typem, który biega, macha rękoma, wygraża niebu i klnie jak szewc, a Chemik miał być tym spokojnym, logicznym i dobrze wychowanym.

– No dobra, a co będzie, jak „oko” jednak trafi do Polesia? – zapytał.

– Obawiam się, że kolejna Fala. Jeszcze potężniejsza. Zrozum, że „oko” jest wzmacniaczem promieniowania, takim endotronem energii! Jego oddziaływanie na „port”, będący jednym z węzłów krzyżowych sieci podprzestrzennej, może doprowadzić do...

Głęboki, basowy huk przetoczył się pod żelbetową podłogą hali.

Sektor zadrżał.



To było niczym trzęsienie ziemi. Albo, jak to ująć... trzęsienie światów? Tak czy inaczej, dupa kontinuum chyba dostała sraczki, jak to pomyślał Garsteczka. Skurczyła się z spazmie, potem podskoczyła i rzuciła ich wszystkich o glebę.

Zrobiło się ciemno, wręcz czarno. W głowie odezwały się obce głosy, na mgnienie oka zewsząd pokazały się sylwetki... Tylko że nie wiadomo czego. Przestrzeń wokół nich zwinęła się w kłębek, pokryła pajęczyną nici, albo pęknięć. Jak szczeliny w tynku, które są tam od zawsze, a w pewnej chwili zaczyna się je widzieć, po czym znikają, rozplývają się w ogromie ściany.

I znów był dzień.

Głuche dudnienie doniosło się z trzewi hali produkcyjnej, coś jęknęło przeraźliwie. Garsteczka w pewnej chwili myślał, że to jemu kręci się w głowie, ale potem spojrział na szczyt ściany i wrzasnął:

– Wali się!

Zerwał się i pobiegł jak najdalej. Budynek zgrzytał i skrzypiał rwącym się betonem, Chemik i Kruk pobiegli za nim, osłaniając głowy przed lecącym z góry tynkiem. Za nimi narastał ogłuszający huk, cała hala waliła się i zapadała, jak domek z kart, kłęby pyłu wzbijały się pod niebo. Zupełnie jak gdyby nagle pod budynkiem zabrakło ziemi i fundamentów! Najbliższa im ściana nachyliła się do środka, złamała w pół i zawałiła z łoskotem, dach

poleciał w dół kaskadą żelbetu i żelaza, ciągnąc za sobą konstrukcję sąsiednich budynków.

– Szybciej! – ryknął Garsteczka, widząc, że lada chwila zawali się też magazyn, koło którego akurat przebiegali. Płot i zbawienna dziura w nim były coraz bliżej, ale szary mur z betonowych płyt już, już nachylał się i leciał prosto na nich, tysiące ton i metrów sześciennych stali wisiały nad głowami, lecąc coraz szybciej i szybciej w dół.

Wypadli poza teren Fabryki. Garsteczka skręcił, chowając się za płotem, Kruk zakrył uszy i odwrócił się plecami, Chemik upadł na ziemię i wtulił twarz w trawę, krzycząc coś nieartykułowanego.

Ściana za nimi dosięgła ziemi, strumień powietrza i chmura pyłu smagnęły po plecach, niosąc ze sobą kamienie i zatykający dech w piersiach obłok kurzu. Ziemia zadrżała po raz drugi, zafalowała trawa.

A potem zapadła cisza, pełna kłębiącego się w powietrzu zmielonego betonu.

Garsteczka odważył się uchylić jedno oko, potem drugie. Chemik uniósł głowę, Kruk popatrzył przez ramię.

Ze ściany nie zostało nic, z hali niewiele więcej. Kawały i grudy betonu, sterczące z ziemi pręty zbrojeń i pokrzywione tregry, resztki maszyn oraz bezładnie porozrzucone tu i ówdzie obrabiarki. Wirujące poźółkle kartki dokumentów spadały powoli na ogromną stertę gruzu, w której coś nadal osypywało się, zsuwało, zgrzytało i pojękiwało.

Garsteczka podłubał w ucho, kichnął i stwierdził:

– No, wy jak chcecie, ale ja się tam nawet nie zbliżam.

Czerwony Kruk stanął na palcach, wyciągnął szyję.

– Upuściłem karabin, o tam leży. Czekaście, pójdę i przyniosę.

– Że ci go nie przysypało... A może lepiej zostaw, niech leży?

Ale Kruk już szedł, przestępując zwały gruzu. Garsteczka mruknął:

– Chemik, zrobmy podsumowanie. Mówiłeś, że tam w piwnicy był „port”, zgadza się?

Ten otrzepał włosy z pyłu, smarknął i pokręcił głową.

– Nigdy tak nie twierdziłem, tylko wyrażałem przypuszczenie.

– No dobra, dobra. I co, „oko” w niego trafiło i całość... wzięła i się zakleszczyła? Nie wiem, „port” zakrztusił się tym artefaktem, za duży kawałek? Kaszlnął, czknął, pierdnął i... rezultat widzieliśmy.

– Garsteczka, to o wiele bardziej skomplikowane. Sieć anomalii, którymi opasany jest Sektor, mogła ulec splątaniu, w wyniku którego...

– Dobra, dobra, potem sobie pomędrkujesz. Ty mi powiedz lepiej, co się mogło stać z Wiedźmakiem i resztą?

– Przerzuciło ich.

– Do tego Polesia?

– Skąd mam wiedzieć? Ważniejsze jest to, że nie możemy ruszyć za nimi. Nawet jeśli „port” tam wciąż jest, to się do niego nie przekopujemy.

– No raczej, że nie. „My” na pewno się nie przekopujemy, bo ja nawet nie będę próbował.

Czerwony Kruk już wracał, usiłując doczyścić karabin z kurzu.

– Idziemy na Lotnisko – powiedział krótko.

– Czy wy dwaj w ogóle rozumiecie, co się właśnie stało? – podniósł głos Chemik. – Nie łapiecie? W najmniejszym stopniu? I co się stanie dalej, jeśli Wiedźmak zanieśie „oko” do Polesia? Wszystko, co widzieliśmy przez ostatnich kilka dni, poczynając od tej gigantycznej Fali, przez błyski ciemności, przywidzenia i dziwne spotkania, ma swoją przyczynę w oddziaływaniu „oka”. Zrozumcie, że Sektor jest jak... Jak jezioro ze stojącą wodą...

– Mocno paskudną, brudną wodą – parsknął Garsteczka, ale Chemik puścił uwagę mimo uszu

– ...w którą teraz wrzucono ogromny kamień! – dokończył.

– No dobra, kręgi na wodzie, trzcina się kołysze. Z dna się

podnosi muł, wypływają śmieci, ryby zaczynają zdychać, raki nieboraki migrują. To chciałeś powiedzieć?

– Tak, zasadniczo tak. A jeśli Wiedźmak trafi do Polesia? Nie mam pojęcia, co chce tam zrobić, ale wyobraźcie sobie, że chce w to jezioro wrzucić całą wielką górę.

– No to dupa z jeziora.

– Nie tylko jeziora, Garsteczka! Katastrofa na brzegach, cała okolica zalana...

– Okej, Chemik, daj spokój z metaforami, bo ci nie idzie. Jeziora i raki też wymyśliłeś. Ale spoko, rozumiem, o co biega. Tylko że nadal nie wiemy ani dokąd ich przeniosło, ani jak trafić do tego całego Polesia, żeby ich powstrzymać...

– Ja wiem – odezwał się Kruk.

– Co wiesz? Wiesz, jak trafić do Zagubionego Miasta? – ostrożnie doprecyzował Chemik.

Najemnik pokazał lufą kałasza na południowy zachód.

– Ten „port”, w który wpadłem po postrzale od majora. Garsteczka, pamiętasz go?

– Ano.

– Przerzucił mnie daleko za Wstęgę i widziałem tam miasto. Było zupełnie blisko, ale się nie odważyłem do niego wejść. Potem natknąłem się na wargów, wróciłem tutaj, idąc za nimi, przez... – Zamilkł na chwilę. – Przez fałdę.

– Fałdę? – powtórzył po nim Chemik pytająco.

– Tak, fałdę przestrzenną. Czy, jak to nazwać, skrót? Była tam mgła i czarne drzewa, dziwne miejsce. Coś jakby wielka anomalia, tylko że nie „port”, a... – Kruk przyłożył dwie dłonie do siebie, potem wyprostował i znów złożył. – No fałda właśnie.

– Czyli jest droga przejścia przez Wstęgę... – Chemik zmarszczył i bez tego pomarszczone czoło hipera. – „Porty” są jak dziurki, przebite we wstędze Möbiusa, a w takim razie ta twoja „fałda”... No tak, dziura w zagiętej przestrzeni, przez którą trafiasz na drugą stronę! Oczywiście!

– Ty, Kruk, ale dlaczego nie poszedłeś do Zagubionego Miasta?
– zapytał Garsteczka.

– Po co? Major był gdzie indziej.

– Ale teraz major jest z Wiedźmakiem, w nowym ciele.

– Tak. – Kruk zarzucił na ramię karabin. – I teraz jest szansa, że są w Polesiu. Dlatego teraz tam pójdę.

Odwrócił się plecami do zniszczonej hali i ruszył przez ugór. Chemik z Garsteczką wymienili spojrzenia i poszli jego śladem.



Nie wiedzieli, co może dziać się na Lotnisku, więc nie ryzykowali skrócenia sobie drogi przez dolinę. Wciąż donosiły się stamtąd wystrzały, a z miejsca, gdzie wcześniej stała wieża, walił kłębamii czarny, smolisty dym. Garsteczce wydawało się też, że płonie Arena, ale drzewa zasłaniały widok.

– Ha, czyli jednak sporo ich stanęło w obronie Wiedźmaka... – zdziwił się. – Słyszycie, jak do siebie walą? I to w kilku miejscach, pełna partyzantka.

– To raczej Rusak z Sułtanem wojuje – skrzywił się Kruk.

Musieli ominąć Lotnisko, idąc przez wzgórza. Chemik miał po drodze pewne trudności. Dwa razy opadł na kolana i zaczął biec w kierunku lasu, a raz złapał coś w trawie i zjadł, nim zdążyli go powstrzymać. Od czasu do czasu podskakiwał znienacka, warczał sam na siebie, bił się po twarzy i robił dziwne rzeczy. Za każdym razem Garsteczka miał wrażenie, że potem Chemikowi było wstyd przed towarzyszami tych porywów pierwotnej dzikości.

Kiedy mijali bagnisty stawek z pomostem z desek, Garsteczka zawołał zdziwiony:

– O, patrzcie, „kieszonka” zniknęła, nie ma jej!

Pod miejscem, gdzie wcześniej wisiała anomalia, leżały teraz

zwłoki Dziary. Czerwony Kruk tylko wzruszył ramionami, a Chemik zapytał:

– Byliście już tutaj? Co to za człowiek?

Trzeba było opisać wydarzenia minionego dnia. O dziwo, Chemik nie cwaniakował odnośnie do przyczyn i skutków zawirowań w kontinuum, nie rozwodził się też nad teoriami teleportacji kwantowej. W ogóle był coś cichy, smutny i zaniepokojony. Garsteczka spytał go w końcu, zerkając kątem oka na włochatą twarz:

– Słuchaj, a tobie to nie jest zimno, tak w samych pantalonach? Może ci kurtkę dam chociaż?

– Najwyraźniej hipery mają inny metabolizm – odpowiedział Chemik, drapiąc się po włochatych plecach. – Nie jest mi zimno, raczej tak... świeżo.

– No i jakie to wrażenie, mieć nowe ciało?

– Dziwne. Mocno dziwne, Garsteczka, ale się przyzwyczajam.

Garsteczka odchrząknął, pokręcił głową.

– Ale mordę to dostałeś, nie powiem... W sensie, nie wiem, może kiedyś też nie byłeś typem modela, ale chyba się przynajmniej goliłeś. Ty, a co na to Nika? No bo ty z nią ten teges, co nie?

Chemik popatrzył na niego – och, jakie dziwne to było wrażenie, kiedy zza zwierzęcych oczu w tej półdzikiej twarzy nagle wyglądała świadomość i dusza człowieka!

– A co cię to obchodzi, Garsteczka?

– Taki sobie ciekawski jestem. Interesuje mnie życie w każdym jego aspekcie, szczególnie fizjologicznym.

– Byliśmy razem. Ale to już przeszłość.

– Oho, to już po wszystkim? No to nie rozumiem, czego się tak o nią indyczysz za każdym razem. No już, nie udawaj, przecież widzę, że ci na niej zależy.

Chemik odwrócił się plecami. Idący przed nimi Kruk skrzyknął i rzucił przez ramię:

– Prawie jesteśmy.

Wkrótce wyszli na znaną już polanę, gdzie nie tak dawno Kruk wymienił się z Titomirem ołowianymi grzecznościami. Garsteczka już bał się, że „portu” mogło tam nie być – kto wie, co jeszcze się poprzesuwało w strukturze jakiegoś tam czegoś tam, która wedle słów Chemika trzymała w kupie cały Sektor? Ale anomalia nie zniknęła, wisiała sobie w powietrzu jak i wcześniej... Chociaż w trochę innym miejscu, bo przesunęła się o kilkanaście metrów i niemalże wpasowała w zbocze niedużego, porośniętego krzakami pagórka.

Czerwony Kruk stanął przez „portem”, poprawił pas nośny karabinu.

– Hej, weź chociaż powiedz, dokąd to prowadzi – powiedział Garsteczka.

– Jeśli punkt wyjścia będzie ten sam, to pomiędzy czarne głazy – odparł Kruk, patrząc w anomalię. – Za nimi zbocze, nieszczerólnie strome. Trochę jak między Fabryką a Lotniskiem, tylko dłuższe. Na dole będzie bagno, za nim miasto. Ruszajcie od razu za mną, poczekam na was po tamtej stronie.

Ściągnął z ramienia karabin, złapał obiema rękami.

– Poprzednim razem mi ukradło przecież, cholerstwo... – mruknął, po czym wrzucił broń w anomalię. „Port” plusnął, po powierzchni rozeszły się kręgi, karabin zniknął.

Kruk obejrzał się na Garsteczkę.

– Pamiętaj, dwieście tysięcy.

– Ty, ale jakie... Aha, faktycznie. Już zdążyłem zapomnieć.

– A ja nie. Zapłaciłem ci za dorwanie majora, a major jeszcze żyje. Pieniądze już masz, dałeś słowo. Pamiętaj.

Kruk obszedł „port” dookoła, stanął na zboczu i wskoczył w do środka. Na krótką chwilę zrobił się półprzezroczysty, czerwono-czarny płaszcz wyblakł, tracąc kolor... I najemnik zniknął.

– Nie ma co czekać – powiedział Chemik. – Nie wiadomo, gdzie jest Wiedźmak i „oko”.

– A ty wiesz, że tego knypka to zaledwie wczoraj postrzelili? – Garsteczka pokręcił głową.

– Co? Naprawdę? Nie, skąd miałem wiedzieć... i co?

– I nic. Dostał kulkę prosto w bark, a śladu po nim nie widać. W ogóle z lewą połową ciała ma jakieś lepsze jazdy, bo major ze swoimi żołnierzami go do anomalii wrzucili. Wyobrażasz sobie?

– Eee, no tak, fakt... – Chemik się skrzywił. – To by tłumaczyło jego podejście do życia i motywację.

– Aha. I jeszcze jego dziewczynę zamęczyli na śmierć.

– Garsteczka, do czego ty pijesz?

– A tak sobie gadam... Gdybyś widział lewą połowę jego ciała, brrr! Co ten Sektor robi z ludźmi, koszmar.

– To nie Sektor.

– Hm?

– To ludzie z ludźmi robią. Poza tym, zauważ... Hejże, chwila moment. Przyznaj się: gadasz tyle, żeby przeciągnąć. Po prostu się boisz tam iść.

Chemik odwrócił się go Garsteczki, uśmiechnął bladymi, wąskimi ustami hipera. Poklepał przyjaciela po ramieniu.

– No już, szeregowy, nie pękajcie. Szybki skok, hyc, wszystkich uratujemy i wrócimy.

– Aha, hyc. Już tak raz hycłem, jak mnie tutaj wysłałeś. Na razie tylko hycam coraz głębiej.

– Obydwaj się wpakowaliśmy po uszy. Ty chociaż masz jeszcze swoje własne ciało, a ja... – Chemik umilkł na chwilę, potem pokręcił głową. – Wiesz co, bracie? Nadal nie mogę uwierzyć, że handlowałeś narkotykami.

– No to może uwierz. Przecież chyba bym w taki sposób nie kłamał? – zdziwił się Garsteczka.

– Wiem, że nie kłamałeś. Tylko że... To nie w twoim stylu.

– Jak to?

– No normalnie, nie pasuje do ciebie takie coś. Do ciebie, do

twojego charakteru i w ogóle. Rozumiesz, jak się u kogoś w głowie posiedzi, popatrzy na świat jego oczami, tylko jego głos słyszy... Wczułem się, bracie Garsteczka. Zacząłem rozumieć, co i jak, a ty... – Chemik znów umilkł, nieumiejętnie pstryknął długimi, koślawymi palcami. – Ty porządny gościu jesteś przecież. Dobry z natury. Niemalże dobroduszny... no niemalże. I nagle przypominam sobie, że byłeś w składzie wojsk interwencyjnych, robiłeś za narkokuriera, potem tutaj kręciłeś ciemne interesy, do Sektora też poszedłeś po pieniądze, z czystej chciwości... No nie wiem, ale nie pasuje to do ciebie. Tyle ci chciałem powiedzieć. I jeszcze nie rozumiem, dlaczego sam sobie to robisz? Co cię do tego zmusiło?

– Marzenie – westchnął Garsteczka.

– Jakie znów marzenie?

– Błękitne. Białe i lazuruowe... Jak morze, takie... Cholera, nie twoja sprawa! Koniec tych smętów, wskakuj w anomalię, mutancie jeden.

Chemik pokręcił głową, machnął ręką i po prostu wszedł w anomalię. Przestrzeń zafalowała i zniknęła.

Garsteczka podsunął się nieufnie bliżej „portu”, zajrzał w szklistą otchłań, czując wiejący z niej ciepły wiaterek. Czy w ogóle musiał się tam pchać?

Czerwony Kruk miał swojego majora do zabicia. Najemnikowi było obojętne, w jakim ciele siedział Titomir, ale śmierć jednego była sensem życia drugiego. I dobrze.

Chemik chciał uratować swoją księżniczkę. Może i nie do końca swoją, ale dochodziła do tego górnołotna misja powstrzymania Wiedźmaka i docelowo uratowania ciągłości kontiunuum czasoprzestrzeni Sektora, a może i świata. Porządna motywacja, zrozumiała; połowa filmów w telewizji jest właśnie o tym.

Ale czego chciał Garsteczka? Miał przecież swoje pieniądze, od których się wszystko zaczęło! Dziką, ogromną kasę, która miała

zapewnić mu spokojną emeryturę. I absolutnie szczęśliwe lata przed nią, zdrowie, pełny brzuch i uśmiech na twarzy, aż zamknie kiedyś oczy w słońcu południa. Życie spędzone pomiędzy wygodnym domem, plażą a przystanią, gdzie kołysze się na cumie śnieżnobiały jacht.

Marzenie, niech to mutant rypie, jego błękitne marzenie! Przecież wystarczyło wrócić do samolotu, wyciągnąć plecak, wynająć sobie ochroniarzy i przejść przez Kordon. Zostawić za sobą Sektor, a potem już...

No właśnie. A co potem? Morze? Przystań, willa, jacht, kobiety, wino i śpiew? *Dolce vita* i... nuda. Potworna, wszechogarniająca, zabijająca go dzień po dniu, godzinę po godzinie nuda. Dokładnie tak nazwie swój jacht, wymaluje nazwę na białej burcie czarną, cieknącą farbą olejną: NUDA.

Spełnione marzenie to martwe marzenie. Martwy balast, który pociągnie go na dno. Bo co miałyby robić, czym wypełnić tych kilkadziesiąt lat życia? Rozbijać się po portach, podrywać głupie siksy, chlać na umór i trzeźwieć na zmianę? Patrzyć, jak o brzeg rozbijają się fale, i wspominać tamtą Falę? Nigdy nie dowiedzieć się, czym było to cholerne „oko zła”, jaką tajemnicę skrywało Zagubione Miasto... Być o krok od tego wszystkiego, odwrócić się i odejść?

No i był Czerwony Kruk. Kichać na jego pieniądze, wielkie mi co! Ale pozostawała obietnica. Szanujący się facet zdechnie, a słowa dotrzyma. Bo jak słowo złamie, to nie mężczyzna, a szmata. Szmata do wycierania pokładu, ot co.

Garsteczka zacisnął zęby, podrzucił karabin i ściągnął spust, posyłając wysoko w szare niebo pojedynczą, samotną kulę. Nawet nie wiedział, po co i dlaczego to zrobił. Ot, taka potrzeba chwili. Nie żaden symbol czy gest, nic z tych bzdur. Po prostu kawałek ołowiu w stalowym płaszczu, wnoszący się coraz wyżej i wyżej, rozcinający chłodne, jesienne powietrze stożkiem fali dźwiękowej, tracący impet i zwalniający tylko po to, żeby

w końcu zawisnąć na okamgnienie wysoko ponad drzewami i wirując spaść z powrotem na wilgotną ziemię utraconą Sektora.

Zarzucił karabin na ramię, warknął:

– No, wielka dupa kontinuum, otwieraj się, bo nadchodzę! – I skoczył w anomalię. Powietrze zadrżało i zafalowało, zaczęło uspokajać się, a potem zamarło.

Zanim kula z cichym szelestem spadła w trawę, na polanie nie było już nikogo.

Koniec

ciąg dalszy przygód Chemika i Garsteczki nastąpi...

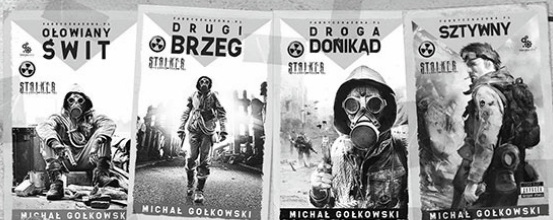




FABRYCZNA ZONA



S.T.A.L.K.E.R.



WWW.FABRYCZNAZONA.PL

W PRZYGOTOWANIU



POLSKIE POSTAPO



W PRZYGOTOWANIU



SURVARIUM



W PRZYGOTOWANIU



ROSYJSKIE POSTAPO



ANTYMIR



VESTARIUS



**PRAWDZIWEJ
ZAGŁADY**

WWW.VESTARIUS.PL



swiatksiazki.pl

Najlepsza oferta w sieci



książki



e-booki



filmy



muzyka



multimedia



zabawki



niskie ceny



szeroka oferta



szybka obsługa

Bezpłatny odbiór w sieci księgarń lub wysyłka,
szczegóły na stronie.

www.swiatksiazki.pl

COPYRIGHT © Andriej Lewicki
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2016
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Michał Gołkowski

TYTUŁ ORYGINAŁU: ПЕТЛЯ АНТИМИРА

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-212-0

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE © Ivan Khivrenko

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

REDAKCJA Ewa Białołęcka

KOREKTA Katarzyna Pawlik

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

▶ Pistolet tkwił w kaburze, w ręku świeciła jasno latarka. Garsteczka przekręcił kołowrót na zamku włazu technicznego i ostrożnie wyszedł na wąski, długi balkonik galerii strzeleckiej.

Było przejmująco chłodno i ciemno – bądź co bądź koniec września, wilgotno, wiał wiatr. Garsteczka zadrzał i zapiął bluzę pod samą szyję. Z żelbetowego balkoniku rozciągała się panorama Sektora: niebo zaciągnięte chmurami, na górze ciemność, na dole ciemność. Chociaż, jeśli się przyjrzeć, widać było kilka drżących ogników, bliżej i dalej... i jakieś migotanie po lewej.

Co to mogło być? Nie miał pojęcia. Jego uczucia wobec Sektora były ambiwalentne – Ziemia Utracona zarazem fascynowała go i przerażała. Nie mówiąc już o jej mieszkańcach... Lepiej omijać nieznaną z daleka.

Zatrzymał się za wieżyczką z gniazdem potężnego karabinu maszynowego. Długaśna, gruba lufa wukaemu patrzyła w dal. System Wielkokalibrowych Interceptorów Ruchu – tak brzmiała oficjalna nazwa broni, zaprojektowanej specjalnie na zamówienie dowództwa Kompleksu. No cóż, przynajmniej nazwę ładną ktoś wymyślił. Za takie pieniądze można się było spodziewać.

Potwory były trzy, mieszkały na dwóch końcach galerii i w jej centrum, siedząc w swoich stalowych budach. Wieżyczki na pełnej hydraulicie, kilkanaście czujników ruchu i kamery na podczerwień, wszystko sprzężone z komputerem w centrum dowodzenia i zasilane z kilkusetnabojowych bębnow.

„Wstęga” – fragment

WSTĘGA

Nazywa się **Paweł Nowickij**. Żołnierz i przewoźnik rzeczy podejrzanych, przemytnik narkotyków, bohater wojny i Ojczyzny. Ocknął się sam, w sercu **sekretnego Kompleksu**, do wtóru wycia syreny alarmowej.

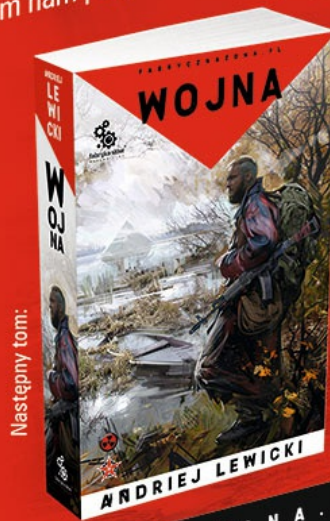
Wokół niego – tylko ciała towarzyszy.

Czerwony blask lamp awaryjnych.
I pustka w głowie.

Kompleks stoi przy samym Kordonie, gigantyczną ścianą opasującą przedziwną i śmiertelnie niebezpieczną **Ziemię Utraconą**. Nasz bohater zmuszony jest do wyjścia z Kompleksu i wyruszenia w długą podróż poprzez niegościnnie terytorium. Myślicie, że gra toczy się o losy kraju, czy nawet świata? Gdyby tylko tyle!

Gdzieś daleko pod szkarłatnym niebem Ziemi Utraconej, pośród **nieprzebytych lasów i bagien**,

pośród bazami **walczących ze sobą ugrupowań** i polami śmiertelnych **anomalii**, skrywa się ono – tajemnicze i nieuchwytnie **Zagubione Miasto**. Rzekomo możliwe jest, aby tam trafić. Ale czy na pewno? A co, jeśli trzech wólczyków-straceńców: żołnierz, uczonek i najemnik miałoby dotrzeć do Zagubionego Miasta? Otworzyć ludziom oczy na to, **skąd naprawdę wziął się świat**, w którym wszystkim nam przyszło żyć.



Następny tom:

FABRYCZNA.ZONA.PL



fabryka słów

facebook.com/fabryka



Polub
Fabryczną Zonę

Wylączny
dystrybutor



Spis treści

Karta tytułowa

Seria Fabryczna Zona

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Fabryka Słów proponuje

Karta redakcyjna

Okładka